

A. D. Valentine

*Dance
of the
Shadows*

Dawno, dawno temu w świecie bogów, zwanym również Krainą Wiecznego Lata lub Tirtarn przyszły na świat cztery siostry. I tak jak dzieliły kiedyś jedno łono, tak później ich udziałem stała się niezwykła więź, rzadko występująca pośród nieśmiertelnych, jeszcze rzadsza wśród ludzi. Były niczym jedna istota podzielona na cztery odrębne części, będąca jednością w rzadkich momentach, kiedy wszystkie elementy scalało jedno pragnienie.

Razem były jak skrawek tęczy, barwne niczym rajskie ptaki. Amirian miała włosy w kolorze szmaragdów, Dayiell o barwie szafirów, Etaine w różnych odcieniach ametystu, a włosy Viaelle sprawiały wrażenie, jakby ktoś pociągnął po nich kryształami cytryny. Jediną rzeczą w ich wyglądzie, która była dla nich wspólna był kolor ich oczu – intensywnie błękitny, lśniący w ciemnościach jak oczy wszystkich nieśmiertelnych, płonący ogniem mocy.

Młode boginki napełniały świat bogów śmiechem i psotami. Aż przyszedł czas, kiedy cztery siostry dorosły i zakochały się po raz pierwszy tą miłością, która przychodzi tylko raz i pozostawia trwałe ślady w duszy czy to człowieka, czy boga. O względy sióstr starało się wielu młodych bogów, lecz obiektem ich uczuć stał się śmiertelnik – istota krucha, której życie trwa niewiele więcej niż mgnienie oka. Tak więc ukochany sióstr szybko zestarzał się i umarł.

W Krainie Wiecznego Lata nie było śmierci, nie miała tam prawa wstępu. Bogowie żyli wiecznie i nie starzeli się, jeśli tego nie chcieli. Dlatego śmierć ukochanego głęboko wstrząsnęła siostrami – pogrążyły się one w takiej rozpacz, że wraz z nimi zdawał się cierpieć cały świat. Kiedy wydawało się już, że łzy płaczących bogiń pogrążą w odmętach smutku zarówno Krainę Wiecznego Lata jak i krainy śmiertelnych, ojciec wszystkich bogów, stary i bardzo mądry Wai, zamienił cztery siostry w planety.

Odtąd okrążają swoją gwiazdę, Tessaliana, po identycznej orbicie i jak zawsze razem – a ciepło gwiazdy rozgrzewa ich zbolące serca. A ponieważ siostry ukochały śmiertelnych, bogowie pozwolili ludziom zasiedlać te światy, czyniąc je urodzajnymi i przyjaznymi.

A cztery siostry już nigdy nie były samotne.

Rozdział pierwszy

Każde miasto ma dwie twarze. Jedna z nich wystrojona, wymalowana, elegancka niczym twarz lalki – i równie sztuczna. Tę pokazywano turystom, filmowano dla telewizji, tę zapępniały tłumy ludzi pięknych, bogatych i – pozornie – szczęśliwych. Iluzję podtrzymywały zastępy portierów, szoferów, kelnerów, kucharzy i pokojówek. Wszystko idealnie na swoim miejscu, dyskretny błysk klejnotów, delikatny zapach perfum, szelest sukni. Nikt zdawał się nie zauważać, co kryje się wewnątrz – nikt wcale tego nie chciał, każdy wolał wierzyć w iluzję.

Drugie oblicze było bardziej prawdziwe, wręcz szczerze do bólu. To było szare, pomarszczone i zaniedbane, niczym twarz spracowanej kobiety. Ukrywano ją w wąskich zaułkach, za bramami kamienic, w zapomnianych uliczkach, robotniczych blokowiskach, pośród fabryk i magazynów.

Aprevin nie było wyjątkiem od tej reguły.

W jednej z wąskich uliczek w przemysłowej części miasta spotkało się dwóch mężczyzn. Ich twarze skrywał cień. Praktycznie nie istniało ryzyko, że ktoś ich tu dostrzeże i to był główny powód, dla którego wyznaczyli sobie spotkanie w tym szczególnym miejscu. Stąd nie było widać Wieży Światła, a roztaczany przez nią blask był ledwie dostrzegalnym pojaśnieniem nieba w przestrzeniach między ciemnymi, samotnymi bryłami magazynów i fabryk.

- Wszystko gotowe?
 - Tak. Czekamy tylko na sygnał.
 - Pamiętajcie o jednym: nic im się nie może stać. Będą nam jeszcze potrzebni.
 - Niczego nie mogę zagwarantować, zwłaszcza jeśli gwardia stawi zdecydowany opór.
 - Niech was o to głowa nie boli. Na tym etapie nic już nie może zawieść. Chcę się upewnić, że wywiążecie się ze swojej części umowy.
 - Jak najbardziej. Dzieciak należy do pana.
 - Dobrze. Pamiętajcie o tym.
- Drugi mężczyzna wyraźnie się zjeżył.
- Grozi nam pan?

- Nie. Jedynie przypominam o warunkach umowy.
- Pamiętamy o niej.
- To dobrze. Sygnał nadejdzie wkrótce. Bądźcie gotowi.

Mężczyźni rozstali się bez słowa pożegnania, każdy poszedł po prostu w swoją stronę, nie rezygnując jednakże ze środków ostrożności. Nie było między nimi przyjaźni. Co więcej, w innych okolicznościach można by ich nawet uznać za wrogów.

Śmiertelnych wrogów.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, z hukiem uderzając w jakiś mebel. Strażnik jednym spojrzeniem obrzucił królewską komnatę dziecięcą. Król klęczał przed synem, patrząc mu w oczy. Lady Dayiell wyglądała na przerażoną, nie, nie przerażoną – raczej zrezygnowaną. Wszyscy troje drgnęli, kiedy tak niespodziewanie wtargnął do pokoju.

- Proszę o wybaczenie, mój panie – skłonił się pospiesznie. – Posłano mnie...

Król Stephane podniósł się z klęczek. Odgłosy strzałów nagle stały się wyraźniejsze.

– Wiem, już idę – zatrzymał się obok niego. – Mam do ciebie pewną prośbę, Akira: zaopiekuj się Domenikiem. Wyprowadź go z pałacu i ukryj gdzieś, póki sytuacja się nie unormuje.

Feniks z nieokreślonym niepokojem spojrzał władcy wprost w oczy i zrozumiał, że Stephane był już przygotowany na klęskę. Na śmierć.

- Zrobię, co w mojej mocy, Sire – zapewnił stanowczo.

– Dziękuję – król skinął mu głową, po czym ruszył ku wyjściu, kierując się ku stanowiskom dowodzenia, gdzie gwardia królewska toczyła walkę o obronę pałacu.

Lady Dayiell nie zareagowała, kiedy Akira wziął chłopca za rękę i skierował się ku drzwiom. Jej spojrzenie było nieruchome, niemal zupełnie obojętne.

– Pani?... – Strażnik pytająco zawiesił głos. – Czy zechcesz pójść z nami? Tu wkrótce może zrobić się niebezpiecznie.

Twarz kobiety ściągnęła się w bolesnym grymasie.

– Nie mogę – odparła udreńczonym głosem. – Jestem związana zaklęciem... Nie wolno mi... ingerować. Uciekaj. Ratuj mojego syna.

Zrozumiał – na tyle, na ile w ogóle było to możliwe. Skłonił lekko głowę, po czym

pociągnął Domenica na korytarz. Chłopiec nie protestował, jakby zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Miał zaledwie cztery lata i Akira wiedział, że dzisiejszy dzień oznacza koniec jego dzieciństwa. Nie było czasu na czułości – chodziło o przetrwanie.

Jako Strażnik znał dokładnie sieć podziemnych tuneli pod pałacem, prowadzących do różnych zakątków miasta Aprevin, a także poza jego granice. Jedno z wejść znajdowało się niedaleko, za posągiem bogini – matki, Ursalli. Jeśli tylko tam dotrą...

– Chodźmy, Domenicu! – szepnął, świadomie pozwalając sobie użyć jego imienia, a nie przynależnego mu tytułu.

Pobiegli korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalały na to nogi dziecka. Kiedy dotarli do rozwidlenia, Akira wyciągnął pistolet i ostrożnie wyjrzał za róg.

Pusto.

Dobrze.

Ruszyli na wprost, ku galerii okalającej jeden z wewnętrznych dziedzińców. Zbiegli po schodach, ominęli wielki, samotny srebrny dąb, po czym zanurzyli się w korytarzu po przeciwnej stronie.

Akira nacisnął zamaskowany przycisk, tuż za posągiem otworzyły się drzwi. Popchnął Domenica ku otworowi, sam upewnił się, że nikt ich nie obserwuje, po czym szybko wsunął się za nim i zablokował mechanizm od wewnątrz, by nawet przypadkowe poszukiwania nie zdemaskowały drogi ich ucieczki.

Przelotnie spojrzął chłopcu w oczy: były szkliste, nieruchome, obojętne. Wiedział już, dlaczego król Stephane klęczał przed swoim synem: przekazywał mu magię Pokrewieństwa. Akirę ogarnęła fala współczucia dla tego dziecka. Cokolwiek się zdarzy, jego życie zostanie zdeterminowane i zdominowane przez tę starożytną magię, przez wielu uważaną za przeżytek dawnych czasów, lecz pomimo to starannie pielęgnowaną w rodzinie królewskiej. Akira mógł jedynie modlić się do wszystkich bogów rządzących niebem i ziemią, by siła tej magii nie pozbawiła chłopca jego osobowości. Niestety, takie rzeczy już się zdarzały – a Domenic był tylko dzieckiem.

Delikatnie ujął go za rękę i spróbował przekazać mu nieco ze swojej siły, mocy ognistego feniksa. Nie był pewien, czy poskutkowało, nie było czasu, by to sprawdzać.

– Chodźmy – powiedział miękko. – Czeka nas daleka droga.

Podziemny korytarz prowadził niemal prosto, od czasu do czasu krzyżując się z innymi tunelami. Dla kogoś, kto nie znał układu tych przejść, droga przezeń mogła wydawać się skomplikowana niczym labirynt – w przeszłości dla wielu stał się miejscem ostatniego spoczynku. Akira znał jednak wszystkie wejścia, wyjścia, wszystkie skróty i pułapki, których z oczywistych względów nie umieszczano na mapach. Wiele z nich było jego dziełem.

Przy drugim skrzyżowaniu jego uwagę zwróciły jakieś podejrzane odgłosy. Zatrzymał się i nasłuchiwał przez chwilę. Tak, nie mogło być żadnych wątpliwości: w tunelach byli jacyś ludzie. Akira wątpił, by byli to gwardziści – po pierwsze o istnieniu tajemnych przejść pod pałacem wiedziało bardzo nieliczne grono wybrańców, a po drugie w tej właśnie chwili gwardia powinna chronić króla. Opieka nad bezpieczeństwem następcy tronu spoczywała na barkach Strażnika. To było jego zadanie.

Akira miał zdecydowanie lepszy słuch niż przeciętny człowiek. Lepszy słuch, węch, wzrok. Pewnie dlatego, że nie był człowiekiem. Wiedział z dokładnością do kilku metrów, gdzie znajdują się intruzi. Nadchodzili z dwóch stron – z korytarza, którym przyszedł on sam i od strony pałacowej kuchni. To zaś znaczyło, że chcieli go zaskoczyć na skrzyżowaniu tych dwóch korytarzy. Najwyraźniej dobrze znali labirynt. Zbyt dobrze jak na przypadkowych odkrywców.

Nie miał czasu teraz się nad tym zastanawiać. Posuwając się wciąż do przodu z Domenikiem u boku, rozmyślał nad sposobem uniknięcia pułapki. I znalazł: był to boczny, wąski i niski korytarzyk, prowadzący ku przejściu na wyższy poziom. Stamtąd droga prowadziła wprost do pałacowych ogrodów i dalej, ku miastu. Dorosły mężczyzna nie byłby w stanie się nim przecisnąć, ale dziecko...

Akira zdawał sobie sprawę, że tamci szybko zorientują się, iż ktoś wyprowadził ich w pole, kiedy tylko obie grupy spotkają się przy rozwidleniu. Istniał jednak pewien sposób, by odwrócić uwagę intruzów od chłopca. Akira nie miał bowiem żadnych wątpliwości, że to Domenic jest celem ich poszukiwań.

Przyklęknął przed nim na jedno kolano. Oczy dziecka wciąż były szkliste, nieobecne. Przesunął otwartymi dłońmi wokół jego głowy, używając prostego zaklęcia

oczyszczającego myśli. Spojrzenie Domenica nieco oprzytomniało.

– Posłuchaj mnie, chłopcze – szepnął nagle. – Idź tym korytarzem, aż doliczysz do stu. Potem ukryj się w lesie tak, by nikt cię nie znalazł. Zrobisz to dla mnie?

Chłopiec skinął głową.

– A ty?

– Ja cię znajdę.

– Wrócimy do mamy? – dziecięcy głosik i smutek w oczach chwyciły Strażnika za serce.

– Tak, Wasza Wysokość – przytaknął, choć miał co do tego złe przeczucia, po czym delikatnie popchnął go ku przejściu. – Nie zatrzymuj się, choćby nie wiem, co – przykazał na koniec.

Począł, aż ucichnie echo jego kroków, po czym ruszył do przodu, koncentrując swoje myśli tylko na jednym. Niemal niesłyszalnym szeptem wypowiadał słowa zaklęcia, które miało uczynić go niewidzialnym:

– Zniknij, moje ciało, niech cię nie widzą oczy śmiertelników, bądź przezroczyste, a jednak w pełni materialne, pełne siły i mocy.

Dotarł do rozwidlenia. Intruzi zbliżali się z każdą sekundą. Słyszał ich oddechy, przyspieszone bicie serca, krew tętniącą w żyłach, czuł zapach zwycięstwa, wypływający porami ich skóry. Wręcz nim cuchnęli. A więc pałac został zdobyty, przemknęło mu przez myśl, a potem nie było już czasu na myślenie.

Obie grupy spotkały się na skrzyżowaniu. Ich dowódcy sprawnie wymienili informacje i szybko doszli do właściwych wniosków. Potem przeorganizowali oddział z wprawą wskazującą na wieloletnią praktykę. To nie byli zwyczajni żołnierze. Nie, chyba raczej komandosi, marines, albo jakaś inna jednostka specjalna. Niestety, ich mundury były zupełnie jednolite: żadnych dystynkcji, naszywek oddziału, czy przynależności państwowej. Najemnicy? Nie, oni nie mieli takiej dyscypliny jak ci tutaj, takiego wyszkolenia. To nie była przypadkowa zbieranina typów spod ciemnej gwiazdy.

Nie zauważyli go. Był tylko cieniem w najgłębszym mroku, drgnieniem powietrza, kiedy przechodzili tuż obok. Żaden z nich nie był magiem, nie wyczuli więc nawet jego obecności. Dopóki sam nie zdecydował się ujawnić. Przybrał na tę okoliczność swą

naturalną formę: płomienistego ptaka.

Na niczego nie spodziewających się żołnierzy runęła nagle ściana ognia. Mundury kilku zapaliły się efektownie, niczym podlane benzyną – magiczny ogień nie był wybredny, karmił się wszystkim. Wtedy Akira przekonał się, że rzeczywiście miał do czynienia z regularnym wojskiem, wyćwiczonym i doświadczonym. Dezorientacja i zaskoczenie wywołane atakiem trwały tylko ułamki sekund. Włączyli tarcze, ochraniając się przed drugą falą płomieni i zaczęli strzelać.

Korytarz wypełnił się dymem ze spalonych ciał, swąd drażnił nozdrza, zrobiło się nieznośnie gorąco i duszno. Na podłodze walały się zwęglone szczątki, wyszczerzone groteskowo szczęki i oczodoły zastygły w grymasie zdumienia. Żołnierze jednak nie wpadli w panikę. Poukrywali się za tarczami niczym szczury i stamtąd ostrzeliwali przeciwnika, który latał w tę i z powrotem, wysyłając ku nim płomienne pociski.

Ale jak zabić tę istotę? Och, ostrzegano ich, że w pałacu można trafić na podobnego rodzaju stwory, ale nie spodziewali się stworzenia tak niebezpiecznego. Ognisty feniks ledwie mieścił się w korytarzu, był ogromny i trudno było w niego nie trafić, a jednak pociski nie wyrządzały mu żadnej szkody. Tylko go rozwścieczały.

Dowódca zarządził zmianę typu broni i po chwili korytarz rozbłysnął seriami z karabinów plazmowych i fazerów. Kiedy i to nie odniosło spodziewanego efektu, wezwali posiłki.

Akira czekał właśnie na taką chwilę. Kiedy będą na tyle zdesperowani, że zechcą zabić go za wszelką cenę. Przekonali się, że to nie takie proste, a to podsyciło ich desperację. Plunął jeszcze efektowną kulą ognia, kierując ją w największą grupę, po czym skierował się w jeden z korytarzy – miał nadzieję, że przeciwny do tego, w którym rozstał się z Domenikiem, bo w całym tym zamieszaniu stracił orientację. Stanowczo – wąskie tunele nie były dobrym terenem walki dla feniksów. Żołnierze podążyli za nim, ostrożnie, lecz na tyle szybko, by nie stracić go z oczu – co w sumie nie było trudne.

Jakiś cień pojawił się niedaleko przed nim.

– Stać!

Akira znał ten głos, bardzo dobrze go znał. Słyszając go tu i teraz poczuł nikły cień

nadziei, że może jeszcze nie wszystko stracone. Opadł na podłogę składając skrzydła i przybrał ludzką postać i twarz. Jednak słowa jakie następnie usłyszał, nie były tymi, które pragnął usłyszeć.

– Poddaj się, feniksie, nie masz żadnych szans przeciwko takiej sile.

Zimny dreszcz spłynął Strażnikowi po krzyżu.

– Zdrajco! – syknął przez zaciśnięte aż do bólu zęby, a w oczach zapłonęła furia. – Zginiesz!

Atak był błyskawiczny, niemal niezauważalny dla ludzkiego oka. Akira rzucił się naprzód, jego dłonie i stopy niosły śmierć, śmiertelne płomienie zatańczyły na końcach palców. Kontratak był jednak równie szybki, jeśli nawet nie szybszy. Ciało feniksa drgnęło raz i drugi, kiedy zdrajca głębiej wbijał nóż. Z jego ust wydostało się kilka słów; słyszał je tylko morderca.

– W takiej chwili próbujesz rzucać klątwy? – uniósł brwi w udanym zdumieniu, po czym wyciągnął sztylet z ciała ofiary.

Akira upadł na podłogę, z rany obficie płynęła krew, plamiąc kosztowną szatę. Zdrajca pochylił się nad nim nieco.

– Powiedz, gdzie jest dzieciak. Wiesz, że prędzej czy później i tak go znajdziemy.

Ale Akira już tego nie słyszał. W jego głowie kołatała się już tylko jedna myśl: zawiodłem, zawiodłem cię, mój królu. Z ust popłynęła strużka krwi, ciało drgnęło konwulsyjnie i znieruchomiało. Po chwili przybrało kształt płomienistego ptaka i zapłonęło ogniem.

Żołnierze przyglądali się temu zjawisku ze zdumieniem i niedowierzaniem, zdrajca z obojętnością.

– Przeskanować cały teren! – rozkazał w końcu. – Szczeniak musi być gdzieś niedaleko, w końcu ma tylko cztery lata. Do roboty!

Zerknął jeszcze na dopalające się szczątki feniksa, splunął na nie z pogardą i poszedł za swoimi ludźmi.

Jakiś czas później w tunelach pojawiła się pewna kobieta. Mogła być niegdyś pokojówką w pałacu albo należeć do grona pałacowych urzędników – zresztą teraz nie

miało to żadnego znaczenia: dawny porządek odchodził w zapomnienie. Szła ostrożnie, unikając kamer systemu ochrony. Miejsce śmierci feniksa było już dawno wystygłe, ale ona starannie zebrała prochy do drewnianej szkatuły, specjalnie przygotowanej na taką okoliczność.

Daleko za miastem rozgorzał wielki ogień. Musiał taki być. I choć tradycyjne obrzędy zostały zakazane, a ich praktykowanie było surowo karane, wokół ogniska zebrała się spora grupa ludzi. Było wśród nich trzech kapłanów, którzy mieli nadzorować rytuał. Ryzykowali życiem, bowiem gdyby zostali schwytani, natychmiast by ich stracono.

Szkatułka z prochami feniksa spoczęła w samym środku wielkiego stosu. Potem podpalono nasączone żywicą bierwiona. Płomienie strzeliły iskrami ku niebu, jakby starając się dosięgnąć gwiazd, swych sióstr. Ogień musiał płonąć przez trzy dni i trzy noce bez przerwy, by rytuał doprowadzić do końca.

Kiedy wygasły płomienie, ostrożnie rozgarnięto gorący popiół i wydobyto duże jajo, mieniące się żółcią i czerwienią. Jajo feniksa. Kapłani powierzyli je opiece smoków, a te zabrały je w bezpieczne miejsce. Miejsce takie istniało, stanowiąc enklawę spokoju dla wszystkich magicznych istot, których los stał się tak niepewny. Miejsce poza czasem i przestrzenią, gdzie nie dosięgną ich chciwe ręce nowych władców.

Kester nie pamiętał, jak znalazł się w sierocińcu. Po prostu był tam odkąd pamiętał, wśród innych dzieci i wychowawców. Innego życia nie znał, ba! – nie wiedział nawet, że istnieje. Dom dziecka był jedynym światem, jaki znał. Ów świat składał się z dużego domu, podwórza, na którym rosło wielkie, samotne drzewo, oraz placu zabaw z huśtawkami i zjeżdżalnią. Do szóstego roku życia Kester nie widział niczego za wysokim płotem obficie porośniętym zimozielonym bluszczem. Na tym płocie kończył się jego świat.

Kilka tygodni po urodzinach w jego pokoju zjawiała się panna Walker, uśmiechnęła się ślicznie, biorąc go za rękę i zaprowadziła do gabinetu dyrektora.

Pan Stinnett siedział za wielkim biurkiem z jak zwykle surowym wyrazem twarzy. Nie wiedzieć czemu Kester się go bał. Ale nawet nie w połowie, jak pana Farrowa, który stał za fotelem dyrektora i zwrócił na chłopca spojrzenie swych wodnistych oczu.

Obecność dyrektora i jego zastępcy była tak dominująca, że dopiero po chwili Kester zauważył, że na niewygodnych krzesłach przed biurkiem siedziało dwoje obcych, kobieta i mężczyzna. Ona miała jasnozłote włosy, błękitne oczy i uśmiech równie promienny jak panna Walker. On był wysokim brunetem o silnie zarysowanej szczęce i poważnym wejrzeniu niebieskich oczu.

– To jest Kester – przedstawiła chłopca panna Walker i pchnęła go lekko do przodu.

Oczy dwojga obcych natychmiast skierowały się ku niemu. Ukłonił się niezręcznie.

– Jest taki śliczny – zachwyciła się kobieta, składając ręce.

– Proszę mi wierzyć, że nie tym kryterium kierowaliśmy się w wyborze odpowiedniego dziecka dla państwa – zauważył dyrektor sucho i młoda kobieta stropiła się.

– Ależ oczywiście, że nie – pośpieszył z zapewnieniem jej mąż. – Lisa powiedziałaaby tak o każdym dziecku – dodał lekko zawstydzonym głosem.

Stinnett dał się ułaskawić i skinął głową ze zrozumieniem.

– Kester to dobre i posłuszne dziecko, nigdy nie sprawiał nam kłopotów, jest cichy i spokojny, bardzo zrównoważony jak na swój wiek, do tego bardzo zdolny, lubi się uczyć. Staramy się wpoić naszym wychowankom poczucie obowiązku i lojalności. Rozumieją państwo implikacje, jakie za sobą pociągnie adopcja dziecka z naszego ośrodka? – dyrektor przyglądał im się z uwagą.

– Owszem – odpowiedział mężczyzna; oboje wydawali się nieco zdziwieni podobnym pytaniem.

– Nie dla wszystkich jest to tak oczywiste. Nie jesteśmy typową jednostką opiekuńczo – wychowawczą. Z chwilą, gdy zabiorą państwo Kestera, informacje o jego pobycie u nas zostaną zniszczone i wymazane ze wszystkich baz danych, rejestrów i archiwów. Chłopiec zostanie państwa synem, jakby się nim urodził.

– Dlatego chcemy adoptować dziecko właśnie stąd – przytaknęła kobieta. – Przeprowadziliśmy się i zerwaliśmy wszelkie kontakty w poprzednim miejscu zamieszkania, by uniknąć dwuznacznych sytuacji.

– A więc akceptują państwo nasze warunki?

Popatrzyli na siebie przez krótką chwilę, po czym zgodnie skinęli głowami.

– Tak.

I w ten sposób Kester zobaczył znacznie więcej, niż to sobie do tej pory wyobrażał.

Kazali mu mówić do siebie: mamie i tato. Nie miał nic przeciwko temu, początkowo nie rozumiał nawet znaczenia tych słów. Dali mu mnóstwo zabawek, jakich jeszcze nigdy nie widział i wielki pokój wyłącznie dla niego. W sierocińcu miał tylko łóżko i szafkę. W nowym domu dostał terminal, mnóstwo gier, książek, ubrań i przeróżnych drobiazgów, dzięki którym szybko zapomniał, że kiedyś mieszkał gdzie indziej i prowadził inne życie. Wkrótce poszedł do szkoły i wśród nowych kolegów zapomniał o dawnych przeżyciach.

Zwykły dzień.

Kester był w pierwszej klasie gimnazjum. Uczył się dobrze i raczej nie miał kłopotów w szkole. Tego dnia jednak wyjątkowo niechętnie wstawał z łóżka. Zastanawiał się nawet, czy nie zasymulować gorączki lub bólu brzucha, ale szybko doszedł do wniosku, że to i tak nie rozwiązałyby jego problemów. Nie, nie mógł powiedzieć rodzicom. To pewnie załatwiłyby sprawę, a i owszem, ale on wyszedłby na maminsynka i skarżypytę, a to byłoby jeszcze gorsze. Będzie musiał znosić Gereona Blaine'a, dopóki tamten nie rozsmaruje jego mózgu na płytach chodnika. Szczerze powiedziawszy, lepsze to niż upokorzenia, jakie musiałby przejść, gdyby "nakablował".

Gereon Blaine był sporo starszy od Kestera – w zasadzie od większości dzieci uczęszczających do Szkoły Kalliopi, ponieważ kilkakrotnie musiał powtarzać klasę. Był największy i najsilniejszy, w dodatku zebrał wokół siebie grupę chłopców podobnych jemu, okrutnych i bezwzględnych. Razem terroryzowali uczniów. Nauczyciele nie wiedzieli o tym, albo raczej nie chcieli wiedzieć – Gereon był synem miejscowego prominenta, dzięki czemu szkoła otrzymywała dodatkowe fundusze. Blaine senior dawał pieniądze, a Blaine junior robił, co chciał.

Kestera nie bardzo obchodziły dotacje, bowiem ostatnio grupa Blaine'a wzięła na celownik właśnie jego. Już wcześniej od czasu do czasu zabierali mu pieniądze na drugie śniadanie – każdy uczeń prędzej czy później przez to przechodził. Jednak teraz żądali znacznie większych kwot, a nawet próbowali zmusić go, by wyniósł z domu jakiś

cenny przedmiot lub biżuterię. W każdym razie chcieli dostać to właśnie dzisiaj. A Kester nie zamierzał im tego dać.

Natknął się na nich tuż po zakończeniu zajęć, w wąskim zaułku między salą gimnastyczną a parkingiem dla uczniów. Było ich pięciu. Jedni nonszalancko opierali się o siatkę ogrodzenia, inni podpierali ścianę sali. Blaine siedział na stojaku przy rowerach i od niechcienia bawił się kłódką odczepioną od jednego z nich. Przekaz był jasny: ja tu rządzę, a ty jesteś nikim.

Na widok Kestera Blaine podniósł się i podszedł z wolna ku niemu. Górował nad młodszym chłopcem niczym dorosły i to nie tylko dlatego, że był od niego te kilka lat starszy – Kester był raczej mały i drobny jak na swój wiek.

– Masz forse? – spytał Blaine, uśmiechając się z satysfakcją na widok strachu jaki ujrzał w oczach młodszego chłopca. Łatwy łup, pomyślał.

Kester przez moment rozważał możliwość ucieczki, ale Blaine dobrze wytresował swoich osiłków: dwóch z nich stanęło teraz dokładnie za nim, odcinając jedyną drogę ewakuacji. Przełknął ślinę, gotów na najgorsze.

– Nie – odparł, starając się, by jego głos nie zdrzął. Był dumny, kiedy mu się to udało.

– Nie? – Blaine uniósł brwi w udawanym zdumieniu. – Z pewnością zapomniałeś... prawda? Jutro na pewno nie zapomnisz, co? – pochylił się nieco do przodu.

– Nic ci nie dam.

– To bardzo niedobrze, gówniarzu – Blaine uśmiechnął się okrutnie. – Bo teraz będziemy musieli ci przypomnieć o paru zasadach obowiązujących w tej szkole.

Kumple Blaine'a zachichotali w oczekiwaniu na rozrywkę, a ich szef uniósł pięść do uderzenia rozpoczynającego zabawę. Kester skulił się i zasłonił twarz ramionami, oczekując na cios.

Błysnęło. Rozległ się grzmot, gdzieś bardzo blisko, a potem zapadła cisza.

Cios nie nastąpił.

Kester niepewnie opuścił ramiona, w gruncie rzeczy nie wiedząc, czego się spodziewać. Może nadszedł nauczyciel i rozegnał całe towarzystwo? A może Blaine chciał go tylko postraszyć? Jednak widok, jaki ukazał się jego oczom sprawił, że aż

zaschło mu w gardle.

Blaine leżał kilka metrów dalej, artystycznie przewieszony przez stojak na rowery. Z ust i nosa sączyła mu się krew, nogę miał wykręconą pod zwariowanym kątem i chyba tylko dlatego nie wył z bólu, że stracił przytomność. Jego kumple wcale nie wyglądali lepiej – załapali się na całą kolekcję otarć, zwichnięć, złamań i wstrząśnień mózgu.

– O, cholera... jak to boli... – jęknął któryś, obrazowo ilustrując swój stan.

Kester nie czekał na dalszy rozwój wypadków. Zaraz mogli się tu pojawić nauczyciele, a on musiałby tłumaczyć się z czegoś, czego nie rozumiał. Zabrał plecak, rower i pognął prosto do domu, nie oglądając się za siebie.

Dwóch mężczyzn przyglądało się całemu zajściu z pewnej odległości. Nie musieli się obawiać, że któryś z uczniów lub nauczycieli może ich zauważyć – byli za daleko. Jednak nie aż tak daleko, by nie zobaczyć całego zdarzenia.

Obaj mężczyźni nie wyróżniali się niczym szczególnym, nie zwróciliby raczej niczyjej uwagi na zatłoczonej ulicy. Jednak od zwykłych ludzi odróżniał ich niewielki tatuaż – symbol w kształcie rombu umieszczony na lewym przedramieniu. Ten tatuaż oznaczał, że obaj byli kapłanami. Ponieważ jednak czasy wyjątkowo nie sprzyjały deklarowaniu przynależności religijnej, ich tatuaże były starannie ukryte pod długimi rękawami tunik. Bogini nie wymagała od nich ofiary z własnego życia, a to by im groziło, gdyby ktoś odkrył ich tożsamość.

– A więc tarcza zadziałała – powiedział cicho jeden z nich.

– Zgodnie z twoimi przewidywaniami, mistrzu – przytaknął drugi. – Co robimy?

Mężczyzna nazwany mistrzem westchnął ciężko.

– Będziemy nad nim czuwać – odparł. – Na razie jest poza naszym zasięgiem.

– A więc nie zrobimy nic?

– Na razie. Ona tego nie chce.

Przez moment panowała cisza, kiedy młodszy mężczyzna zastanawiał się nad słowami starszego.

– A co z nimi? – wskazał na poturbowanych chłopców. Jeden z nich, ten największy, na którym skupiła się większa część siły uderzenia, odzyskał przytomność i zaczął

krzyczeć z bólu.

Mistrz wzruszył ramionami lekceważąco i odwrócił się z niesmakiem.

– A co ma być? Może to ich w końcu nauczy rozumu.

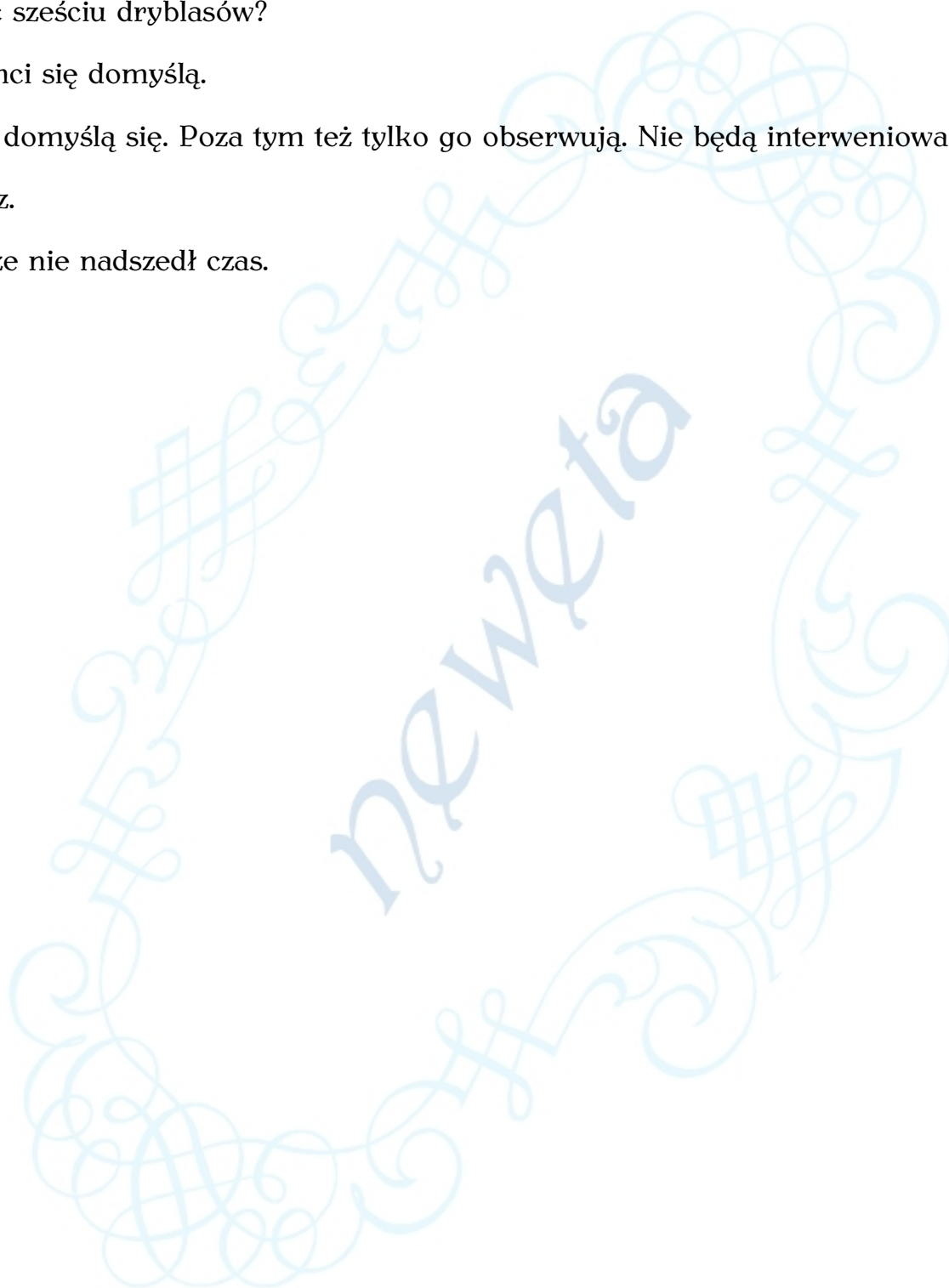
– Nie zmodyfikujemy im pamięci?

– Po co? Kto im uwierzy, że cherlawy dwunastolatek był w stanie sam jeden tak urządzić sześciu dryblasów?

– Tamci się domyślą.

– Nie domyślą się. Poza tym też tylko go obserwują. Nie będą interweniować. Jeszcze nie teraz.

Jeszcze nie nadszedł czas.



Rozdział drugi

Senny koszmar.

Zawsze zaczynał się tak samo: chaosem, odwróceniem zwykłego porządku.

Przytłumione strzały. Krzyki. Nie rozumiał słów, ale pojmował znaczenie.

Niebezpieczeństwo. Śmierć. Ucieczka. Strach. I on też go poczuł. Zaczął płakać i krzyczeć, pozbawiony bezpiecznego kokonu, czułych rąk i cichego głosu, śpiewającego mu kołysanki.

I budził się z policzkami mokrymi od łez, z krzykiem zamartwionym w krtani, piekącym gardłem i przerażeniem w sercu. Potem jeszcze długo w nocy drżał z zimna i przerażenia i czekał na nadejście spokojnego snu.

Drugi z jego koszmarów dotyczył pewnego pokoju. Był cały biały, wyłożony od podłogi aż po sufit miękką materią. Nie było w nim okien ani drzwi, a przynajmniej nic takiego nie zauważył. Więzienie. Pośrodku stos zabawek, pluszowych przytulanek. Nie chciał do nich podchodzić, ale jakiś głos kazał mu to zrobić, a wtedy musiał, choćby opierał się z całych sił. Kiedy brał jakąś zabawkę, za każdym razem wylaził z niej wąż i kąsał go w rękę aż do krwi. Brał następną i sytuacja się powtarzała, aż w końcu ręce miał opuchnięte i całe w ranach.

A na skraju pola widzenia był ktoś inny, jakiś dorosły. Jego twarz była tylko rozmazaną plamą na tle wszechobecnej bieli. Mówił coś, a choć Kester nie pojmował słów, te raniły bardziej niż ukąszenia węży, wbijając się jego umysł niczym sztylety. I choć robiono mu straszne rzeczy, nie wolno było płakać. Nie wolno było okazywać słabości.

I nikomu nie mógł o tym opowiedzieć.

Były też i dobre sny. Sny o lataniu, o wietrze we włosach, o pędzie zapierającym dech w piersi, o całkowitym wyzwoleniu, o chmurach i rozległych przestworzach, aż po horyzont. W tych snach był prawdziwie wolny, zostawiał za sobą niepewność, ból, strach, poczucie winy. Stawał się wiatrem, przestrzenią, chmurami i słońcem. Budził się, tęskniąc za tym uczuciem, za tą wolnością.

Był i inny sen, nieco bardziej dwuznaczny. Z początku były w nim tylko kolorowe

plamy, echa jakichś niezrozumiałych dla dziecka uczuć. Dopiero kiedy zaczął dorastać i z chłopca stawać się mężczyzną, sen nabrał wyrazistości i głębi.

Leżał nagi na zielonej murawie, a obok niego kobieta. Jej oczy były jak światło słońca, a skóra jak blask odległych gwiazd. Długimi, prostymi szponami przesuwiała po jego ciele, a wtedy zauważył, że i on miał takie same szpony u palców. Kiedy go pocałowała, odkrył w jej ustach wydłużone kły i – ku swemu zdumieniu – w swoich ustach także. Co najdziwniejsze, miał wrażenie, jakby tak właśnie miało być.

Zniżył głowę ku jednej niewielkiej piersi, i zamknął usta wokół ciemnozłotego sutka, świadomie raniąc zębami delikatną skórę. Jęknęła cicho i w odpowiedzi przesunęła szponami po jego kręgosłupie, aż jego ciało wygięło się w łuk, a on westchnął z rozkoszy. “No, dalej, Aurelianie – powiedziała głosem, który wywoływał w nim dreszcze. – Nie zrobisz mi krzywdy, oboje przecież jesteśmy nieśmiertelni”.

W tym momencie zawsze się budził, zlany potem, z pragnieniem tętniącym w żyłach i sercem dziko tłukącym się w piersi. Sprawdzał, czy na końcach jego palców nie ma szponów, a potem żałował, że nie ma i tęsknił do tych uczuć, do tej istoty stworzonej ze światła i blasku.

Oba te sny często występowały razem, jakby były częścią tej samej opowieści: jeden jako przedłużenie drugiego. Był prawie pewien, że mają jakieś znaczenie, ale nie potrafił go odkryć. Umykało jego poznaniu, choć odnosił wrażenie, że było tuż, na wyciągnięcie ręki.

I to imię – Aurelian. Nie miał wątpliwości, że należy do niego, choć przecież nikt go nigdy nie używał. Ale to było uczucie silniejsze niż jakiegokolwiek inne, smakowało ciepłem matczynej dłoni i domem. Nie potrafił o nim zapomnieć. Przypuszczał, że to imię nadali mu jego prawdziwi rodzice, choć w jego pamięci nie zachowały się żadne wspomnienia na ich temat. Pielęgnował w sobie to uczucie, choć było tylko snem, marzeniem, niewypowiedzianym na głos życzeniem. Najgorętszym pragnieniem serca.

Wiedział, że został adoptowany. Jego przybrani rodzice powiedzieli mu o tym dawno temu, postanawiając, że nie będą mieli między sobą tajemnic. Kochali go jak własnego syna i ta wiadomość nie wywróciła jego świata do góry nogami. Nadal nazywał ich ojcem i matką i cieszył się, bo ich oczy jaśniały za każdym razem, kiedy to robił.

Zwłaszcza teraz, kiedy oboje byli już starzy. Aż trudno uwierzyć, ale ojciec kończył właśnie sześćdziesiąt cztery lata. Nie do uwierzenia, jak ten czas szybko leci.

On sam miał już dwadzieścia osiem lat. Był równie wysoki jak Vilander Arretche, ale na tym kończyły się podobieństwa między nimi. Kester miał nieco przydługie, srebrzystoszare włosy, które zaczesywał luźno do tyłu, ale które przy lada okazji niesfornie opadały mu na twarz. Jego oczy były zielone, tak zielone jak roztopione szmaragdy, lśniące w ciemnościach jak oczy kota. Twarz miała lekko trójkątny kształt, a skóra niezwykle jasną karnacją, której zazdrościła mu niejedna kobieta. No i dłonie: szczupłe, wąskie, o długich palcach. Kościec wydawał się delikatny i kruchy, sprawiając wrażenie, jakby Kester nie był w stanie wykonywać ciężkiej, fizycznej pracy – byłoby to jednak błędne mniemanie, ponieważ pod bladą skórą rysowały się twarde mięśnie, powstałe właśnie dzięki ciężkiej, fizycznej pracy.

Obecnie pracował jednak na uniwersytecie, wykładał literaturę w zastępstwie starego profesora, który miał kłopoty ze zdrowiem. Nie było to zajęcie, o którym marzył w szkole, ale w zupełności odpowiadał mu spokój bibliotek i czytelni, gdzie panowała niezwykła cisza i unosił się kurz. Tak było dobrze.

Dziś też zasiedział się do tego stopnia, że o mało zapomniałby o urodzinach ojca. Pospiesznie zgarnął swoje notatki do teczki i nerwowo zerkając na zegarek, ruszył ku wyjściu. Jeśli się pospieszy, powinien zdążyć na ostatni pociąg metra, jadący w kierunku przedmieść. Potem jeszcze krótki spacer i już będzie w domu. Na szczęście prezent dla ojca zapakował rano, słusznie przewidując, że nie będzie miał czasu wstąpić do swojego mieszkania.

W metrze przypadkowo usłyszał o ucieczce z więzienia o zastrzonym rygorze. Była to sensacyjna wiadomość, news dnia: jak dotąd jeszcze nikomu nie udało się uciec z Zoltray. Podobno dokonał tego jeden ze zwolenników poprzedniego reżimu, obecnie stary człowiek, ponad pięćdziesięcioletni. Jak mu się to udało, pozostawało tajemnicą. Spikerka radiowa podała szczegółowy rysopis zbiega oraz numer telefonu, pod którym należało zgłosić, gdyby ktoś go zauważył. Nagroda była tak horrendalnie wysoka, że musiał to być bardzo ważny więzień, skoro władzom tak zależało na jego schwytaniu.

Kester stracił zainteresowanie tym tematem, jak tylko spikerka przeszła do kolejnych

wiadomości. Miał ważniejsze sprawy na głowie, niż rozmyślanie o zbiegłym więźniu. Zbliżał się koniec semestru, czekały go egzaminy, potem wystawianie ocen i użeranie się ze studentami, którym nie chciało się przygotować, a których ambicja wielokrotnie przewyższała posiadaną wiedzę.

Wysiadając z pociągu, nawet nie zauważył, że na tej samej stacji, oprócz kilku innych osób, wysiadł również jakiś żebrak, podróżujący zapewne na gapę. Kester nie miał powodu się tym faktem przejmować, żebracy byli w zasadzie niewidzialni – dopóki rzecz jasna, zajmowali się swoimi sprawami i nie zaczepiali uczciwych obywateli. Gdyby się jednak odwrócił, zauważyłby, że rzekomy żebrak mierzy go uważnym spojrzeniem, a potem z wolna rusza za nim, kryjąc się w cieniu i ani na chwilę nie tracąc go z oczu.

Kiedy obaj znaleźli się w środkowej części parku, żebrak nagle zniknął. Kester był zaskoczony, kiedy ni z tego ni z owego zobaczył na ścieżce parę kroków przed sobą brudnego obdartusa, od którego wyraźnie zalaatywało alkoholem. Dopiero wtedy poczuł lekki niepokój.

– Nie obawiaj się – powiedział żebrak zadziwiająco mocnym i trzeźwym głosem. – Nic ci nie zrobię. Chciałem tylko porozmawiać.

Kester nie poruszył się. Wiedział, że lepiej nie wykonywać gwałtownych ruchów, zwłaszcza, że żebrak mógł okazać się narkomanem.

– Mam przy sobie trochę pieniędzy – oświadczył spokojnie. – Możesz je wziąć, jeśli chcesz.

Żebrak roześmiał się cicho, a Kesterowi ciarki przeszły po plecach.

– Niczego od ciebie nie chcę, drogi chłopcze. Nie poznajesz mnie?

– A powinienem?

Nieznajomy uśmiechnął się wyrozumiale, po czym zdjął potarganą, brudną perukę, odkleił bulwiasty nos obficie pokryty krostami oraz splątaną brodę i wąsy. Jego własne włosy były ciemne, poprzetykane nitkami siwizny, twarz poorana zmarszczkami, a szare oczy zmęczone, jakby widziały zbyt wiele.

– Jesteś zbiegiem z Zoltray – domyślił się Kester, natychmiast kojarząc żebraka z rysopisem uciekiniera.

Na twarzy tamtego odmalowało się rozczarowanie.

– A więc jednak mnie nie poznajesz – stwierdził z wyraźnym żalem. – Nazywam się Res Addar, należałem do gwardii przybocznej twego ojca... Domenicu.

– Mam na imię Kester i nie znam cię, człowieku! – Kestera zaczynała irytować ta rozmowa. Coraz bardziej się przedłużała, a on nie chciał spóźnić się na urodziny ojca. – Odejdź, zanim wezwę policję!

– Ty naprawdę nic nie pamiętasz – Addar potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Jak to możliwe, miałeś przecież cztery lata, powinieneś pamiętać! Swoją matkę, swojego ojca... Chyba nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś do niego podobny!

– Dość! – krzyknął Kester, ze zdumieniem słysząc w swoim głosie nutę hysterii.

Mężczyzna zamilkł. Po chwili podjął ściszym głosem:

– Umarł przedwczoraj, w Zoltray. Kazał mi się tobą zaopiekować... dlatego uciekłem. A ty niczego nie pamiętasz... Co oni ci zrobili? – spytał ze smutkiem.

– Nie chcę tego słuchać! – Kestera przeszły dreszcze. Zamknął oczy i zasłonił uszy dłońmi. – Odejdź! Proszę, odejdź!

Słowa nieznajomego raniły go niczym fizyczne ciosy. Nie mógł ich słuchać spokojnie, jakby coś lub ktoś powstrzymywało go przed tym. To było niedopuszczalne, zakazane, niebezpieczne... zdrada...

Kiedy otworzył oczy żebraka już nie było, jakby nigdy nie istniał. Parkowa alejka była zupełnie pusta. Stare drzewa szumiały cicho, poruszane lekkim wietrzykiem niosącym ożywczy zapach oceanu. Kester wciąż cały się trząsł, słowa wciąż brzmiały w jego głowie: "umarł przedwczoraj... kazał mi się tobą zaopiekować..."

W pobliżu znajdowała się błogosławiona ławka. Kester opadł na nią z westchnieniem ulgi, bo miał wrażenie, że nogi zaraz odmówią mu posłuszeństwa. W ogóle nie czuł się zbyt dobrze: serce waliło mu jak młotem, krew dudniła w uszach, drżały dłonie. Poczł nudności, z trudem zapanował nad odruchem wymiotnym.

Jak przez mgłę napłynęły inne słowa, inne obrazy. Piękna kobieta, uśmiech radości na jej twarzy, czułość i bezpieczeństwo. "Domenicu, moje dziecko". Wysoki mężczyzna o włosach barwy srebra, duma i miłość w jego spojrzeniu. "Mój jedyny syn".

Cienie przeszłości, odblaski wspomnień. Nigdy wcześniej nie przydarzyło mu się nic podobnego. Jego umysł nie potrafił tego zinterpretować, był jak martwy, ogłuszony –

zrozumienie tego wszystkiego, nadanie temu jakiegokolwiek sensu było w tej chwili ponad jego możliwości.

Kester postanowił skierować myśli na inny tor. Przyjęcie urodzinowe ojca. Podniósł się z wysiłkiem i skierował ku domowi rodziców. Drzwi otworzyła mu matka i aż przeraziła się na jego widok.

– Dziecko drogie, jesteś chory?! – wykrzyknęła. – Powinieneś zostać w domu! Wyglądasz strasznie!

Zerknął na swoje odbicie w lustrze. Poszarzała twarz, nieprzytomne spojrzenie, krople potu na skroniach. Wyglądał jak upiór. I tak się czuł: jak nie do końca martwy.

– Chyba... chyba nie czuję się zbyt dobrze – przesunął dłonią po czole. Palce pozostały mokre. – Mogę wziąć prysznic? Na pewno poczuję się lepiej.

– Oczywiście, chłopcze, możesz skorzystać z łazienki na górze – powiesiła jego płaszcz na wieszaku. – Zaraz poszukam twoich starych ubrań, żebyś mógł się przebrać – zatrzymała go, kiedy skierował się już ku schodom. – Kester, jesteś pewien, że obejdziesz się bez pomocy lekarza?

Uśmiechnął się słabo i uspokajająco poklepał jej dłoń.

– To tylko chwilowa niedyspozycja, mamgo, z pewnością spowodowana przepracowaniem – odparł, siląc się na bez troski ton. – Nie mów nic ojcu, nie chcę mu psuć wieczoru – spojrzał w stronę jadalni, skąd napływał gwar głosów, szcęk sztućców i przyciszone dźwięki muzyki.

– Dobrze. Ale pospiesz się, proszę.

Biorąc prysznic, Kester nie był już taki pewien zapewnień złożonych matce. Wcale nie poczuł się lepiej. Wciąż czuł tę obezwładniającą słabość w całym ciele, wciąż miał dreszcze. Chyba naprawdę był chory – przecież to niemożliwe, by taką reakcję organizmu wywołała byle rozmowa z jakimś pomylnym żebrakiem!

Ale Kester nie był głupcem i zdawał sobie sprawę z tego, że właśnie ta rozmowa odblokowała w jego umyśle jakieś dawno zamknięte drzwi. Umysł jednak walczył z tym, uparcie nie pozwalając sięgnąć głębiej, dalej. Ale serce... ono pragnęło więcej.

Ileż to razy Kester zastanawiał się nad swoim pochodzeniem – trudno zliczyć. Spędzał długie godziny na wyobrażaniu sobie swoich rodziców i sposobów, w jakich mogli

razem spędzać czas. W jego dziecińczych marzeniach matka była młoda i piękna, a ojciec przystojny i szlachetny. Kiedy nieco podrośł i zaczął inaczej pojmować wiele spraw, dręczyło go pytanie, dlaczego znalazł się w sierocińcu. I dlaczego nie pamiętał swojej rodziny, przyjaciół, znajomych. Nie pamiętał niczego przed adoptowaniem. To tak, jakby do szóstego roku życia w ogóle nie istniał.

A teraz pojawił się ten żebrak, twierdząc, że go zna, że znał jego rodziców. Res Addar... Kim był ten człowiek? Uważał, że Kester powinien go pamiętać, ale oczywiście nie pamiętał – ani jego, jeśli prawdą było to co mówił, ani nikogo innego.

Inny czas, inne miejsce, dziwnie znajome... Jakiś wysoki mężczyzna w mundurze. "Pobawisz się ze mną?" "Nie mogę, jestem na służbie." "A później?" "Później... zobaczymy." Pojawia się inny mężczyzna o włosach płonących czerwienią i złotem, o oczach starszych niż cały wszechświat, bierze go za rękę. "Chodźmy, Domenicu, nie przeszkadzaj panu kapitanowi. Mama na ciebie czeka."

Kester ocknął się na podłodze łazienki, nagi i drżący – nie tylko z zimna. Łzy płynęły po jego twarzy. Obezwładniające mdłości targnęły jego żołądkiem. Podczołgał się do klozetu i zwymiotował. Poczł chwilową ulgę. Nie wiedział, co się z nim dzieje – jeszcze nigdy się tak nie czuł, jakby wszystko się rozpadało, świat tracił na realności i stawał się snem szaleńca.

Zdawał sobie sprawę, że te przebłyski to wspomnienia. Wspomnienia z czasów, kiedy jeszcze miał ojca i matkę, kiedy był dzieckiem. Och, nie wierzył w to, co mówił żebrak... chyba nie. Ale jego słowa były kamieniem, który wywołał lawinę. Lawinę pytań. A jednak coś uparcie nie dopuszczało go głębiej, nie pozwalało zrozumieć do końca. Jakby w jego umyśle siedziały dwie różne osoby: jedna pragnęła poznać prawdę za wszelką cenę, a druga starała się do tego nie dopuścić.

Z wolna Kester doszedł do siebie. Wprawdzie wciąż wyglądał jak człowiek ciężko chory, ale sądził, że da radę przetrwać dzisiejszy wieczór. Może nie będzie aż tak źle. Może mu to przejdzie.

Westchnął ciężko. Sam w to nie wierzył.

Kiedy wyszedł z łazienki, na korytarzu czekała na niego matka. Miała bardzo zmartwioną minę. Na dole było dziwnie cicho – zamilkły rozmowy, ustała muzyka.

– Coś się stało?

– Przyszli dwaj panowie z policji. Pytali o ciebie.

– O mnie? – zdziwił się, ale natychmiast zrozumiał: żebrak, zbieg z Zoltray. – Chyba wiem, o co im chodzi.

W korytarzu pojawił się ojciec. Przywitał się krótko z synem, ale nie miał zadowolonej miny.

– Ci panowie zaczynają się niecierpliwić – powiedział. – Lepiej się pospiesz, synu.

– Już idę – Kester ruszył ku schodom, ale ojciec zatrzymał go.

– Masz jakieś kłopoty? – w jego głosie pobrzmiwała troska.

Kester westchnął.

– Widziałem tego uciekiniera z Zoltray. Pewnie chcą mnie przesłuchać.

– Bądź ostrożny, synu. To niebezpieczni ludzie.

Wszedł do salonu i od razu przekonał się, że ojciec miał rację. Dwaj mężczyźni siedzący na sofie z pewnością nie byli policjantami. Oczywiście, mógł się mylić, ale instynkt podpowiadał mu, że odgadł trafnie. Policjantów szkolono, by chronili mieszkańców, służyli lokalnym społecznościom. Ci dwaj wyglądali na zabójców. Takich, co to nie zawahają się użyć broni w centrum handlowym pełnym niewinnych ludzi. W ich oczach czaiła się groźba, nawet wówczas, gdy uśmiechali się na powitanie i serdecznie ściskali dłonie. Jednym słowem: rządowi agenci. Kester był już absolutnie pewien, że chodzi o tego żebraka.

– Musimy prosić pana, by udał się pan z nami na miejscowy komisariat – oświadczył ten, który przedstawił się jako Kearney. Drugi, Sitrin, przyglądał się Kesterowi uważnie, wręcz natrętnie. – Tam spiszemy pańskie zeznania.

– Rozumiem – zgodził się Kester. – Tylko wezmę płaszcz.

Na ulicy czekał na nich śmigacz z uruchomionym silnikiem. Wsiedli. Kierowca ruszył, jak tylko zamknęły się za nimi drzwi, nie czekając na rozkaz. Kester zauważył, że był nim android: jego mechaniczne, połyskujące metalem palce pewnie ściskały drążek sterowniczy, twarz natomiast była maską ze skóropodobnego tworzywa.

– Proszę wyciągnąć ręce – polecił Kearney. Na nadgarstki obu dłoni założył mu matowoszare bransolety. Kester nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego: nie

były to kajdanki, gdyż nie było między nimi łańcucha. – To dla pańskiego bezpieczeństwa – zapewnił agent.

Kester zamrugał i potrząsnął głową. Obraz przed jego oczyma rozmazał się, stracił na ostrości.

– Słabo widzę – powiedział, starając się ukryć niepokój.

– Niestety, to skutek uboczny używania bransolet. To doprawdy przykre, ale nic nie można na to poradzić – odparł Kearney bez śladu współczucia w głosie.

– W jaki sposób to działa?

– Ukrywa pańską obecność przed innymi – Kearney powiedział to takim tonem, że Kester nie zapytał o nic więcej.

Przed innymi? To znaczy przed kim? Nie znajdował na to odpowiedzi. Czyżby ten zbieg z Zoltray miał takie możliwości, by nie dopuścić do złożenia przez niego zeznań? Bzdura. Ale agenci czegoś się wyraźnie obawiali – był tego absolutnie pewien, choć ich twarze stały się zamazanymi plamami szarości. Uświadomił sobie przy okazji z niemałą przykrością, że cała ta sytuacja zaczyna przypominać jeden z jego sennych koszmarów.

Zgodnie z zapowiedzią, udali się na komisariat. Wystarczyło, by agenci pokazali swoje odznaki oficerowi dyżurnemu, a dostali wszystko, czego zażądali. Chwilowo był to pokój przesłuchań do ich wyłącznego użytku. Włączyli urządzenia nagrywające i kazali Kesterowi opowiedzieć o spotkaniu z żebrakiem. Interesował ich każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, każde słowo i gest.

Kester nie miał najmniejszego powodu, by cokolwiek zatajać – tak więc opowiedział o wszystkim, co wydarzyło się w parku. O tym, że żebrak nazwał go imieniem Domenic i że poinformował go o śmierci ojca.

– Wiedział pan, że ten człowiek jest poszukiwany. Dlaczego natychmiast nie powiadomił pan władz? – spytał Kearney, przysiadając na rogu stołu.

– Źle się poczułem. Dreszcze, mdłości, ból głowy, osłabienie. Ledwie zdołałem dotrzeć do domu moich rodziców.

Agenci wymienili ponad jego głową porozumiewawcze spojrzenie. Niczego nie zauważył, wpatrując się w swoje dłonie.

– Czy pański stan się poprawił?

– Nie. Chyba nawet pogorszył.

– A teraz jak się pan czuje?

Kester potrząsnął głową.

– Nie wiem. Jestem zbyt otępiały, by czuć cokolwiek.

Agenci zabrali urządzenia nagrywające i wyszli. Kester oparł głowę na zgiętych ramionach. Wciąż widział nieostro i od wyęźniania wzroku rozboleły go oczy i głowa. Miał nadzieję, że sprawa szybko znajdzie swój finał, a on będzie mógł wrócić do domu i wreszcie odpocząć. Tak, tego teraz potrzebował – odpoczynku. Może powinien wziąć urlop? Wakacje to bardzo dobry pomysł, powinien wyjechać zaraz po egzaminach. Może by tak Wyspy Rafowe? Albo po prostu wyjazd na wieś?

Przyjemne rozmyślania przerwał mu powrót agentów.

– Przykro nam, proszę pana – powiedział Sitrin. – Dostaliśmy rozkaz, aby przewieźć pana do Zoltray.

Przez chwilę Kester sądził, że się przesłyszał.

– Do Zoltray? Mnie? Ależ dlaczego?! – wykrzyknął zdumiony.

– Został pan oskarżony o zdradę stanu.

– Słucham?!?

– Pójdzie pan z nami dobrowolnie, czy mamy pana do tego zmusić? – Kearney demonstracyjnie odchylił połę marynarki, a potem położył dłoń na rękojeści broni.

Gest ten niespodziewanie uspokoił Kestera, choć nadal nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Wysyłali go do Zoltray jako zdrajcę tylko dlatego, że widział zbiega! Nie chciało mu się to pomieścić w głowie. Z tak błahego powodu nie zamyka się przecież ludzi w więzieniu o zastrzonym rygorze! W jakimkolwiek więzieniu! Musiała zajść jakaś pomyłka. Straszliwa pomyłka. Innego wyjaśnienia nie znajdował.

Posłusznie i wciąż w szoku dał się zapakować do śmigacza. Kearney i Sitrin usiedli po jego obu stronach, jakby się bali, że wyskoczy im z maszyny podczas jazdy. Owszem, przemknęło mu to przez myśl. Nie był wszakże aż tak głupi, by podejmować podobnie bzdurne działania. Najważniejsze to zachować spokój. Tylko to się w tej chwili liczyło. Był pewien, że sprawa się wkrótce wyjaśni. Znał swoich rodziców i wiedział dobrze, że nie spoczną, póki wszystkiego nie wyprostują – a był pewien, że tak się stanie, ponieważ

ojciec miał trochę starych znajomości.

Wyjechali poza granice miasta i dalej w bezkresne pola, kiedy śmigacz niespodziewanie ostro zahamował. Kearney szarpnął za ramię androida kierującego pojazdem. Głowa tamtego opadła do tyłu, ukazując twarz zmasakrowaną od uderzenia w przyrządy – fragmenty ludzkiej tkanki dosłownie rozbryzgnęły się na metalowych elementach szkieletu. Jakkolwiek oprogramowanie androida znajdowało się w innym miejscu niż głowa, to jednak umieszczono tam większość receptorów i czujników, które teraz stały się bezużyteczne. Agent zaklął i odwrócił się ku partnerowi.

– To pułapka! – krzyknął. – Wezwij posiłki!

Boczne szyby eksplodowały deszczem odłamków. Kester nie był w stanie dostrzec sprawcy – otoczenie stało się dla niego mozaiką rozmazanych plam. Mógł polegać jedynie na pozostałych zmysłach.

– Zostać na miejscach! – rozkazał ktoś głosem nie znoszącym sprzeciwu. Dziwnie znajomym głosem. – Spróbujcie się ruszyć, a skorzystam z okazji, możecie być pewni – ton był złowrogi i obaj agenci posłuchali go bez sprzeciwu.

– Kostka kodująca – ktoś inny szturchnął Kearneya tak, aż ten poleciał na Kestera. – Zdejmij mu bransolety.

Wzrok Kestera natychmiast odzyskał ostrość. Okolica była zupełnie bezludna, otoczona wiekowym lasem. Nie wyglądało na to, by w pobliżu miały znajdować się jakiegokolwiek ludzkie sadyby. Doprawdy, idealne miejsce na zastawienie pułapki. Czyżby agenci byli aż tak głupi?

Przednia część śmigacza była częściowo zniszczona – maszyna nadawała się do generalnego remontu, to pewne, a kierujący nią android był już do niczego. O co jednak śmigacz uderzył pozostawało zagadką – najpewniej było to pole siłowe, choć w pobliżu nie było żadnego urządzenia, które mogłoby je wytworzyć.

Wokół zgromadzona była pokaźna grupa ludzi, większość z nich, uzbrojona w fazery i karabiny plazmowe, spoglądała na obu agentów z pełnym determinacji zacięciem. Z pewnością wykorzystaliby swoje wyposażenie bojowe, gdyby tylko agenci dali im po temu okazję. Jednak obaj nawet nie drgnęli, zachowując godny podziwu, choć pełen napięcia, spokój.

Jakiś mężczyzna wsunął się do środka. Szybko zbadał Kesterowi oczy.

– Dobrze się pan czuje? – spytał rzeczowo. Tego fachowego tonu trudno byłoby nie rozpoznać. Lekarz. Kester skinął głową. – Może pan iść?

– Chyba tak – Kester wysiadł ze śmigacza. Musiał skorzystać z pomocy lekarza, by nie upaść. – Jestem tylko zmęczony.

– Kończymy. Zaraz zjawią się posiłki – inny mężczyzna wyszedł z cienia i Kester ze zdumieniem rozpoznał w nim zbiega Resa Addara. Już nie wyglądał jak żebrak. Miał na sobie czyste, ciemne ubranie, twarz bez śladu zarostu i starannie zaczesane włosy. I najwyraźniej dowodził tymi wszystkimi ludźmi. Kester już otworzył usta, by zadać pytanie, kiedy coś innego przyciągnęło jego uwagę.

Nieopodal pojawiła się dziewczyna, jakby stworzona przez mroki nocy. Wyglądała najwyżej na dwadzieścia kilka lat, była wysoka, opatulona peleryną z narzuconym na głowę kapturem, spod którego wymykały się kosmyki długich, czarnych włosów. Jednak to nie jej wygląd przyciągnął wzrok Kestera. Otóż dziewczyna trzymała w dłoniach kulę błyskawic. Środek kuli był jaskrawo biały, niemal błękitny, na zewnątrz zaś wydobywały się z niej cienkie jęzory wyładowań, liżących jej skórę i ubranie. Przez chwilę miał wrażenie, że wzrok znowu płała mu figle, ale nie – ona naprawdę trzymała tę kulę w obu dłoniach i najwyraźniej wcale nie obawiała się porażenia!

Dziewczyna zauważyła zdumione spojrzenie Kestera, ale tylko uśmiechnęła się zagadkowo. Kiedy inni wyciągnęli obu agentów z pojazdu, po czym sprawnie zakneblowali ich i związali, rzuciła kulę wprost w maszynę. Śmigacz eksplodował efektownym rozbłyskiem. Kester odwrócił wzrok od płomieni. Kiedy spojrział znowu, dziewczyny już nie było. O jej obecności świadczył jedynie płonący wrak śmigacza. Odwrócił się do Addara.

– Kim wy jesteście? – spytał, czując się tak, jakby nagle znalazł się w innym wszechświecie, gdzie nie obowiązują zwyczajowe prawa fizyki.

– Później będzie na to czas – uciął Addar. – Haggai, Broose!

Większość z tych, którzy urządzili zasadzkę na śmigacz, odleciała już własnym transportem. Zostało jeszcze tylko kilka osób. Z tej grupki odłączyło się i podeszło do Addara dwóch mężczyzn. Skłonili się lekko Kesterowi, który zmarszczył na ten widok

brwi. Najwyraźniej tego dnia różne dziwności były na porządku dziennym.

– Przenieście nas jak najbliżej – polecił im Addar. – Potem działajcie zgodnie z planem.

– Tak jest, panie pułkowniku.

Obaj naradzali się między sobą przez chwilę, po czym jak na komendę przymknęli oczy. Na ich twarzach pojawił się wyraz skupienia. Addar przyglądał się temu ze spokojem. Kester nie rozumiał zupełnie o co tu chodzi, ale czekał wraz z nim. Nagle poczuł, że traci poczucie własnego ciała, jak powietrze zaciska się wokół, a on sam traci grunt pod nogami. Zawirowało, zaszumiało, świat okręcił się wokół własnej osi w szalonym tańcu, po czym znieruchomiał.

Kester stracił równowagę i byłby upadł, gdyby Addar nie podparł go ramieniem.

– Spokojnie, nie ruszaj się przez chwilę. Uczucie dezorientacji zaraz minie.

Kester zmrużył oczy pod wpływem jasnego światła. Był dzień. Słońce z wolna dochodziło do zenitu. Tamci dwaj mężczyźni w jakiś niepojęty sposób przenieśli jego i Addara na drugą półkulę. Rozejrzał się. Wokół rozciągała się kamienisto – piaszczysta, niemal jałowa równina. Pustynia Teirah. Tego miejsca nie można było pomylić z żadnym innym. Zwłaszcza, że w oddali na północnym horyzoncie widniało pasmo czerwono – białych szczytów Gór Płomienistych.

– Idziemy – rzucił Addar i ruszył na południe, nie oglądając się za siebie.

Kestera kusilo, by pójść w przeciwnym kierunku, uciec jak najdalej, ale szybko pojął głupotę tego pomysłu. Sam na pustyni, bez wody i odpowiedniego wyposażenia, bez elementarnej wiedzy, bez jakiegokolwiek doświadczenia – to samobójstwo. Addar też o tym wiedział. Kester westchnął ciężko i powłókł się za nim.

Jeszcze kilka godzin temu uznawał swoje życie za spokojne i ustabilizowane, wręcz nudnawe. Teraz zaś znajdował się w samym centrum szaleństwa. Był przekonany, że sprawa jego uwięzienia w Zoltray znalazłaby w końcu szczęśliwe rozwiązanie – przecież nie zrobił niczego, co by zasługiwało na tak surową karę. Pewnie w sumie skończyłoby się na grzywnie, albo wyroku w zawieszeniu. Teraz natomiast został porwany, przetransportowany w jakiś zapomniany zakątek planety i siedł dokądś za rzekomym żebrakiem, od którego zaczęły się wszystkie jego kłopoty.

O, nie. Dość już tego. Dłużej tego nie zniesie. Przystanął, zdecydowany nie uczynić ani kroku dalej.

– Hej!?! Nie sądzisz, że należą mi się jakieś wyjaśnienia!? – krzyknął do pleców szybko oddalającego się mężczyzny.

Addar zatrzymał się i odwrócił. Przez chwilę patrzył na niego nieodganionym wzrokiem, jakby intensywnie się nad czymś zastanawiał. Po chwili skrzyżował ręce na piersiach.

– Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego mnie porwaliście?

Addar uniósł brwi w teatralnej parodii zdumienia.

– Nie porwaliśmy cię, chłopcze – uśmiechnął się, choć w jego oczach nie było nawet śladu wesołości. – Prawdopodobnie ocaliliśmy ci życie.

– Bzdura! – zaprotestował Kester, ale Addar nie dał mu dojść do słowa.

– Zaczęłeś sobie przypominać, prawda? Dlatego chcieli zamknąć cię w Zoltray. Tak, jak twego ojca. Nie wyszedłbyś stamtąd żywy, wierz mi.

– Nie uwięziono by mnie bez powodu! – krzyknął Kester.

– Istniejesz, to dla nich wystarczający powód! – krzyknął Addar z gniewem, a Kester aż się cofnął. Addar podjął po chwili znacznie spokojniejszym tonem: – Dwadzieścia cztery lata temu nastąpił przewrót polityczny. Technokraci dokonali zamachu stanu i przejęli władzę. W samym centrum tego chaosu znalazła się twoja rodzina... twoja prawdziwa rodzina. Twoja matka zginęła. Twojego ojca umieszczono w Zoltray. A ciebie wysłano do Ośrodka Notus, gdzie poddano cię bardzo brutalnemu i jak widać skutecznemu treningowi mentalnemu. Chodziło im o to, byś zapomniał, kim jesteś. Byś nigdy nie upomniął się o to, co ci się należy z racji urodzenia.

Kester zadrżał. Te sny... Czyżby nie były tylko snami, lecz koszmarowymi wspomnieniami z przeszłości, pogrzebanymi dawno temu w otchłaniach pamięci? Czyżby te wizje, które go nawiedzały miały pokrycie w rzeczywistych zdarzeniach?

– Nie pamiętam... – szepnął. – Nie pamiętam niczego od chwili adopcji.

Addar przytaknął.

– Dokładnie o to im chodziło. Mieli następcę tronu tam, gdzie mogli go kontrolować.

A przynajmniej nie pozwalając mu... tobie na jakiegokolwiek działanie.

Kester przyjął to do wiadomości zadziwiająco spokojnie.

– A więc mój ojciec to król Stephane – czuł się dziwnie, wypowiadając to imię na głos i mając świadomość, że przez ponad dwadzieścia lat uczono go, by je nienawidzić. – A moja matka to lady Dayiell.

– Tak.

– Więc mieli powód, by zamknąć mnie w Zoltray – powiedział Kester tonem stwierdzenia.

– Zgadza się. Zwłaszcza, że król Stephane nie żyje. Był już stary i zmęczony. Śmierć przyniosła mu ulgę. Formalnie królem jesteś teraz ty... Domenicu – wypowiedział to imię z naciskiem.

Kester odwrócił się. Wciąż jeszcze miał wątpliwości. Ale nie zwierzył się Addarowi z ich istnienia.

– Dokąd idziemy? – spytał obojętnie, chcąc skierować swoje myśli na inne tory. Miał wrażenie, że zaraz pęknie mu głowa.

– Do naszej kryjówki. Teirah to odludne miejsce. Ale jest tu coś, o czym technokraci nawet nie mają pojęcia – Addar uśmiechnął się nieco złośliwie.

Kester rozejrzał się wokół, nie okazując zdziwienia. Jakoś nie zauważył nic niezwykłego.

– Co to takiego?

– Miasto – Addar odwrócił się i poszedł naprzód.

Kester ruszył za nim. Dogonił go i, zrównując krok, spytał:

– Czy moje wspomnienia wrócą?

– Nie wiem – odparł Addar szczerze. – To zależy od tego, jakie blokady ci założono i jak bardzo jesteś zdeterminowany, by je przełamać.

Kester przez chwilę trawił w milczeniu to, co usłyszał.

– A jeśli się nie uda?

Addar obrzucił go krótkim, uważnym spojrzeniem.

– Uda się – zapewnił.

Rozdział trzeci

Pustynia Teirah była pustkowiem. Ogromny piaszczysto – kamienisty obszar ciągnął się na wiele setek mil we wszystkich kierunkach, zajmując ponad połowę kontynentu. Te nieliczne zwierzęta, które przystosowały się do tych surowych warunków, prowadziły raczej nocny tryb życia. Pustynia ożywała po zachodzie słońca, kiedy temperatura znacznie spadała – w zagłębieniach i na gałązkach nielicznych roślin zbierało się wówczas odrobinę wilgoci. Ta odrobina utrzymywała wegetację w tym niegościnnym miejscu.

Było ono nieprzyjazne również dla ludzi. Owszem, obrzeża pustyni zostały zagospodarowane przez wielkie instalacje hydroponiczne i farmy baterii słonecznych, ale to wszystko na co odważyli się ludzie. Wnętrze pustyni, gorące i suche za dnia, zimne i suche w nocy, pozostawało niezamieszkane i ledwo zbadane.

Przynajmniej pozornie.

W samym sercu pustyni znajdował się kanion, wyłobiony przed milionami lat przez wody olbrzymiej fali powodziowej. Na dnie kanionu ostało się sporych rozmiarów jezioro, otoczone plażami i podzwrotnikowym lasem, pełnym niewyczerpanego bogactwa. Dolina Kanionu Ech tętniła życiem.

Wiele setek lat temu żyli tutaj również ludzie. Budowanie domostw i infrastruktury miejskiej na brzegach jeziora uznali za marnotrawienie bezcennego naturalnego ekosystemu. Zamiast karczować więc las deszczowy, wykuli swoje siedziby w twardej ścianach kanionu. I tak powstało miasto, zwane Solatis. A ludzie, którzy je zbudowali byli kolonistami, zasiedlającymi tę planetę. Wkrótce opuścili dolinę, by założyć inne miasta, na innych kontynentach. Z czasem o mieście w Dolinie Kanionu Ech słuch zaginął.

Miasto ożyło ponownie dwadzieścia cztery lata temu, kiedy technokraci dokonali zamachu stanu. W Solatis znaleźli dom uciekinierzy, którzy stawili jawny opór krwawemu przejściu władzy przez technokratów. Tysiące ludzi ściągało zewsząd, z całej planety, właśnie tutaj, do Solatis.

Miasto z wolna powracało do życia. Jego gospodarka funkcjonowała zrazu dość

kulawo, ale z czasem przetarto szlaki – dosłownie i w przenośni – które umożliwiły wymianę handlową. Pracowały urzędy, służby municypalne, placówki oświatowe, sklepy i centra rozrywki. Tutaj nikt nie musiał obawiać się prześladowań ze strony nowego reżimu. Tutaj wszyscy byli wolni.

Miasto było chronione – to jeszcze jeden z powodów, dla których wybrano je na siedzibę ruchu opozycyjnego. Satelity przelatywały nad tym miejscem kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt razy dziennie i widziały tylko pustynię. Statki bojowe również i widziały to samo – piasek, piasek, wiele mil kwadratowych piasku. Bariera otaczająca miasto była bardzo subtelna z samej swej natury, stworzona po to, by chronić przed odkryciem skarby tego niezwykłego zakątka.

Do tego właśnie miejsca pułkownik Addar sprowadził syna swojego króla, następcę tronu, który nie pamiętał jak nim być.

Zjechali windą na sam dół kanionu, nie napotykając po drodze żadnych ludzi. Winda umiejscowiona była po zewnętrznej części pionowej skalnej ściany. Kester spojrzał w dół i aż zakręciło mu się w głowie – od dna kanionu dzieliło ich jakieś dwa i pół kilometra, może nawet więcej. Ściany nie były idealnie pionowe – widocznie miejsce na szyb windy zostało sztucznie wyżłobione, bowiem brzegi kanionu tworzyły malownicze tarasy i półki skalne – niektóre z nich przekształcono w balkony i tarasy widokowe dla mieszkańców.

– Ta część jest chwilowo niezamieszкана – wyjaśnił Addar. – Jak dotąd mamy około dwudziestu tysięcy mieszkańców.

Musieli jeszcze przejść kilkaset metrów wąskimi korytarzami, zanim dostali się do bardziej cywilizowanych części miasta. Addar prowadził Kestera szybko i pewnie, doskonale orientując się w układzie korytarzy i kolejnych pomieszczeń. Napotkali ludzie, w większości wyglądający na urzędników, rozpoznawali pułkownika i pozdrawiali go skinieniem głowy bądź uśmiechem. Potem dopiero rzucali krótkie, uważne spojrzenia ku Kesterowi. On zaś znał powód tych spojrzeń i aż mdliło go w żołądku na samą myśl o tym.

– To nasze centrum administracyjne – powiedział Addar, wskazując na zabieganych

ludzi. – Takie małe, biurokratyczne bagienko, rozumiesz? – uśmiechnął się.

Kester udawał, że rozumiał żart. Nie było mu wcale do śmiechu. Wciąż miał to nieprzyjemnie drażniące uczucie, że to wszystko jest snem szaleńca, surrealistycznym majakiem. Jednak nie miał raczej co liczyć na to, że w końcu się przebudzi i koszmar rozplynie się w jasności poranka. Ten koszmar stanowił brutalną rzeczywistość; rzeczywistość, o której Kester wolał nie rozmyślać zbyt intensywnie w obawie o swoje zdrowe zmysły.

Do Addara podszedł jakiś mężczyzna w elegancko skrojonym garniturze – jednak nawet pomimo tego wyczuwało się w nim swego rodzaju godność. Jego włosy w kolorze ognistego brązu dopiero zaczynała z lekka przyprószać dostojna siwizna, a piwne oczy nie straciły jeszcze nic ze swej bystrości i jasności.

– Wszyscy dotarli bezpiecznie, pułkowniku – poinformował, po czym skierował spojrzenie na Kestera.

Addar dokonał oficjalnej prezentacji:

– Lucien Chenault, Domenic Allisandre.

– Nie nazywam się... – zaczął Kester, ale Addar nie pozwolił mu dokończyć.

– Tutaj nie nazywasz się już Kester Arretche. Jesteś następcą tronu, nie zapominaj o tym, proszę – upomniał go twardo, stanowczo.

– Postaram się – Kester zmarszczył brwi.

– Wasza Wysokość – Chenault skłonił się uprzejmie.

Kester odpowiedział skinieniem głowy.

– Co z moimi rodzicami? – spytał, odwracając się ku Addarowi.

– Przybranymi rodzicami – zauważył pułkownik z naciskiem.

Kester rzucił mu zagniewane spojrzenie.

– Lisa i Vilander Arretche zostali przesłuchani przez miejscowych – odparł Chenault, podczas gdy dwaj mężczyźni nadal mierzyli się wzrokiem. – Chwilowo nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Nie istnieje potrzeba ewakuacji w ich przypadku.

Te zapewnienia jednak nie uspokoiły Kestera.

– Co to znaczy, że chwilowo nie grozi im żadne niebezpieczeństwo? – podniósł głos; kilka osób obejrzało się na nich z niepokojem.

– To znaczy, że na razie nie będziemy ich wtajemniczać w nasze sprawy – odparł Addar zimno, głosem nawykłym do wydawania rozkazów. – Im mniej wiedzą, tym lepiej dla nich i... dla nas.

Kester nie zareagował, patrzył tylko Addarowi prosto w oczy. Tamten po chwili odwrócił wzrok.

– Wierz mi, że to najlepsze rozwiązanie. Są pod obserwacją. Gdyby zaczęło się dzieć coś niepokojącego, wyciągniemy ich stamtąd.

– Nie – stwierdził Kester z zadziwiającą nawet jego samego obojętnością. – Jeśli prawdą jest to, co pan powiedział, to nawet gdyby groziła im śmierć, nie zrobicie nic, by im pomóc. Są tylko pionkami, a więc nie warto narażać dla nich własnych ludzi – spojrzał na Chenaulta. – Czyżbym się mylił?

Chenault pokiwał głową, zerknąwszy uprzednio na Addara.

– Nie, nie mylisz się, Wasza Wysokość. Nie sądziłem, że jesteś aż tak podobny do swego ojca. Przed nim także niewiele się ukryło.

– A jednak całkiem sporo, skoro doszło do zamachu stanu – odparował Kester.

Chenault pobladł lekko, a twarz Addara poczerwieniała z gniewu.

– Nie masz prawa... – zaczął z furją. Szybko się opanował, choć nie przyszło mu to łatwo. Rozejrzał się wokół, jakby dla odzyskania spokoju, po czym przywołał kogoś gestem dłoni. Podeszła do nich dziewczyna o długich, czarnych włosach. – Proszę wskazać Jego Wysokości przeznaczoną dlań kwaterę oraz odpowiedzieć na wszystkie jego pytania.

– Tak jest, sir – skłoniła się z wdziękiem, po czym spojrzała wyczekująco na Kestera. Ten uświadomił sobie nagle, że już ją gdzieś widział – ledwie godzinę temu, kiedy użyła kuli błyskawic, by zniszczyć śmigacz agentów.

– Kim jesteś? – spytał, kiedy tylko oddalili się od Addara i Chenaulta.

– Nazywam się Krissann Matsushitaki i jestem czarodziejką – uśmiechnęła się lekko.

Kester w pierwszej chwili pomyślał, że się przesłyszał. Przystanął w pół kroku.

– Przepraszam... kim?

Musiał mieć bardzo głupawy wyraz twarzy, bowiem dziewczyna roześmiała się dźwięcznie.

– Czarodziejką, Wasza Wysokość. Większość z nas posiada magiczne uzdolnienia, choć zwykle talent obiera tylko jeden główny kierunek. Mój jest mocno ograniczony, ale za to potężny: panuję nad błyskawicami i elektrycznością, wyczuwam ładunki elektryczne w powietrzu.

– Och – Kester nie bardzo wiedział, jak zareagować na całą tę sytuację. Z jednej strony wiedział, że magia to przesąd, bajdurzenia starych bab. Z drugiej strony widział na własne oczy, jak ta dziewczyna używała tego swojego talentu na śmigaczu i bynajmniej nie były to bajdurzenia – śmigacz nadawał się wyłącznie do kasacji. – Rozwaliłaś śmigacz – stwierdził w końcu.

Wzruszyła ramionami.

– To była tylko pokazówka. Pułkownik Addar mnie o to poprosił.

– Aha.

– Proszę tędy, Wasza Wysokość – Krissann ruszyła przodem wąskim korytarzem, prowadzącym do wind.

Byli sami, a więc mógł zadać jej pytanie, które nurtowało go od dłuższego czasu.

– Kim jest ten... Res Addar?

– Przed zamachem był dowódcą gwardii królewskiej...

– Tyle wiem – przerwał jej dość obcesowo.

Uśmiechnęła się z wyrozumiałością.

– Został schwytany wraz z naszym królem i osadzony w Zoltray. Przed śmiercią król Stephane uczynił go regentem – zerknęła na Kestera, niepewna jego reakcji, ale zawiódła się, bowiem on nie mrugnął nawet okiem.

– Czy to oznacza, że pozwolicie mi odejść? – spytał, choć bez większej nadziei na taką odpowiedź, jakiej oczekiwał.

– Decyzję w tej sprawie podejmie pułkownik Addar – spojrzała na niego przepraszająco. – To on teraz nami dowodzi... – przerwała, nie kończąc zdania.

– Chociaż ten obowiązek spoczywa na mnie – dokończył Kester, domyślając się reszty. – Z racji urodzenia – dodał gorzko. Co za ironia.

– Nie tylko. W każdym razie, to nie twoja wina. Wiem jak to było.

– Więc opowiedz.

Potrząsnęła głową.

– Nie teraz. Wszystkiego dowiesz w swoim czasie – winda zatrzymała się; wysiedli i poszli w lewo szerokim korytarzem, którego jedna ściana została przeszklona. Po drugiej stronie szumiały drzewa i śpiewały ptaki. – Jesteśmy na najniższym poziomie mieszkalnym – wyjaśniła. – Tylko stąd widać las i jezioro. – Otworzyła jakieś drzwi i weszła do środka. – A oto twój apartament.

Pomieszczenie było duże. Wystrój apartamentu sprawił, że Kester zmarszczył brwi. To wyglądało znajomo... bardzo znajomo. Uczucie deja vu było tak silne, że aż zakręciło mu się w głowie. Rozejrzał się. Drzwi były tam, gdzie się tego spodziewał. Nawet okna były w tym samym miejscu, tak jak pamiętał, przykryte ciężkimi storami. Miał niemal fizyczne wrażenie, że zaraz do salonu wejdzie... ktoś... i...

Musiał usiąść, na szczęście w pobliżu znalazł się stółek. Drżącymi dłońmi objął głowę, jakby się obawiał, że zaraz eksploduje. Krissann przyglądała mu się uważnie.

– Tak przypuszczaliśmy, że ten widok przywoła wspomnienia – szepnęła. – Tak wyglądały prywatne apartamenty twojej rodziny w pałacu w Aprevin. Sprowadzono je wszystkie po to, byś poczuł się jak w domu.

– Aprevin... – jego głos był jak tchnienie, tak samo ledwie słyszalny. – Nie zniosę tego dłużej! – krzyknął tak nagle, że Krissann cofnęła się z przestraszeniem.

– Rozumiem, że cała ta sytuacja bardzo cię deprymuje, Domenicu, ale to wkrótce minie – próbowała go uspokoić.

– Kiedy? – spytał ostro.

– Pułkownik Addar chce zacząć próby za kilka dni, kiedy poczujesz się nieco lepiej...

– Czuję się świetnie – Kester wstał. – Zaczynamy zaraz.

Uśmiechnęła się.

– Miałam nadzieję, że to powiesz. A więc chodźmy. Wszystko jest już przygotowane.

Spojrzał na nią z uwagą. Jego twarz miała dziwnie nieruchomy wyraz. W tej chwili nie potrafiła odgadnąć, o czym on myśli, co czuje.

– A więc chodźmy – mimowolnie powtórzył jej słowa.

Krissann zaprowadziła go do pomieszczenia znajdującego się sporo poniżej poziomu

mieszkalnego i – jak przypuszczał – poniżej poziomu wód jeziora. Nie był w stanie określić jego rzeczywistych rozmiarów, bowiem znaczna jego część ginęła w ciemnościach, a drżące światła pochodni oświetlały tylko kilka najbliższych filarów. Nawet sklepienie tonęło w nieprzyjaznym półmroku. Rozlegające się głucho echo ich kroków stwarzało wrażenie, że pomieszczenie jest ogromne.

Addar i dwóch innych mężczyzn czekało na nich w kręgu światła. Obcy sprawiali wrażenie mnichów lub kapłanów, ponieważ ubrani byli w takie same czarno – szare tuniki. Krissann doprowadziła go do nich, uśmiechnęła się uspokajająco i odeszła. Pułkownik odprowadził ją wzrokiem, zanim zwrócił się do Kestera.

– Więc jesteś zdecydowany podjąć próbę teraz – ni to stwierdził, ni to zapytał.

– Chcę mieć to już za sobą. Chcę wiedzieć, kim jestem.

Addar skinął głową i wskazał na pozostałych mężczyzn.

– To kapłani Świątyni. Zostawiam cię w ich doświadczonych rękach – co powiedziawszy skłonił się i odszedł.

– Wasza Wysokość – obaj mężczyźni opadli na kolana i z czcią pochyłili głowy niemal dotykając zimnej posadzki.

Kester cofnął się zaskoczony i nieco przestraszony. W końcu jak często zdarza się, by ludzie darzyli kogokolwiek takimi wyrazami czci? Tamci zauważyli jego reakcję, podnieśli się szybko i skłonili. Mieli nieco zakłopotane miny.

– Prosimy o wybaczenie, Wasza Wysokość. Z pewnością nie zdajesz sobie sprawy z tego kim jesteśmy i kim ty jesteś dla nas, kapłanów – powiedział jeden z nich, starannie akcentując słowa.

Kester przyglądał się im podejrzliwie, nieufnie, z coraz większym niepokojem.

– Zgadza się, nie rozumiem.

– Pokażemy ci, Wasza Wysokość.

– W jaki...? – zaczął Kester, ale urwał w pół zdania.

Poczuł ucisk obejmujący stopniowo całą głowę. Obaj kapłani nie poruszyli się przy tym ani o cal – wpatrywali się tylko w jego oczy. Mgła zaczęła zasnuwać jego wzrok, zupełnie jak wtedy, gdy agenci założyli mu na nadgarstki metalowe bransolety. Poczuł narastającą panikę.

– Co wy mi robicie?! – próbował krzyknąć, ale nie był pewien, czy jakkolwiek dźwięk wydostał się z jego gardła.

Zobaczył obrazy. Pojawiały się w jego umyśle i znikwały tak szybko, że ledwie miał czas na ich dostrzeżenie. Jakies zamazane kształty, echa jakichś emocji, których nie potrafił do końca zdefiniować. Potem widok wyostrzył się, a odczucia wykrystalizowały. Przypominało te regulację odbiornika telewizyjnego, poszukiwanie odpowiedniego kanału.

Krew... Płynęła w strumieniach, potokach, rzekach. Zamiast jednak do morza, wszystkie strumienie wpływały do ciała... JEGO ciała. Rzeki krwi przepływały arteriami, żyłami i tętnicami, przez wszystkie narządy, przez serce, a potem znów stawały się strumieniami, potokami, ale bił w nich jeden i ten sam rytm, rytm jego serca. A każda kropla była jak pojedynczy człowiek, jak każda myśl, jak odrębny umysł.

Krzyczał. Nawet nie wiedział, że to on krzyczy, dopóki nie zapiekło go w gardle. Obejmował dłońmi głowę i leżał skulony na zimnej, wilgotnej posadzce.

Był nagi, jak dziecko w chwili narodzin. Wokół była ciemność i w nim samym też była ciemność. Jego ciało było zbudowane z mrocznych, włóknistych, półprzezroczystych cieni. Rozumiał, że tylko w ten sposób mógł istnieć w tym miejscu–nie–miejscu, pozbawionym jakiegokolwiek punktu odniesienia. Zawieszenie. Trwanie. Całkowity brak koloru, żadnych bodźców mogących rozpalić wygłodniałe zmysły.

Światło. Błyskawicznie zlokalizował jego źródło. Było niedaleko, na wyciągnięcie ręki, przyciągało go z niezwykłą wręcz mocą. Wstał i chciał podejść do tego świetlistego prostokąta, ale coś go powstrzymało. Spojrzał w dół. Nogi w kostkach i ręce w nadgarstkach ciasno oplatały jakieś mięsiste pnącza. Przytrzymały go silnie, nie pozwalając na jakikolwiek ruch. Szarpał się i gryzł, ale to nic nie pomogło.

Krzyknął. Krzyknął z głębin własnego jestestwa, krzyknął w desperackiej rozpacz, aż echo odbiło jego krzyk, aż powrócił potężniejszy, zwielokrotniony. Przeszedł przez jego ciało, rezonując, aż dotarł do pnączy i skruszył je. Opadły do jego stóp jak miazgi proszek – powiał wiatr i rozwiął pył. Był wolny.

Jasność ogarnęła go i pochłonęła.

Biały pokój z sennych koszmarów. Pośrodku sterta pluszowych zabawek. Tym razem

jednak patrzył na samego siebie z zewnątrz, oddzielony od bólu i strachu, co wcale nie znaczyło, że go nie odczuwał. Widział siebie jako dziecko, które brało do rąk kolejne zabawki, a łzy bezgłośnego cierpienia spływały mu po policzkach.

I tamten mężczyzna też tam był. Kester zwrócił teraz na niego większą uwagę, przekonany, że pozna jego twarz, że spojrzy w oczy potwora, który poddawał go tym torturom. A jednak zawiódł się. Twarz mężczyzny pozostała rozmazaną plamą szarości, niewiadomą. Kester nie słyszał nawet jego głosu. Uświadomił sobie nagle, że nigdy tak naprawdę go nie słyszał. Nigdy.

Wciąż nie wiedział, jaki był cel tych tortur i kto go nim poddawał. Wiedział już jednak dlaczego: ponieważ był następcą tronu, potencjalnym zagrożeniem dla władzy technokratów. Nic dziwnego, że chcieli mieć nad kontrolę, znać jego każdy ruch.

Światło zamigotało i przygasło. Przestrzeń rozjaśniła się po chwili. Biały pokój zniknął w jakiś niewytłumaczalny sposób. Pojawiła się za to bogato urządzona komnata, zapewne w jakimś pałacu lub zamku. Prywatne apartamenty – tak, rozpoznawał je, naprawdę były znajome jak... jak dom. Gabinet ojca, w którym często pracował do późna w nocy, wiecznie zmęczony i niewyspany. Buduar matki, w którym czytała mu bajki, spowity niezwykłymi zapachami kosmetyków. Królewska komnata dziecięca... jego komnata – pełna zabawek i książek.

Ponownie ujrzał siebie – ledwie czteroletnie dziecko. Oboje rodzice też tam byli. Matka siedziała obok niego na łóżku i trzymała za rękę – w jej oczach malował się ból i strach. Był to jednak lęk nie o siebie, lecz o syna, o jego przyszłość, a może nawet i życie. Ojciec klęczał tuż przed nim i mówił coś spokojnym, opanowanym głosem, jakby strach nie miał do niego przystępu. Potem wziął jego dłoń w swoją i spojrzał mu w oczy. Trwało to chwilę czy dwie, wzrok dziecka stał się nieobecny, jakby zamglony. Ojciec pocałował go w czoło i pogładził po włosach.

– Cokolwiek się stanie, jesteśmy gotowi – szepnął. – Pamiętaj, mój synu. Pamiętaj – powtórzył z naciskiem.

Drzwi otworzyły się nagle, z hukiem uderzając w jakiś mebel.

Światło zgasło.

Otworzył oczy. Pomieszczenie pogrążone było w ciemnościach, ale był pewien, że to nie podziemia. Leżał na łóżku. Dłonią odszukał włącznik i zapalił światło. Komnata rozjaśniła się.

Spodziewał się tego, ale i tak przeżył wstrząs. Królewska sypialnia – wszystko tak znajome, jakby opuścił to miejsce zaledwie dnia poprzedniego. Drzwi do gabinetu, na korytarz... Meble, dywany, obrazy, drobiazgi – wszystko dokładnie tak samo, na tym samym miejscu, w takim samym położeniu.

Dom.

Cokolwiek mu zrobili ci dwaj kapłani, teraz pamiętał i dziwił się sobie, że kiedykolwiek zapomniał – a raczej zmuszono go, by zapomniał. Wróciły wspomnienia matki i ojca, szczęśliwych dni niewinności, spędzonych w pałacu pod opieką niań, dam dworu i... matki.

Pamiętał ją doskonale. Niezbyt wysoka, o włosach w kolorze szafirów i niezwykle błękitnych oczach, jak dwa skrawki nieba. Ojciec nigdy nie uczynił z niej swej małżonki. Lady Dayiell była królewską konkubina; kobietą, która miała wydać na świat następcę tronu – i nic ponadto. Oficjalnie nawet nie należała do dworu, choć w jej żyłach niewątpliwie płynęła szlachetna krew, w przeciwnym wypadku nie mogłaby zostać matką króla.

Kiedy spojrzał w lustro w łazience, ponownie przeżył wstrząs. Ze szklanej tafli spoglądał na niego... ojciec. To była jego twarz, jego spojrzenie... Dopiero teraz pojął, jak bardzo był do niego podobny – jak bliźniaczy brat. To było przerażające, niesamowite, ale i wspaniałe zarazem. A potem spojrzał w oczy – swoje oczy, jego oczy, nieważne – a świat zawirował w szaleńczym tańcu, czas odwrócił swój bieg. To było jak powolne umieranie, a potem ponowne narodziny, powtórzone po tysiącokroć, pełne bólu, ale też pełne nadziei.

Jeszcze przez krótką chwilę kołatała się w jego głowie przerażająca myśl, że może to już koniec, a potem mózg przestał reagować na jakiegokolwiek bodźce i wszystko stało się czernią – obojętną i chłodną.

Rozdział czwarty

Świadomość z trudem przedzierała się przez gęste opary, jakimi był spowity jego umysł. Jak przez mgłę słyszał czyjeś zaniepokojone głosy, niewyraźne, stłumione, jakby dochodzące z oddali:

– Czy przeżyje?...

– Możliwe uszkodzenia mózgu...

“Czy przeżyję co?” chciał zapytać, ale ani jeden dźwięk nie wydobył się z jego gardła. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł nawet otworzyć oczu; powieki miał tak ciężkie, jakby były z ołowiu.

A mimo to widział. Dość wyraźnie, biorąc pod uwagę okoliczności. Widział szpitalne pomieszczenie wraz ze znajdującymi się w nim sprzętami – wszystko w odrealnionych odcieniach szarości i bieli, jak gdyby ktoś usunął ze świata wszelkie barwy.

Widział też ludzi. Obok jego łóżka stał Chenault, nieco dalej Krissann, w nogach posłania Addar, a z drugiej strony znajomy lekarz – ten sam, który badał go na leśnej drodze. Postacie ludzi fosforyzowały spokojnym błękitem – z jednym wyjątkiem: osoba Addara zdawała się być spowita nieco ciemniejszym odcieniem tej barwy. Nikt się nie poruszał. Wszyscy stali nieruchomo, niczym zamrożeni w ułamku sekundy. Nie było nawet widać, czy ich klatki piersiowe poruszają się w oddechu. Nie zadrżał ani jeden mięsień, nie drgnęła powieka – byli jak posągi. I tylko blask oczu zdradzał, że wciąż gdzieś tam kołacze się w nich cenna iskra życia.

Słyszał ich myśli – stanowiły ciągi oderwanych strzępków, wirujących wokoło jak delikatne pasemka mgły. Może “słyszał” to nazbyt wiele powiedziane. Raczej je wyczuwał, chwycił myślowymi, nierealnymi palcami i wtedy pojmował ich znaczenie – tak wyraźnie, jakby zostały wypowiedziane na głos. Nigdy dotąd nie przydarzyło mu się nic podobnego, więc nic dziwnego, że ten stan wzbudził w nim lęk – lęk, że już nigdy nie uda mu się wrócić do rzeczywistości.

Zaprzagnął nagle obudzić się z tego niesamowitego snu, panicznie wręcz zaprzagnął otworzyć oczy i znowu usłyszeć ich głosy – na jawie, a nie we śnie – i udało się.

– Nie zamierzam umierać – szepnął z niejakim zdziwieniem, że tak łatwo poszło.

Wzdrygnęli się, jakby tuż obok ktoś krzyknął. Lekarz natychmiast podszedł bliżej i przebadał go szybko, świecąc mu latarką po oczach.

– Wydaje się, że wszystko w porządku – oznajmił po chwili. – Przeprowadzimy kilka dodatkowych testów, aby mieć pewność, że nie doszło do trwałych uszkodzeń.

– Dobrze. Proszę mnie informować na bieżąco – skinął głową Addar, spojrzawszy krótko na Cheanulta i wyszedł. Ten skłonił się i poszedł w jego ślady. W pokoju została tylko Krissann Matsushitaki. Zbliżyła się do łóżka i przysiadła na jego brzegu.

– Jak się czujesz, Domenicu? – spytała z troską.

Uśmiechnął się słabo. Czuł się jak jakieś cholerne warzywo, ale nie zamierzał jej tego mówić.

– Powiedziałaś do mnie: Domenicu.

– Tak brzmi twoje imię – również się uśmiechnęła. – Domenic książę Allisandre.

– Dziwne – stwierdził. – Teraz pamiętam. Nawet... Nigdy nawet nie przypuszczałem, że te wspomnienia są tak ważne.

– Wszystkie wspomnienia są ważne, wszystkie są warte zapamiętania. To z nich składa się nasze życie. To źle, że tobie je odebrano, ale teraz wszystko sobie przypomnisz i być może zaakceptujesz.

Pokręcił z wolna głową. Wciąż czuł obezwładniającą słabość w całym ciele – zupełnie jak wtedy, gdy nękały go wizje.

– Co mi się właściwie stało? – spytał. Popatrzył uważnie na Krissann. – Wiesz coś o tym, prawda?

Przytaknęła.

– Myślę, że chodzi o Pokrewieństwo. Pułkownik Addar jednak zdecydowanie temu zaprzecza, był przecież przy śmierci twojego ojca i uważa, że król Stephane nikomu go nie przekazał. Mnie się jednak wydaje, że właśnie to ci się przydarzyło, choć nie wiem, w jaki sposób mogło do tego dojść. Ten rodzaj magii istnieje tylko w królewskiej rodzinie panującej i jest przekazywany z pokolenia na pokolenie od wielu setek lat.

– Magii? – uniósł brwi.

– Tak, wiem, że trudno ci uwierzyć w coś, o czego istnieniu dotąd nawet nie miałeś pojęcia. Ale to fakt. Opowiedzieć ci o tym?

– Proszę.

– Otóż, wedle legendy działo się to dawno, dawno temu, ale historycy datują to wydarzenie na jakieś tysiąc pięćset lat temu. Żył wtedy król o imieniu Aranian. Ludzie uważają okres jego rządów za tak zwany złoty wiek. W każdym razie był to bardzo spokojny czas, bez wojen i temu podobnych zawieruch. Aranian wiedział, że jest dobrym władcą. Ale nie mógł być pewien tego samego w przypadku następcy tronu i jego potomków, jego syn był bowiem człowiekiem gwałtownym i nieprzewidywalnym. Tak więc Aranian wezwał na swój zamek najpotężniejszych magów, tak potężnych, że mogli dowolnie kształtować swoją moc, daleko poza granice jednego talentu. A oni stworzyli Pokrewieństwo. Legenda głosi, że kilku z nich zginęło przy splataniu tego czaru, ale osobiście w to wątpię. Odtąd Pokrewieństwo w znacznej mierze kontroluje postępkę kolejnych władców, albo raczej nie dopuszcza do tego, by podejmowali oni jakieś nieprzewidywalne i w gruncie rzeczy szkodliwe decyzje.

– Więc Pokrewieństwo to jakieś zaklęcie?

Krissann wzruszyła ramionami.

– Nikt nie wie, czym ono jest naprawdę. Przez wieki próbowano się tego dowiedzieć, ale bez większych rezultatów. Samego Pokrewieństwa nie udało się nigdy zbadać, choć można obserwować skutki jego działania.

– Skutki?

– Wiesz, pokój, stabilizacja i te rzeczy. Wojna tylko w ostateczności. Łagodzenie wewnętrznych konfliktów. Znasz historię.

– Do tej pory wydawało mi się, że znam. Coś się tutaj jednak nie zgadza. Skoro Pokrewieństwo zapewnia pokój, to dlaczego w takim razie doszło do zamachu stanu?

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Nie zastanawiałam się nad tym – przyznała. – To rzeczywiście dziwne.

– A może całe to Pokrewieństwo po prostu zwyczajnie się pomyliło? – zasugerował z nadzieją. – Może dałoby się wyprostować ten błąd?

Ale Krissann zdecydowanie potrząsnęła głową.

– To niemożliwe, Domenicu. Pokrewieństwo to nie program komputerowy, który można włączać i wyłączać, a w razie potrzeby naprawić lub skorygować. To integralna

część osobowości każdego króla, rodzaj instynktu... Ale przecież ty powinieneś o tym wiedzieć.

Westchnął.

– O to chodzi, że nie wiem. W tej chwili mam w głowie straszny mętlik. Próbuję to wszystko ogarnąć, jakoś uporządkować, ale... – skrzywił się, nie ukrywając niechęci.

– Wiem, że to niełatwe. Pomogę ci, Domenicu. Po to tutaj jestem – uspokajająco poklepała go po dłoni.

Tak, chyba mogła mu pomóc. Zadał więc pytanie, które od jakiegoś czasu chciał zadać. Chciał wiedzieć, czy wizje, których doświadczył miały pokrycie w faktach. Chciał wiedzieć, czy to wszystko naprawdę się wydarzyło.

– Czy wiesz, w jaki sposób przekazywane jest Pokrewieństwo?

– Powszechnie wiadomo, że do tego rytuału konieczna jest fizyczna bliskość i kontakt wzrokowy. Obie osoby musi także łączyć wspólnota krwi.

Przymknął oczy. A więc jednak to prawda. Zanim rozdzielono ich na zawsze, ojciec przekazał mu swoje dziedzictwo. A jednak to prawda...

Szlag by to!...

– A czy król może przekazać Pokrewieństwo, powiedzmy, kuzynowi? Czy to musi być syn lub córka?

– Tak, to jest możliwe, ale zdarzało się niezwykle rzadko, głównie w sytuacji, gdy panujący król nie miał dziedzica w prostej linii.

– Więc mój ojciec miał wybór. Mógł wybrać kogoś z rodziny, kogoś, kto mógłby zapanować nad całym tym chaosem. Nie musiał wybierać właśnie mnie.

Krissann zmarszczyła brwi.

– Musiał mieć w tym swój cel, Domenicu.

Opadł na poduszki z ciężkim westchnieniem.

– Chcę stąd wyjść – oświadczył. – Gdzie moje rzeczy?

Domenic. Nazywał się Domenic Allisandre i był synem króla. Następcą tronu. W zasadzie królem, gdyż jego ojciec nie żył.

– Domenic – powiedział na głos, jakby smakując brzmienie swego imienia. Dziwne,

ale wcale nie czuł, że to jego imię, jego własne. Miał wrażenie, że należy do kogoś innego. Nie miał takich problemów z imieniem Kester, którym nazywano go przez ostatnich dwadzieścia sześć lat. I imieniem Aurelian, którym nikt go nigdy nie nazywał, ale które zdawało się do niego pasować jak jego własna skóra.

No i w końcu poznał swoich rodziców. Wprawdzie pośrednio, ale jednak poznał. Znał ich nazwiska, wiedział kim byli, a Krissann pokazała mu nawet ich portrety. Ojciec wyglądał na nich dostojnie, jak przystało na monarchę, matka zaś... była piękna. Jedno tylko mu się nie zgadzało w jej wizerunku: włosy. Na portrecie były białe, ale on był przekonany, że jej włosy miały barwę szafirów, ale był wtedy dzieckiem i pewnie coś mu się pomieszało – nikt nie przecież nie może mieć włosów w tak nedorzecznym kolorze, to wprost fizycznie niemożliwe – no, chyba że to sztuczny kolor. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym miał większy mętlik w głowie. Niezależnie od wszystkiego, jego matka była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział, piękniejszą niż pamiętał.

Bo teraz już pamiętał. Dni szczęścia, dni niewinności i swobody, które odeszły na zawsze. Wróciły stracone wspomnienia – jednak te świeże wcale przez to nie zbladły. Przybrani rodzice... kochał ich teraz jeszcze bardziej, bo wiedział jak bardzo boli utracona miłość. I coraz bardziej pragnął się z nimi skontaktować, zapewnić że nic mu nie jest, żeby się nie martwili... Ale zdawał sobie sprawę z tego, że to byłby błąd. Błąd, który mógł ich kosztować życie.

Krissann przyprowadziła go nad brzeg jeziora. Niedaleko znajdowała się przystań, skąd napływały radosne okrzyki kąpiących się dzieci i dorosłych. Jednak ten fragment plaży był dostatecznie oddalony od jej publicznych odcinków, by zapewnić spokój i prywatność. A Domenic potrzebował spokoju.

Zabawne. Po raz pierwszy pomyślał o sobie, jako o Domenicu. I znowu poczuł, jak bardzo to imię do niego nie pasuje, było jak zgrzyt, dysonans. Wszyscy jednak uparcie twierdzili, że należy do niego, a więc czas najwyższy zaakceptować tę prawdę. Z kolei Kester Arretche był tworem, który powołali do życia oprawcy z Ośrodka Notus. Pora, by odszedł, umarł, zasnął czy cokolwiek dzieje się z upiorami bolesnej przeszłości. Wrócił prawowity właściciel, dzicy lokatorzy – won.

A jednak Kester musiał pozostać. Był częścią jego osobowości, tak samo jak Pokrewieństwo. Domenic miał ledwie cztery lata, kiedy odebrano mu wszystko. Od tamtej pory, przez ponad dwadzieścia lat, to Kester uczył się życia, uczył się odróżniać dobro od zła, zdobywał wiedzę i doświadczenie. Musiał pozostać, a Domenic musiał go zaakceptować. Miał wrażenie, że w jego wnętrzu siedzą dwie osoby – tak różne reprezentowały sobą wspomnienia, tak odmienne światy, niemal odrębne rzeczywistości. Było to wręcz przerażające, ale zaczynał się już przyzwyczajać do takiego stanu ducha. Obawiał się jedynie, że koniec końców po całej tej historii na pamiątkę zostaną mu wrzody i nic poza tym.

Wspomnienia nie były jedyną rzeczą, jaką uzyskał w wyniku interwencji kapłanów. Była też i wiedza – bardzo szczególna wiedza. Różniła się bardzo od wszystkiego, co wpajano mu przez całe lata edukacji: że nie ma magii, magów, czarodziejów, że syreny, smoki i wampiry to tylko bajdurzenia starych bab, ludowe gusła, podania i legendy. Bajki. Zabobony. Przesady.

Kłamstwa, wszystko kłamstwa.

Że w dzisiejszych czasach należy zwrócić uwagę na postępujący rozwój cywilizacyjny, który zapewnia dobrobyt i komfort życia, o jakim ich dziadowie mogli tylko marzyć. Że monarchia wprowadzała jedynie niepotrzebny zamęt i uniemożliwiała rozwój. Że obywatele przez wiele lat byli oszukiwani i okłamywani – a wszystko po to, by kolejni władcy mogli utrzymać przy życiu mit. Że już najwyższy czas, by cztery planety Kwadratu zjednoczyły swe siły, ponieważ na zewnątrz – to znaczy na pozostałych planetach systemu Tessaliana – już od dawna postrzegane były jako nierozzerwalna całość. I tak dalej, w tym samym guście.

Zastanawiał się nad tym i przyglądał się, jak Krissann brodzi w wodzie tuż przy linii brzegowej. Ciemne, proste włosy falowały wokół jej twarzy poruszane lekkimi podmuchami wiatru. Uświadomił sobie nagle, że przecież nic o niej nie wie.

– Opowiedz mi o sobie – podszedł bliżej. Zdjął buty. Piasek przyjemnie chłodził stopy. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał okazję w ten sposób pospacerować po plaży.

Zerknęła na niego z ciekawością.

– Co chcesz wiedzieć?

Wzruszył ramionami.

– Kim są twoi rodzice? Czy masz rodzeństwo? Jak się tu znalazłaś?

Wyszła z wody i usiadła na piasku poza zasięgiem fal. Gestem poprosiła, by usiadł obok niej.

– Przed przewrotem moja rodzina należała do najznamienitszych rodów arystokratycznych na Creswell. Na pewno o niej słyszałeś. Mój ojciec to książę Heelan Matsushitaki.

Oczy Domenica zrobiły się okrągłe. Oczywiście, że znał to nazwisko. Znali je wszyscy.

– Stracony siedemnaście lat temu za działalność wywrotową i nawoływanie do zdrady – wyszeptał, czując jak ściska go w gardle. – Tak mi przykro, Kriss.

– Miałam siedem lat, kiedy to się stało. Nasz majątek został skonfiskowany, ale potem jakimś cudem wujowi udało się przejąć nad nim kontrolę. Tak więc nie zostaliśmy bez środków do życia. Mama jednak wolała schronić się wraz ze mną w Solatis. Mam brata – Andreus jest mniej więcej w twoim wieku. Teraz mieszka w naszej rodowej posiadłości.

– A więc tu się wychowałeś?

Skinęła głową.

– To dobre miejsce – przesunęła wzrokiem po ścianach kanionu.

– Masz rację. Z pewnością najlepsze z możliwych w tych okolicznościach – przytaknął, mając w pamięci sierociniec, do którego trafił on sam. – Co zamierzasz robić dalej?

– Moja przyszłość została już ustalona – uśmiechnęła się lekko, jakby z zakłopotaniem. – Tak samo, jak twoja.

– Przyznam, że nie do końca rozumiem.

– Może wyda ci się to dziwne, ale małżeństwa między wysokimi rodami są zawierane... powiedzmy, w dość ekscentryczny sposób... ekscentryczny z punktu widzenia zwykłych ludzi. Nasze małżeństwo zostało ustalone, jak tylko oboje przyszliśmy na świat. Naszym obowiązkiem jest podporządkować się woli naszych ojców.

Przez moment miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Nasze małżeństwo? – spytał z niedowierzaniem. – NASZE!?!

Krissann skinęła głową, nie patrząc na niego. Jej wzrok błędził gdzieś wśród drzew porastających drugi brzeg jeziora.

– Jesteś zły? – spytała po dłuższej chwili.

– Nie. Zaskoczyłaś mnie, to wszystko. Nie spodziewałem się... czegoś takiego! – roześmiał się nerwowo.

Kolejna informacja do przetrwania, kolejna sytuacja do zaakceptowania. Bo i cóż innego mógł zrobić? Umowa między ich ojcami obowiązywała pomimo faktu, że obaj już nie żyli.

Małżeństwo... Do tej pory nigdy się nad tym zagadnieniem głębiej nie zastanawiał. Nie musiał. Znał kilka kobiet, nie żył przecież jak pustelnik, ale w jego planach jak dotąd nie pojawiały się kwestie matrymonialne. A teraz dowiadywał się, że wszystko zostało ustalone dawno temu i że właściwie niewiele ma w tej sprawie do powiedzenia.

Siedząc nad brzegiem jeziora i wpatrując się w lazurową toń wody, zastanawiał się nad tą sytuacją. I po namyśle musiał przyznać, że raczej nie ma nic przeciwko. Ojciec musiał mieć w tym jakiś cel i Domenic miał nadzieję, że uda mu się go odkryć.

– Postaram się być dobrym mężem – powiedział, patrząc jej w oczy. Nie był pewien, kogo chce bardziej o tym przekonać: ją czy siebie. Jakie to zresztą miało znaczenie?

– Nie – zaprzeczyła z mocą. – Bądź dobrym królem.

Zawahał się na ułamek sekundy.

– Przyrzekam ci to.

Patrzyła na niego z uwagą.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, jak trudno będzie ci dotrzymać tej obietnicy?

– Postaram się zrobić wszystko, by jej nie złamać. W końcowym rozrachunku każde z nas zrobi to, co do nas należy – stwierdził, nie zdając sobie sprawy, jak prorocze okażą się te słowa.

Krissann opuściła go wkrótce, wymawiając się obowiązkami. Nie zatrzymywał jej, sam musiał sobie jeszcze wiele rzeczy przemyśleć i uporządkować. Zawrócił do miasta i wkrótce natknął się na Chenaulta, zdążającego pospiesznie ku windom z plikiem

dokumentów pod pachą.

– Wasza Wysokość – skłonił się na jego widok.

Jakieś niejasne, mgliste wspomnienie kazało Domenicowi uważniej przyjrzeć się jego twarzy.

– Był pan szambelanem na dworze mojego ojca... prawda? – spytał nieco niepewnie.

W oczach Chenaulta pojawiły się łzy wzruszenia, a poraną zmarszczkami twarz rozjaśnił uśmiech.

– A więc pamiętasz, Domenicu! – szepnął. – Jakże się z tego cieszę!

– Ja również, proszę mi wierzyć – westchnął, bo zdał sobie sprawę, że powinien podzielić się z kimś tą wiadomością. – Zaręczyłem się z księżniczką Krissann – poinformował.

Szambelan z uśmiechem pokiwał głową.

– Oczywiście, znaleźmy wolę twojego ojca, Wasza Wysokość – powiedział. – Ale nie zamierzaliśmy naciskać. Dobrze się stało.

– Trochę mnie to przeraża – przyznał Domenic.

Chenault poklepał go po ramieniu dobrotliwie.

– To zrozumiałe – jego wzrok na chwilę zasnuła mgła. – Żałuję tylko, że król Stephane nie dożył tej chwili.

Domenic skinął głową. W gardle urosła mu nagle wielka gula żalu za rodzicami, za dniami, które przepadły. Za żalem pojawił się gniew, bezrozumna wściekłość na tych, którzy mu to odebrali. Dłonie zacisnęły się w pięści niemal bez udziału jego woli. Opanował się natychmiast, zdusił gniew i rozluźnił dłonie. To nie był czas po temu, ani miejsce.

Chenault przyglądał mu się z lekkim zdumieniem.

– Czy coś się stało? – spytał z niepokojem.

– Nie, nic – Domenic potrząsnął głową, jakby odpędzając duchy przeszłości. –

Zamyśliłem się, przepraszam. Może pan powtórzyć?

– Mówiłem, że z przyjemnością zajmę się przygotowaniem do ślubu.

– Och. Szczerze mówiąc, nie pomyślałem o tym.

– Więc mogę?

– Oczywiście, będę bardzo zobowiązany.

– Dziękuję, Wasza Wysokość. Na dworze to zawsze ja zajmowałem się urządzaniem przyjęć i przygotowywaniem uroczystości. Mam w tej kwestii spore doświadczenie.

Proszę tylko poinformować mnie o dacie ślubu, a ja wszystkim się zajmę, choć podejrzewam, że stanie się to dopiero po koronacji... – skłonił się ponownie. –

Chciałbym jeszcze przekazać wiadomość od pułkownika Addara. Chce porozmawiać o jakiejś ważnej sprawie.

– Gdzie go znajdę?

– Jego biuro znajduje się w naszym centrum. Jeśli chcesz, Wasza Wysokość, przywołam kogoś, kto wskaże ci drogę...

– Dziękuję, trafię sam.

Rozdział piąty

Centrum administracyjne miasta Solatis jak zwykle tętniło życiem. Zarządzanie tak nietypowym zbiorowiskiem ludzi stanowiło nie lada wyzwanie dla tego, kto podjął się tego zadania. Dlatego szambelanowi pomagały całe zastępy urzędników, skupionych w poszczególnych wydziałach, dbających o prawidłowe funkcjonowanie miasta. Panował tu nieustanny ruch, kakofonia dźwięków, którą z trudem wyciszały pochłaniacze hałasu. Domenic nie potrafił sobie nawet wyobrazić efektywnej pracy w takich warunkach. Ale przecież był przyzwyczajony do surowo przestrzeganej ciszy uniwersyteckich bibliotek – to miejsce zaś... było po prostu inne.

Gabinet Addara znajdował się w jednym z bardziej zacisznych korytarzy, zarezerwowanych dla urzędników wyższego szczebla. Wyglądało na to, że pułkownik zajął biuro kogoś, kto jeszcze nie zdążył zabrać wszystkich swoich rzeczy i dokumentów – tekturowe pudła piętrzyły się pod ścianą tuż obok drzwi.

– Wejdz, Domenicu – Addar podniósł wzrok znad jakichś papierów. – Wybacz bałagan, ale jestem akurat w trakcie urządzania tego gabinetu. Usiądź, proszę – gestem wskazał mu krzesło przy biurku.

– Po co mnie pan wezwał?

– Musimy porozmawiać, drogi chłopcze – Addar zdjął okulary i przetarł oczy. – Wieść głosi, że zamierzasz poślubić księżniczkę Matsushitaki.

Domenic uniósł brwi.

– Postępuję z wolą mojego ojca. To jakiś problem?

– Ależ nie, skądże – pułkownik uśmiechnął się. – Uznałem jednak, że to odpowiedni moment, by porozmawiać o twojej przyszłości.

– Mojej przyszłości?

– Tak. Co zamierzasz robić dalej?

– Co JA zamierzam robić?! – Domenic zaczynał się irytować. – Powinienem pana o to spytać, pułkowniku! Ściągnął mnie pan tutaj wbrew mojej woli, a teraz zadaje mi pan pytania, na które sam powinien udzielić mi odpowiedzi! – z każdym słowem jego głos brzmiał coraz głośniej.

Addar spokojnie przeczekał ten wybuch.

– Mam dla ciebie pewną propozycję – powiedział, kiedy Domenic nieco się uspokoił.

– Nie chcę utrudniać ci życia bardziej niż to konieczne.

– O! To coś nowego! – zdziwił się Domenic, nawet nie starając się ukryć zjadliwej ironii w głosie.

Addar nie dał się wytrącić z równowagi, uśmiechnął się jedynie z pobłażliwością, z jaką traktuje się wybryki dziecka.

– Mogę dać ci wolność. Mogę sprawić, że służby bezpieczeństwa zapomną o twoim istnieniu. Będziesz mógł mieszkać, gdzie tylko zechcesz, będziesz mógł nawet opuścić Kwadrat. Będziesz mógł wykładać na uniwersytecie, skoro tak to lubisz. No i najważniejsze... – zawiesił znacząco głos. – Nie będziesz musiał się żenić.

Domenic spojrzał na niego nieufnie. Gdzie tkwił haczyk?

– Czego żąda pan w zamian?

Pułkownik wstał, odszedł masywne biurko i przysiadł na jego krawędzi.

– Przyznasz sam, że nie masz odpowiedniego przygotowania, by przejąć władzę. Jesteś zdolny i mógłbyś się tego nauczyć, ale to wymaga czasu, a tego nie mamy. Sytuacja jest zbyt niestabilna, by pozwolić sobie na eksperymenty. Twój ojciec z pewnością pragnąłby, byś to ty nosił koronę, ale...

Czas się zatrzymał. Kolory wyblakły, wszystko pokryła szarość. Ciało Addara promieniowało spokojnym błękitnym blaskiem, ale on sam się nie poruszał. Patrzył wciąż na Domenica, jego usta były otwarte do wypowiedzenia słów, które zastygły w krtani.

Nie było jednak żadnych myśli.

Kiedy przydarzyło mu się to po raz pierwszy, w szpitalu, wyraźnie wyczuwał myśli znajdujących się w pokoju osób. Była tam Krissann, był Chenault, lekarz i Addar. No właśnie, Addar... Wtedy chyba też od niego niczego nie wyczuł, ale najwyraźniej umknął mu ten fakt w natłoku emocji pozostałych. Teraz natomiast... Nic. Pustka absolutna. Cisza dźwięcząca jak cały wszechświat. Jakby w gabinecie nikogo nie było. Jakby za tymi szarymi, drwiącymi oczami nie było duszy, wyłącznie pusta skorupa. Co to miało oznaczać?

Domenic opanował panikę i skoncentrował się. Musiał sobie przypomnieć, w jaki sposób poprzednim razem wrócił do normalności. Zaprażył tego ze wszystkich sił i...

– ... ale nawet on by na to nie należał w obecnej sytuacji – dokończył Addar z uśmiechem uprzejmej życzliwości.

Domenic zmarszczył brwi. Wciąż jeszcze pozostawał pod wrażeniem tego, co się przed chwilą zdarzyło i czego w gruncie rzeczy wciąż nie pojmował.

– Co pan przez to rozumie? – spytał nieco nieprzytomnie.

Pułkownik nie odzywał się przez chwilę, z pewnością zastanawiając się, za jakie grzechy los zetknął go z takim tępakiem. W końcu jednak sięgnął za siebie po ciemnozieloną teczkę z plikiem dokumentów. Przez moment ważył ją w dłoni, po czym podał Domenicowi.

– To jest akt zrzeczenia się praw do tronu. Skonsultowałem wszystko z naszymi prawnikami. Wystarczy, że złożysz kilka podpisów. Będiesz mógł wciąż używać tytułu księcia Allisandre, tak samo jak i twoi potomkowie, ale bez praw do tronu. Być może nawet uda się załatwić zwrot rodowego majątku, ale to dalsza kwestia.

Domenic natychmiast otrząsnął się z oszołomienia. W jego mózgu natychmiast pojawił się wielki, świecący neon: niebezpieczeństwo! Ujął teczkę w dłoń, jakby to była bomba z mechanizmem wstrząsowym.

– Co by na to powiedział mój ojciec? – szepnął.

Addar przewrócił oczami z wyraźną irytacją.

– Tłumaczyłem ci, że z pewnością nie miałyby nic przeciwko temu. Dla niego zawsze najważniejsza była pomyślność państwa i zamieszkujących go ludzi. On to rozumiał. Nie bez powodu uczynił mnie regentem. Nie możemy sobie pozwolić na niezdecydowanie, to nas może zniszczyć, zwłaszcza w obecnej sytuacji, kiedy istnieje tyle zagrożeń, nie tylko wewnętrznych.

– Nie rozumiem... Przecież zagrażają nam przede wszystkim technokraci.

– Tak by się mogło wydawać – ton głosu Addara był cierpliwy i spokojny, zupełnie jakby przemawiał do rozkapryszzonego dziecka. Domenic z trudem panował nad irytacją. – Zagrożenie, o którym wspominałem jest na razie bardzo odległe, niemniej istnieje i w końcu przybierze określoną formę. Musimy być na to gotowi, silni zarówno

militarnie, gospodarczo, jak i politycznie. Dotyczy to zarówno Creswell, jak i pozostałych planet Kwadratu.

Domenic wpatrywał się w niego ze zdumieniem, kiedy w końcu pojął sens wypowiedzi pułkownika.

– Chce pan przejąć władzę w całym Kwadracie? – spytał ze zgrozą i niedowierzaniem.

Addar roześmiał się dobrodusznie.

– Nie ja, drogi chłopcze, nie ja! Ktoś z pewnością w końcu tego dokona, ale będzie to proces długotrwały i ani ja, ani ty z pewnością tego nie doczekamy!

Szczerść w głosie pułkownika mogłaby przekonać każdego oponenta. Jak dotąd Domenic nie miał powodu, by mu nie ufać, ale... coś go ostrzegało, coś nie dawało spokoju...

– A Pokrewieństwo? – spytał.

– Och, słyszałeś o tym? Zapewne od księżniczki Krissann – Addar wzruszył ramionami lekceważąco i z powrotem usiadł w swoim fotelu. – Byłem ze Stephane'em, kiedy umierał. Wierz mi, Pokrewieństwo to tylko mit. Inaczej przekazałby je mnie, także należę do rodziny. Nie zrobił tego, ponieważ ono nie istnieje.

Albo przekazał je komuś innemu, pomyślał Domenic. Zerknął na pułkownika – siedział rozparty w fotelu, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony. Domenicowi zaświtało nagle, że nie wszystko jest w takim porządku, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka. Ziarenko wątpliwości zakiełkowało w jego umyśle i zagnieździło się tam już na stałe.

– Więc ściągnął mnie pan do Solatis tylko dla tego papierka? – spytał podejrzliwie, wskazując na teczkę.

– Między innymi – skinął głową pułkownik. – Chciałem, żebyś zrozumiał, o jaką stawkę toczy się rozgrywka. Że każda decyzja niesie za sobą poważne konsekwencje, które odczują zwykli obywatele, tacy sami jak tutaj. Tacy, jak na przykład, twoi rodzice.

Po raz pierwszy Domenic przestraszył się, że jego przybranym rodzicom może się stać coś złego. Wprawdzie ton głosu Addara nie sugerował niczego podobnego, ale słowa... Czy w ten zawołany sposób Addar mu groził? Domenic opuścił głowę,

przyglądając się zdobieniom wytłoczonym na okładce teczki.

– Muszę się zastanowić – powiedział w końcu. Zyska nieco na czasie. Tak, to dobry pomysł, czas jest tym, czego teraz potrzebował. Odłożył teczkę na biurko.

– Nie – pułkownik pchnął dokumenty z powrotem w jego stronę. – Weź je. Zwrócisz mi, kiedy podejmiesz decyzję. Mam nadzieję, że wraz z twoimi podpisami.

– Ile mam czasu?

Addar uniósł brwi.

– Powiedzmy... dwa tygodnie. To chyba wystarczy?

– Wystarczy – przytaknął Domenic i opuścił gabinet. Musi wystarczyć.

Dopiero kiedy znalazł się w swoim apartamencie pozwolił sobie na okazanie zdenerwowania. Rzucił teczkę na biurko, walcząc z ochotą rozerwania dokumentów na drobne strzępki. A potem przez długi czas chodził od ściany do ściany, od czasu do czasu rzucając ponure spojrzenia w stronę biurka.

Addar miał rację. Domenic był rozpaczliwie wręcz nieprzygotowany do przejęcia władzy, do jej sprawowania. To prawda, że jedna decyzja dotyczyła setek tysięcy ludzkich istnień i że jeden błąd mógł spowodować tragiczne w skutkach następstwa. To prawda, że pułkownik był w obecnej chwili najlepszym kandydatem do tronu.

Domenic usiadł w końcu za biurkiem, otworzył teczkę i sięgnął po pióro. Był już zdecydowany – zdecydowany złożyć swój podpis pod dokumentem, zrzekając się praw do tronu i jednocześnie czyniąc z Resa Addara prawowitego następcę. Dlaczego nie, do cholery?!

Ale nie mógł. Dłoń trzymająca pióro zaczęła drżeć i trząść się tak, że nie był w stanie skreślić ni jednej litery. Przed oczyma zobaczył tylko barwne plamy, zamazujące treść dokumentu. Wściekle rozboleła go przy tym głowa. Zaczął mieć duszności.

Krzyknął z irytacją i rzucił pióro na biurko. Odbiło się od blatu znacząc go atramentem i potoczyło po podłodze. Ukrył twarz w dłoniach. Oczywiście, wszelkie niepokojące objawy natychmiast ustąpiły. Jak ręką odjął. Wyglądało na to, że właśnie na własnej skórze przekonał się, w jaki sposób działa Pokrewieństwo. Czymkolwiek było – to on miał zostać królem, albo raczej nie dopuścić do objęcia tronu przez Addara. Tak, to ostatnie miało większy sens. Żałował, że ojciec nie jest w stanie niczego mu

wytłumaczyć, niczego wyjaśnić – ale on nie żył i nie mógł mu pomóc.

Podniósł pióro i usiadł przy biurku. Kiedy tylko pochylił się nad dokumentem wszystko wróciło: ból głowy, duszności, drżenie rąk, zaburzenia percepcji. Nie potrafił z tym walczyć. Odłożył pióro. Nie było sensu próbować.

Ale co robić? Co robić?!?

Było późno w nocy, kiedy w końcu położył się do łóżka. Od razu dopadły go koszmary z dzieciństwa. Znowu był mały, bezbronny, sam, a wokół byli sami wrogowie. Zanim jednak obudził się z krzykiem pełnym udręki, sen uległ zmianie. Zdziwiającej zmianie.

Znalazł się w gabinecie swojego ojca. Widział jego twarz w lustrze wiszącym ponad ozdobnym kominkiem. Nie, nie oglądał go z zewnątrz, jak widz – on był nim, patrzył w lustro jego oczami i... widział siebie. I jak to bywa w snach, nie miał kontroli nad wydarzeniami.

W gabinecie znajdował się jeszcze jeden mężczyzna, wysoki, o lekko skośnych, czarnych oczach. Jego włosy były splecione w długi warkocz, świadczący o arystokratycznym pochodzeniu. Podszedł do Stephane'a i położył mu dłoń na ramieniu.

– A więc nasze rodziny połączą się – powiedział. – To dla mnie wielki honor, że wybrałaś moją córkę, by była żoną twojego syna.

Domenic uświadomił sobie, że śni o rozmowie swojego ojca z księciem Heelanem Matsushitakim, ojcem Krissann. To było niewiarygodne, takie zagłębienie w przeszłość.

– To zaszczyt również dla mojej rodziny, że wyraziłaś swoją zgodę na ten mariaż – odparł Stephane. Obaj mężczyźni patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. – Usiądźmy. Zostawmy na razie sprawy formalne, niech zajmą się nimi prawnicy.

Przyniesiono drinki i przekąski.

– Cieszę się, że życzliwy los obdarzył cię dzieckiem, którego tak bardzo pragnąłeś – powiedział Heelan, kiedy tylko za lokajem zamknęły się drzwi. – Nie widzieliśmy się od tak dawna, że nawet nie miałem okazji ci pogratulować.

– Tak, mam syna – przytaknął Stephane.

– A więc lekarze jednak się mylili. Powinieneś być pójść od razu do naszych uzdrowicieli.

– Być może masz rację, Heelanie. To już w tej chwili nie ma znaczenia.

Matsushitaki spojrzał na niego z uwagą.

– Coś cię dręczy, przyjacielu – stwierdził.

Stephane machnął ręką w raczej nieokreślonym kierunku.

– Zbyt dobrze mnie znasz – westchnął i wzruszył ramionami. – Tobie mogę powiedzieć. Technokraci zyskują coraz większe wpływy. Mój ojciec przewidział to i obawiał się, że w końcu dojdzie do konfrontacji.

Spojrzenie Heelana wyrażało zdumienie.

– Masz na myśli rewolucję? Jesteś tego pewien?

– A w dodatku podejrzewam, że w tym wszystkim biorą udział pewne siły, których jednak nie potrafię rozpoznać. Mamy w naszych szeregach zdrajcę, albo zdrajców, nie wiem ilu.

– Nie wiesz, kim są?

– W tym sęk. Maskują się. Wyczuwam ich obecność, to wszystko. Nie jestem w stanie ich zlokalizować. Czuję tylko, jak wokół mojej szyi zaciska się pętla.

Książę Matsushitaki był poważnie zaniepokojony.

– Stephane, nie chcę cię pouczać, ale chyba powinieneś zawiadomić odpowiednie służby. Od tego są, do chole...

Ale Stephane przerwał mu.

– Nie, Heelan, to nie ma sensu. Nie rozumiesz: zdrajcy znają system, wchłonęli go, są nim. Żeby ich dostać, trzeba zniszczyć ten system. A wtedy oni ujawnią się, ponieważ nie będzie ich już chronił. Pogodziłem się już z własnym losem. Teraz najważniejsze jest dla mnie ograniczenie rozlewu krwi, bo ten nastąpi, nie łudźmy się, oraz bezpieczeństwo Domenica. Staralem się go przygotować, ale on ma dopiero cztery lata...

– Stephane...

– Nie. Tak musi być. Wciąż nie rozumiesz, prawda? Zdrajca musi zostać ujawniony. Zagraża nam bardziej niż technokraci.

– A cena, jaką przyjdzie ci za to zapłacić?

– Zapłacę ją. Mój syn zrozumie i także zapłaci.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

Ale Stephane potrząsnął głową.

– Powiedziałem o tym tylko tobie. Proszę, zachowaj treść naszej rozmowy tylko dla siebie.

– Przyrzekam, mój królu – Matsushitaki pochylił głowę w poddańczym geście. Po chwili milczenia zdjął z szyi łańcuszek z misternie grawerowanych srebrnych oczek. Wisiała na nim moneta z przewierconym przez środek otworem. Była tak stara, że wyryte na niej symbole były już ledwo rozpoznawalne. – Ta moneta jest w mojej rodzinie od lat. Przybyła z nami na tę planetę wieki temu i od tamtej pory przekazywano ją z pokolenia na pokolenie – bez wahania złamał ją w połowie i podał odłamaną część Stephane'owi. – Ktokolwiek zgłosi się z tym fragmentem do przywódcy rodu Matsushitaki, otrzyma każdą pomoc, jakiej tylko zażąda – wstał i skłonił się ceremonialnie. – Żegnaj, mój królu.

– Żegnaj, mój przyjacielu – odparł Stephane.

Obaj jakby przeczuwali, że widzą się po raz ostatni. Uścisnęli się na pożegnanie. Matsushitaki wyszedł. Stephane został sam.

Przez chwilę ważył fragment monety w dłoni. Potem podszedł do biurka i odsunął ciężki fotel. Nie bez trudu ściągnął masywne siedzisko. Pod nim znajdowała się pusta przestrzeń – swego rodzaju skrytka. Stephane włożył monetę do szkatułki, a tę z powrotem do skrytki.

– Dla ciebie, mój synu – szepnął.

Domenic z krzykiem wyrwał się z tego dziwnego snu, który wcale nie przyniósł mu ulgi. Czuł się bardziej zmęczony, niż kiedy kładł się spać. Wyglądało na to, że wizje przestały dręczyć go na jawie, by przenieść się w jego sny. Wstał i na drżących nogach poszedł do łazienki. Poczul się nieco lepiej, kiedy opłukał twarz zimną wodą. Z lustra patrzyły nań jego własne oczy, zmęczone i puste.

Wrócił do sypialni i spojrział na zegar. Do świtu pozostało jeszcze pięć godzin, a więc spał nie dłużej niż trzy godziny. Wiedział jednak, że nie zdoła już zasnąć. Nie miał ochoty na powtórkę z koszmaru. Narzucił szlafrok na ramiona i poszedł do gabinetu. Na biurku wciąż leżały w nieładzie dokumenty abdykacyjne. Zebrał je wszystkie i ułożył

starannie w teczce.

Dwa tygodnie... Dobrze.

I wtedy jego spojrzenie padło na fotel. To był ten sam fotel, co w jego śnie, nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Ten sam wytarty zagłówek i wgnieciona skóra na poręczach. Przesunął po nich palcami, bardziej niż kiedykolwiek tęskniąc za ojcem i czując jednocześnie jego obecność.

Nie bez wysiłku zdjął ciężkie siedzisko... i aż zamarło w nim serce, kiedy w skrytce ujrzał metalową skrzyneczkę. Wyjął ją ostrożnie i położył na biurku. Nie miała żadnych spojeń, jakby wykonano ją z pojedynczego kawałka metalu. I nie miała zamka. Zamiast niego znajdował się prosty czytnik linii papilarnych. Zawahał się lekko, nim przytknął do niego wskazujący palec prawej ręki.

Wieczko odskoczyło z cichym stukiem.

Moneta była tam, zawieszona na srebrnym łańcuszku. Domenic obejrzał ją dokładnie – była identyczna, jak ta w jego śnie. Chwilowo odłożył ją na bok, bowiem w szkatułce znajdowało się jeszcze kilka innych tajemniczych przedmiotów. Między innymi prosty sygnet z herbem przedstawiającym jakiegoś niezwykłego ptaka o piórach z płomieni. Sygnet musiał być bardzo cenny, jego ciężar bowiem zdradzał, że wykonano go z czystego kruszcu.

Kolejny z przedmiotów owinięty był starannie w kawałek miękkiej materii, mającej zapewne chronić go przed zanieczyszczeniem. Domenic ostrożnie rozwinął tkaninę, a kiedy ujrzał, co skrywała, dreszcz przebiegł mu po krzyżu.

Wielokrotnie słyszał o zaginionych klejnotach koronnych. Choć szukano ich bardzo intensywnie, nigdy ich nie odnaleziono. W mediach od czasu do czasu pojawiał się temat ich zaginięcia i poszukiwania. Oczywiście, cały czas twierdzono, że chodzi wyłącznie o wartość historyczną i muzealniczą regaliów – żaden inny powód był niedopuszczalny.

Nigdy ich nie odnaleziono, ponieważ nigdy nie zaginęły.

Korona była piękna, o pięciu pałkach, cała ze srebra, wysadzana rubinami – płonęły w świetle jak krew. Medalion został wykonany bardzo podobnie – był to po prostu wielki, płaski rubin oprawiony kunsztownie w srebro i zawieszony na ciężkim,

srebrnym łańcuchu.

Korona, medalion i sygnet, który był jednocześnie pieczęcią władców Creswell.
Klejnoty koronne, zaginione regalia.

Domenic ułożył je na biurku i przyglądał im się w pełnym nabożnego zdumienia niedowierzaniu. Chyba dopiero teraz dotarło do niego, kim jest i jakie stoją przed nim wyzwania. Ojciec poświęcił swoje życie, by umożliwić działanie swojemu synowi. Nie mógł go zawieść. Zbyt wielu ludzi straciło życie, by pozwolić zdrajcom spokojnie spożywać owoce spisku. Należało ich odnaleźć i ukarać.

I należało to zrobić w ciągu dwóch tygodni.

Domenic schował regalia w szkatułce, a tę umieścił w jednej z pojemnych szuflad biurka. Teraz musiał zastanowić się nad kolejnym posunięciem.

Rozdział szósty

Lucien Chenault zwykle wstawał bardzo wcześnie. Nawyk ten wykształcił przez lata służby na dworze, najpierw za panowania króla Kristana, a potem Stephane'a. W zasadzie mógł już dawno przejść na zasłużony odpoczynek, ale nie skorzystał z tej możliwości. Nie mógłby. Praca stanowiła sens jego życia, jego istnienia – ponadto wiedział, że jest dobry w tym, co robi.

W mieście w Dolinie Kanionu Ech nie brakowało zajęcia. Jako były szambelan, Chenault posiadał mnóstwo formalnych i mniej oficjalnych znajomości na całym Creswell, a także, a może przede wszystkim, poza nim, na pozostałych planetach Kwadratu Tessaliana. Solatis wciąż się rozwijało, rozrastało i potrzebowało ożywionych kontaktów gospodarczych, by móc funkcjonować. Chenault, z racji pełnionej uprzednio funkcji, doskonale orientował się we wzajemnych zależnościach między nowymi i starymi partnerami, potrafił lawirować wśród niuansów polityki i dyplomacji, by zapewnić przetrwanie tak uchodźcom, jak i samemu miastu.

Tak więc Chenault wciąż wstawał bladym świtem i szedł do biura, zanim jeszcze ktokolwiek pomyślał, by się tam zjawić. Jak zwykle o tej porze, pustka zalegała między biurkami, krzesłami i regałami. Cisza wlewała się drzwiami i oknami, w magiczny sposób ukazującymi wszystkie barwy świtu. Już za kilka godzin ta pustka wybuchnie obecnością i gwarem wielu ludzi, ale teraz należała tylko do niego.

No, może niezupełnie tylko do niego.

Bowiem w jego biurze już ktoś był.

W jednym z foteli siedział Domenic. Wyraźnie było widać, że ma za sobą bezsenłą noc.

– Wasza Wysokość? – zdziwił się Chenault.

Domenic uśmiechnął się lekko.

– Wiedziałem, że zjawi się pan tutaj wcześniej niż inni.

Coś się zmieniło. Chenault przyjrzał się uważniej jego twarzy, jego oczom.

Podobieństwo do ojca jeszcze bardziej się pogłębiło. Szambelan uświadomił sobie, że Stephane też często chodził zmęczony, niewyspany i poczuł smutek, że jego syna czekał

ten sam los. Było to jednak brzemie spoczywające na barkach każdego z władców.

Blask w oczach Domenica w niczym jednak nie przypominał zrezygnowanego spojrzenia jego ojca – było w nich zdecydowanie i coś jeszcze, co świadczyło o wewnętrznej sile, o zdeterminowaniu, o nadziei.

– O co chodzi, Wasza Wysokość? – w tej chwili Chenault nie odważyłby się odezwać do niego poufale, po imieniu, jak do chłopca. Sam nie potrafił sobie tego wytłumaczyć.

– W skład Rady Królewskiej wchodzi kanclerz, marszałek, ministrowie poszczególnych resortów i dwóch przedstawicieli Senatu, prawda?

– Zgadza się, Wasza Wysokość – przytaknął Chenault.

– Ilu z nich mieszka obecnie w Solatis?

– Marszałek Karae Taman, kanclerz Taki Cerino... minister finansów Rui Harmel... – wyliczał z wolna szambelan. – Minister edukacji Cameo Martins... wydaje mi się, że Arjan Taloer, minister obrony, również. Jest też kilkunastu senatorów, ale sam przewodniczący Tapio Bray umarł kilka lat temu w Zoltray. Kilku ministrów i ich zastępców wciąż tam przebywa.

Domenic skinął głową, przyjmując te fakty do wiadomości.

– Jak rozumiem, mój ojciec formalnie nie rozwiązał Rady, zanim doszło do przewrotu?

– Nie, została zdelegalizowana dopiero przez technokratów, a oni powołali własny rząd, premiera i prezydenta. Ci z ministrów, którzy zdążyli uciec, nadal pełnią swoje obowiązki tutaj, w Solatis.

– To właśnie chciałem wiedzieć. Więc Rada Królewska wciąż posiada mandat... – Domenic przeszedł się w tę i z powrotem po gabinecie. Chenault wodził za nim zaskoczonym i nieco niepewnym spojrzeniem. – Proszę mi powiedzieć, na jakiej podstawie uznano pułkownika Addara za regenta?

– Okazał stosowny dokument, z podpisem Najjaśniejszego Pana i jego pieczęcią.

– Gdzie jest ten dokument?

– W naszym archiwum – szambelan wskazał na drzwi umieszczone za swoim biurkiem.

– Dobrze. Mam do pana prośbę, panie Chenault.

– Słucham, Wasza Wysokość.

– Chciałbym, aby pan odszukał tylu członków Rady, ilu pan zdoła. Mają się stawić za godzinę w moim gabinecie. Proszę to urządzić tak, by nikt, a zwłaszcza pułkownik Addar nie dowiedział się o tym spotkaniu. I proszę nie pytać, dlaczego.

Chenault nie spytał, choć miał na to ochotę. Żądanie Domenica wywołało jego zdumienie. Res Addar był zaufanym króla, spędził z nim w Zoltray wszystkie te lata. Poświęcił na to część swego życia, bo przecież mógł uciec już wcześniej. A jednak został tam i towarzyszył królowi w jego uwięzieniu, nie tracąc ducha. Jego poświęcenie zasługiwało na najwyższe laury. Nikt nie był szczególnie zdziwiony, że Stephane uczynił go regentem – zwłaszcza że tak niepewny był los następcy tronu.

Natomiast Domenic próbował najwyraźniej podważyć decyzje swego ojca. Chenault nie znajdował innego wytłumaczenia. I jakoś nie chciało mu się to pomieścić w głowie. Nie dał jednak niczego po sobie poznać, jakkolwiek mogło mu się to nie podobać. Nauczył się tej sztuczki dawno temu.

– Pułkownik wyjechał wczoraj wieczorem – powiedział ostrożnie.

– Doskonale – Domenic pomimo wysiłków szambelana zauważył nienaturalność w jego zachowaniu. – Druga rzecz: poproszę o ekspertyzę prawną tego dokumentu – podał mu teczkę. – Chcę wiedzieć, czy został przygotowany przez prawników z Solatis, czy też przez... inne osoby.

Chenault otworzył teczkę i pobieżnie przebiegł wzrokiem treść pierwszej strony. Aż usiadł z wrażenia.

– Wasza Wysokość chce abdykować? – wyjąkał zaskoczony.

– Res Addar chce, bym to uczynił – odparł Domenic. Stanął przed szambelanem. – Wiem, że ufał pan mojemu ojcu. Proszę teraz zaufać mnie. Wiem, co robię.

– Wasza Wysokość, nie mam powodów nawet przypuszczać, że jest inaczej – zapewnił Chenault.

– Niech pan też przyjdzie na to spotkanie. I proszę przynieść z archiwum dokument, o którym rozmawialiśmy.

Domenic był już przy drzwiach, kiedy Chenault podniósł głowę znad teczki i powiedział stanowczo, żarliwie:

– Ufam ci, mój panie. Zrobię wszystko, co rozkażesz.

Domenic skinął głową z powagą i wyszedł. Chenault przez dłuższą chwilę spoglądał za nim z zadumą. Sam przed sobą musiał przyznać, że dotychczas traktował młodego księcia z pewnego rodzaju politowaniem, a wręcz z lekceważeniem – głównie chyba ze względu na fakt, iż pułkownik Addar mówił o nim w taki sposób. Domenic jednak zaskakująco szybko doszedł do siebie po wszystkich tych rewelacjach, jakimi uraczyli go w ciągu zaledwie tych paru dni.

Może pułkownik się mylił i Domenic okaże się dobrym władcą?

Zjawili się wszyscy razem, jakby wcześniej spotkali się w biurze Chenaulta i dopiero potem przyszedli do gabinetu Domenica. Obawiał się z ich strony tego, by nie utworzyli wspólnego frontu przeciw niemu. Nie znali go przecież, nie wiedzieli, co chciał osiągnąć. Musiał im to wytłumaczyć. Musiał ich do siebie przekonać.

Szambelan kolejno przedstawił każdego z nich. Marszałek Taman był ciemnoskórym mężczyzną o onieśmielającym wzroście i niezwykle głębokim głosem. Kanclerz Cerino stanowił jego przeciwieństwo: był to pulchny, zażywny człowieczek o rumianej twarzy. Przyszedł także minister spraw wewnętrznych Kiami Bertrand, który akurat wrócił do miasta z podróży służbowej. Z lekkim spóźnieniem zjawił się natomiast minister obrony, Taloer – przyprowadził ze sobą admirała Aristeo Randella, byłego szefa admiralicji, który w przeszłości dowiódł wielokrotnie swej lojalności wobec rodziny panującej, przez co spędził w Zoltray piętnaście lat.

Domenic przywitał się z nimi serdecznie, starając się wyrobić sobie jakieś zdanie na temat każdego z nich. Na razie było to jednak niemożliwe – pierwsze wrażenie mogło być mylące. Na przykład dobroduszny wygląd kanclerza – te świdrujące oczka z pewnością nie przegapiły niczego. Z kolei minister Bertrand sprawiał wrażenie wręcz znudzonego, ale i to mogła być jedynie poza. Z pewnością już sobie o nim porozmawiali.

Poprosił ich o zajęcie miejsc. Przez dłuższą chwilę przyglądał się z uwagą każdemu z nich, jakby starał się wyryć ich twarze w pamięci. Zaczęli się wiercić niespokojnie – jak to, wezwał ich na spotkanie, a teraz nic nie mówi? Nie mogli wiedzieć, że w ten sposób

zaglądał do ich umysłów. Musiał to zrobić, musiał mieć pewność, że powierza swoje życie i przyszłość Creswell w ręce ludzi, którym może zaufać. Niestety, nie mógł sobie pozwolić na luksus wątpliwości w tej kwestii.

Próba myśli wypadła nadszpiewanie dobrze. Wszyscy zdali ją pomyślnie, choć oczywiście nie zdawali sobie sprawy, że byli egzaminowani w jakikolwiek sposób.

Domenic sięgnął po szkatułkę i postawił ją na biurku.

– Te apartamenty urządzono specjalnie dla mnie – powiedział powoli, a uwaga zgromadzonych natychmiast skoncentrowała się na jego osobie. – Ich wystrój miał mi przypominać pałac. W dążeniu do osiągnięcia autentyczności posunięto się do tego stopnia, że wszystkie meble i drobiazgi sprowadzono wprost z pałacu w Aprevin.

– Pięciu teleportów pracowało nad tym przez tydzień jeszcze zanim na miasta nałożono bariery – wtrącił szambelan z dumą w głosie, ale zaraz się stropił. – Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość – zaczerwienił się.

– Nie szkodzi, panie Chenault – Domenic uśmiechnął się, kilku ministrów również; napięcie wyraźnie opadło. – Dziś w nocy znalazłem tę szkatułkę w skrytce w jednym z mebli – otworzył wieczko i ułożył zawartość na biurku.

Zapadła cisza. Obecni w zdumieniu wpatrywali się w klejnoty koronne władców Creswell. Kanclerz zamrugał, jakby budząc się z transu.

– Ależ one zaginęły podczas przewrotu! – wyjąkał z niedowierzaniem.

– Myśleliśmy, że zdobyli je technokraci i nie chcą nam ich wydać. Obawialiśmy się, że mogli je nawet przetopić – dodał marszałek tubalnie.

– Nic się takiego nie stało. Ojciec przechował je dla mnie – odparł Domenic. – Res Addar twierdzi, że ojciec uczynił go regentem. Pan Chenault przyniósł dokument, który przedstawił wam pułkownik. Widnieje na nim królewska pieczęć.

– Zgadza się, znamy ten dokument – skinął głową Cerino. – Królewskie rozporządzenia zawsze są sygnowane w ten sposób, jeśli mają posiadać moc prawną.

– Ten dokument jest fałszywy – powiedział Domenic, wprawiając wszystkich w jeszcze większe zdumienie. – Chyba, że istnieje więcej niż jedna pieczęć. Ta oto – położył na blacie sygnet. – Ta znajdowała się w skrytce wraz z pozostałymi regaliami przez ostatnie dwadzieścia cztery lata.

Kanclerz wziął sygnet i dokładnie obejrzał. Potem podał ją marszałkowi.

– Zgadza się, to oryginalna pieczęć – orzekli obaj zgodnie.

– A jednak na dokumencie widnieje herb władców Creswell – wtrącił Bertrand tym swoim leniwym głosem. – Pytanie brzmi, w jaki sposób się tam znalazł, skoro właśnie stwierdziliśmy, że Stephane nie miał swojego sygnetu w Zoltray.

– Pułkownik Addar to zdrajca! – stwierdził równie gwałtownie, co autorytarnie admirał Taloer, nie kryjąc oburzenia. Jego twarz poczerwieniała z emocji. – Należy go aresztować, jak tylko wróci do Solatis, i postawić przed sądem!

– Nie! – sprzeciwił się ostro Domenic.

– Ależ, Wasza Wysokość... – próbował protestować Taman.

– W takim razie was również należałoby oddać pod sąd. Uznaliście żądania oszusta, nawet nie weryfikując ich podstaw – Domenic popatrzył na nich gniewnie. Pospuszczali głowy ze wstydem: co do tego nie było wątpliwości, dali się podejść jak dzieci. – Nie aresztujemy go. Na razie – dodał z naciskiem. – Mój ojciec podejrzewał, że zdrajców jest więcej niż tylko jeden. Aresztując Addara, zaalarmujemy resztę.

Cerino wyglądał na zaskoczonego.

– Pański ojciec, Wasza Wysokość? Skąd może pan o tym wiedzieć?

– Ponieważ zanim mnie z nim rozdzielono, ojciec zdążył przekazać mi Pokrewieństwo – odparł Domenic spokojnie.

Wśród ministrów zapanowało poruszenie.

– A więc ten dokument i tak nie jest ważny – stwierdził marszałek z namysłem. – Przekazanie Pokrewieństwa jest równoznaczne z przekazaniem władzy. A więc Stephane nie mógł uczynić Addara regentem z tej prostej przyczyny, że nie był już królem! – podszedł do Domenica, przyklęknął na jedno kolano, po czym wsunął sygnet na środkowy palec jego prawej dłoni. – A więc jednak mamy króla – dodał ze łzami w oczach i ucałował pierścień.

Domenic nie dał się ponieść tej wzniosłej chwili. To nie był odpowiedni czas na wspaniałe, lecz w gruncie rzeczy bezproduktywne gesty.

– A więc mogę liczyć na wasze poparcie i współpracę? – spytał rzeczowo.

– Póki życia, póty będziemy ci służyć, Najjaśniejszy Panie – przyrzekł kanclerz.

Chenault zerwał się ze swojego miejsca.

– Wybacz mi, Wasza Wysokość! – zawołał impulsywnie. – Wybacz, że zwątpiłem w twoje słowa!

Domenic potrząsnął głową.

– Nie musi pan przeproszać, szambelanie – spojrzał po twarzach wszystkich zebranych i był zadowolony z tego, co w nich zobaczył. – Zdaje mi się, że wyjaśniliśmy już sobie kwestie formalne. Czy teraz możemy zastanowić się nad naszym dalszym postępowaniem?

– Oczywiście, Wasza Wysokość – przytaknął marszałek. – Naszym głównym celem jest, jak sądzę, odzyskanie tronu?

– Nie – Domenic ponownie wprowadził ich w zdumienie. – Tron może poczekać. Najważniejsze jest wyrwanie spisku z korzeniami, ujawnienie zdrajców. To oni stanowią zagrożenie dla Creswell. Z pewnością mają powiązania z technokratami, możliwe że ci są tylko narzędziem w ich rękach. Nie znamy jednak ich planów, nie wiemy, jaki jest ich ostateczny cel. Zdobyli władzę rękami technokratów i od tamtego czasu nie działa się w zasadzie nic. Dopiero teraz... – przerwał nagle, kiedy coś przyszło mu do głowy. To było zbyt nieprawdopodobne, by mogło być prawdziwe, ale warto było się nad tym zastanowić. – Addar dał mi do podpisu dokumenty, na podstawie których miałbym zrzec się tronu. Panie Chenault?

– Zdążyłem je sprawdzić, Wasza Wysokość. Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że nie zostały przygotowane przez naszych prawników. Znam się na tym, Sire – zapewnił z gorliwością neofity. – Pewne subtelnosci w niektórych sformułowaniach wskazują na kancelarię rządową w Middan. To ich styl.

– Addar nie jest głupi – zauważył podejrzliwie Bertrand.

– Nie – zgodził się Domenic. – Liczył na moją głupotę. I wygrałby, gdyby nie Pokrewieństwo. On zdaje się nie wierzy w tę magię.

– Jego niewiedza i brak wiary działają na naszą korzyść – stwierdził Cerino. – Nawiasem mówiąc, sprytnie się do tego zabrał: przewrót, nieudolne rządy technokratów i on jako zbawca.

– Nie sądzę, by chciał zdobyć władzę dla siebie – wtrącił Chenault. – Nie ten typ.

Domenic nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Podejrzewał, że prawda jest znacznie bardziej skomplikowana, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

– A teraz zadanie dla was, panowie – popatrzyl po ich twarzach. – Chcę wiedzieć kilka rzeczy. Kto popiera technokratów, zwłaszcza nieoficjalnie? Kto finansował ich działalność przed przewrotem? Kto najbardziej skorzystał na rewolucji? – miał nadzieję, że w ten sposób uda się odkryć kolejnych zdrajców, a przynajmniej zwolenników, abyć może nawet dotrzeć do mocodawców, bo nie sądził, by Addar działał samodzielnie.

– Ja się tym zajmę – odezwał się Bertrand. – Moi ludzie wciąż działają i zbierają informacje. Dotrą wszędzie, gdzie tylko zechcemy.

– Proszę działać, panie ministrze – Domenic przerwał na chwilę, jakby dla zastanowienia. – Druga rzecz: może dojść do zbrojnej konfrontacji. Jeszcze nie wiem, jak to rozegramy, ale muszę wiedzieć, jakimi siłami możemy dysponować. Kto wciąż jest wobec nas lojalny? Kto może nam udzielić wsparcia? Kogo mamy się obawiać?

Admirał zasalutował sprężysto.

– To zadanie dla mnie, Sire. Wprawdzie armia poszła w rozsypkę po przewrocie, ale jest mnóstwo byłych wojskowych niezadowolonych z takiego stanu rzeczy i wciąż lojalnych wobec monarchii.

– Dobrze, admirale. Proszę się zorientować, czy będziemy mieli dostęp do sprzętu. Sam pan wie najlepiej, czego możemy potrzebować.

– Oczywiście, Sire. Tak jest, Sire.

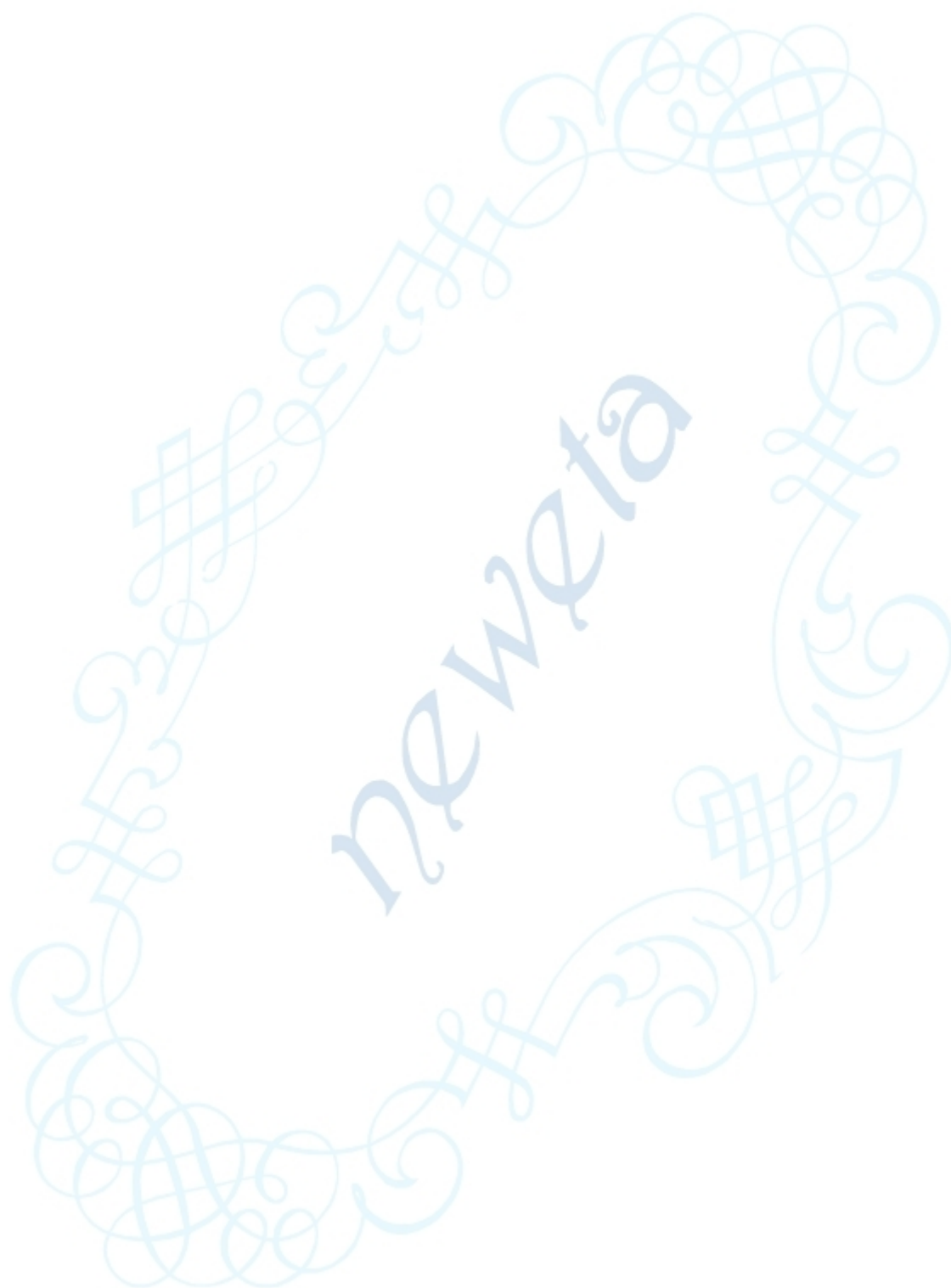
– Najważniejsza rzecz: dyskrecja. Nikt nie może dowiedzieć się o tym spotkaniu. Będziemy się komunikować przez pana Chenault. Oficjalnie nawet się nie znamy, czy to jasne?

Skinęli głowami. Kanclerz miał jeszcze kilka pytań, ale w zasadzie spotkanie na tym się zakończyło. Domenic był usatysfakcjonowany jego wynikami. Zdobył sojuszników na tyle godnych zaufania, na ile pozwalała na to obecna sytuacja.

Dwa tygodnie.

Przez dwa tygodnie musiał rozwiązać zagadkę, której nie podołał jego ojciec. Po dwóch tygodniach Addar dowie się, że nie podpisał abdykacji i zacznie się czegoś domyślać.

Tylko dwa tygodnie.



Rozdział siódmy

Niełatwo było znaleźć Świątynię. Domenic był przekonany, że w Solatis znajduje się przynajmniej jedna, ale nikt kogo o to zapytał, nie potrafił wskazać mu do niej drogi. Nawet terminal nie był w stanie tego zrobić – odpowiadał niezmiennym: “Polecenie niezrozumiałe, proszę powtórzyć”. Zrezygnowany wrócił do swojego apartamentu i, ku swojemu zdumieniu, zastał tam kapłana. Tego samego, którego już raz spotkał w podziemiach miasta.

– Wasza Wysokość chciał mnie widzieć – powiedział kapłan, kłaniając się nisko.

– Skąd pan wie?

– Mam na imię Menkaure, Wasza Wysokość – kapłan uśmiechnął się. – Skąd wiedziałem? – wzruszył ramionami. – Jestem kimś w rodzaju empaty.

Domenic uniósł brwi.

– Czytasz w myślach?

– Niezupełnie. Po prostu wyczuwam pewne rzeczy. Tak samo jak dziś wyczułem, że mnie potrzebujesz. Tak więc jestem. Rozkazuj.

Domenic zmieszał się nieco.

– Chciałbym zobaczyć Świątynię – skłamał. Nie za bardzo wiedział, jak ma wyrazić to, co naprawdę ciążyło mu na sercu. Kapłan też wydawał się mu nie dowierzać, bo przyglądał mu się wyczekująco. – Jeśli to nie sprawi kłopotu – dodał.

– Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość. Proszę za mną.

Szli, nie spiesząc się, korytarzami ogólnego dostępu. Mijani ludzie kłaniali się uprzejmie Domenicowi, a on uśmiechał się z lekkim zakłopotaniem. Nie czuł się jeszcze zbyt pewnie w roli osoby publicznej. Najgorsze było w tym wszystkim to, że jego znali wszyscy, natomiast on – nikogo. Mógł sobie być synem króla, ale to oznaczało jedynie tyle, że mógł się pochwalić wysokim urodzeniem. Gdyby nie Pokrewieństwo, nie wiedziałby co robić i w gruncie rzeczy nie miałby czego szukać w Solatis. Addar zjadłby go na śniadanie.

– Dlaczego nikt nie zna lokalizacji Świątyni? – spytał, kiedy znaleźli się w niezamieszkaną część miasta i wsiedli do jednej z wind.

– Jesteśmy ostrożni, Wasza Wysokość – odparł Menkaure. – Po przewrocie zamknięto wszystkie nasze placówki, a ich wyposażenie skonfiskowano. Najcenniejsze przedmioty zdołaliśmy ukryć tutaj. W Solatis znajdują się wszystkie nasze skarby, ze wszystkich świątyń na Creswell.

– Skarby? – zainteresował się Domenic.

Kapłan roześmiał się.

– Nie w dosłownym znaczeniu! Zresztą... sam zobaczysz, mój panie.

Winda zatrzymała się. Korytarz rozgałęział się – jedna jego część prowadziła w lewo, druga kończyła się skalną ścianą. Menkaure zignorował boczną odnogę, kierując się ku zaułkowi. Obejrzał się na Domenica, podążającego niepewnie jego śladem.

– Proszę się nie obawiać i iść za mną, Wasza Wysokość – powiedział, po czym przeszedł przez skałę, jakby jej wcale nie było.

Domenic stanął jak wryty. Opanował się po chwili i podszedł powoli do iluzorycznej ściany. Ostrożnie dotknął jej palcami – nie wyczuł żadnego oporu, jedynie delikatne łaskotanie. To mogło być pole siłowe lub... zakłęcie. Odetchnął głęboko, zrobił zdecydowany krok naprzód... i znalazł się w zupełnie innym świecie.

W pierwszej chwili blask oślepił go. Z raczej słabo oświetlonego korytarza wyszedł wprost w pełne słońce. Pomyślał, że znalazł się na zewnątrz, nad brzegiem jeziora. Minęło kilka sekund, zanim zorientował się, gdzie był naprawdę.

Bardzo jasny błękit był wszędzie wokół – w postaci wody. Woda jeziora była ponad jego głową i po bokach, utrzymywana na miejscu przez jakieś niewidzialne ściany. Ciśnienie musiało być potworne, a więc i tworzywo, z którego wykonano ściany boczne i sufit tego podwodnego korytarza, musiało by niezwykle wytrzymałe. Z ciekawością dotknął powierzchni, lecz jego dłoń zanurzyła się w wodzie bez żadnego oporu. Krzyknął cicho, pełen zaskoczenia.

Menkaure roześmiał cicho.

– Jesteśmy tu całkowicie bezpieczni, Wasza Wysokość – zapewnił.

– Nie wątpię – odparł Domenic sucho, choć przez chwilę miał wrażenie, jakby masy wody napierały wprost na niego, gotowe zmiażdżyć i sprasować ciśnieniem kruche ludzkie ciało. Szybko opanował narastającą panikę.

Uważniej przyjrzał się otoczeniu. Pod stopami miał gładką powierzchnię białego piasku, który rozkładał się jak dywan przez całą długość korytarza. Natomiast tam, gdzie była woda, falowały wodorosty, rosły gąbki, rafy, pływały ryby. Domenic nigdy nawet by nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie miał okazję oglądać podwodne życie z tak niezwyklej perspektywy.

W pewnej chwili do korytarza podpłynęło stworzenie, jakiego jeszcze nigdy nie widział. Do pasa było kobietą – niezwykle piękną, o zaokrąglonych kształtach i zielonkawobłękitnych włosach. Jej oczy, o intensywnej szmaragdowej barwie, błyszczały ciekawością i inteligencją. Od pasa w dół jej ciało było pokryte łuską, a zamiast stóp miała płetwy. Przez chwilę przyglądała się uważnie Domenicowi, po czym zbliżyła się wolno do korytarza i wyciągnęła ku niemu rękę, jakby chciała go dotknąć. Nie cofnął się, zauważając przy okazji, że między palcami jej dłoni znajdowała się błona pławna. Wtedy do Domenica zbliżył się kapłan, stworzenie najwyraźniej przestraszyło się, machnęło kilkakrotnie ogonem i zniknęło wśród wodorostów.

– Widziałeś? – spytał Domenic bez tchu. – Co to było?

– Syrena, panie – wyjaśnił Menkaure. – Mieszkają w tym jeziorze od wielu lat.

– Jest ich więcej? – zdziwił się Domenic.

– O, tak. Na Creswell żyje wiele magicznych stworzeń, niektóre z nich mogą być bardzo niebezpieczne, jeśli nie zachowa się odpowiednich środków ostrożności.

– Ale dlaczego nikt o nich nie wie? Przecież ktoś musiał się na nie natknąć!
Menkaure pokręcił głową.

– Ponieważ ta wiedza odeszła wraz z upadkiem monarchii. Technokraci dążą do wyeliminowania wszelkiej magii z codziennego życia ludzi. Usuwają magiczne stwory, niezależnie od tego, czy są zagrożeniem czy nie. Niedobitki poukrywały się w niedostępnych zakątkach globu, ale ich życie nie należy do najłatwiejszych.

– W ogóle niewiele wiadomo o magii – zauważył Domenic. – Jedynie ludzie ze starszego pokolenia mają o tym jakąś wiedzę.

– Magia została zakazana. Dlatego mieszkańcy Solatis to w większości rodziny, w których występuje najsilniej. W zwykłych szkołach nie ma już wykrywaczy magii, ani czarodziejów, którzy by jej nauczali, którzy mogliby pokierować młodymi ludźmi,

obdarzonymi talentem. Nieujarzmiona, moc wybuchu z wielką siłą. Słyszałem, że w takich przypadkach odbiera się dzieci rodzicom i umieszcza w specjalnych placówkach.

Domenicowi przypomnieli się sierociniec i ciarki przeszły mu po plecach. Wiedział co nieco na ten temat.

Podwodny korytarz kończył kolejną skalną ścianą, umiejscowioną tuż pod wodospadem. Woda z hukiem rozbijała się niemal tuż ponad ich głowami.

– Jesteśmy na drugim brzegu jeziora – poinformował Menkaure. Domenic domyślił się tego: widział ten wodospad, kiedy spacerował po plaży. – Oto wejście do naszej Świątyni – co powiedziawszy, przeszedł przez skałę jak przez powietrze.

Domenic, tym razem bez ociągania, poszedł w jego ślady. Znalazł się w pomieszczeniu raczej skąpo oświetlonym lampami. Menkaure pstryknął palcami i natychmiast pojawiło się więcej światła, mającego swoje źródło gdzieś u wysokiego sklepienia.

Świątynia była duża, podłużna w kształcie i raczej nie przypominała wystrojem ośrodka kultu: była bowiem zastawiona różnej wielkości gablotami i skrzyniami, w których leżały różne przedmioty, na ścianach rozwieszono obrazy i zwierciadła, tu i ówdzie stała jakaś rzeźba. Przy wejściu stały dwie wielkie rzeźby z czarnego kamienia, który zdawał się pochłaniać światło – przedstawiały jakieś niezwykle hybrydy: jedna miała ciało konia ze skrzydłami, druga podobnie, tylko zamiast końskiego łba miała tors i głowę mężczyzny trzymającego w dłoniach łuk, pozbawiona zaś była skrzydeł.

Menkaure pobiegł spojrzeniem za wzrokiem Domenica.

– W razie zagrożenia te posągi ożyją i będą bronić Świątyni przed intruzami – powiedział, a Domenic pomyślał w pierwszej chwili, że to żart. Kapłan jednak nawet się nie uśmiechnął.

W dwóch trzecich odległości od wejścia znajdowały się dwie naprzeciwległe nawy o łukowatych sklepieniach. Na najdalszej ścianie umieszczono wspaniały obraz – pomimo sporej odległości wyraźny i czytelny.

– Cztery siostry – zauważył Domenic, nie kryjąc zachwyty dla sztuki artysty. – Przepiękny obraz. Piękna legenda.

– Cztery siostry, cztery planety. Kwadrat Tessaliana – dodał kapłan. – Powinieneś

jednak pamiętać, panie, iż legendy dlatego są legendami, że tkwi w nich ziarno prawdy.

Domenic wciąż przyglądał się obrazowi. Postacie na nim przedstawione zdawały się poruszać, drzewa falować pod wpływem wiatru, a woda w sadzawce migotać błękitem w promieniach słońca. Był jak magia, jak ożywiona baśń, jak powrót do dzieciństwa.

– Więc to jest religia, którą wyznajecie, wy, kapłani? Stare legendy i magia?

– Można tak powiedzieć – przytaknął Menkaure z zagadkowym uśmiechem. – Proszę za mną, Wasza Wysokość, chciałbym abyś zobaczył coś jeszcze – ruszył ku jednej z naw; Domenic z wolna ruszył za nim, przyglądając się po drodze zgromadzonym w gablotach przedmiotom.

– Skarby – powiedział nagle. – To o nich wspomniałeś, prawda?

Kapłan zatrzymał się.

– Zgadza się, Wasza Wysokość. To magiczne przedmioty. Może i wyglądają niepozornie, ale zapewniam, że mają wielką moc. Strzeżemy ich nie tylko przed zniszczeniem, ale i przed ludźmi. Spójrz, panie, na przykład na ten zwój pergaminu. Ma tę właściwość, że cokolwiek zostanie na nim zapisane, staje się rzeczywistością.

Wyobraź sobie teraz ten zwój w rękach nieuczciwego polityka z przerostem ambicji.

– Rozumiem – skinął głową Domenic. Palcami dotknął zwoju. – A wy? Nie kusi was, żeby skorzystać z jego mocy? Moglibyście przecież odwrócić tyle tragedii, może nawet powstrzymać przewrót! – aż zrobiło mu się gorąco na samą myśl o tym.

Menkaure wydawał się nieco przestraszony podobnymi insynuacjami.

– Jesteśmy tylko strażnikami i opiekunami, Wasza Wysokość! Tylko król może wydać stosowne polecenie w kwestii ich użycia! Poza tym magia tego rodzaju jest dość niebezpieczna, a skutki trudne do przewidzenia – przerwał na chwilę. – Król Stephane znał możliwości, jakie tkwią w każdym z tych artefaktów, ale nie skorzystał z ich mocy. Rozumiał, że historia musi tworzyć się sama.

Domenic widział to w nieco inny sposób. Ojciec dążył do tego, by historia rozwinęła się właśnie tak, a nie inaczej. Miał w tym swój cel. Gdyby istniała szansa, że uda się oddalić niebezpieczeństwo od Creswell za pomocą któregośkolwiek z tych przedmiotów, skorzystałby z niej, nie bacząc na ewentualne konsekwencje. Ale wiedział, a teraz także i Domenic zdawał sobie z tego sprawę, że tego zagrożenia nie udałoby się usunąć w

podobny sposób.

Weszli do bocznej nawy. W przeciwieństwie do zagraconej wręcz nawy głównej, ta była zaskakująco pusta. Znajdowała się w niej tylko jedna rzeźba, umieszczona na niskim cokole, wykonana z niezwykłego kamienia – białego, poznaczonego siecią błękitnawych żyłek.

Posąg przedstawiał młodą kobietę o szlachetnie ukształtowanej twarzy, o włosach miękko opadających na ramiona, strojną w lekką suknię spiętą wspaniałą broszą. Migoczące światło spływające spod sklepienia sprawiało wrażenie, jakby rzeźba żyła, oddychała, jakby lada chwila miała się poruszyć, zejść z postumentu, zatańczyć, roześmiać się.

Domenic wpatrywał się w nią jak urzeczony. W jego oczach zalśniły łzy.

– Moja matka... – wyszeptał przez zaciśnięte gardło. Niemal bezwiednie podszedł do posągu i przesunął palcami po jego powierzchni, jakby spodziewał się wyczuć ciepło tętniącej pod skórą krwi. Kamień pozostał jednak zimny, obojętny i martwy. – Lady Dayiell... Moja matka pozowała do tej rzeźby, prawda?

– Zgadza się, Wasza Wysokość. Ten posąg powstał ponad tysiąc lat temu.

– Nie rozumiem – Domenic odwrócił się ku niemu z zaskoczeniem.

Menkaure skłonił się.

– Wybacz, mój panie, ale wzywają mnie obowiązki. Wrócę, kiedy będziesz mnie potrzebował – skłonił się ponownie i szybko oddalił.

– Zaczekaj... – Domenic próbował go zatrzymać, ale kapłan zniknął.

– Domenicu... – jakiś kobiecy głos dobiegł go od strony posągu. Głos z odległej przeszłości, głos jakże znajomy.

Odwrócił się.

Stała obok rzeźby, bliźniacza siostra. Włosy w kolorze szafirów spływały kaskadami po jej ramionach i plecach, oczy w kolorze intensywnego błękitu, jakiego trudno szukać pośród ludzi, patrzyły na niego z niepokojem, ale i radością, drżące wargi lśniąco szkarłatem rozchyliły się w niepewnym uśmiechu.

Postąpiła ku niemu dwa kroki, on ku niej także. I nagle już trzymał ją w ramionach, wtulał twarz w jej włosy pachnące słońcem i oceanem i czuł tak niewyobrażalną radość,

że nieomal sprawiało mu to ból.

– Matko – szepnął, pragnąc w jakiś sposób dać ujście rozpierającym go uczuciom.

– Już dobrze, moje dziecko. Jestem przy tobie – jej głos brzmiał jak najczulsza pieśczoła, jak najmiłsza melodia. Miał wrażenie, że śni.

– Powiedzieli mi, że zginęłaś podczas przewrotu – powiedział zduszonym głosem. Z zaskoczeniem stwierdził, że jest od niej wyższy. Minęło sporo czasu odkąd miał cztery lata.

Wyswobodziła się delikatnie z jego ramion, dotknęła dłonią jego policzka, jego oczu i ust, przeczesła palcami włosy.

– Jakiś ty podobny do ojca, synu – uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Ojciec nie żyje – powiedział. – Nawet go nie poznałem – dodał z gorczyką.

Położyła dłoń na jego piersi, tuż ponad sercem.

– Ale przecież właśnie go poznajesz – zobaczyła zdziwienie w jego oczach i dodała: – Po to tutaj przyszedłeś. By dowiedzieć się, czym są wizje, które dręczą twój umysł. Odpowiem na wszystkie twoje pytania.

Domenic zmarszczył brwi.

– Dlaczego ty, matko?

Ujęła jego dłoń i poprowadziła do głównej nawy, przed obraz przedstawiający cztery siostry.

– Ponieważ to, co się z tobą dzieje, ma ścisły związek z twoim mieszanym pochodzeniem.

– Mieszanym pochodzeniem? Nie rozumiem. Wiem, że nie pochodzisz z wysokiego rodu, ale to nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Uśmiechnęła się.

– Tu akurat się z tobą zgodzę, moje dziecko. Znasz legendę o czterech siostrach?

Wymień ich imiona.

– Errigall, Sabedell, Arewall i Creswell. Tak samo, jak nazwy planet Kwadratu Tessaliana. To stara legenda, uczyłem się o niej w szkole, kosmogoniczne wyjaśnienie niezwykłości w położeniu orbit tych czterech planet.

– Widzisz, moje dziecko, to nie tylko legenda. Moje pełne imię brzmi Dayiell

Creswell. Spójrz na obraz, przyjrzyj mu się uważnie. To ja i moje siostry: Amirian Errigall, Etaine Sabedell, Vielle Arewall.

Domenic przyglądał się jej z niedowierzaniem.

– Jesteś boginią?

Uniosła brwi. W jej oczach widoczne było lekkie zaskoczenie.

– Myślałam, że gorzej to przyjmiesz, nie doceniłam cię. Tak, jestem boginią. Nie zastanowiło cię, że nie zestarzałam się przez wszystkie te lata?

– Jesteś piękniejsza niż zapamiętałem.

– Pochlebca – pogroziła mu żartobliwie palcem, ale jego słowa sprawiły jej niekłamaną przyjemność. – Chodź. Zabiorę cię do krainy mojego dzieciństwa.

Otoczyła ich mgła. Zniknęła Świątynia, gabloty z magicznymi przedmiotami, obraz rozmył się za oparami. Po chwili ciemne barwy ustąpiły jasności. Mgła rozproszyła się.

Znaleźli się w ogrodzie. Drzewa obsypane kwieciami, soczysta trawa pod stopami, nieopodal szmerząca cichutko fontanna. I te kolory... Domenic nigdy w życiu nie widział barw tak intensywnych, tak... żywych, że aż zapierało dech w piersiach. Błękit nieba, lazur wody, zieloność traw, krwisty szkarłat róż, biel i zieleń drzew – widok tego bogactwa barw i odcieni był jak powolna śmierć i ponowne narodziny.

– Kraina Wiecznego Lata – szepnął z zachwytem.

Dayiell uśmiechnęła się.

– Wiedziałam, że ci się spodoba. Marzyłam o tej chwili od bardzo dawna.

Domenic podszedł do fontanny. W okrągłej sadzawce pluskały się jakieś barwne rybki. Pośrodku znajdowały się posągi mężczyzny i kobiety, złączonych w czułym pocałunku. Woda tryskała migotliwymi kaskadami z kamiennych liści winorośli, oplatających parę kochanków. Delikatna chmurka kropelek wody otaczała fontannę, a promienie słońca tworzyły z niej barwne tęcze. Domenic zmarszczył brwi, kiedy spostrzegł, że jest ich kilka. Spojrzał w niebo i przeżył niemały wstrząs, kiedy zobaczył aż trzy słoneczne tarcze.

– Trzy słońca? – spytał bez tchu.

– Może ich być tyle, ile zapragniesz – Dayiell machnęła ręką i dwie gwiazdy natychmiast zniknęły. Intensywność światła i ciepła nie zmieniła się przy tym ani na

jotę.

– Jakie to niezwykle – stwierdził Domenic.

– Bo to niezwykła kraina, mój synu. Jest tak plastyczna, że poddaje się naszej woli, naszemu pragnieniu. Jeśli tylko jest wystarczająco silne, możemy dowolnie kształtować tę rzeczywistość.

– Ja też?

– Jesteś moim dzieckiem, w twoich żyłach płynie krew bogów. Tak, ty też.

– Jak?

– Teraz?

– Tak.

Podeszła do niego i wzięła za rękę. Potem usiadła na murku fontanny. Usiadł obok niej.

– Najpierw musisz wyobrazić sobie to, co zamierzasz stworzyć lub przekształcić.

Popatrz na posągi – Domenic posłusznie zwrócił wzrok w tamtą stronę. – A potem musisz tego zapragnąć, zapragnąć z całej duszy i mocy. Zapragnąć tego, jak życia, jak słońca...

Posąg mężczyzny zmienił się. Jego ręka, spoczywająca dotychczas na biodrze posągu kobiety, przeniosła się na jej policzek. Kobieta natychmiast odchyliła się nieco do tyłu, patrząc zalotnie spod na wpół opuszczonych rzęs. Zmiana nastąpiła tak płynnie, że Domenic miał wrażenie, iż rzeźby na fontannie żyją, oddychają. A potem znów zastygły jak kamień, którym w rzeczywistości były.

Dayiell wyciągnęła przed siebie wyprostowaną dłoń. Po chwili dużo krótszej niż jedno uderzenie serca pojawił się w niej srebrny puchar wysadzany drogimi klejnotami. Oczy Domenica zrobiły się okrągłe. Kielich musiał być wart fortunę. Dayiell popatrzyła krytycznie na swoje dzieło, po czym nabrała weń wody z sadzawki. Podała puchar Domenicowi.

– Spróbuj.

Zajrzał do kielicha. Woda. Kiedy jednak zbliżył puchar do ust w nozdrza uderzył go intensywny aromat wina. Miało wspaniały, głęboki smak.

– Najważniejszą rolę odgrywa tutaj pragnienie – powiedziała Dayiell, kontynuując

lekcję. – Możesz spróbować. Nie bój się.

Przymknął oczy. W jego myślach pojawił się obraz. Zrazu był niewyraźny, mglisty, ale z upływem czasu dodawał mu coraz więcej szczegółów, a obraz nabierał głębi i życia. A kiedy był już gotowy, zapragnął by stał się rzeczywistością, by ożył, by stanął o własnych siłach na rajskiej polanie.

– Teraz – szepnął i otworzył oczy.

– Och, dziecko, jest wspaniały – powiedziała z zachwytem Dayiell, klaszcząc w dłonie niczym mała dziewczynka.

– Rzeczywiście mi się udało! – był naprawdę zaskoczony.

Kilka kroków od fontanny stał rumak – biały jak śnieg, o lśniącej aksamitną czernią grzywie i wspaniałym ogonie, o srebrzystych kopytach i oczach jak tysiące gwiazd. Spokojnie skubał soczystą trawę, od czasu do czasu potrząsając wspaniale ukształtowaną głową, jakby zaskoczony własnym pojawieniem się.

– Przywołaj go – poprosiła Dayiell. – Narodził się z twoich pragnień, a więc będzie słuchał tylko ciebie.

Ogier przytruchtał do niego z cichym rżeniem, po czym wtulił miękkie chrapy w jego dłonie. Domenic podrapał go delikatnie po smukłej szyi. Dayiell przyglądała się z uwagą im obu.

– Czuję, że jesteś bardziej bogiem niż człowiekiem – powiedziała cicho. – Nie możesz tam zostać.

Zrozumiał, co miała na myśli. Odesłał rumaka między drzewa i spojrzał na nią.

– Muszę, matko. Mam obowiązki. Ta kraina jest bardzo piękna, piękniejsza niż najcudowniejszy sen, ale mój dom jest gdzie indziej.

– Jeżeli teraz opuścisz Krainę Lata, już nigdy nie będziesz mógł tu wrócić – ostrzegła. Potrząsnął głową.

– Kocham cię, jak nikogo na świecie, matko, ale nie mogę tu zostać – spojrzał na ogiera, z ciekawością obwąchującego kępkę szczególnie urodziwych kwiatów. – Pozwól mi tylko zabrać Haerisa. Będzie mi przypominał o naszym spotkaniu.

– Nazwałś go? – wydawała się zaskoczona. – Zrobiłeś to dopiero teraz, czy już wtedy, gdy go tworzyłeś?

– Kiedy tylko go zapragnąłem. Czy zrobiłem coś nie tak? – zmarszczył brwi z niepokojem.

– Nie, oczywiście, że nie! – zapewniła. – Ale fakt, że nadałeś mu imię w momencie tworzenia świadczy o tym, że masz o wiele większy potencjał, niż można by się spodziewać po półbogu.

Teraz i on się uśmiechnął.

– Przecież jestem twoim synem – stwierdził. Przez chwilę oboje się nie odzywali, przyglądając się Haerisowi. – Opowiedz mi o wszystkim. Chcę znać całą prawdę – powiedział poważnie.

Westchnęła.

– Wiedziałaam, iż ten czas w końcu nadejdzie – wstała i wolno podeszła do rumaka. Zaczęła gładzić lśniący bielą grzbiet, co najwyraźniej sprawiało ogierowi wielką przyjemność, bowiem stał nieruchomo niczym wykuta w marmurze statua. – Przez dwadzieścia lat przygotowywałam się do tej rozmowy, a teraz nie wiem, jak zacząć – roześmiała się nerwowo.

– Po prostu powiedz. Miejmy to za sobą.

Skinęła głową, ale i tak milczała przez dłuższą chwilę.

– Twój ojciec nie mógł mieć dzieci – powiedziała w końcu. – Był bezpłodny.

Domenic wyglądał tak, jakby niespodziewanie dostał w twarz. Zbladł.

– Jak... – zaczął, ale Dayiell podniosła rękę w ostrzegawczym geście i umilkł.

– Wysłuchaj mnie najpierw, dziecko! – odwróciła się ku niemu. – Stephane powiedział mi, że w dzieciństwie przeszedł pewną operację. Chodziło o skomplikowaną manipulację genami. Podejrzewał, że właśnie wtedy pozbawiono go możliwości posiadania potomstwa. Nie był pewien, czy dokonano tego na czyjeś wyraźne polecenie, czy był to po prostu błąd w sztuce medycznej. Powszechnie przecież wiadomo, jak wielkie znaczenie ma to, by władca miał dziedzica. Skutków tamtej operacji nie udało się cofnąć, ale twój ojciec znalazł inny sposób. Poprosił o pomoc kapłanów, a oni zwrócili się do mnie – spojrzała na Domenica z czułością. – Poczyłaś się z magii i pragnienia, mój synu. Twoje narodziny były spełnieniem marzeń.

Moje narodziny pomieszały im szyki, pomyślał Domenic. Kolejne elementy układanki

wskakiwały na swoje miejsce. Wraz z jego narodzinami pojawił się następca tronu, prawowity dziedzic, a więc król nie musiał szukać innego spodkobiercy, kimkolwiek miałby on być. Biorąc pod uwagę Pokrewieństwo, musiałyby to być ktoś z rodziny. A więc tam należało szukać sprawców całego tego zamieszania.

– Znałaś rodzinę ojca? – spytał, choć raczej nie spodziewał się usłyszeć niczego konkretnego.

Zgodnie z jego przypuszczeniami, matka potrząsnęła głową.

– Twój ojciec znał prawdę o tym, kim jestem. I nikt ponadto. Dla wszystkich pozostałych, z wyjątkiem kapłanów, oczywiście, byłam tylko lady Dayiell, zwykłą szlachcianką. Musisz wiedzieć, że rodzina twojego ojca to w większości snobistyczni... ehm, sam rozumiesz – wzruszyła ramionami. – Wszystkich, którzy nie posiadają tej tak zwanej błękitnej krwi i przynajmniej kilku tytułów w metryce traktują jak powietrze. Wiem tylko, że twój ojciec miał siostrę, ale nie był z nią blisko związany. Szczerze mówiąc, nie lubił o niej rozmawiać.

Domenic kojarzył coś na ten temat. Siostra Stephane'a miała na imię Catharyn i była żoną władcy Sabedell, króla Tadao. I miała dwoje dzieci. Gdyby Stephane umarł bezpotomnie, oczywistym było, że któreś z nich dziedziczyłoby tron Creswell. Czy to Catharyn stała za przewrotem, za wszystkim co zdarzyło się później? Istniała taka możliwość.

Potrząsnął głową ze znużeniem. Wciąż tyle niewiadomych... Nagle ogarnął go gniew.

– Dlaczego mnie stamtąd nie zabrałaś?! – spytał z goryczą. – Miałem pięć lat, a potem sześć, a oni... – przerwał. W jego głosie był ból, którego dotychczas nie pozwalał sobie czuć. – Były węże, dużo węży... i straszne słowa, których wciąż nie mogę sobie przypomnieć... – Dayiell objęła go mocno, a on zaszlochał w jej ramionach jak dziecko.

Gładziła go po włosach i powtarzała:

– Jestem przy tobie. Wszystko jest już dobrze.

Rozumiała, że w końcu musiał to z siebie wyrzucić. Pewnego dnia te emocje mogły go zniszczyć. Lepiej, żeby właśnie teraz znalazły ujście, teraz gdy był względnie bezpieczny.

– Bogowie nie są wszechwiedzący, moje dziecko – powiedziała cicho, kiedy nieco się

uspokoił. – Mamy wielką moc, ale jesteśmy bardzo podobni do ludzi, choć niewielu z nas skłonnych jest to otwarcie przyznać. Nie wiedziałam, gdzie cię ukryto, a kiedy moi kapłani dowiedzieli się tego, miałeś już nową rodzinę i nowe imię, i nie pamiętałeś ani mnie, ani ojca. Nie chciałam wprowadzać dodatkowego zamętu w twoje życie. Ale moi kapłani obserwowali cię. Pamiętasz, jak byłeś w pierwszej klasie gimnazjum i zaatakował cię gang? Wiedziałam, że nic ci nie groziło, ponieważ chroniła cię tarcza.

Domenic przypomniał sobie Gereona Blaine'a rozwieszonoego na stojaku do rowerów i jeszcze dziś zrobiło mu się niedobrze.

– Tarcza?

– Ona działa do dziś. Nikt nie może bezpośrednio cię zaatakować. Jeśli ktoś spróbuje, tarcza zadziała przeciw niemu z proporcjonalną siłą.

– A co z wizjami?

– Będą przychodziły i odchodziły, moje dziecko. Są częścią twojej magii, a to ciężkie brzemię.

Domenic westchnął. Będzie musiał sobie jakoś z tym poradzić.

– Tyle się ostatnio wydarzyło, że wolałbym zostać tutaj, z tobą. Ale muszę wracać.

Skinęła głową. W jej oczach był smutek.

– Wiem.

– Będziesz mnie odwiedzać?

– Możesz być tego pewien, synu – odparła. Kielich wciąż stał na murku fontanny.

Ujęła go w obie dłonie i przez chwilę z napięciem wpatrywała się w jego zawartość.

Potem podała synowi. – Pij.

Ufnie przyjął kielich z jej rąk. Wino zmieniło smak – było teraz cięższe, bardziej aromatyczne i gęstsze. Gdyby nie wiedział, że to wino, mógłby uznać, iż pije krew. Wychylił jednak zawartość do dna, czując na sobie uważne spojrzenie matki. Dayiell skinęła głową, wyraźnie uspokojona, kiedy oddał jej puste naczynie, po czym wyciągnęła ku niemu rękę.

– Chodź, wskażę ci drogę powrotną.

Podał jej dłoń. Ponownie otoczyła ich mgła, robiło się coraz ciemniej. Nie obejrzał się za siebie, choć miał wielką ochotę na to, by jeszcze raz rzucić okiem na przepiękną

Krainę Wiecznego Lata. Ale nie zrobił tego, choć przecież nigdy już miał jej nie zobaczyć. Pocieszał się jednak tym, że matka obiecała go odwiedzać. Jego matka, bogini.

Mgła się rozproszyła. Świątynia wypełniła rzeczywistość. Znowu stał przed obrazem, a tuż obok niego cichutko rżał Haeris, zaskoczony dokonaną zmianą. Domenic poklepał go po wygiętej szyi, a ogier uspokoił się z wolna.

– Wracajmy – szepnął.

Kiedy się odwrócił, zobaczył Menkaure klęczącego na zimnej posadzce. Teraz już wiedział, dlaczego kapłani okazywali mu taką cześć – ponieważ był synem ich pani – bogini, ponieważ w jego żyłach płynęła jej krew. Zrozumiał też wizję, jaką mu ukazali, kiedy Addar przyprowadził go do nich, tę o krwi. Zrozumienie usunęło strach.

– Wstań, Menkaure – powiedział łagodnie.

Kapłan podniósł się z klęczek. Na jego twarzy zagościł uśmiech.

– Wróciłeś, Wasza Wysokość – wyglądał na ucieszonego tym faktem.

– Tak – przytaknął Domenic. – Czy mogę cię o coś prosić?

– O co tylko zechcesz, mój panie – Menkaure skłonił się.

Domenic zerknął na ogiera, który delikatnie skubał go po rękawie.

– Zajmijcie się Haerisem. Niech pasie się na łąkach wokół jeziora. Zadbajcie o jego potrzeby, jeśli ja sam nie będę mógł tego zrobić. Chcę, że był wolny.

– Oczywiście, mój panie. Zajmiemy się wszystkim.

Domenic skinął głową.

– Dziękuję – powiedział z wdzięcznością. – Długo mnie nie było?

– Zaledwie kilka minut, Wasza Wysokość.

No cóż, spodziewał się tego – albo czas w Krainie Wiecznego Lata biegł inaczej, albo też matka zmieniała jego upływ. Uśmiechnął się do siebie na jej wspomnienie. Już nie był samotny.

– Wracajmy – powiedział do kapłana. – Przede mną sporo pracy.

Menkaure ponownie przeprowadził go przez korytarz na dnie jeziora i pożegnał się z nim po drugiej stronie.

– Zjawię się, kiedy tylko będziesz mnie potrzebował, mój panie. Ja albo któryś z moich braci – skłonił się, ucałował z szacunkiem jego dłoń, po czym odszedł.

Domenic odprowadził go wzrokiem, dopóki kapłan nie zniknął za iluzoryczną skalną ścianą.

Nie skłamał twierdząc, że przed nim jeszcze dużo pracy. Chciał jeszcze tego dnia skontaktować się z przywódcą rodziny Matsushitaki. Podejrzewał, że nie jest nim brat Krissann, który w chwili śmierci ojca był zapewne niepełnoletni, a z pewnością zbyt młody, by stanąć na czele rodziny. Tak więc rodowi Matsushitaki musiał przewodzić najbliższy krewny – brat lub kuzyn Heelana. Musiał o to jeszcze spytać Krissann.

Ale na razie cieszył się przechadzką pustymi korytarzami niezamieszkannej części Solatis i rozpamiętywaniem swojej wizyty w Krainie Wiecznego Lata. Do tej pory znał ją tylko z legend – w dodatku nie bardzo wierzył w jej istnienie. Rzeczywistość przerosła wszelkie jego dziecięce wyobrażenia o tym cudownym, magicznym miejscu. I choć wiedział, że już tam nie wróci, to nie czuł żalu. Bowiem otrzymał w darze coś cenniejszego niż najwspanialsze krainy całego wszechświata – matkę. Wciąż trudno mu było uwierzyć, że ona żyje, że interesowała się jego losem przez wszystkie te lata, że go kocha... Nie potrafił nawet wyrazić ogromu szczęścia, jakie rozpierało mu duszę.

Czuł, że jest silniejszy. Świadomość faktu, że jego matka żyje dawała mu siłę do walki i nadzieję na zwycięstwo. Teraz był przekonany, że jest to możliwe – do tej pory nie był tego pewien. Nie był pewien niczego. Nareszcie poczuł się tak, jak powinien się czuć od samego początku – na swoim miejscu.

I było mu z tym wspaniale.

Rozdział ósmy

Akitaro Matsushitaki z namysłem zerknął na zawartość swojej szklanki. Bursztynowy płyn zakołysał się lekko, kostki lodu stuknęły o ścianki naczynia z charakterystycznym dźwiękiem. Rozmyślał.

Został prezesem korporacji Nihon prawie piętnaście lat temu, po śmierci swojego brata, księcia Heelana.

Bracia różnili się od siebie jak dzień i noc.

Heelan był mężczyzną przystojnym, wedle wszelkich standardów wytwornym i eleganckim, o królewskiej postawie i manierach, dumnym ze swojego pochodzenia i dziedzictwa, którego raczej nie pomnażał, a jedynie zachowywał. Zamiast interesami, wolał zajmować się działalnością charytatywną i społeczną.

Akitaro był inny. Nie miał w sobie za nic subtelności i uroku swego brata. Potrafił być czarujący w rzadkich chwilach, kiedy nie dochodziła w nim do głosu wrodzona gruboskórność i brak taktu. Tym, co go wyróżniało, była niezwykła namiętność do pieniędzy i żyłka do interesów.

Jako młodszy syn nie miał prawa do tytułu ani do rodzinnego majątku. Na tytułach mu nie zależało – po śmierci Heelana i tak odziedziczył je jego syn, Andreus – za całe bogactwo starego, arystokratycznego rodu przypadło w udziale jemu – Akitaro, jako najstarszemu z krewnych. W ciągu tych piętnastu lat zwieliokrotnił fortunę Matsushitakich i nie zamierzał na tym poprzestać.

Odstawił szklankę na biurko i przeniósł spojrzenie na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie masywnego mebla. Res Addar trzymał w dłoni taką samą szklankę z identyczną zawartością – wyglądał przy tym na bardzo z siebie zadowolonego.

– Niech się pan nie martwi – powiedział pułkownik uspokajającym i nieco strofującym tonem. – Wszystko idzie zgodnie z planem – osoba Addara wręcz promieniowała absolutną pewnością. Matsushitaki nie miał powodu, by w nią nie wierzyć. Z natury był jednak ostrożny.

– Ale aż dwa tygodnie... – potrząsnął głową. – Można to przecież załatwić w jeden wieczór.

Addar upił łyk alkoholu, wyraźnie delektując się jego smakiem.

– Mamy czas – zbagatelizował z właściwą sobie niedbałością. – Poza tym, gdybym za mocno naciskał, mógłbym wzbudzić jego czujność. Te dwa tygodnie to gwarancja, że wszystko pójdzie po naszej myśli.

– A więc podpisze?

– O, nie wątpię w to. Obawiam się, że nieco przeraża go wizja małżeństwa z rozsądku – dodał ze złośliwym uśmieszkiem.

Matsushitaki potrząsnął głową z irytacją.

– To wina mojej bratanicy, jak sądzę. Wbiła sobie do głowy, że musi wypełnić wolę swojego ojca. Ma równie niepraktyczne podejście do niektórych spraw, jak Heelan. Przyznam, że czasami jej nie rozumiem.

Pułkownik przyglądał mu się przez chwilę z ironią. Nie dziwił go brak zrozumienia Akitaro dla patriotycznych uczuć bratanicy. Ludzie jego pokroju nie znali pojęcia honoru, jedynym wyznacznikiem była dla nich ilość zarobionych pieniędzy – i dlatego między innymi byli idealnymi pomocnikami w życiowym dziele pułkownika. Cóż za paradoks: potrzebował ludzi, którymi w gruncie rzeczy pogardzał.

– Cóż – wzruszył ramionami. – Może też ma w tym jakiś konkretny cel. Przecież spodziewa się, że jej przyszły małżonek zostanie królem. Wtedy ona zostałaby królową.

– A więc nie jest aż tak głupia, jak myślałem! – prychnął lekceważąco Matsushitaki. – Powinniśmy zastanowić się, co zrobimy, jeśli pański chłoptaş jednak nie podpisze abdykacji.

Pułkownik uniósł brwi, niemo wyrażając zdumienie brakiem wiary swego rozmówcy w jego umiejętności.

– Wówczas – powiedział, a w jego oczach pojawił się lodowaty błysk okrucieństwa, zwykle starannie ukrywany. – Wówczas zmuszę go do tego.

Res Addar wkrótce wyszedł, wymawiając się obowiązkami. Matsushitaki został sam w gabinecie opływającym we wszelkie luksusy. Lód w jego szklance dawno się już rozpuścił.

Nienawidził Addara. Nie, bądźmy szczerzy – bał się go. Ponieważ Addar wiedział, co naprawdę się zdarzyło piętnaście lat temu. Ponieważ znał prawdziwą przyczynę śmierci

księcia Heelana. Ponieważ, w gruncie rzeczy, pomysł wyszedł od niego. A on, Akitaro Matsushitaki, uznał go za doskonały sposób rozwiązania swoich problemów i jednocześnie zaspokojenia ambicji. To było takie proste i wymagało tak niewiele wysiłku, że często zastanawiał się, dlaczego sam na to nie wpadł.

A potem został prezesem korporacji Nihon, głową rodziny Matsushitaki. Nagle stał się kimś. Niestety, Addar nie zapomniał o przysłudze, jaką mu oddał. Pojawił się pewnego dnia. Zażądał pieniędzy, ogromnych ilości pieniędzy. Zażądał posłuszeństwa. I Matsushitaki musiał mu to wszystko dać. Nie miał wyboru. Bardzo szybko mógł przecież skończyć, jak Heelan. Pułkownik trzymał go za jaja i obaj doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

Matsushitaki wstał i podszedł do wielkiego, panoramicznego okna. Daleko w dole rozciągało się miasto. Miasto, które sam zbudował. Jego interesy obejmowały cały Kwadrat i sięgały powoli poza jego granice, na pozostałe planety systemu Tessaliana, a na Creswell był jednym z najpotężniejszych przedsiębiorców. Mógłby obalić rząd technokratów jedynie odmową robienia z nimi interesów. Ale, oczywiście, Addar nie pozwoliłby mu na to.

W zasadzie to Addar rządził korporacją. Akitaro Matsushitaki zaczynał od rodzinnej firmy, z czasem przekształcił ją w wielki konglomerat, ale teraz to Addar decydował o polityce firmy, o kierunkach jej rozwoju. Jej prezes był jedynie figurantem. Oczywiście, nikt o tym nie wiedział.

Właściwie mogłoby mnie tu nie być, pomyślał z goryczą Akitaro.

Najbardziej irytowało go to, że był jedynie narzędziem w rękach pułkownika. Jak sługa, jak... jak niewolnik. Addar przychodził i odchodził, tak jak dziś, żądał, wymagał i rozkazywał. Nigdy niczego nie wyjaśniał, nie mówił dlaczego, ani dla kogo. Nigdy nie wtajemniczył go w swoje plany, nie dopuścił do sekretu. Nie uważał za wystarczająco godnego zaufania.

Akitaro wiedział, że Addar pogrywał na dwie strony. Jaki jednak miał w tym cel, pozostawało zagadką. Nie wiedział też niczego o jego szefach – kim byli, czego chcieli? Pułkownik był bardzo ostrożny i nigdy się nie zdradził.

Matsushitaki zamierzał opuścić biuro, kiedy zjawił się jego sekretarz.

– Panie prezesie, księżniczka Krissann i książę Domenic czekają na rozmowę z panem – poinformował służbowym, pozbawionym intonacji głosem.

Akitaro z trudem ukrył zdumienie. Addar zapewniał, że szczeniak jest tak skołowany, że nie ruszy się z Solatis nawet na krok. Oczywiście, to Krissann go tu przywlokła. Pewnie chciała ich sobie oficjalnie przedstawić. Jasna cholera!

Nie mógł teraz z nim rozmawiać. Nie teraz. Nie był na to w ogóle przygotowany. Nawet nie przypuszczał, że znajdzie się w tak niezręcznej sytuacji. Z drugiej strony, nie mógł przecież odprawić swojej bratanicy z kwitkiem. A więc musiał ją przyjąć. Ich oboje.

Niech to szlag!

– Proszę ich wprowadzić – powiedział do sekretarza z kamienną twarzą.

Umiejętność zachowania zewnętrznych pozorów spokoju kosztowała go wiele lat pracy, ale już nie raz pomogła mu w kryzysowych sytuacjach. Podczas skomplikowanych, wielogodzinnych i delikatnych negocjacji handlowych nie ma nic gorszego niż pozwolenie sobie na okazywanie słabości. Trzeba być twardym jak skała – a przynajmniej sprawiać takie wrażenie.

I teraz jego legendarne opanowanie zostało wystawione na ciężką próbę. Wprawdzie Addar wspominał, jak bardzo Domenic jest podobny do swojego ojca, ale Matsushitaki miał wrażenie, jakby to sam Stephane wchodził do jego gabinetu. Ta sama twarz, ta sama postać, gesty, wszystko, a nawet więcej. Domenic miał w sobie coś, co sprawiło, że Akitaro praktycznie bez udziału woli zgiął się w poddańczym ukłonie. Zrobił to, zanim w ogóle zastanowił się, jak powinien się wobec niego zachować.

– Witaj, wuju – powiedziała Krissann, a Akitaro natychmiast odzyskał względny spokój.

– Witajcie w moich skromnych progach – odpowiedział skinieniem głowy na powitanie obojga młodych. – Proszę, siadajcie – wskazał im miejsca naprzeciwko biurka, sam zasiadł w swoim fotelu. – Co cię do mnie sprowadza, moja droga? – zwrócił się do Krissann, zakładając, iż to ona ma doń jakąś sprawę. Zakładał błędnie.

– Wybacz, wuju, to Domenic nalegał na rozmowę z tobą – wyjaśniła. – Ja pełniłam jedynie rolę przewodnika – dodała z uprzejmym, acz niezbyt serdecznym uśmiechem.

– Hm! – Matsushitaki zerknął na młodego księcia. Miał złe przeczucia. Albo Addar nie powiedział mu na jego temat wszystkiego, albo też... sam nic nie wiedział. To drugie przypuszczenie było wręcz nieprawdopodobne. – Więc o co chodzi, Wasza Wysokość? – popatrzył prosto w oczy młodego mężczyzny, sądząc iż ten ugnie się pod siłą jego spojrzenia. Tak się jednak nie stało. To Akitaro musiał odwrócić wzrok. I nagle poczuł wręcz dziką przyjemność na myśl, że z tym samym będzie musiał się zmierzyć pułkownik Addar. Najwyraźniej sporo się działo poza jego plecami.

Domenic bez słowa zdjął z szyi łańcuszek z monetą Heelana i podał go Matsushitakiemu. Ten zerknął na niezwykłą zawieszkę i już wiedział, o co może chodzić. Nie dał jednak niczego po sobie poznać.

– Bardzo niezwykła ozdoba – stwierdził obojętnie, obracając połówkę monety w palcach.

– Pański brat dał to mojemu ojcu na krótko przed przewrotem – wyjaśnił Domenic spokojnie.

A więc wie, przemknęło przez myśl Matsushitakiemu. Ciekawe, skąd? Skoro jednak wiedział, nie było sensu zaprzeczać. Podeszedł do sejfu, ukrytego za iluzoryczną ścianką po prawej stronie biurka, otworzył go i wyjął drugą połowę monety. Przyniósł obie części do biurka i zetknął złamaniami. Zaiskrzyło błękitem, kiedy połączyły się ze sobą. Matsushitaki podniósł wzrok.

– A więc, czego Wasza Wysokość ode mnie oczekuje? – spytał chłodno.

Domenic nie wyglądał na speszzonego jego obojętnością.

– Mój ojciec powierzył księciu Heelanowi sprawowanie opieki nad majątkiem rodziny Allisandre – odparł. – Oczekuję sprawozdania w tej sprawie.

A więc o tym też wie. Cholera jasna, wie zaskakująco dużo, jak na kogoś, kto przez ponad dwadzieścia lat nawet nie wiedział, kim jest!

– Spodziewam się również pańskiej pomocy w zdemaskowaniu i ukaraniu zdrajcy, który doprowadził do zamachu stanu – ciągnął Domenic niewzruszenie.

Matsushitakiemu ciarki przeszły po plecach. Jemu chodzi o Addara, uświadomił sobie nagle. Ale nie to było najważniejsze, tylko fakt, że zarówno pułkownik jak i on sam byli takimi samymi zdrajcami. A skoro ten szczeniak dowiedział się już tak wiele, to

pozostawało kwestią czasu, kiedy dowie się więcej. Akitaro poczuł skurcz strachu. Czyżby po tylu latach przyszło mu się pożegnać z pozycją i bogactwem, jakie sobie zapewnił? Nie. Nie mógł do tego dopuścić.

– Przyznam, że nie rozumiem – powiedział ostrożnie.

Krissann zerkała to na jednego, to na drugiego, wyczuwając rosnące napięcie. Czują je w powietrzu, iskrzyło wyładowaniami na końcówkach jej palców. Domenic spojrział na nią w szczególny sposób, a ona skinęła głową ze zrozumieniem i wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Akitaro odprowadził ją pochmurnym spojrzeniem. Posłuszeństwo Krissann zrobiło na nim spore wrażenie, zwłaszcza że jego bratanica niełatwo ulegała jakimkolwiek wpływom. Przeniósł spojrzenie na Domenica i olśniło go: ona widziała w tym młodym mężczyźnie swojego króla. Cóż, technicznie rzecz biorąc, miała rację.

– Moja ostatnia prośba to był test – oznajmił Domenic. – Nie zdał pan.

Akitaro zrobił wielkie oczy. Ten szczeniak go podpuszczał?!?

– Przyznam, że wciąż nie pojmuję – grał na zwłokę.

– Wiem, że był u pana pułkownik Addar. Jakąś godzinę temu, zgadza się?

Matsushitaki zeszytniał. Skąd on o tym wie, u diabła?! Zaskoczenie musiało pojawić się na jego twarzy, bowiem Domenic uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Niech pan nie będzie taki zdziwiony. Odczytałem pana.

Akitaro potrząsnął głową. Coraz mniej mu się podobała ta rozmowa.

– Nie rozumiem – tym razem nie udawał. Naprawdę nie rozumiał, o co chodzi.

– Myśli są jak mgła – Domenic zrobił odpowiedni gest dłonią. – Potrafię je wychwycić i odczytać.

Matsushitaki zastanawiał się gorączkowo. Addar twierdził, że w Notus zajęto się magicznymi predyspozycjami następcy tronu. Że blokady mentalne, jakie mu tam założono są nie do złamania. Czyżby Addar się mylił? Czy też szczeniak blefował? Akitaro nie mógł wykluczyć ani jednego, ani drugiego.

– Nie blefuję, Akitaro – głos Domenica nabrał twardości stali. – Addar się nie mylił.

Po prostu nie znał wszystkich faktów.

Matsushitaki opadł na fotel, jakby uszło z niego powietrze.

– Znam znaczenie monety – kontynuował Domenic tonem, od którego Akitaro cierpła skóra na grzbiecie. – Ty też je znasz.

– Czego w takim razie żądasz?

– Niczego. Nie od ciebie – jego głos wręcz ociekał pogardą. – Przychodząc tutaj, w zasadzie nie wiedziałem, jakim jesteś człowiekiem. Zamierzałem prosić cię o pomoc, ale teraz widzę, że to nie ma większego sensu. Jesteś uwiązany na smyczy Addara, niczym tresowane zwierzę.

Matsushitaki zacisnął szczęki tak mocno, że aż zatrzeszczały stawy. Odwrócił wzrok. Dokładnie tak się teraz czuł.

– Tak więc możesz uznać, że tej rozmowy nigdy nie było – ciągnął Domenic bezlitośnie. – Chcę tylko dostać wykaz moich majątności, resztę spraw z tym związanych załatwią nasi prawnicy.

– Skąd masz pewność, że nie powiem Addarowi o twojej wizycie? – spytał Matsushitaki zaczepnie.

Domenic uśmiechnął się szyderczo.

– Ponieważ wówczas syn twojego brata dowie się, w jaki sposób zginął jego ojciec. A wtedy nikt i nic cię nie ochroni przed jego zemstą – Domenic doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co mówił. Ród Matsushitaki posiadał wielowiekową tradycję karania zdrajców – tradycję brutalną i bezlitosną, ale i piękną w swej prostocie. A przede wszystkim skuteczną.

Akitaro ciężko skinął głową na znak, że zrozumiał. Domenic wstał i skierował się ku drzwiom.

– Miłego dnia, panie prezesie – powiedział uprzejmie, ale zabrzmiało to jak szyderstwo.

Akitaro drgnął, kiedy stuknęły drzwi. Czuł się tak, jakby odarto go z resztek godności i wdeptano w błoto. Czuł jego smak w ustach. Był gorzki. Smakował porażką.

Addar był głupcem, skoro lekceważył tego “szczeniaka”, który miał więcej siły niż pięciu takich jak on. Akitaro nie mógł się zdecydować: zacząć go podziwiać czy nienawidzić. Ale cieszyło go jedno: że to nie on jest jego głównym przeciwnikiem.

Akitaro Matsushitaki w rzeczywistości był tchórzem. Owszem, potrafił być twardy w

interesach, zwłaszcza kiedy działał z pozycji siły. Ale nie mógłby, na przykład stanąć przed pułkownikiem Addarem i wygarnąć mu wszystkiego prosto w oczy. Nigdy by się na to nie odważył. Addar przerastał go o klasę.

Podobnie jak Domenic. O, to był syn naprawdę godny swojego ojca.

A on, Akitaro Matsushitaki, prezes wielkiej korporacji Nihon, był skończony.

Niezależnie od tego, kto w ostatecznym rozrachunku sięgnie po laur zwycięstwa – on przegra.

Krissann czekała na Domenica w sekretariacie. Wyszli bez słowa pożegnania, sekretarz odprowadził ich lekko zaskoczonym spojrzeniem. Kriss o nic nie pytała – Domenic miał taki wyraz twarzy, że wołała tego teraz nie robić. Był jej za to wdzięczny. Nie miał w tej chwili ochoty na rozmowę z kimkolwiek – był zanadto wzburzony.

Nie przypuszczał, że sprawy przybiorą tak niekorzystny obrót. W osobie Akitaro Matsushitakiego spodziewał się znaleźć sojusznika, a tymczasem... No, właśnie. Wchodzenie w układy z takim osobnikiem to było jak publiczne poderżnięcie sobie gardła. Polityczne samobójstwo. Nie mógł wprost uwierzyć, że rodzina, do której należał taki człowiek jak książę Heelan, mogła również wydać kogoś takiego jak Akitaro.

– Dokąd jedziemy? – spytała Krissann, kiedy opuścili biurowiec tylnym wyjściem i znaleźli się w śmigaczu. Kierowca – android czekał cierpliwie na polecenie.

Domenic nie zastanawiał się ani przez chwilę.

– Gdzie mieszka twój brat?

– W naszej rodowej posiadłości, niedaleko Marakei. Ale czy to nie jest dla ciebie zbyt niebezpieczne?

Wzruszył ramionami.

– A któż miałby się mnie tam spodziewać? Poza tym oficjalnie muszę poprosić Andreusa o twoją rękę.

Popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

– Myślałam, że poprosiłeś o to wuja Akitaro!

– Nie – uciął krótko, a Krissann zrozumiała, że nie powinna pytać o więcej.

Przez całą drogę zastanawiała się jednak, co zaszło w gabinecie po jej wyjściu.

Domenic nie wyglądał wszakże na skłonnego do zwierzeń na ten temat.

Rodowa posiadłość rodziny Matsushitaki była wspaniała. Zamek, choć rozbudowywany przez stulecia, zachował swój historyczny charakter i atmosferę. Otaczał go rozległy park, w którym rosły kilkusetletnie drzewa. Posiadłość ta jako jedna z nielicznych ostała się przed zakusami technokratów na arystokratyczne siedziby – Domenic wiedział już dlaczego.

Andreus okazał się naprawdę godnym nazwiska Matsushitaki. Tak jak Domenic był wierną kopią swojego ojca, tak Andreus był odbiciem Heelana. Obaj byli prawie w jednym wieku i szybko doszli do wzajemnego porozumienia. Krissann przyglądała się z niedowierzaniem, jak jej brat i narzeczoney w pół godziny stali się przyjaciółmi. To było po prostu niewiarygodne: męska przyjaźń w pełnym rozkwicie. A kiedy Domenic wrócił do Solatis, ona jeszcze została, by porozmawiać z Andreusem.

– Co o nim sądzisz? – spytała po kolacji, kiedy zostali sami. – Chyba ci się spodobał, nieprawdaż? – dodała z przekornym błyskiem w oku.

Andreus roześmiał się i uniósł kieliszek wypełniony winem w geście toastu.

– Ojciec dokonał dobrego wyboru, tego możesz być pewna, siostró.

Przytaknęła, ale bez większego entuzjazmu.

– Wiem, ale... Trochę się go boję...

Uniósł brwi.

– Zaskakujesz mnie, Kriss. Nie boisz się przecież ani naszego szacownego wujaszka, ani nawet pułkownika Addara. Co więc sprawia, że obawiasz się Domenica?

Potrząsnęła głową.

– Sama nie bardzo wiem. Zwykle jest miły i uprzejmy, raczej spokojny, powściągliwy. Ale dzisiaj miałam wrażenie, że eksploduje... Miał taki straszny wyraz oczu... – spojrzała na brata bezradnie. – Wydaje mi się, że on nie ufa naszemu wujowi.

– Nie on jeden, wierz mi. Jednak z tego, co mówisz wynika, że doszło między nimi do znacznej różnicy poglądów... delikatnie mówiąc – zamyślił się. – Ciekawe, bardzo ciekawe... – szepnął do siebie.

– Andre! – Krissann popatrzyła na niego gniewnie. – Nie słuchasz mnie!

– Wybacz, moja droga. Ale nadal nie rozumiem, skąd twój strach. To, że Domenic

postawił się wujowi Akitaro, świadczy tylko o tym, że ma silny charakter. Ergo, będzie dobrym królem. O to chodziło.

– No... tak, w zasadzie masz rację – Krissann wpatrywała się w swoje dłonie. –

Andre... ale ja go nie Kocham.

– Ach, tak? Więc to o to chodzi! – westchnął. – Wybacz niedyskretne pytanie: czy Kochasz kogoś innego?

– Nie, oczywiście, że nie!

Andreas wyglądał na zdziwionego.

– Więc w czym problem? On z pewnością też cię nie Kocha. To przyjdzie po ślubie, z czasem. Niestety, jest to ryzyko związane z zawieraniem małżeństw politycznych.

Krissann nie wydawała się przekonana.

– Ale...

– Dorośnij w końcu, droga siostró! To jest małżeństwo z rozsądku. Nasi ojcowie pragnęli tego, a więc nam pozostało tylko spełnić ich wolę.

– Dobrze ci mówić, Andre! To nie ty wyjdiesz za mąż po dwudziestu latach narzeczeństwa za człowieka, którego właściwie nie znasz!

Andreas uśmiechnął się, kiedy dotarło do niego pełne znaczenie jej słów.

– Ach, tu cię boli. Chyba zaczynam rozumieć. Od dzieciństwa mówiono ci, że pewnego dnia poślubisz księcia Domenica, królewskiego syna i następcę tronu. I przez cały ten czas on był tylko widmem nieokreślonej przyszłości. Aż w końcu stał się rzeczywistą, żywą osobą i to pewnie nie taką, jak sobie wyobrażałaś, co zapewne cię przeraża. Czy mam rację?

– To nie tak, mój drogi. Domenic jest wspaniały, sam widziałeś, ale kiedy dziś wyszedł z gabinetu wuja Akitaro... przestraszyłam się. Zawsze był taki miły...

Andreas potrząsnął głową z irytacją.

– Droga siostró, gdyby był miły, ci dranie pozarliby go na śniadanie. Miły pozwoliłby sobie wepchnąć sztylet między żebra i wypruć z siebie flaki – Kriss skrzywiła się, słysząc takie określenia z ust brata. – On nie ma być miły. Nie ma być rozpieszczonym książęciem, tylko królem! Co ty sobie wyobrażasz, na wszystkich bogów?

Zapadła cisza. Słychać było jedynie szum wiatru zza okien i świergot ptaków, których

gniazda znajdowały się pośród koron drzew. Pierwsza odezwała się Krissann.

– Masz rację, Andre – powiedziała powoli. – Byłam niemądra.

– Co najmniej, moja droga – brat był bezlitosny, ale uspokajający uśmiech złagodził przyganę. – Nie musisz się go bać, siostrzyczko – zapewnił. – On ciebie nigdy nie skrzywdzi. To, co dziś widziałaś... Taką twarz będą oglądali nasi wrogowie.

Krissann również się uśmiechnęła.

– Nie mam zamiaru im współczuć.

Andreas ponownie uniósł kielich.

– Niech im ziemia lekką będzie.

Tym razem oboje dopełnili toastu.

Domenic wrócił do Solatis przed zmierzchem. Chenault już na niego czekał, niespokojny i zniecierpliwiony.

– Pułkownik Addar tu był – poinformował na powitanie. – Chciał się z tobą zobaczyć, Wasza Wysokość, ale powiedziałem, że kapłani oprowadzają cię po swojej Świątyni.

– Dobrze – skinął głową Domenic. – Nie powinien się dowiedzieć, że opuszczałem Solatis.

– Bo i nie powinieneś być tego robić, Wasza Wysokość – przytaknął Chenault. – To zbyt niebezpieczne. A gdybyś wpadł w ręce tajnych służb?

– Gdyby Addar tego chciał, już dawno wylądowałbym w Zoltray i nikt by mnie przed tym nie uchronił. Jego plan najwyraźniej tego nie przewiduje. Poza tym, niewiele zdziałam siedząc tutaj beczynn timer – odparł. – Addar chciał czegoś konkretnego?

– Nie, powiedział, że wpadł przejazdem. Zabrał część swoich rzeczy, sądzę więc, że nie będzie go przez kilka dni.

– Świetnie. Ale i tak musimy się spieszyć.

Zamyślił się. Nie wiedział, co planował Addar, ale mógł się tego domyślić. Co pułkownik mógłby zrobić, aby zmotywować go jeszcze bardziej do podpisania dokumentów abdykacyjnych? Przekupstwo? Nie, to już było. A więc szantaż.

– Panie Chenault?

– Tak, Wasza Wysokość?

Domenic wolno odwrócił się ku niemu.

– Należy jak najszybciej zorganizować zniknięcie moich przybranych rodziców i przewieźć ich do gdzieś, gdzie nikt nie będzie ich szukał. Możliwe, że Addar zechce wykorzystać ich przeciwko mnie.

– Mamy ich przewieźć do Solatis?

Ale Domenic potrząsnął głową.

– Nie. Sam wybiorę odpowiednie miejsce.

Obudził go jakiś szelest. Przez chwilę sennie zastanawiał się, co też to mogło być, kiedy w ciemnościach sypialni wyczuł jakiś ruch. Natychmiast stał się czujny, resztki snu odfrunęły niczym porwane wiatrem.

Zlokalizował postać tuż przy swoim łóżku – nikły blask delikatnie pieścił jej nagą skórę, prześlizgiwał się po wypukłościach i ginął w cieniu.

– Kriss?...

Jakby czekając na moment rozpoznania, odrzuciła prześcieradła zdecydowanym ruchem i położyła się obok niego. Jej miękkie piersi dotknęły jego nagiego torsu. Zadrżał.

– Kriss, co ty wyprawiasz? – próbował zaprotestować, ale pocałowała go, nie dając mu dojść do słowa.

– Sz... – szepnęła. – Nic nie mów. Tylko czuj.

Poddał się. Dawno już nie czuł czegoś takiego: rozkoszy bolesnej jak śmierć i ponowne narodziny, intensywności uczuć napierających ze wszystkich stron do granic możliwości. A kiedy najmniej się tego spodziewał, jego magia rozwinęła się i uderzyła w nich oboje, spowijając ich swą mocą, wyrывая z ich ust okrzyki zaskoczenia, niedowierzania i rozkoszy, rozwiała im włosy, zapłonęła ogniem na skórze i w sercach, rozplomieniła oczy. Niemal stracili przytomność.

Leżeli potem, skóra przy skórze, w omdleniu, na nowo ucząc się oddychać.

– Nigdy nie sądziłem, że coś takiego jest możliwe – szepnął, kiedy już był w stanie to uczynić.

– To twoja magia. Byłam kiedyś z pewnym magiem, ale jego moc nie była nawet

cieniem twojej... – potrzęsnęła głową z niedowierzaniem. – Dysponujesz potężną siłą, Domenicu.

Nie odezwał się. Nie był magiem – lecz w jego żyłach płynęła krew bogów, więc i magia musiała być przez to silniejsza. Dziwne, że objawiła się dopiero teraz – miewał już przecież przygody z kobietami. Może to dlatego, że i Kriss dysponowała iskierką magii i ta iskra wystarczyła, by obudzić z uśpienia jego własną?

Nieważne.

Popatrzyła nań z filuternym uśmieszkiem.

– Masz ochotę na powtórkę?

Znów o niej śnił – o istocie splecionej ze światła i blasku, tej, która nawiedzała jego sny od tylu lat.

Przesuwał szponami po jej skórze, delikatnie, a jednak na tyle mocno, że w ślad za nimi pojawiały się drobniutkie koraliki kropelek krwi. Wzdychała z bólu i rozkoszy, nie pozostając mu dłużna w wyrafinowanych pieszczotach.

“Jesteś mój”, szeptały jej oczy.

“Należysz do mnie”, odpowiadały jego pocałunki.

W jego śnie pojawił się nowy element: magia. Spowijała ich ciała niczym druga skóra, splatała w jedno ich dusze, ich jaźnie, aż nie wiedzieli, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie. Ta magia różniła się bardzo od tej, jaką dzielił z Krissann. Tamta była zaledwie jej odcieniem, jej bladym odbiciem. Ta tutaj była niemal materialna, równie namacalna jak skóra pod palcami, zdawała się posiadać fakturę i ciężar. I była potężna niczym huragan, niczym wybuch supernowej.

Kobieta – myślał o niej jak o kobiecie, choć zdawał sobie sprawę, że nie jest ona człowiekiem, nie z tymi szponami i wydłużonymi kłami, nie z tymi barwami oczu, skóry i włosów – patrzyła na niego z takim natężeniem uczucia, że odczuwał to niemal boleśnie. I wiedział, że jego spojrzenie wyraża taki sam żar, taką samą namiętność. Samą magią sprawiał, że wiła się i drżała z rozkoszy.

Przebudził się niespodziewanie, bez żadnego powodu. W jego sercu wezbrał żal, że sen już się skończył, że nie dane mu było w nim pozostać. Za żalem powróciła tęsknota

za tą magiczną, bezimienną istotą. Było to tak przejmujące uczucie, że niemal zapłakał.

Kiedy próbował ukryć twarz w dłoniach, odczuł pewnego rodzaju dyskomfort. Pomimo ciemności wyraźnie dostrzegł długie szpony u swych palców. Badawczo przesunął językiem po zębach, ale te pozostały niezmienione. Szpony zniknęły po kilku minutach, jakby podążając w ślad za snem – w krainę niebytu.

Ogarnęła go frustracja.

Zerknął na Kriss, której spokojny oddech mącił nieco nocną ciszę komnaty. Zastanawiał się, jak zdoła żyć z nią w małżeństwie, skoro wciąż tęsknił za kimś innym. Krissann nie byłaby zadowolona, gdyby się dowiedziała, że w jego snach króluje inna kobieta – stokroć piękniejsza i bardziej upragniona.

A co będzie, jeśli pewnego dnia ją spotka? Co wtedy? Czy powinien wyrzec się pragnienia, tęsknoty i pozostać obojętnym? Z drugiej strony jednak nie mógł zrezygnować z tego małżeństwa. Po prostu nie mógł, nawet gdyby chciał. To było bardzo dziwne uczucie, jakby siedziała w nim obca istota i dyktowała, co powinien zrobić. Chwilami przerażało go to, że czuł się jak marionetka, jakby ktoś niewidzialny pociągał za sznurki, uwiązane głęboko w jego psyche. Starał się pamiętać, że tak właśnie działa Pokrewieństwo, ta niezwykła magia rodu Allisandre i że to ona nakazywała mu takie a nie inne postępowanie.

Pamiętał o tym, a jednak... czuł niepokój, nie tylko z powodu snów. Było w tym coś więcej, coś, czego nie rozumiał i czego chyba bałby się dowiedzieć. Dlatego wolał nie zastanawiać się nad tym zbyt poważnie, po prostu ze strachu. Nie był z tego powodu dumny, ale to były jego niepokoje, jego lęki, jego pragnienia i nadzieje i nie zamierzał nikomu się z nich spowiadać.

Kriss obudziła się nad ranem, kiedy ciemność nocy rozproszyła się do delikatnego półmroku. Spojrzała na twarz Domenica, uśpioną i odprężoną. Jego oddech był spokojny, serce biło równo i miarowo. Jedynie zapach seksu i drżenie magii wciąż unoszące się w powietrzu stanowiło wspomnienie tego, co się tu działo ledwie parę godzin temu.

Tyle magii, tyle mocy... Wciąż czuła ją na skórze, tuż pod opuszkami palców, jak

delikatny ładunek elektrostatyczny. Była jak ochronny kokon, spowijający ciała ich obojga.

Zapra gnęła zostać tu już na zawsze, otoczona ramionami Domenica i jego magią. Wpadła do Solatis w zasadzie tylko na chwilę i raczej nie planowała nocy pełnej namiętności. Po prostu jakoś tak wyszło... Nie, okłamywała samą siebie, przecież tego pragnęła. Bynajmniej nie żałowała tego kroku, uczynionego pod wpływem impulsu. Nauczyła się ufać swojemu instynktowi i wiedziała, że postępuje słusznie. Może kiedyś przyjdzie jej zapłacić za ten poryw uczucia, ale teraz zamierzała się po prostu tym cieszyć.

Nie przypuszczała nawet, że ten dzień nadejdzie już wkrótce.

Jeszcze dziś jednak musiała wrócić na zamek Matsushitaki. Nie, nie musiała, po prostu... tęskniła za bratem, za domem. W dzieciństwie nie widywali się zbyt często. Jak tylko okazało się, że Krissann posiada magiczny talent, matka zabrała ją do Solatis, by uchronić córkę przez antymagiczną machinę technokratów. I choć nadal musiała tu mieszkać, wykorzystywała każdą nadarzącą się okazję, by odwiedzić rodzinną posiadłość. Potrzebowała tego.

Wyśliznęła się z ciepłego łóżka i zadrżała, kiedy ogarnął ją poranny, przenikliwy chłód. Mógł to sobie być najbardziej luksusowy poziom pustynnego miasta, ale w nocy robiło się tu zimno jak na biegunie. Ubierając się pospiesznie zauważyła na swojej skórze dziwne ślady, jakby zadrapania, ciągnące się od nasady szyi niemal po sam brzuch. Nie pamiętała, kiedy to się stało i nie pamiętała, by zabawiali się tak ostro. Zerknęła na dłonie Domenica – jego paznokcie obcięte były krótko i w żadnym razie nie mogły spowodować takich skaleczeń.

Nie miała czasu zastanawiać się nad głupstwami. Szybko skończyła się ubierać, bez hałasu, by nie obudzić Domenica. Na pożegnanie pocałowała go lekko w skroń i delikatnie przesunęła palcami po jego włosach, nie po raz pierwszy dziwiąc się ich miękkości.

Wychodząc, cicho zamknęła za sobą drzwi.

Rozdział dziewiąty

Lisa i Vilander Arretche siedzieli w poczekalni miejscowego komisariatu policji. Za chwilę miał się z nimi spotkać jeden z funkcjonariuszy. Ktoś przecież powinien w końcu wiedzieć, co się stało z Kesterem. Minęło kilka dni, a wciąż nie mieli o nim żadnych wiadomości. Zabrano go z ich domu na przesłuchanie – i wszelki słuch o nim zaginął.

Państwo Arretche słusznie niepokoili się o swojego syna. Nieoficjalne doniesienia mówiły, że pewni ludzie znikają, wciągnięci w machinę technokratycznego systemu sądownictwa i bezpieczeństwa wewnętrznego. Arretche'owie byli pewni, że Kester nie zrobił nic złego, ale zdawali sobie też sprawę z tego, jak niewiele trzeba, by trafić do więzienia.

Funkcjonariusz pojawił się w końcu, przeprosił, że musieli czekać, ale stwierdził, że niestety nie udało mu się zdobyć żadnych informacji o ich synu. Zasugerował, że może zmienił nazwisko. Potem dodał, że powinni jeszcze sprawdzić szpitale i kostnice, na co pani Arretche rozplakała się, a pan Arretche obrzucił funkcjonariusza wściekłym spojrzeniem.

– Już to zrobiliśmy – odparł lodowato.

Policjant stropił się. W gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem, ale po prostu nie wiedział, jak pomóc tym dwojgu.

– Przykro mi, nie mogę udzielić państwu takiej pomocy, jakiej się spodziewacie – rozłożył bezradnie ręce. – Przepraszam, muszę już wracać do swoich obowiązków.

Minęło trochę czasu, zanim Lisa doszła do siebie.

– Vil, myślisz, że go zabili? – spytała przez łzy.

– Nawet o tym nie myśl, moja droga! Znajdziemy go, to po prostu kwestia czasu i... odpowiednich znajomości.

– Och? – pani Arretche osuszyła łzy i hałaśliwie wytarła nos.

– Znam kogoś takiego – przyznał Vilander. – Odwiozę cię do domu, a potem spotkam się z nim.

Lisa jednakże potrząsnęła głową ze zdecydowaniem.

– Nie. Pojadę z tobą.

– Moja droga, lepiej, żebym zrobił to sam. Ten człowiek jest... niebezpieczny.

Podniosła na niego zdumione spojrzenie.

– Vil, i ty znasz **takich** ludzi?

– Zrobię wszystko, by odnaleźć naszego syna.

Zastanawiała się przez chwilę. Nie podobało się jej, że mąż wybiera się na to spotkanie bez niej. Wiedziała, że jeśli się uprze, by z nim iść, to on nie pójdzie wcale. Nie naraziłby jej na niebezpieczeństwo. Ale jeśli to miało ocalić Kestera przed więzieniem, albo czymś jeszcze gorszym...

– Dobrze – skinęła głową. – Odwieź mnie do domu, potem możesz pójść na to spotkanie.

Przed komisariatem złapali taksówkę. Vilander wprowadził adres do komputera. Drzwi zasunęły się za nimi z cichym sykiem. Maszyna ruszyła, w kilkanaście sekund osiągając prędkość podrózną. Dopiero, kiedy taksówka nie zwolniła przed zjazdem do dzielnicy podmiejskiej, gdzie mieszkali, Vilander zorientował się, że coś jest nie tak. Stuknął parę razy w klawiaturę, chcąc skomunikować się z głównym komputerem, ale bez jakiegokolwiek rezultatu.

– O co chodzi, mój drogi? – zaniepokoiła się pani Arretche.

– Nic takiego – wbrew swoim słowom Vilander mocniej uderzył w klawiaturę. – System chyba nie przyjął naszego zlecenia i ta piekielna maszyna wiezie nas do zajezdni.

– Zdążysz na spotkanie z tym swoim... znajomym? – spytała po chwili.

– Nie wiem. Jeśli nie, umówię się na później. Jest mi winien przysługę, z pewnością się zgodzi.

Wkrótce taksówka opuściła granice miasta i wówczas stało się jasne, że bynajmniej nie jedzie w stronę zajezdni.

– Co się dzieje, do cholery!?! – wykrzyknął Vilander ze zdenerwowaniem.

– Uspokój się, mój drogi, jestem pewna, że...

Ekran, na którym zwykle wyświetlały się wiadomości, zamigotał, potem zgasł i znów zamigotał. Po chwili pojawiła się na nim twarz jakiegoś starszawego mężczyzny, od czasu do czasu przecinana pasami zakłóceń.

– Przepraszam państwa za te niedogodności – powiedział uprzejmie. – Proszę się nie obawiać, jesteście przyjaciółmi. Państwa syn wysłał nas, byśmy państwa sprowadzili do niego. Podróż potrwa jeszcze trochę, proszę się nie niepokoić – ekran znów zamigotał, a potem ponownie pojawiły się lokalne wiadomości.

Lisa i Vilander popatrzyli na siebie w zdumieniu.

Po godzinie, kiedy zrobiło się już zupełnie ciemno, śmigacz zatrzymał się przed okazałym budynkiem, wyglądającym na pałac lub zamek. Na schodach czekał jakiś mężczyzna.

– Kester! – wykrzyknęła z ulgą pani Arretche, ale wnet spostrzegła swoją pomyłkę.

Nieznajomy był równie wysoki jak Kester i nawet podobnie zbudowany, ale na tym podobieństwa się kończyły, bowiem ten młody człowiek miał czarne włosy splecione w długi warkocz, czarne oczy i charakterystyczne rysy twarzy. Z głębi zamku nadeszła wkrótce młoda kobieta i stanęła obok niego, uśmiechając się przyjaźnie do gości. Najwyraźniej spodziewano ich się tutaj. Mężczyzna wyciągnął rękę ku Vilanderowi.

– Witajcie w naszym domu. Jestem Andreus Matsushitaki – przedstawił się. – To moja siostra, Krissann.

Vilander dokonał prezentacji swojej i żony, po czym przyjrzał się uważniej młodemu mężczyźnie. Matsushitaki. Nazwisko kojarzone z jednej strony z ruchem oporu, a z drugiej z wielką korporacją, której zyski szły w miliardy tessaliańskich talarów.

– Proszę, wejdźcie – mówiła tymczasem Krissann. – Na pewno jesteście zmęczeni. Zaraz podadzą kolację.

Ale Lisa nie chciała słyszeć o kolacji.

– Gdzie jest mój syn? – spytała natarczywie.

Andreus wymienił z siostrą nieco rozbawione spojrzenia.

– Jest bezpieczny, proszę pani – odpowiedział uspokajającym tonem.

– A więc tutaj go nie ma – stwierdził Vilander.

– Przykro mi. Państwa syn zaangażował się w naszą sprawę. W tej chwili jest zajęty.

Pan Arretche był jednak podejrzliwy.

– Mój syn nigdy nie bawił się w politykę.

Andreus spoważniał.

- Nie mnie osądzać jego motywację, proszę pana – odparł powoli, jakby z namysłem.
- Ale miał bardzo istotny powód, by jednak to uczynić.
- Rozumiem. Kiedy wobec tego go zobaczymy?
- Nie wiem, panie Arretche – odparł i zrobił ręką zapraszający gest. – Księżę

Domenic postanowił, że na razie zostaną państwo tutaj.

Vilander nadstawił uszu.

- Księżę Domenic? A któż to taki, jeśli można wiedzieć?
- Jego Królewska Wysokość księżę Domenic jest następcą tronu Creswell – wyjaśniła Krissann, a jej głos podejrzenie drżał: ze śmiechu albo wzruszenia.
- Następcą tronu? A więc odnaleziono go w końcu? – pan Arretche spojrział na żonę, a ona odpowiedziała mu takim samym spojrzeniem, jakby mieli moc porozumiewania się wzrokiem.

Andreas uśmiechnął się dziwnie.

- Tak, udało się tego dokonać – przytaknął. – Zapraszam do środka. Krissann wskaże państwu pokoje.

Domenic spędził w archiwum cały dzień. Znajdowały się tu między innymi dokumenty zabrane z pałacowych archiwów – większość z nich przetransportowano w ten sam sposób, co meble z królewskich apartamentów – przy pomocy teleportów. Nie było tego zbyt wiele – zajmowały zaledwie jedną szafę, a samo archiwum mieściło się ledwie w jednym pokoju.

W zasadzie Domenic nie bardzo wiedział, czego szuka wśród tych pożółkłych ze starości papierzyk i szpargałów. Szambelanowi powiedział, że dowie się, kiedy to znajdzie. Chenault pracował w gabinecie obok, gdyż jedyne wejście do archiwum znajdowało się właśnie w jego biurze. Dochodził stamtąd stłumiony odgłos rozmów, otwieranych i zamykanych szuflad i drzwi. Te dźwięki działały dziwnie uspokajająco na Domenica.

Przypominały mu o domu. Będąc dzieckiem chował się za jakimś meblem w gabinecie ojca i nasłuchiwał tych samych dźwięków: cichych stuków, uspokajających szelestów i przytłumionych szeptów. Może właśnie dlatego w dorosłym życiu wybrał

karierę wykładowcy – spokój bibliotek i gwar sal wykładowych działał na niego w ten sam sposób.

Do obiadu niczego nie znalazł. Zostawił rozbebeszone akta i zajrzał do biura szambelana uznając, że dobrze by było zjeść z kimś obiad. Chenault miał jednak gościa – a w zasadzie dwóch. Jednym z nich był admirał Randell, a drugim minister Bertrand. Obaj skłonili się z szacunkiem na jego widok.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie tutaj, Wasza Wysokość – powiedział Randell. – Przyszliśmy złożyć raport, tak jak to zostało ustalone.

– Już? – zdziwił się Domenic. Był pod wrażeniem. – Świetnie. Siadajcie, panowie.

Sam usiadł na jednym z foteli pod ścianą. Chenault zaczerwienił się nagle jak panna i zerwał ze swojego krzesła, które zajmował za szerokim biurkiem.

– Ja... proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Zapomniałem...

Domenic machnął ręką niecierpliwie.

– To pańskie biuro, szambelanie. Stąd też będę dobrze słyszał – Chenault usiadł, ale jego twarz wciąż miała wściekle buraczany odcień. – Może zacznie pan minister?

Bertrand odchrząknął znacząco i podziękował skinieniem głowy.

– Chciałem tylko przekazać pewną informację, jaką zdobyli moi agenci. Otóż piętnastego bieżącego miesiąca, dzień po tym jak Addar zażąda od Waszej Wysokości zrzeczenia się tronu, ma się odbyć pogrzeb króla Stephane'a. Uroczystość jest utrzymywana w ścisłej tajemnicy, tak samo lista gości, ale wiem na pewno, że jednym z nich będzie królowa Catharyn wraz z dziećmi.

Domenic w milczeniu trawił te wiadomości. Że królewska siostra chciała przybyć na pogrzeb swojego brata – to go w zasadzie nie dziwiło. Nie dziwiło go też, że pogrzeb utrzymywano w takiej tajemnicy – technokraci nie chcieli, by opinia publiczna dowiedziała się o śmierci króla. Zadziwiająca była natomiast zbieżność czasowa.

– Co pan o tym sądzi, Bertrand? Jakie jest pańskie zdanie?

– Myślę, że Addar jest na usługach królowej. Sądzę też, że abdykacja Waszej Wysokości byłaby jej bardzo na rękę.

– Musisz coś wiedzieć, Wasza Wysokość, o królowej Catharyn – wtrącił Chenault. – Jest starsza od Stephane'a i wszyscy przypuszczali, że to ona zostanie następczynią króla

Kristana. Twój dziadek jednakże uczynił dziedzicem Stephane'a, Catharyn natomiast została wydana za mąż za króla Tadao. Podejrzewam, że gdyby nadarzyła się okazja, by odzyskać tron Creswell, Catharyn z pewnością by z niej skorzystała.

Domenic wysłuchał go z uwagą.

– A więc ona przybędzie na Creswell nie na pogrzeb swojego brata, lecz by przejąć władzę – powiedział powoli.

– Wszystko na to wskazuje. Sądzę, że raczej nie dla siebie, lecz dla któregoś ze swych dzieci. Księżę Haidis jest następcą tronu Sabedell, a więc logiczną kandydatką jest księżniczka Linual.

Domenic wstał gwałtownie i podszedł do okna, za którym roztaczał się widok na kanion. Jego palce zacisnęły się w pięści.

– Chcą pochować mojego ojca, jak byle kogo, w tajemnicy, jak... zdrajcę – wycedził przez zaciśnięte zęby. – A potem będą świętować zwycięstwo nad jego grobem...

– Z całym szacunkiem, Sire, jesteśmy tu po to, by do tego nie dopuścić – odezwał się Randell.

Domenic odwrócił się ku niemu.

– Tak, ma pan rację, admirale. Czym dysponujemy w tej chwili?

– Mamy za sobą część armii i sprzęt jakim dysponuje. Poza tym wszyscy byli wojskowi są gotowi do walki, należy ich tylko odpowiednio wyposażać.

Domenic przyglądał mu się z niedowierzaniem.

– Jak pan to zrobił?

Admirał uśmiechnął się skromnie.

– Nastroje w armii nie są najlepsze, a wina za to leży po stronie technokratów, którzy drastycznie ograniczyli budżet na obronę. Gdyby teraz ktoś zaatakował planetę, bylibyśmy niemal całkowicie bezbronni.

Domenic zastanawiał się intensywnie.

– Na kiedy możemy być gotowi? – spytał; w jego głowie zaczynał krystalizować się pewien plan.

– Gotowi na co, Sire?

– Na zamach stanu – uśmiechnął się ponuro. – Kto mieczem wojuje... – w jego oczach

błysnął zimny płomień mściwej satysfakcji. – Zdąży pan na czternastego?

– Tak – odparł krótko. – Będziemy atakować siedzibę rządu, tak?

– Siedzibę rządu, parlamentu i tak zwanego prezydenta. Musimy również opanować porty kosmiczne i stacje przeładunkowe na orbicie. Chcę mieć pełną kontrolę. Taktykę pozostawiam do opracowania panu, admirale. Wybierze pan odpowiednich ludzi do grupy uderzeniowej. Zaufanych ludzi. Część chciałbym mieć w odwodzie na wszelki wypadek.

Randell zerwał się z fotela, stanął na baczność i zasalutował.

– To dla mnie zaszczyt, Sire! Dziękuję!

Domenic skinął mu głową.

– Dla pana też mam zadanie, panie ministrze – zwrócił się do Bertranda. – Niech pańscy szpiedzy śledzą działania pułkownika Addara, niech zbierają informacje o każdej z osób, z którymi się spotyka, o miejscach, które odwiedza. Oczekuję pisemnych raportów. Chcę też wiedzieć, kiedy dokładnie przybędzie królowa Catharyn, ilu ludzi będzie w jej orszaku, ile statków znajdzie się na naszej orbicie. Chcę wiedzieć wszystko, czego uda się panu dowiedzieć, nawet najmniejszy szczegół może mieć kolosalne znaczenie.

– Rozumiem, Wasza Wysokość. Będę składał meldunki dwa razy dziennie.

– Dobrze. Tak, jak dotychczas: na ręce pana Chenault. Addar nie może się niczego domyślać. Zaskoczmy go, kiedy najmniej się będzie tego spodziewał.

Obaj mężczyźni skłonili się i wyszli. Chenault podniósł się zza biurka i stanął przy oknie obok Domenica.

– Zastanawiające, że Addar dał ci aż dwa tygodnie do namysłu – powiedział.

– Też nad tym myślałem – przytaknął Domenic. – Addar uważa chyba, że jestem zbyt głupi, by się czegokolwiek domyślić. Albo zbyt tchórzliwy, by cokolwiek przedsięwziąć. Jest pewien, że wszystko ma pod kontrolą. Do nas należy, by jak najdłużej pozostawał w tym przekonaniu. Wtedy możemy wygrać.

– Wygramy, Wasza Wysokość – w głosie szambelana nie było nawet śladu powątpiewania.

– To nie jest takie pewne.

Chenault popatrzył na niego zdumiony.

– Nie?

– Wiemy tylko o jednym aspekcie działań pułkownika, dotyczącym bezpośrednio mnie. Ale co poza tym? Musi istnieć coś więcej, plan awaryjny, albo też kolejne warstwy planu podstawowego. Niech pan się zastanowi, Chenault: trzydzieści lat planowania, knucia intryg, snucia zawiłych sieci, olbrzymie nakłady finansowe, rozmach jak przy najbardziej skomplikowanej kampanii wojskowej... – potrząsnął głową ze znużeniem. – Addar może nas jeszcze bardzo niemile zaskoczyć.

Chenault spoglądał przez okno nieruchomym wzrokiem.

– A więc musimy być dwa kroki przed nim – stwierdził.

– To nie będzie takie proste.

– Już mamy nad nim znaczącą przewagę.

– A jeśli to za mało? Albo, co gorsza, jego plan to przewiduje?

– Może się tak zdarzyć – przytaknął szambelan i westchnął.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę, a i Domenic zachowywał milczenie.

– Zanim pułkownik zjawił się tydzień temu, to ja przewodziłem ruchowi oporu – podjął Chenault. – Nieoficjalnie, rzecz jasna. Kanclerz Cerino miał co innego na głowie. No i pojawił się Addar, przejął stery i odpowiedzialność. Poczulem ulgę, bo wiedziałem, że za dużo wzięłem na swoje barki. Addar wiedział ponadto, że żyjesz, a nawet znał miejsce twojego pobytu. Twierdził, że dowiedział się tego w Zoltray.

– Nie spędził w Zoltray ani jednego dnia jako więzień – stwierdził Domenic z jadem w głosie. – Ale jeśli wszystko pójdzie po naszej myśli, z pewnością tam trafi.

Andreus opuścił posiadłość, nie informując o tym fakcie swojej siostry. Szczerze powiedziawszy, w tę sprawę w ogóle nie zamierzał jej angażować – choć ona z pewnością miałaby inne zdanie na ten temat.

Sprawa owa dotyczyła wuja Akitaro. Domenic doprowadził go do ciekawego stanu ducha samą tylko rozmową – Akitaro stał się bardzo nerwowy od tamtego czasu. Fakt ten zrobił na Andreusie ogromne wrażenie. Akitaro Matsushitaki był człowiekiem na tyle opanowanym – co uznawał za konieczność w interesach – że jak dotąd nie znalazł

się nikt, kto pozbawiłby go tej legendarnej wręcz pewności siebie. Aż nagle pojawił się Domenic Allisandre, młody człowiek niewiele młodszy od samego Andreusa – i wystarczyła mu jedna rozmowa.

Co takiego Domenic wiedział o Akitaro Matsushitakim, że zachwiał jego równowagę, spokojem i pewnością siebie? Tego właśnie Andreus zamierzał się dowiedzieć.

Osobiście niezbyt lubił wuja Akitaro. Uważał jego namiętność do pieniędzy za co najmniej chorobliwą. Arystokrata nie powinien zajmować się tak przyziemnymi sprawami, pozostawiając je w rękach zarządców. Ten system działał i sprawdzał się od dziesiątek lat – rodzina Matsushitaki nigdy nie klepała biedy, ani nie musiała brudzić rąk pracą fizyczną.

Akitaro jednakże wyraźnie odstawał od reszty rodziny. Pasjonowało go prowadzenie interesów, wielogodzinne negocjacje, nieczyste zagrywki, a nawet działania na granicy prawa. Andreus nie był naiwny. Orientował się całkiem nieźle w machlojkach wuja i było mu za niego wstyd. Wiedział o nim znacznie więcej, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Najwyraźniej jednak Domenic wiedział więcej. I ta wiedza sprawiła, że nie chciał mieć z Akitaro w ogóle do czynienia. Krissann opowiedziała bratu o monecie, a przecież wszyscy członkowie rodziny znali jej symbolikę. Wiedział, co Heelan Matsushitaki obiecał w związku z nią królowi Stephane'owi. A jednak z jakiegoś powodu Domenic postanowił nie wykorzystywać tego, co oferowało to honorowe przyrzeczenie. Andreus doskonale zdawał sobie sprawę, iż zaangażowanie korporacji Nihon w ruch oporu mogło zmienić układ sił na Creswell. Ba! – mogło nawet wynieść Domenica wprost na tron!

Więc jaki był powód, dla którego Domenic zrezygnował z tej pomocy?

Tak się składało, że Andreus znał kogoś, kto mógł udzielić mu odpowiedzi na to pytanie. Człowiek ten w przeszłości zarządzał majątkiem rodziny Matsushitaki, kiedy kontrolę nad nim sprawował jeszcze książę Heelan. Kiedy aresztowano księcia, ten sam los spotkał także niektórych jego podwładnych – w gronie tym znalazł się też Ingrin Hirosue – i osadzono ich w Zoltray. Hirosue zwolniono dwa lata temu, był już za stary, by w jakikolwiek sposób zagrozić technokratom. Mieszkał u siostry, pod Akkandią.

Był umierający. Lata więzienia i podłego traktowania przyspieszyły rozwój nieuleczalnej choroby. Hiroshie doszedł do wniosku, że teraz kiedy leży już na łożu śmierci, nikt nie jest mu już w stanie uczynić nic gorszego ponad to, co już go spotkało. Chciał i powiedział prawdę – prawdę, której strzegł przez lata pobytu w więzieniu.

Andreas w pierwszej chwili nie uwierzył – taka podłość nie mieściła się po prostu w jego głowie. Ale prawda, jakakolwiek by nie była, zawsze pozostaje prawdą. Żadne kłamstwo, choćby najbardziej wygodne, nie jest w stanie jej skryć – i Andreas uwierzył.

Akitaro Matsushitaki zdradził i skazał na śmierć swojego jedynego brata tylko po to, by uzyskać dostęp do rodzinnego majątku. Taka potworność – dla pieniędzy. Przecież, gdyby poprosił, dostałby je. Ojciec z pewnością by mu nie odmówił.

Zło już się stało – piętnaście lat temu. Biegu wydarzeń nie można już odwrócić. Ale Andreas chciał się jeszcze upewnić. Postanowił wprost spytać o to Domenica.

Po obiedzie Domenic wrócił do archiwum. Nadal nie wiedział, czego szuka, ale czuł, że jest już blisko. Przeczucie go nie omyliło. Jak tylko wziął do ręki teczkę oprawioną w ciemnozieloną skórę, poczuł wibracje w końcówkach palców – jakby dotknął naelektryzowanych włosów. A wtedy był już pewien, że to właśnie to, czego poszukiwał.

Dokument był starannie złożony – kiedy Domenic go rozpakował okazało się, że ledwie mieści się na stole. Na kremowym papierze wyrysowano drzewo genealogiczne rodu Allisandre. Główna linia, z której pochodzili wszyscy władcy Creswell, była dodatkowo zaznaczona na rubinowo. Przy każdym imieniu znajdowała się data urodzin i śmierci, czas panowania, a także miniatura portretu. Kiedy patrzyło się na jakąś wystarczająco długo, nabierała głębi i wyrazistości do tego stopnia, że można było rozróżnić wszelkie szczegóły fizjonomii.

Drzewo zawierało setki imion. Studiując je nieco uważniej, Domenic odkrył, że ród Allisandre jest spokrewniony prawie ze wszystkimi wielkimi, arystokratycznymi rodami Kwadratu Tessaliana. De Montauban, Llevellyn, Matsushitaki, di Oristano, Von Kassell, Zamoyski, Chang i wiele innych. Wszyscy byli jedną wielką rodziną – co jednak nie miało przełożenia na wzajemne stosunki, jak to nieraz pokazywała historia. Na przykład ród di Oristano od wieków stanowił opozycję dla królewskiego rodu Allisandre

twierdząc, że to im należy się korona Creswell, a Allisandre zdobyli ją bezprawnie.

Jakkolwiek teczka wyglądała na dość sfatygowaną, to sam dokument wręcz pachniał nowością, po rozprostowaniu zniknęły nawet zagięcia. Co więcej, wydawało się, że wszystkie imiona i daty wpisywała jedna ręka – jedna ręka, przez tysiąclecia. Musiała się z tym wiązać jakaś magia. Najwyraźniej zakłęcie powodowało pojawienie się nowego imienia i miniatury wraz z narodzinami nowego członka rodziny. Główna linia rodu była doskonale widoczna bez specjalnych wysiłków – natomiast boczne gałęzie były mocno ściśnięte – z braku miejsca. Gdy jednak przesuwano się ku nim wzrok, rozstępowały się, jak przy użyciu szkła powiększającego.

Domenic pobiegł wzrokiem ku górze. Przy swoim imieniu znalazł datę swoich urodzin i wizerunek. Musiał przyznać, że bardzo wierny. Obok znajdowała się jednak jakaś niewyraźna plama, jakby ktoś próbował coś wymazać. Nie zwrócił na to większej uwagi – plama, jak plama. Nieco niżej znajdowała się miniatura jego ojca, jego imię, data urodzin i śmierci – ta ostatnia ledwie sprzed tygodnia. Jeszcze niżej jego dziadek – król Kristan, a obok jego imienia, imię Meseret, królewskiej małżonki.

W bok od głównej linii odbijała linia Catharyn i jej dzieci. Domenic odkrył, że oboje kuzyni są od niego sporo starsi: Haidis dobiegał czterdziestki, a Linual miała trzydzieści sześć lat.

Przesuwając wzrokiem po dalszych częściach drzewa genealogicznego, Domenic zdał sobie nagle sprawę, że nigdzie nie dostrzegł imienia pułkownika. Nigdzie nie było jego wizerunku. Wyglądało na to, że nie był w żaden sposób spokrewniony z rodem Allisandre. A Addar przecież sam powiedział, że należy do rodziny. Domenic doskonale pamiętał tamten moment: to było podczas rozmowy o Pokrewieństwie. Addar wyraźnie powiedział, że król Stephane mógł właśnie jemu przekazać Pokrewieństwo, mógł – ale tego nie zrobił.

Teraz zasadnicze pytanie brzmiało: czy Addar odsłonił się nieświadomie, czy też był to starannie przemyślany i zaplanowany blef? A jeśli tak, to co chciał przez to osiągnąć? A może to po prostu zwyczajne kłamstwo, by przekonać Domenica do podpisania dokumentów? Jeśli jednak był to przypadek, to wówczas należało postawić inne pytanie: kim był pułkownik Res Addar?

Odpowiedzi z pewnością nie było w archiwum, choć drzewo genealogiczne dostarczyło Domenicowi kilku ciekawych informacji. Złożył papier i włożył do teczki. Nie było sensu dłużej siedzieć w tej klitce, zwłaszcza że dzień chylił się już ku końcowi. Biura pustoszały – tu i tam zostało jeszcze kilka osób, które nie wyrobiły się z pracą w ciągu dnia. No i był Chenault, jak zwykle doba była dla niego za krótka. Domenic życzył mu dobrej nocy, a potem skierował się ku windom.

Menkaure czekał już na niego przy wyjściu do lasu. Skłonił się głęboko na jego widok.

– Wasza Wysokość.

Domenic uśmiechnął się.

– Jak się czuje Haeris? – spytał.

– Zrobiliśmy mu legowisko w naturalnej jaskini, może stamtąd wychodzić, kiedy tylko zechce – poinformował kapłan. – Ma dostęp do słodkiej wody, gdyż opodal znajduje się niewielkie źródło. Myślę, że jest zadowolony.

– Dziękuję, że się nim zajęliście.

Menkaure wzruszył ramionami.

– To nie wymagało od nas dużo pracy ani czasu. Poza tym część z nas i tak nie ma zajęcia. Normalnie zajmowalibyśmy się pracą w naszych Świątyniach, te jednak znalazły się pod kontrolą technokratów, więc...

Szli dalej w milczeniu. Domenic z daleka dostrzegł białą sylwetkę Haerisa pasącego się wśród zielonych traw. Ogier poderwał nagle kształtny łeb, zarżał donośnie i ruszył galopem w jego kierunku.

– Powiedz mi, Menkaure, co wiesz na temat zmian postaci? Chodzi mi o magiczne sposoby.

– Hmm... – zastanowił się kapłan. – Jest ich kilka. Najpowszechniejszy związany jest z zaklęciem przemiany. Rzuca się je na siebie lub kogoś innego odpowiednio przygotowany czar. Jest to sposób bardzo czaso- i energochłonny, a efekt jego działania nie trwa zbyt długo. Drugi sposób to magiczna czapka. Zakłada się ją i wypowiada słowa, uruchamiające czar, jednak wszystkie egzemplarze są w naszym posiadaniu. Kolejne sposoby wiążą się z odpowiednimi talentami. Jedni potrafią zmieniać swoją

twarz i postać, jakby użyli zaklęcia przemiany. Inni mogą przenosić swoją świadomość do innego ciała i niepodzielnie nad zapanować. Tutaj możliwe są jednak pewne trudności, ponieważ zanim zajmie się czyjeś ciało, należy wpierw “wyprosić” dotychczasowego właściciela – widząc, że Domenic skrzywił się z niesmakiem, dodał: – Magia niesie ze sobą pewne zagrożenia. Zależy od tego, do jakich celów się już wykorzystuje. I kto to robi.

– Jak można sprawdzić, czy ktoś nie podszywa się pod kogoś innego? Dyskretnie, bez zamieszania?

– O, to bardzo proste, mój panie. Ponieważ wszystkie czynności z tym związane wymagają użycia określonej ilości mocy magicznej, wystarczy wyszkolony wykrywacz magii.

– Znajdziesz dla mnie kogoś takiego, Menkaure?

– Bez problemów, Wasza Wysokość. Wielu z wykrywaczy to kapłani.

Ale Domenic potrząsnął głową.

– Wolałbym, żeby to był ktoś zupełnie nieznanymi, najlepiej spoza Solatis. Nie chcę, by nabrano podejrzeń.

Menkaure uśmiechnął się.

– Kapłani stają się niewidoczni w tłumie. Przez ponad dwadzieścia lat obserwowaliśmy ciebie, mój panie, i nie odkryłeś naszej obecności.

– To prawda – zgodził się Domenic. Robili to, ponieważ był Jej synem. W zasadzie nie miał im tego za złe, ale nieco irytowała go świadomość, że jest dla nich ważny tylko ze względu na matkę. – Niech więc to będzie ktoś z was.

– Kogo mamy sprawdzić?

– Resa Addara.

Menkaure wyglądał na zaskoczonego.

– Pułkownika Addara? – upewnił się.

Domenic przytaknął.

– Potrafię odczytywać myśli ludzi, z którymi się zetknę. Początkowo było trudno, ale teraz przychodzi mi to bez większego wysiłku. I nie mogę odczytać Addara. Żadnych myśli, żadnych emocji, jakby był tylko pustą skorupą. Niepokoi mnie, że ma coś do

ukrycia.

– Może ma tarczę? – zasugerował kapłan.

– Dlatego chcę, żebyście go sprawdzili pod kątem wszelkich ewentualności. Sporo od tego zależy.

– Przeprowadzimy próbę, jak tylko pułkownik wróci do miasta. Nawet się nie zorientuje – zapewnił Menkaure.

– Będę wam wdzięczny.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze, mój panie?

– Nie, możesz odejść. Dziękuję.

Kapłan skłonił się i szybkim krokiem ruszył z powrotem ku wejściu do skalnego miasta.

Domenic został sam. Właściwie tylko na chwilę, bo zaraz przyklusował Haeris, rżąc radośnie i strzygąc uszami. Poklepał ogiera po szyi, po czym wtulił twarz w gęstą, czarną grzywę, pachnącą morskim wiatrem. Poczł jak opada z niego całe napięcie, jak mięśnie rozluźniają się, ulatują troski, jak lżej mu się oddycha.

– Haeris... – szepnął, a ogier prychnął w odpowiedzi.

Roześmiał się cicho. Rumak stanął bokiem, jakby zachęcając go do wskoczenia na swój grzbiet. Skorzystał z zaproszenia. Wprawdzie nigdy dotąd nie jeździł konno, ale na grzbiecie Haerisa utrzymałby się nawet niemowlak. Ogier stąpał tak łagodnie i płynnie, że przeszedł do galopu właściwie niezauważalnie.

Domenic z łatwością dostosował się do jego ruchów. Było wspaniale. Rumak gnał do przodu, przed siebie, a jemu wiatr rozwiewał włosy i szumiał w uszach. Miał wrażenie, że unosi się w powietrzu, że lata – jak ptak, na własnych skrzydłach. To uczucie bardzo przypominało jeden z jego snów – ten o wolności i upojeniu płynącym ze swobodnego szybowania pośród chmur.

Haeris zatrzymał się przy plaży. Nawet się nie spocił. Oddychał tylko nieco szybciej, ale wyraźnie zdawał się wykazywać ochotę do dalszej zabawy. Domenic poklepał go po szyi i spojrzał na słońce. Płomiennoczerwona kula dotykała już horyzontu. Chmury zabarwiły się delikatnym różem, spomiędzy którego przebijał błękit nieba. Piękno, na którego widok serce zawsze drży radością, zachwytem i pokorą dla niezwykłych dzieł

natury.

Pomyślał, że jego rodzice pewnie już dotarli do siedziby Matsushitakich. Chenault naprawdę sprytnie to zorganizował. Nieoznakowana taksówka automatyczna – w dodatku bez lokalizatora. Arretche'owie zniknęli i o to chodziło. Domenic był pewien, że Andreus i Krissann dobrze się nimi zajmą. A on sam nie będzie się musiał martwić o ich bezpieczeństwo. Byli poza zasięgiem Addara i to było najważniejsze.

– Naprzód, Haerisie! – wykrzyknął radośnie.

Nie musiał nawet przynaglać ogiera do biegu. W kilka minut rumak osiągnął oszałamiającą prędkość, kopyta tylko śmigwały pod jego brzuchem. Zbliżał się szybko do ściany lasu i Domenic zaczął się niepokoić, czy zdąży wytracić prędkość, zanim wpadnie między drzewa. Starał się go nieco przyhamować, ale to było jak przesuwanie góry i przyniosło identyczne rezultaty. Mógł jedynie mocniej wpleść palce w jego grzywę i zacząć się modlić.

Byli zaledwie o metry od pierwszych zarośli, kiedy Haeris wykonał ponad nimi wspaniały skok – i uniósł się w powietrze. Srebrzyste kopyta zabrzmiały niczym uderzenie dzwonu, a ogier wznosił się coraz wyżej.

– Nie wiedziałem, że umiesz latać! – zdołał wyksztusić Domenic, spoglądając w dół. Jezioro Doliny Ech i sam kanion zniknęły mu już z oczu. Haeris był doprawdy niezwykłym rumakiem, choć on nie przypominał sobie, by podczas procesu tworzenia nadał mu zdolność lotu. Najwyraźniej wpłynęła na niego specyfika Krainy Wiecznego Lata.

Słońce zniknęło za horyzontem, niebo pogrnatowiało, pojawiły się gwiazdy, coraz więcej gwiazd. Wkrótce czarny aksamit nieba upstrzony był milionami ogników dalekich słońc. Wraz z pierwszą łuną po wschodniej stronie, Haeris począł zniżać lot, przygotowując się do lądowania. Cała jazda trwała nie dłużej niż kilkanaście minut.

Domenic nie zdziwił się, kiedy zobaczył w dole zamek i rozległy park. Domyślał się, że to właśnie tu przywiedzie go to niezwykle stworzenie. Najwyraźniej ta część o pragnieniu, o którym wspominała mu matka w Krainie Lata, miała zastosowanie również w świecie ludzi. Zapragnął zobaczyć swoich przybranych rodziców i oto był tutaj i stukał do drzwi zamku Matsushitaki.

Zaspany kamerdyner rozpoznał go w mgnieniu oka i natychmiast się obudził. Zaczął giąć się w ukłonach, prosić o wybaczenie, zapraszać do środka, proponować śniadanie i tak dalej. Domenic starał się go nieco mitygować, tłumacząc się z tak wczesnej wizyty – choć słońce zdążyło się już nieco wznieść ponad horyzont – ale i tak niczego nie osiągnął. W ciągu kilku minut na nogach była już cała służba.

Domenic od gadatliwego kamerdynera dowiedział się, że księżę Andreus wyjechał niespodziewanie jeszcze poprzedniego wieczora, tak więc przyjmie go księżniczka Krissann. Czekał na nią w bibliotece. Ale to nie ona stanęła w końcu w drzwiach – tylko jego rodzice.

– Kester! – wykrzyknęła pani Arretche i wpadła wprost w jego ramiona. – Och, moje dziecko! – zaszlochała z ulgą, śmiejąc się jednocześnie.

– Już wszystko w porządku, mamó – powiedział uspokajająco, zerkając na ojca. – Wszystko w porządku.

– Domyślaliśmy się prawdy – oznajmił Vilander Arretche kilka minut później, po powitaniach, łzach i okrzykach radości. – Jesteś bardzo podobny do swego ojca, a my wciąż pamiętamy króla Stephane'a.

Lisa Arretche przytaknęła.

– Początkowo trudno nam było w to uwierzyć: następca tronu, ostatni przedstawiciel starego rodu pod naszą opieką! Ale im byłeś starszy, tym podobieństwo stawało się bardziej uderzające.

Domenic spojrzał na nich z zaskoczeniem.

– Nigdy mi o tym nie powiedzieliście – w jego głosie nie było wyrzutu, jedynie zdziwienie.

– Baliśmy się o twoje bezpieczeństwo, dziecko – Vilander patrzył mu prosto w oczy. – Domyślaliśmy się, że przez cały czas jesteś pod obserwacją, więc gdybyś wiedział, mógłbyś zrobić jakieś głupstwo, a to mogłoby cię kosztować życie. Poza tym... nic nie pamiętałeś.

– Teraz już pamiętam.

– Cieszę się – Vilander uśmiechnął się ciepło.

– Niebezpieczeństwo wciąż istnieje – dodał Domenic.

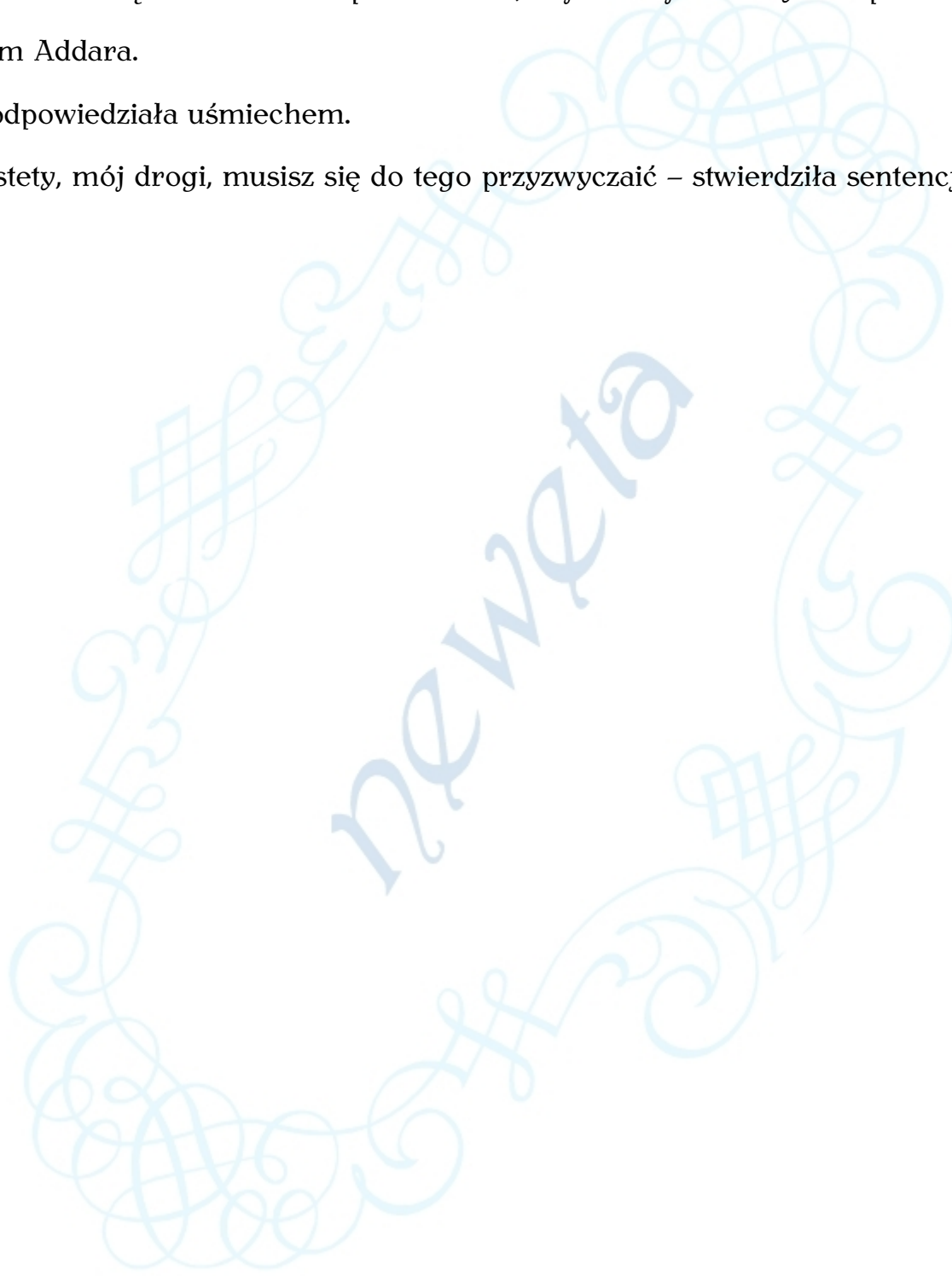
– Tak, ale szczęśliwie znalazłeś się wśród ludzi, którzy mogą cię chronić i służyć pomocą. Nie jesteś już sam.

Domenic uśmiechnął się.

– Mówią do mnie “Wasza Wysokość” i kłaniają mi się – poskarżył się żartobliwie. Nie chciał za nic obciążać ich swoimi problemami, najważniejsze że byli bezpieczni, poza zasięgiem Addara.

Lisa odpowiedziała uśmiechem.

– Niestety, mój drogi, musisz się do tego przyzwyczaić – stwierdziła sentencjonalnie.



Rozdział dziesiąty

Andreas stanął na progu salonu i ogarnął wzrokiem całe zgromadzone tam towarzystwo. Domenic siedział na sofie wraz ze swoimi przybranymi rodzicami, którzy wpatrywali się weń jak w obrazek. Krissann starała się zachowywać nikłe pozory powagi, ale marnie jej to wychodziło. Wszyscy zdawali się promieniować radością. Andreas obawiał się, że samą swoją ponurą obecnością zakłócił tę szczęśliwą, rodzinną atmosferę, w dodatku zachował się niezbyt uprzejmie, wręcz obcesowo wywołując Domenica do gabinetu.

– Powiedz mi... Powiedz mi, czy to prawda? O wuju Akitaro i moim ojcu? – patrzył na jego twarz z napięciem, jakby spodziewając się, że Domenic wszystkiemu zaprzeczy, że nic takiego się nie wydarzyło.

Nie zaprzeczył. Jego spojrzenie wyrażało smutek.

– Przykro mi, Andre – szepnął ze współczuciem.

Andreas roześmiał krótko, nieprzyjemnie. W jego głosie pobrzmiwało szaleństwo.

Nad kominkiem wisiały dwa miecze. Nie stanowiły one elementu dekoracji gabinetu, choć wielu tak właśnie sądziło. Miecze owe od zawsze należały do rodziny Matsushitaki, przekazywane z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. Wielokrotnie w przeszłości używano ich w walce. Ich klingi niejednokrotnie unurzane były we krwi aż po rękojeść.

I teraz Andreas zdjął jeden z mieczy ze ściany i lekko wysunął głownię – była tak lśniąca i czysta, jakby dopiero przed chwilą opuściła warsztat mistrza kowalskiego. Jakby czas i kolejni właściciele wcale nie odcisnęli na niej swego piętna. Była bez skazy – jakby jeszcze nigdy dotąd nie splamiła jej krew.

– Mój honor – szepnął Andreas.

Dłoń Domenica niespodziewanie opadła na jego ramię.

– Nie mogę ci na to pozwolić – powiedział stanowczo. – Jeszcze nie teraz.

Rozgoryczenie, gniew i wstyd wzięły górę i Andreas odwrócił się z wściekłością. Nie zaatakował, choć był tego bardzo bliski.

– Kim ty jesteś, by mi zabraniać prawa do zemsty?! – krzyknął, a jego krzyk odbił się echem od ścian gabinetu.

– Twoim przyjacielem – odparł Domenic spokojnie, ale Andreus potrząsnął głową.
– Wiedziałeś... Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś! – bełkotał. Trzęsły mu się ręce, jakby nagle zapadł na delirium. – Choć wiedziałeś, jakie to dla mnie ważne... Dla mnie, dla mojego honoru!

– Do diabła z twoim honorem! – krzyknął Domenic. – Zabijesz Akitaro i co dalej? Zostaniesz aresztowany, skazą cię na śmierć i Krissann zostanie sama! Tego właśnie chcesz? Nie rozumiesz, ile w ten sposób możesz zniszczyć, ty egoistyczny głupcze? Właśnie dlatego ci nie powiedziałem!

Obaj ciężko oddychali, jak po biegu, albo po wyczerpującej bójce. Domenic widział, że Andreus wciąż myśli tylko o zemście. Gniew przesłonił mu wszystko inne.

– Posłuchaj mnie, Andre. Twój wuj to ledwie trybik w znacznie większej maszynie. Płotka. A ja chcę dostać tych, którzy stoją ponad nim, którzy wydają polecenia jemu i zapewne innym takim jak on. Powstrzymaj się jeszcze przez kilka dni, tylko o to cię proszę.

– Kilka dni? – głos Andreusa był zachrypnięty.

– Wierz mi, kilka dni może wiele zmienić. Ale na razie wstrzymaj się, proszę – potrząsnął głową. – Akitaro wydał twojego ojca ponad piętnaście lat temu. I przez cały ten czas nic nie wiedziałeś o jego zdradzie, traktując go jak członka rodziny.

Andreus wypuścił miecz z ręki.

– Chyba się porzygam – usiadł ciężko w fotelu i opuścił nisko głowę, obejmując ją ramionami.

Domenic podniósł miecz z podłogi.

– Ja też mam rachunki do wyrównania... kto wie, czy nie większe niż twoje – wysunął lekko głownię i patrzył, jak świetlne refleksy przesuwają się po nieskazitelnej powierzchni. – Ale mogę ci obiecać jedno, przyjacielu: kiedy będzie już po wszystkim, a ty wciąż będziesz chciał pomścić śmierć swojego ojca... nie będę ci przeszkadzał. Zrobisz, co uznasz za stosowne. A na razie mi zaufaj – odłożył miecz na jego miejsce, po czym skierował się ku drzwiom.

Kiedy przechodził obok Andreusa, ten chwycił go za rękę.

– Pozwolę mu żyć. Na razie – powiedział. – Dziękuję ci i... wybacz.

– Powiedzmy, że jesteśmy kwita – uznał Domenic. – Nie mów nic swojej siostrze.

Prawdopodobnie zareagowałyby w ten sam sposób.

Andreas uśmiechnął się słabo.

– Albo jeszcze gorzej. Nie, nie powiem jej, możesz być spokojny. Dowie się w swoim czasie.

Domenic skinął głową.

– Opiekuj się moimi rodzicami, kiedy wyjadę. Moja matka potrafi być męcząca.

– Wyjeżdżasz?

– Muszę.

– Jeśli będziesz mnie potrzebował, daj znać. Chętnie wezmę udział w jakiejś większej rozróbce.

Domenic uniósł brwi z powątpiewaniem. Andreas nie wyglądał na takiego, co rozrabia.

– Chcesz dać się zabić? – spytał podejrzliwie.

– Nie. Uczono mnie posługiwać się bronią. Naprawdę mógłbym się przydać.

– Zapewniam cię, że wezmę to pod uwagę.

Kiedy Haeris wzbił się w powietrze, zamek Matsushitaki natychmiast zmalął i wkrótce zniknął pod zasłoną niskich chmur. W kilkanaście minut byli już z powrotem w Dolinie Kanionu Ech, gdzie wciąż panowała noc.

Domenic odprowadził ogiera do przygotowanej dlań zagrody, po czym wyczyścił mu sierść do ostatniej kropli potu, do ostatniej drobiny kurzu, aż znowu lśniła oślepiającą bielą. Potem zaprowadził go do wodopoju i sam także ugasił pragnienie.

Nie chciało mu się wracać do swojego apartamentu. W zagrodzie było dość siana, by móc ułożyć sobie wygodne posłanie. Haeris nie miał najwyraźniej nic przeciwko temu, bowiem ułożył się do snu tuż obok.

Trzasnęły drzwi. Podniósł wzrok znad papierów, rozłożonych na biurku szerokim wachlarzem i spojrzał w kierunku źródła hałasu. Kobieta miała czarne włosy, splecione w misterny kok, czarne oczy w kształcie migdałów i dumną urodę urodzonej władczyni.

Teraz jednak jej piękną twarz wykrzywił grymas wściekłości.

– Powinnaś pukać, Meseret – stwierdził, nawet nie starając się ukrywać niechęci w swoim głosie. – To prywatny gabinet.

Nie odpowiedziała. Podeszła do biurka i z rozmachem rzuciła na blat gazetę. Jeden z krzykliwych nagłówek głośno głosił: Król Kristan mianował następcę!

– Czy to prawda? – spytała ostro. – Mianowałeś tego bękarta swoim następcą?

Zdjął okulary i przetarł oczy, zmęczone pracą nad stertą dokumentów.

– Tak, to prawda – przyznał. – Nie mów, że jesteś zaskoczona, moja droga.

– Catharyn jest starsza.

– Catharyn zostanie żoną księcia Tadao.

– Chyba nie mówisz poważnie! – oburzyła się.

– To małżeństwo zapewni nam przymierze z Sabedell, zwłaszcza że nasze stosunki z Errigall uległy, że tak powiem, atrofii.

– Równie dobrze mógłbyś ożenić swojego syna z którąś z córek króla Yassara. To by znacznie lepiej wpłynęło na naszą politykę zagraniczną. Catharyn mogłaby wtedy objąć tron Creswell – przekonywała Meseret.

Wyglądała w tej chwili jak uosobienie subtelności i zdrowego rozsądku. Czasy, kiedy dawał się na to nabrać, minęły już dawno temu.

– Catharyn jest zdolna i nie wątpię, że sprawdzi się jako królowa. Ale nie na tronie Creswell – odparł spokojnie. – Dobrze wiesz, dlaczego.

Brwi Meseret ściągnęły się.

– Mścisz się, ponieważ nie jest twoim dzieckiem. Uznałeś ją przecież! Nikt poza nami nie wie, że nie jest Allisandre. Sam mówiłeś, że to nie ma dla ciebie znaczenia.

– Bo nie ma. Ale jestem królem i muszę myśleć nie tylko o sobie. Kocham twoją córkę jak swoją własną, ale to Stephane jest krwią z mojej krwi i to on będzie następcą tronu.

Uderzyła otwartą dłonią w blat biurka.

– Nie zgadzam się!

Spojrzał na nią zimno.

– Moja droga, fakt iż jesteś moją żoną nie uprawnia cię do podejmowania decyzji w

sprawach państwowych.

Wyglądała tak, jakby wymierzył jej policzek. Cofnęła się.

– Ten bękart nie zostanie królem! – syknęła przez zaciśnięte zęby. W jej oczach mignęła ledwie powstrzymywana furia.

Zachował spokój. Wiedział, że to ją jeszcze bardziej rozwścieczy, ale gdyby sam dał się ponieść emocjom wtedy by wygrała.

– Wybrałem Stephane'a, ponieważ jest moim synem i tylko jemu mogę przekazać Pokrewieństwo – powiedział.

– Pokrewieństwo to mit, Kristanie! Nie możesz tylko od tego uzależniać swoich decyzji!

Zmarszczył brwi.

– Pokrewieństwo jest tak samo realne jak każda inna magia. Przykro mi, że nie wierzysz w jego siłę. Jak dotąd zapewniało nam pomyślność i pokój.

Potrząsnęła głową ze złością.

– Jeżeli uczynisz tego bękartą następcą tronu, wszyscy dowiedzą się, kim jest jego matka! A wtedy sam będzie musiał zrezygnować z korony!

– Ellerianne jest księżniczką rodu Hedaia, a więc jej krew jest szlachetniejsza niż twoja, moja droga – ta rozmowa zaczynała go męczyć. – Proszę bardzo, ujawnij prawdę, nie krępuj się. Ale wtedy też wszyscy dowiedzą się, kim jest ojciec Catharyn. Zdaje się, że ma na imię Tryun i jest twoim kuzynem? Bardzo bliskim kuzynem? – dodał z naciskiem.

Meseret zbladła raptownie i opadła na pobliski fotel.

– Skąd o tym wiesz?! – syknęła. – Sukinsyn!

– Nie przesadzaj, moja droga – roześmiał się nieprzyjemnie, z przymusem. – Sama mnie do tego zmusiłaś – przyglądał się jej z nieodganionym wyrazem twarzy. – Myślałaś, że się nie dowiem? Twój dziadek sprytnie to zaplanował, przyznaję. Gdyby nie twój wybryk, di Oristano rzeczywiście zasiedliby na tronie Creswell i to w pełni legalnie. Taki przecież przyświecał wam cel, nieprawdaż?

Zbladła ze złości, jej usta zacisnęły się w wąską kreskę. Kristan miał rację i ona o tym wiedziała. Poderwała się z fotela, jakby ktoś ugodził ją szpilką.

– Jeszcze się przekonamy, drogi mężu, które z nas dopnie swego – powiedziała dziwnie spokojnym głosem.

– Nie zadzieraj ze mną, Meseret, bo zapewniam cię, że nie tylko przegrasz, ale i gorzko pożałujesz.

– Zobaczymy!

Domenic z wolna otworzył oczy. Tuż nad nim pochylał się Haeris i trącał go delikatnie pyskiem. Przez wejście do grotty wlewały się strumieniem promienie słońca, wyłaczając siano leżące wokół.

– Witaj, przyjacielu – poklepał ogiera, a ten zarżał radośnie w odpowiedzi, po czym wyszedł na zewnątrz.

Domenic poszedł w jego ślady. Słońce stało już dość wysoko na niebie – o tej porze musiało już być grubo po śniadaniu. To dziwne, ale jakoś nie był głodny. Poszedł za ogierem ku brzegowi jeziora, rozebrał się i wykąpał w cudownie chłodnej wodzie. Potem usiadł na piasku i patrzył na ptaki.

Ta wizja nie wyczerpała go fizycznie i psychicznie jak wszystkie poprzednie. Albo jego organizm zdążył się już do nich przyzwyczaić, albo też złagodniały ich skutki. Nie czuł potwornego zmęczenia ani wściekłych bólów głowy. Czuł się tak, jak powinien się czuć po średnio dobrze przespanej nocy. Miał nadzieję, że ta tendencja się utrzyma. Może nie będzie tak źle, pomyślał.

Natomiast treść wizji – o, to już była zupełnie inna sprawa. Był w niej swoim dziadkiem, Kristanem. Już samo to wywarło na nim spore wrażenie. A rozmowa z Meseret dostarczyła mu kilku ważnych informacji.

Catharyn nie była córką Kristana, nie należała nawet do rodziny Allisandre. Drzewo genealogiczne kłamało – najwyraźniej nawet magię można oszukać. Nie mogła zostać królową Creswell. A Meseret pragnęła tego dla niej za wszelką cenę. Do tej pory Domenic sądził, że spisek zawiązano za czasów Stephane'a. Teraz był pewien, że stało się to na długo przedtem, zanim jego ojciec wstąpił na tron. I że stała za tym królowa Meseret.

Zawsze jednak istniało jakieś "ale". Meseret zmarła jeszcze przed Kristanem. A

spisek wciąż się rozwijał, zataczał coraz szersze kręgi. Logiczną następczynią Meseret pozostawała Catharyn – z głową nabitą przekonaniem, iż to ona powinna dziedziczyć tron Creswell. Kierowanie spiskiem z Sabedell musiało być trudne – a więc przez cały czas był tu Res Addar: nadzorował, rozkazywał, zbierał informacje i fundusze, kaptował i przekupywał ludzi, na których współpracy mu zależało.

I znowu wszystko sprowadzało się do Addara. Domenic musiał odkryć skrywającą go tajemnicę, ujrzeć to, co kryje się za jego zimnymi oczami. Musiał poznać go najlepiej, jak to tylko możliwe. Aby potem móc go zniszczyć.

No i jeszcze Ellermanne, matka Stephane'a, a tym samym babka Domenica. Księżniczka rodu Hedaia. Jak dotąd nie słyszał o takiej rodzinie. Musiał o to spytać Chenaulta. Skoro Hedaia i Allisandre byli ze sobą spokrewnieni, może warto by ich poprosić o pomoc. Ryzykował tylko tym, że mu odmówią.

Ani się spostrzegł, kiedy słońce stanęło w zenicie. Zdecydował się wracać – zaczynało mu już burczeć w brzuchu. Haeris był maleńką białą figurką na drugim brzegu jeziora – najwyraźniej nie miał żadnych problemów ze znalezieniem czegoś smacznego do zjedzenia. Domenic musiał jednak w tym celu udać się na stołówkę.

W zasadzie nie wiedział, co go ostrzegło. Może prawie niesłyszalny skrzyp piasku pod butem? Może cień, dostrzeżony ledwie kątem oka? Może przyspieszony oddech tuż za plecami? A może po prostu przecucie? To nie miało większego znaczenia.

Poderwał się błyskawicznie i odwrócił. Zdążył jeszcze zobaczyć zaskoczoną minę tamtego, zanim zadziałała tarcza. Domenic zupełnie o niej zapomniał – mógł po prostu siedzieć i nic nie robić, a efekt byłby ten sam.

Błysnęło, rozległ się ogłuszający huk i niedoszły zabójca wystrzelił w górę, po czym z głuchym odgłosem, rozdzierającym jękiem i trzaskiem łamanych kości uderzył o ziemię paręnaście metrów dalej. Sztylet, który miał w ręku, poszybował wspaniałym łukiem w ślad za nim. Właściciel nie mógł już jednak z niego skorzystać. W ogóle nie był w stanie zrobić czegokolwiek. Był przekonany, że połamał sobie wszystkie kości – kilka z nich z nich miał złamanych z pewnością.

Domenic podszedł doń z wolna, po drodze podnosząc sztylet. Broń nie wyróżniałaby się niczym szczególnym, gdyby nie pewien niewielki symbol umieszczony na bocznej

stronie główni – romb z kropką we wnętrzu. Symbol Świątyni. Czyżby to kapłani chcieli go zlikwidować? Nie wydawało się to możliwe. Po pierwsze zabraliby się za to w inny sposób, ponieważ znali możliwości jego tarczy. Po drugie, był dla nich istotą niemal świętą – za nic nie przelaliby jego krwi.

W takim razie kto?

Podszedł do leżącego i w sposób daleki od delikatności obrócił go na wznak. Mężczyzna jęknął z bólu i zakasłał. Na jego ustach wraz z pianą pojawiła się krew – widocznie jedno ze złamanych żeber przebiło płuco. Doskonale. Żadnej litości. Domenic przyłożył sztylet do jego szyi i spojrzał wprost w jego oczy, rozszerzone teraz strachem.

– Nie obchodzi mnie, czy umrzesz teraz, czy dopiero za kilka godzin – powiedział zimno, bez cienia litości w głosie. – Kto cię przysłał?

Mężczyzna zacharczał.

– Nie... nie wiem... – wyksztusił z wyraźnym trudem. – Przysięgam, że nie wiem... Był głos, jakieś słowa, straszne słowa... a potem musiałem! Musiałem, choć opierałem się ze wszystkich sił! – po jego twarzy popłynęły łzy.

Domenic zmarszczył brwi. Coś za szybko poszło. Za szybko i za gładko. Był jednak sposób, by zweryfikować zeznania.

Myśli zamachowca były jednym wielkim chaosem. Był w nich strach, ból, poczucie winy, ale i nienawiść – do kogoś skrywającego twarz, którego słowa niknęły w mrokach niepamięci. Domenic znał to dobrze i wiedział z czym jest związane.

– Jesteś sierotą... z Ośrodka Notus, prawda? – dopytywał się.

Nie uzyskał odpowiedzi. Mężczyzna wyprężył się nagle jak struna, w jego gardle zabulgotało nieprzyjemnie. Po chwili jego ciało zwiotczało. Nie żył.

Skądś pojawił się Menkaure i kilku innych kapłanów, wszyscy zdyszani i spoceni. Odetchnęli z ulgą, kiedy przekonali się, że Domenic nie jest nawet ranny. Chociaż siedział na piasku dziwnie odrętwiały, to jednak nie odniósł żadnych fizycznych obrażeń. Menkaure ostrożnie dotknął jego ramienia, obawiając się, że ktoś mógł go zranić magicznie. Takie rany były o wiele groźniejsze niż te widoczne na pierwszy rzut oka.

– Wasza Wysokość?

Domenic drgnął lekko, jakby budząc się z transu. Bez słowa podał kapłanowi sztylet. Menkaure obejrzał go dokładnie.

– To nasz wyrób – stwierdził, po czym wskazał na trupa. – Ale on nie jest jednym z nas.

– Zabierzcie go stąd – rozkazał cicho Domenic. – Dowiedzcie się, jak się nazywał, skąd pochodził, a potem urządźcie mu przyzwoity pogrzeb.

Menkaure zwrócił uwagę na szczególny ton w jego głosie.

– Masz jakieś podejrzenia, mój panie?

Domenic podniósł się z piasku i starannie otrzepał spodnie.

– Ośrodek Notus – odparł po dłuższej chwili. – Myślę, że to tam go przygotowano.

Patrzył jak kapłani owijają trupa w jakiś koc i zastanawiał się, czy to był ktoś, kogo mógł znać. Samego pobytu w sierocińcu nie pamiętał prawie w ogóle. Z tym człowiekiem mógł wówczas dzielić pokój, zabawki, książki, miejsce na stołówce, ławkę podczas lekcji.

– Powinienem być się domyśleć, że spróbują wyeliminować cię w podobnie prostacki sposób, mój panie – powiedział Menkaure przepaszająco. – Na szczęście, tarcza zadziałała zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

– Gdyby nie tarcza, już bym nie żył – przytaknął Domenic, kierując się w stronę wind. Kapłan nie odstępował go ani na krok.

– Odtąd jeden z nas będzie zawsze strzegł twego bezpieczeństwa.

Domenic zatrzymał się raptownie.

– A po co? – spojrzał na kapłana ze zdziwieniem. – Tarcza przecież wciąż mnie chroni.

– Zgadza się, ale tylko przed bezpośrednim zagrożeniem – skinął głową Menkaure. – Gdyby jednak ktoś spróbował... na przykład trucizny, tarcza stałaby się bezużyteczna.

Domenic uniósł brwi.

– Będziecie smakować za mnie potrawy? Nie przesadzaj, Menkaure. Nie życzę sobie, byście za mną łazili.

– Ależ, Wasza Wysokość... – próbował protestować kapłan.

– Nie. To moje ostatnie słowo.

– Nie ufasz nam już – stwierdził Menkaure ze smutkiem.

Domenic westchnął.

– Nie chodzi o to, czy wam ufam, czy też nie. Chcę, by ten, kto nasłał tego nożownika pomyślał dokładnie to, co ty w tej chwili. Rozumiesz?

Menkaure skłonił się. Jego twarz płonęła rumieńcem zawstydzenia.

– Wybacz, Wasza Wysokość. Nie sądziłem, że masz w tym jakiś cel. Nie będziemy cię niepokoić bez przyczyny – skłonił się jeszcze raz. – Cieszę się, że jednak nam ufasz.

Domenic patrzył za nim, jak dołączył do innych kapłanów. Ufność Menkaure była doprawdy rozbijająca. Jednak zaufanie jego samego do kapłanów miało swoje granice. Nie mógł sobie pozwolić na więcej. Otaczali go wrogowie, a czas był bardzo niepewny. Nie mógł bezgranicznie zaufać nikomu ze swego otoczenia. Mogli być na usługach Addara, nie zdając sobie nawet sprawy z tego faktu. Mogli wygadać się zupełnie przypadkowo przed kimś, kogo nawet by nie podejrzewali o to, że szpieguje na rzecz pułkownika.

Ten zamachowiec nawet nie wiedział kto mu zlecił zabójstwo, ani dlaczego. Ilu jeszcze było takich jak on – z wydrażoną pamięcią, bez własnej tożsamości, gotowych na śmierć? O, ten z pewnością nie był ostatni.

Zastanawiające, co pułkownik Addar chciał osiągnąć poprzez nasłanie tego zabójcy. Domenicowi wydało się bowiem podejrzane, że tamten tak łatwo dał się pokonać. No i dlaczego na narzędzie zbrodni wybrał sztylet? Czyżby Addar spodziewał się, że Domenic jest w jakiś sposób chroniony i chciał to w ten sposób sprawdzić? Ale po co? Gdyby chciał go zabić, wystarczyłby snajper na krawędzi kanionu – okazji po temu było aż nadto.

Domenic musiał więc założyć, że nie chodziło o jego śmierć – przynajmniej w tym przypadku. W takim razie Addar chciał go zastraszyć lub też skłócić z kapłanami Świątyni. Albo też jedno i drugie, dwie pieczenie przy jednym ogniu. Niegłupie, to musiał przyznać.

Zawsze trzeba doceniać przeciwnika.

Rozdział jedenasty

Lucien Chenault był więcej niż tylko niespokojny. Domenic zniknął poprzedniego wieczora i nikt od tamtej pory go nie widział. Nie nocował w swoim apartamencie, nie było go na śniadaniu, a terminal nie był w stanie wskazać miejsca jego pobytu.

I kiedy szambelan był już niemal bliski paniki, Domenic pojawił się w drzwiach jego biura, cały i zdrowy. Chenault aż usiadł w fotelu z wrażenia, przezornie trzymając się za serce.

– Coś się stało? – Domenic zmarszczył brwi z nagłym niepokojem.

Chenault potrząsnął głową.

– Wasza Wysokość, powinienes mnie informować, kiedy opuszczasz miasto – powiedział grobowym tonem. – Martwiłem się, że mogło ci się coś stać, Sire.

Domenic uśmiechnął się i usiadł.

– Niepotrzebnie się pan martwił, szambelanie. Spałem w zagrodzie Haerisa.

Chenault przyglądał mu się z pełnym zdumienia niedowierzaniem.

– W stajni? – powiedział to takim tonem, jakby to był chlew. – Wasza Wysokość... – zaczął z oburzeniem, ale Domenic przerwał mu tę tyradę.

– Później, panie Chenault. Chciałbym pana spytać o kilka rzeczy.

Szambelan obiecał sobie w myślach, że jeszcze przeprowadzi z nim poważną rozmowę na temat bezpieczeństwa i zachowania odpowiedniego dla następcy tronu. Na wszystkich bogów, przysły król nie powinien przecież sypiać w końskiej zagrodzie!

– Pytaj więc, Wasza Wysokość – westchnął ciężko, dając wyraźnie do zrozumienia, że życie szambelana usłane różami raczej nie jest.

– Co pan wie o rodzinie Hedaia? – spytał Domenic, czym zupełnie zaskoczył Chenaulta.

– Hedaia? – zdziwił się. – Ale... ale... – jąkał się przez chwilę. – Nie rozumiem, Sire.

– Istnieje taka rodzina, prawda?

Szambelan potrząsnął głową.

– Hedaia nie są rodziną, Wasza Wysokość. To raczej klan, plemię. Uważa się ich za nową rasę ludzi, ale są i tacy, zwłaszcza wśród technokratów, co zaliczają ich do

odrębnego gatunku.

– Teraz ja nie rozumiem – przyznał Domenic.

– Hedaia początkowo byli rodziną arystokratyczną, zgadza się, jak Matsushitaki, Allisandre czy de Bricassarte. Z tym, że w rodzie Hedaia magia objawiała się zawsze z niezwykłą siłą. Większość wielkich magów pochodziła z Hedaia. Jednak z czasem magia zaczęła ich zmieniać. Oni sami stali się magiczni, jak smoki czy feniksy.

– Ale gdzie oni teraz są? Jeżeli magia jest wśród nich tak silna, to z pewnością stali się celem ataków technokratów.

Chenault pokiwał głową.

– I tak się też stało. Kilku z nich schwytano i wtrącono do Zoltray, gdzie wkrótce zmarli. Reszta zdążyła uciec i skryć się w puszczy Adheorte. Tam nie odważyłby się zapuścić żaden technokrata, ponieważ jest to miejsce przesiąknięte magią. Wraz z Hedaia schroniło się tam wiele magicznych stworzeń.

– Gdzie znajduje się puszcza Adheorte?

– Tego nikt nie wie, Wasza Wysokość – odparł Chenault z niejakim zakłopotaniem. – Lasy Adheorte nie mają stałego położenia w przestrzeni. Dlatego tak trudno je odnaleźć. Już od wielu lat nikomu się to nie udało. I nikomu od czasu przewrotu.

Domenic zamyślił się. Nie przypuszczał dotąd, że odszukanie Hedaia napotka na tak niezwykle przeszkody. Sądził, że po prostu skontaktuje się z przywódcą rodu, porozmawia z nim i tym samym sprawę załatwi mniej lub bardziej pozytywnie.

Musiał jednak spróbować ich odnaleźć – byli wygnańcami, uciekinierami. Dokładnie jak mieszkańcy Solatis. Hedaia z jednej strony stanowili siłę, której nie należało lekceważyć – obawiali się ich technokraci, skoro próbowali ich wyeliminować. Mogła tu zadziałać zasada znana od pokoleń: wróg naszego wroga jest naszym przyjacielem. Z drugiej strony, Hedaia mogli poczuć się urażeni, jeśli nikt nie zaproponuje im udziału w nadchodzącej próbie sił. W końcu także byli obywatelami Creswell, cokolwiek na ten temat sądzili technokraci.

No i byli jego rodziną – powód równie ważny, jeśli nie najważniejszy.

– Jest jakiś sposób na zlokalizowanie puszczy Adheorte?

Chenault zrobił wielkie oczy.

– Ale po co? – zdziwił się. – Hedaia raczej zawsze trzymali się na uboczu. Nie ma sensu ich szukać. Cokolwiek zamierzasz, Wasza Wysokość, to próżny trud.

– Sam o tym zdecyduję – Domenic nie zamierzał tłumaczyć się z pobudek, dla których chciał to uczynić. A te tylko częściowo dotyczyły polityki.

Chenault westchnął.

– Ja sam nic nie wiem na temat, nie interesowało mnie to po prostu. Ale podejrzewam, że w naszej bibliotece znajdują się odpowiednie książki, które pomogą ci znaleźć odpowiedź na twoje pytanie.

– Świetnie. Chciałbym spytać jeszcze o Meseret, żonę króla Kristana.

– I twoją babkę, Sire – dodał Chenault, zadowolony że rozmowa zeszła na tory, po których mógł się swobodnie poruszać. – Musisz wiedzieć, Domenicu, że Meseret była bardzo piękną i pełną temperamentu kobietą. Pochodziła z rodu di Oristano, który w przeszłości wielokrotnie zgłaszał pretensje do tronu. Małżeństwo Meseret z Kristanem położyło kres tej... hm... waśni – wzruszył ramionami. – Niestety, Meseret zmarła dość nagle na kilka lat przed śmiercią Kristana i objęciem tronu przez twego ojca.

Domenic przyglądał się szambelanowi nieodganionym wzrokiem. Dobrzy bogowie, on naprawdę nic nie wiedział, niczego nawet nie podejrzewał! Nie wiedział, że Meseret wychodząc za Kristana była w ciąży z innym mężczyzną. Nie wiedział, że Kristan uznał Catharyn za swoją córkę tylko dlatego, by jego żona uznała Stephane'a. No i najważniejsze: waśń nie tylko się nie zakończyła, ale nabrała jeszcze większego rozmachu.

Nie uważał szambelana za człowieka naiwnego bądź ograniczonego. Fakt, iż niczego się nie domyślał – on, osoba, która pełniła w pałacu królewskim jeden z ważniejszych urzędów – fakt ten świadczył o tym, że Kristan dobrze strzegł rodzinnych sekretów. Sekretów, które nigdy nie zostały ujawnione – Meseret z pewnością nie powiedziała o tym nikomu, gdyż była na to po prostu zbyt dumna.

– Jaka była przyczyna śmierci Meseret? – spytał. Właściwie go to nie interesowało, ale nie chciał sprawiać takiego wrażenia. Chenault nie mógł się niczego domyślać: rodzinne tajemnice powinny na razie takimi pozostać.

Szambelan potrząsnął głową.

– Tego nie wiadomo, Sire. Zmarła nagle, przedtem nie uskarżała się na żadne dolegliwości. To była silna kobieta.

Domenic uniósł brwi.

– Czyżby pan sugerował... – zawiesił znacząco głos.

– Och, ależ nic podobnego, Wasza Wysokość! Meseret była bardzo lubiana, nie było chyba nikogo, kto mógłby skorzystać na jej śmierci. Dlatego jest to takie tajemnicze.

– Tajemnice są ostatnio na porządku dziennym – mruknął Domenic, wstając.

Biblioteka zajmowała większą część poziomu siódmego, składało się na nią kilkanaście okazałych pomieszczeń rozdzielonych potężnymi filarami. Na jej księgozbiór składały się głównie książki traktujące o magii i magicznych istotach, które to woluminy dwadzieścia cztery lata temu technokraci usunęli z tysięcy publicznych bibliotek z zamiarem ich zniszczenia. Zgromadzone tutaj księgi udało się ocalić wysiłkiem i poświęceniem wielu ludzi.

Domenic skierował się ku działowi z literaturą dotyczącą magii, kiedy ktoś go zatrzymał, chwytając za ramię. Obejrzał się zaskoczony i zobaczył niską, chudą kobiecinę w okularach z grubymi oprawkami, patrzącą na niego groźnie spoza szkieł. Na identyfikatorze przypiętym do starannie nakrochmalonego i wyprasowanego kołnierzyka widniało nazwisko: E. Torosyan.

– Nigdy pana tu nie widziałam, a więc mogę założyć, że nie posiada pan karty bibliotecznej – ni to stwierdziła, ni to zapytała. Jej głos był ostry i stanowczy.

Domenic uśmiechnął się, rozbawiony.

– Nie, proszę pani, nie mam – przyznał ze skruchą.

– A więc, proszę za mną – doprowadziła go do kontuaru niczym niegrzecznego ucznia i dopiero tam puściła jego rękę. – Imię i nazwisko?

– Domenic Allisandre.

Ku jego zaskoczeniu pani Torosyan roześmiała się.

– Pańskie prawdziwe imię i nazwisko! – powiedziała z naciskiem.

Domenic westchnął. Niestety, nie mógł udowodnić swojej tożsamości z tej prostej przyczyny, że nie miał na to dokumentów. Nie chciało mu się wracać i prosić Chenaulta

o jakiś papierek, dlatego podał bibliotekarce kartę identyfikacyjną, na której figurował jako Kester Arretche. W najbliższym czasie musiał się jednak zająć kwestią własnej identyfikacji.

– No, teraz już lepiej – pani Torosyan przytaknęła z zadowoleniem. – Bardzo pan zabawny, panie Arretche – dodała, wprowadzając dane do komputera.

– Doprawdy? – Domenic starał się zachowywać powagę.

– O, tak. Nie każdy próbuje podawać się za następcę tronu. Chociaż kiedyś ktoś udawał centaura. Prawie dałam się wtedy nabrać. Załatwione – poinformowała, oddając mu identyfikator. – Teraz może pan korzystać z naszych zasobów bez przeszkód. Czytelnia jest tam – wskazała dłonią na jedno z sąsiednich pomieszczeń. – Książki można brać z półek, ale potem należy je odkładać na ich miejsce. Bez mojej zgody nie można ich wynosić poza teren biblioteki. Czy wszystko jasne?

– Tak jest, proszę pani! Bardzo dziękuję – skłonił się uprzejmie, maskując śmiech.

Tym razem bez przeszkód dotarł do odpowiedniego działu. Patrząc na ilość tytułów żałował, że nie zajrzał tu wcześniej – mógłby w ten sposób rozwiązać wiele swoich wątpliwości. Były tu podręczniki stosowania magii, księgi zaklęć, mikstur i eliksirów, atlasy magicznych stworzeń i zjawisk, almanachy historyczne nieocenzurowane przez technokratów i wiele, wiele innych.

Znalazł interesujące go pozycje i usiadł w czytelni, by dokładnie się z nimi zapoznać. Niestety, o puszczy Adheorte napisano niewiele – informacje powtarzały się w kilku książkach, jakby ich autorzy przepisywali je od siebie, co zapewne było prawdą. Stąd Domenic wywnioskował, że puszcza jest na tyle niedostępna, że rzadko kto ma okazję dostać się do niej, a tym bardziej ją badać.

To, że lasy Adheorte nie miały stałego położenia, dowiedział się już od szambelana. Interesowało go, jak je odnaleźć – w książkach była informacja o tym, że jeżeli puszcza już się gdzieś pojawi, może przebywać w tym samym miejscu równie dobrze przez kilka godzin, jak i przez kilka dni czy nawet tygodni. Ponadto znalazł wzmiankę o jakimś potwornie skomplikowanym zaklęciu.

– W tych książkach niewiele pan znajdzie – stwierdził ktoś tuż obok.

Domenic podniósł wzrok. Przy sąsiednim stoliku siedziała jakaś kobieta. Przyglądała

mu się z życzliwym uśmiechem zza szkieł okularów. Doprawdy, starsze, samotne kobiety były nieodłączną cechą chyba wszystkich bibliotek świata.

– Student czy profesor? – spytała, przysiadając się bezceremonialnie do jego stolika.

Przyjrzał się jej nieco uważniej. Pierwsze wrażenie okazało się mylne – była mniej więcej w jego wieku, może nawet trochę młodsza. W błąd wprowadziły go wyraźne pasemka siwizny w ognisście kasztanowych włosach.

– Ani jedno, ani drugie – odparł. – Po prostu czysta ciekawość. Co jest nie tak z tymi książkami?

– Nic. Są przeznaczone raczej dla szerszego grona czytelników, takich, którzy nie planują, na przykład, zwiedzania Adheorte, a jedynie chcą o tym poczytać.

– A pani to wie? – uniósł brwi. Dziewczyna niespodziewanie zaintrygowała go.

– To mój zawód – wyciągnęła ku niemu dłoń. – Valetta Cardew, wykładam historię magii w zastępstwie jednego z profesorów. Proszę mi mówić Val.

– Domenic – uścisnął jej rękę. – A więc wiesz, w jaki sposób można odnaleźć puszcę Adheorte?

Uśmiechnęła się i zdjęła okulary. Miała oczy w kolorze fioletu, upstrzone dość gęsto złotymi plamkami.

– Tak przypuszczałam, że nie jesteś zwyczajnym czytelnikiem. Naprawdę masz zamiar to zrobić?

– Tak.

– Jesteś magiem?

Zrobił zaskoczoną minę.

– Tego nie wiem. Nigdy tego nie sprawdzałem. Tak naprawdę, to jestem w Solatis dopiero od kilku dni.

– Aha... I pewnie dotąd nawet nie wiedziałeś, co to magia – domyśliła się.

– Mniej więcej – przytaknął.

Pokręciła głową.

– Nie radzę ci w takim razie próbować. Nie masz odpowiedniego przygotowania do tego rodzaju zabawy – ostrzegła z poważnym wyrazem twarzy. – Z zaklęciami trzeba obchodzić się ostrożnie: jedna pomyłka i może po tobie zostać dziura w krajobrazie.

Domenic uśmiechnął się mimowolnie. Val mówiła tak obrazowo, że ciężko mu było zachować powagę.

– Dlaczego się do mnie przysiadłaś? – spytał z ciekawością.

Przewróciła oczami.

– Rozejrzyj się! – potoczyła wokół spojrzeniem. – Albo studenci napakowani testosteronem, albo zgrzybiali profesorowie, albo nadęci doktoranci. Ty przynajmniej wyglądałeś na normalnego faceta!

– Wyglądałem? – Domenic walczył z pokusą, by nie roześmiać się w głos.

– No, nie uważasz chyba, że poszukiwanie Adheorte można uznać za normalne? – zdziwiła się.

Zachichotał.

– Niestety, nie zrezygnuję z tego pomysłu. Co byś mi w związku z tym poradziła jako ekspert?

– Pomyślmy – zastanowiła się. – Na twoim miejscu poszukałabym maga, który mógłby ściągnąć puszcę w odpowiednie miejsce... pustynia Teirah wydaje się w sam raz. A jeśli zamierzasz tam wejść, skompletowałabym jeszcze uzbrojoną drużynę.

– Uzbrojoną? Masz na myśli fazery, pistolety, karabiny...

– Nie, nie, ta broń będzie bezużyteczna – potrząsnęła głową. – Adheorte to magiczne miejsce, żadna nowoczesna broń nie będzie tam działać.

– A więc miecze...

– Miecze, łuki, kusze, topory... czym kto potrafi się posługiwać. Uzbrojenia nigdy dosyć.

Domenic przyglądał się jej przez chwilę z uwagą. Nie odwróciła wzroku, jedynie uniosła pytająco brwi.

– Podejrzewam, że tak się dziwnie składa, że to ty jesteś tym magiem, który miałby chęć na wypróbowanie swoich sił w tym przedsięwzięciu – stwierdził, a jej mina świadczyła, że trafił w dziesiątkę. – Twoje włosy... to efekt uboczny używania magii, prawda?

– Bystry jesteś – uznała z uśmiechem. – Tak, jestem też magiem.

Westchnął.

– Dlaczego po prostu mi nie powiesz, jak się dostać do puszczy?

Pochyliła się nieco do przodu.

– Myślisz, że tylko ty jesteś szalony?

– Ja nie idę tam dla czezej rozrywki.

– Ale nie możesz iść sam. Ja też nie. Razem możemy skompletować drużynę.

Adheorte to nie jest zwykły las. Czai się tam wiele niebezpieczeństw, a ja mam w tym względzie odpowiednią wiedzę.

– Dlaczego chcesz tam iść?

Wzruszyła ramionami.

– Wiedza o puszczy jest mniej niż skąpa, większość to mity i legendy, które raczej nie mają potwierdzenia w rzeczywistości. Chcę odkryć Adheorte na nowo. Napisać o tym porządną książkę albo nawet kilka. A potem zostać profesorem.

– Kariera – pokiwał głową. – To dobry powód.

– Kiedy nadarza się okazja, trzeba ją chwycić, bo następna może się już nie trafić, jak mawiała moja babcia.

– Miałaś mądrą babcie – przyznał Domenic.

– To jak? Zgadzasz się?

– A czy mam wybór? – odpowiedział pytaniem.

– Nie, nie masz – zgodziła się.

Domenic zdecydował się w jednej chwili. Tak, należało chwycić okazję, kiedy tylko się nadarzała. Nie bardzo wiedział, kogo mógłby poprosić o to, by mu towarzyszył w tak niebezpiecznym przedsięwzięciu, ale przypomniały mu się słowa Andreusa, który wręcz dopraszał się o jakąś “rozbóję”, jak to ujął podczas ich ostatniej rozmowy.

– Bądź gotowa jutro z samego rana. Ja skompletuję resztę drużyny, ty zajmij się odpowiednim ekwipunkiem.

Skinęła głową i wstała, pospiesznie zbierając swoje szpargały.

– Pójdę już. Skoro ruszamy jutro, muszę się przygotować.

Domenic też opuścił bibliotekę, zegnany uśmiechem pani Torosyan. Nie mógł powstrzymać się od rozbawienia, kiedy naprzeciwko jej stanowiska zobaczył portret swojego ojca – naturalnej wielkości. Miał ogromną ochotę uświadomić bibliotekarce jej

pomyłkę, ale na szczęście powstrzymał się przed tym – Chenault znowu by powiedział, że takie zachowanie nie przystoi następcy tronu.

Czekała na niego w jego apartamencie.

Jej włosy spływały po ramionach i plecach, jak szafirowa kaskada. Ubrana była w długą suknię, która podkreślała intensywną barwę jej oczu. Roztaczał się wokół niej delikatny zapach kwiatów – aromat, który kojarzył mu się bezbłędnie z Krainą Wiecznego Lata.

– Witaj, matko.

Wstała na jego widok. Była zdenerwowana – dostrzegł to pomimo faktu, że nie poznał jej jeszcze na tyle dobrze, by domyślać się o jej emocjach z wyrazu twarzy i subtelnościach w zachowaniu.

– Był zamach na twoje życie – powiedziała. W jej głosie pobrzmiwał gniew i coś jeszcze...

– Menkaure ci powiedział? – skrzywił się.

– To należy do jego obowiązków – odparła. Starła się zachować spokój, ale z trudem powstrzymywała się, by nie podbiec do niego i objąć w matczynym uścisku. Udało mu się rozpoznać gniew w jej głosie, teraz usłyszał również lęk.

– Nie jestem ranny – powiedział uspokajająco. – A tamten człowiek nie żyje.

– Wiem.

– Więc o co chodzi?

W jej wzroku pojawiło się niedowierzanie.

– Zaatakowali cię, synu! Jak możesz traktować to z takim spokojem!? Przecież chyba zdajesz sobie sprawę, że na tym się nie skończy!?

Pokiwał z wolna głową.

– Ten dzisiejszy zamach... to była zaledwie próba... Sprawdzali tylko, kto lub co mnie chroni.

Dayiell usiadła i rzuciła mu poirytowane spojrzenie.

– Jak sądzę, nie dasz się namówić na dodatkową ochronę?

Potrząsnął głową.

– Nie jestem głupi ani lekkomyślny, matko – powiedział. – To jest część gry.

Przyglądała mu się z uwagą i widziała, jak jego twarz nabiera nieokreślonego wyrazu. Nie spytała, o jaką grę mu chodziło – domyślała się tego. Jednak ta wiedza przejmowała ją lękiem. Jeszcze nie był na tyle silny, by stawić czoła temu, co na niego czyhało, wręcz przeciwnie – teraz był najsłabszy, najbardziej narażony na niebezpieczeństwo. Miała nadzieję, że ochrona, jaką mu zapewniła, podając do wypicia Krew Wiecznego Drzewa, zaczęła już działać. Jednak niczego nie można było być pewnym w tak niezwykłym przypadku – jak dotąd bogowie nie łączyli się z ludźmi, a jeśli nawet – to nie było potomstwa z takich związków.

– Jutro udaję się do puszczy Adheorte – oświadczył nagle, wyrrywając ją z zamyślenia. Poderwała się z fotela.

– Chyba żartujesz, dziecko... – wyksztusiła. – Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to niebezpieczne!

– Uspokój się, matko, nie idę tam sam. Poproszę Andreusa, by mi towarzyszył. Znalazłem już maga, który ściągnie Adheorte na pustynię. A raczej to ona mnie znalazła – uśmiechnął się.

– Mój drogi, nie potrzebujesz jakiegoś tam maga. Z twoim talentem i mocą mógłbyś umieścić Adheorte na łebku od szpilki – machnęła niecierpliwie dłonią. – Ale nie to jest ważne. Potrafisz się posługiwać jakąś bronią?

Uniósł brwi w zdumieniu. Ta nagła zmiana frontu była cokolwiek zastanawiająca.

– Przez jakiś czas trenowałem strzelectwo.

– Świetnie, w puszczy przydaje się każda umiejętność – wyciągnęła rękę, a po chwili krótszej niż uderzenie serca w jej dłoni znalazł się długi łuk o wspaniałych rzeźbieniach i kołczan pełen strzał o srebrnych grotach. Podała mu jedno i drugie. – Przynajmniej nie będziesz bezbronny.

– Dziękuję, matko – ze znanstwem sprawdził napięcie cięciwy na gryfach. – To wspaniała broń.

W jej dłoniach pojawił się jeszcze jeden przedmiot. Na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie tkaniny – ciężkiej, o srebrzystym połysku. Przy bliższych oględzinach ukazywała się jednak właściwa struktura materiału – ciasno splecione, maleńkie

metalowe kółeczka.

– Ta kolczuga jest ze srebra – powiedziała. – Oprócz tego, że chroni od uroków i odbija większość zaklęć, może też obronić cię przed skrytobójczym ciosem. Wiem, chłopcze – podniosła ostrzegawczo rękę, kiedy próbował jej przerwać. – Wiem, że chroni cię tarcza. Jednak bardzo cię proszę, byś nałożył też tę kolczugę. Dla mojego spokoju – popatrzyła na niego błagalnie.

– Dobrze, matko – westchnął ciężko, po czym ujął kolczugę w dłonie, dziwiąc się jej lekkości. – Tylko i wyłącznie dla twojego spokoju.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, wiedząc że dotrzyma słowa. Cieszyła się, że udało jej się osiągnąć choć tyle. Był równie uparty, jak jego ojciec.

Domenic był jej synem – dzieckiem, którego pragnęła tak bardzo, że pragnienie to stało się niemal celem jej życia. Wśród bogów rzadko rodziły się dzieci – w gruncie rzeczy nie istniała taka potrzeba, skoro bogowie byli nieśmiertelni. A czymże są dzieci, jak nie przedłużeniem rodziców? Narodziny jej samej i jej trzech bliźniaczych sióstr było niezwykłym wydarzeniem, celebrowanym niczym największe ze świąt. Należały do najmłodszego pokolenia bogów – i nie zanosilo się, by ten stan miał ulec zmianie w najbliższym czasie.

W Tirtarn nikt nie wiedział o jej dziecku. Nikt, oprócz Wai – on wiedział wszystko – ale Dayiell była pewna, że jej nie zdradzi. Nie wiedzieli nawet jej rodzice, Ursalla i Usires. Krew jej ukochanego syna była na poły ludzka, więc Dayiell wołała go na razie nie narażać na konfrontację z innymi bogami. Zwłaszcza, że byli wśród nich i tacy, którzy mogliby chcieć jego śmierci – właśnie przez tę mieszaną krew.

Wciąż nie było wiadomo, jaką drogę wybierze. Wciąż nie było wiadomo, czy zechce być człowiekiem, czy też bogiem. Ona, oczywiście, wołałaby, by wybrał tę drugą możliwość – jej syn stałby się wówczas oficjalnie jednym z bogów, nie groziłaby mu już śmierć zarówno z rąk ludzi, jak i innych nieśmiertelnych. Byłby bezpieczny. Ludzka część jego natury wniosłaby do Krainy Łata ożywczy powiew.

Ale musiała też pamiętać o tym, że jej syn urodził się i wychował jak śmiertelnik. I że świat ludzi był jego domem bardziej niż mityczna Kraina Łata. Nawet Krew Wiecznego Drzewa nie mogła nic na to poradzić. Jeśli zechce żyć jak człowiek, życiem ludzi i ich

sprawami, ona będzie musiała zaakceptować jego decyzję.

I pewnego dnia patrzeć na jego śmierć.

A teraz zanosilo się na to, że ten dzień nadejdzie znacznie szybciej, niż się spodziewała. On zdawał się lekceważyć niebezpieczeństwo, choć jednak miała nadzieję, że może i wie, co robi. No i jeszcze ta wyprawa do puszczy Adheorte. Co mogła zrobić? Zabronić mu? Był dorosłym mężczyzną, mógł decydować o sobie. Ona mogła tylko podarować mu łuk, strzały i kolczugę, i życzyć powodzenia. To prawda, że była boginią – lecz dla niego przede była matką.

A jej syn... Cóż, władzę nad nim sprawował silny, wewnętrzny przymus – i bynajmniej nie było to Pokrewieństwo. Gdyby nie to, nie czułby się tak potwornie odpowiedzialny za cały ten bałagan, który zostawił po sobie jego ojciec. Gdyby była to magia, mogłaby z nią walczyć – w końcu była boginią. Ale, niestety, nie miało to z magią nic wspólnego.

Domenic nie chciał słyszeć o jakiegokolwiek dodatkowej ochronie. Co wszak nie znaczyło, że nie mogła mu jej zapewnić bez jego wiedzy. W coraz większym stopniu stawał się nieśmiertelnym – teraz, kiedy Krew Wiecznego Drzewa krążyła w jego żyłach – ale istniały sposoby, by i nieśmiertelnych pozbawić życia. Pierwsza próba się nie powiodła, co będzie z następnymi atakami? Dayiell była realistką i podobnie jak jej syn uważała, że te nastąpią – prędzej czy później.

Opuściła go, używając jakiejś błahej wymówki, po czym przemierzyła całą Krainę Lata, zdążając wprost do jej centrum, do jej serca. Do miejsca, gdzie swe źródła miało wszelkie życie, skąd wypływała wszelka moc, gdzie tkwiły korzenie wszelkiego istnienia.

Miejsce to wyglądało bardzo niepozornie – ot, zwyczajna chata, kryta strzechą, drewniane okiennice, wokół starannie utrzymany ogród pełen najprzeróżniejszych kwiatów i ziół. Za domem wielkie drzewo, które karmiło życiem wszystko i wszystkich, gdzie zaczynał się czas, gdzie tworzyła się moc. I otwarte drzwi – zawsze otwarte drzwi – zapraszające każdego, kto potrzebował rady lub pomocy.

Dayiell z niejakim wahaniem stanęła w progu.

– Wejdz, dziecko, wejdz – zachęcił ją dobrze znany głos, drżący starym rozbawieniem.

Staruszek o włosach białych jak śnieg siedział przy stole na drewnianej ławie, śledząc

spojrzeniem linie słoików, jakby to były poplątane ścieżki życia bogów i ludzi. Skóra na jego twarzy była pomarszczona i zdawała się całkiem przezroczysta, bez żadnych plamek czy skaz. Drżące dłonie znaczyła siateczka naczyń krwionośnych, doskonale widoczna pod skórą cienką jak pergamin. Wyglądał dobrotliwie i niegroźnie, ale Dayiell dobrze wiedziała, że za tymi błękitnymi, niewinnymi oczyma kryje się potęga, której jak dotąd nie odważył się przeciwstawić żaden z bogów młodszego pokolenia.

Z szacunkiem ucałowała go w ramię, po czym usiadła u jego stóp – jak wtedy, gdy była jeszcze dzieckiem i nazywała go dziadkiem. Dawno, dawno temu.

Starzec położył dłoń na jej włosach.

– Wiem, z czym przychodzisz, drogie dziecko – powiedział. – Ale nie mogę ci pomóc.

– Wai, on jest moim synem – szepnęła.

– Wiem, dziecko, wiem... Ale decyzja należała do niego i on ją podjął.

– Chcą go zabić.

– Twoja krew, nasza krew, płynąca w jego żyłach stanowi wystarczającą ochronę.

Twój syn sobie poradzi. Poza tym chyba nie bez powodu dałaś mu zamiast wina Krew Wiecznego Drzewa, prawda?

Podniosła na niego pytające spojrzenie.

– Czy to wystarczy, by go ochronić?

– Musi. Nie martw się, Dayiell. Wszystko będzie dobrze.

– Patrzyłeś w przyszłość, Wai?

Uśmiechnął się lekko. Wszechobecne zmarszczki zmieniły mapę jego twarzy.

– Przyszłość zawsze jest niewiadomą, bowiem z terażniejszości wypływa zbyt wiele dróg, zbyt wiele możliwości. Każda z nich jest jak żywa istota, chce istnieć i dawać życie kolejnym. Jednak to istoty obdarzone wolną wolą dokonują wyborów...

– Zabijając tym samym wiele z nich, ale i stwarzając nowe, inne – dokończyła jak dobrze znaną lekcję. – Wiem to, Wai, ale... i tak się martwię.

– Jesteś matką, moja droga. To uczucie nie opuści cię nigdy – Wai patrzył na nią z uwagą. – Zdajesz się jednak zapominać, że masz dwóch synów.

Spojrzenie Dayiell stwardniało.

– Pamiętam – odparła krótko. – Nie mogę sobie pozwolić na luksus zapomnienia,

jeszcze nie teraz.

– Istnieje niebezpieczeństwo, że Domenic zniszczy swojego brata. Nienawidzi go bardziej niż kogokolwiek na świecie, a w rzeczywistości obawia się go. I kiedy nadejdzie chwila prawdy, może się okazać, że to Domenic jest silniejszy, że uderzy celniej i dotkliwiej. A wiesz przecież jak bardzo bolesne są takie rany.

Dayiell przymknęła oczy i pochyliła głowę, opierając ją na kolanach starca.

– Nie odbiorą mi go po raz drugi – powiedziała stanowczo. – Nie pozwolę na to.



Rozdział dwunasty

Po wyjściu matki Domenic przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad jej nieco dziwnym zachowaniem. Najpierw była wręcz bliska zrobienia mu awantury o to, że nie dbał zbytnio o swoje bezpieczeństwo, a ledwie kilka minut później wręczyła mu wspianą broń. Rozważania owe nie doprowadziły go do żadnego konstruktywnego wniosku. Kobiety – nieważne: boginie czy śmiertelniczki – stanowiły dla mężczyzn nie lada zagadkę. Od początku świata aż po jego kres.

Oczywiście, skontaktował się z Andreusem w sprawie wyprawy do lasów Adheorte. Przyszły szwagier wyraził ogromny entuzjazm dla tego pomysłu i obiecał stawić się o poranku z odpowiednim uzbrojeniem. Domenic był nieco zaniepokojony jego żądzą walki. Rozumiał jednak, że Andreus potrzebuje swego rodzaju rozładowania nagromadzonych w nim emocji. Lepiej nawet, że zrobi to na podobnego rodzaju wyprawie, niż by miał wypróbować ostrze swojego miecza na karku Akitaro.

Krótko przed wieczorem zjawił się Chenault z plikiem raportów pod pachą. Wynikało z nich, że pułkownik Addar udał się do Marakei, miasta u podnóża Gór Lodowych. Szpiedzy Bertranda widzieli go wchodzącego do pewnej restauracji w centrum. Wkrótce wyszedł stamtąd w towarzystwie kilku osób – potem zniknął agentom z oczu.

Raport zawierał tylko jedno znaczące nazwisko: Siriwan Hilleano. W raporcie na jej temat znajdowała się bardzo ciekawa informacja: otóż pani Hilleano była wampirem. Restauracja "Palladin" należała do niej. Wyglądało na to, że Addar miał naprawdę szerokie kontakty: wampiry stanowiły swego rodzaju państwo w państwie, organizację przypominającą swą strukturą mafię.

Sprawa z wampirami przedstawiała się ciekawie, bowiem jako jedyne istoty magiczne nie zostały objęte prześladowaniami ze strony technokratów. Podczas gdy wszyscy inni musieli uciekać przed niechybną śmiercią, a potem ukrywać się przez wszystkie te lata, to wampiry nie musiały tego robić – żyły sobie spokojnie, nie nękanie zbytnio przez myśliwych. Wynikało z tego, że zawarły z technokratami umowę i warto by się zorientować w jej warunkach.

Jakie związki łączyły pułkownika z wampirami, do czego mógł je wykorzystywać? Miał już przecież w garści Akitaro i jego firmę, pieniądze i wpływy. Do czego w takim razie była mu jeszcze potrzebna wampirza mafia – zwłaszcza, iż był to współpracownik dość kłopotliwy i nieprzewidywalny. Wampiry z samej swej natury nie byłyby przecież zbyt pomocne w osiągnięciu celów, jakie postawił sobie Addar. Chyba, że jego cele były zupełnie inne, a Domenic po prostu się mylił.

Kolejne pytanie brzmiało, jak Addar nakłonił przywódcę mafii do współpracy? Przekupstwo? Szantaż? Władza? A może obietnica spokoju przy robieniu interesów? Czego Hilleano mogła zażądać od pułkownika? Krwi? Dobrze sobie. Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Addara w roli krwiodawcy.

Gdyby chodziło o szantaż lub zwykłe przekupstwo, stosunkowo łatwo można by przekonać Siriwan do zmiany frontu – w pierwszym przypadku dając jej gwarancje, a w drugim podnosząc stawkę. Władza? Wampiry z pewnością już ją miały, ale Addar mógł im obiecać rozszerzenie strefy wpływów.

Należało opracować plan działania. Gdyby to była zwyczajna mafia, sprawę można by rozwiązać szybko i po cichu, tak by nie znalazł się nikt zdolny do objęcia schedy po byłych szefach. W przypadku wampirów należało zachować ostrożność – były zbyt nieprzewidywalne i niebezpieczne. Pomyślał, że może dobrze byłoby najpierw spotkać się z Siriwan Hilleano i po prostu zwyczajnie porozmawiać. Lepsze to, niż zaczynać znajomość od wypowiedzenia wojny.

Wampiry w ogóle były ciekawymi istotami. Ich liczebność w zasadzie utrzymywała się na stałym poziomie, a działo się tak z dwóch przyczyn.

Po pierwsze, w zasadzie żaden wampir nie był w stanie spowodować, by jego ugryzienie przemieniało człowieka w krwiopijcę. Żaden – z wyjątkiem królowej. Ona zaś mogła to uczynić tylko w wyniku rytuału, który zużywał znaczne pokłady energii życiowej i magii – i z tych względów nie był przeprowadzany zbyt często. Społeczność wampirów przypominała bardziej pszczele rój lub kopiec termitów – jedna “płodna” królowa, a pozostali to robotnice i wojownicy.

Po drugie, populację w pewnym stopniu kontrolowali zabójcy wampirów, tak zwani łowcy cieni. Było to konieczne w niektórych przypadkach: jednym z nich był tak zwany

szok nieśmiertelności albo wampirzy szal – stan, w którym wampir po prostu dostawał świra i mordował wszystko, co stanęło mu na drodze: swoich pobratymców, istoty magiczne, ludzi, zwierzęta, wszystko. Wtedy łowcy mogli zlikwidować takiego wampira bez żadnych konsekwencji – wystarczyło, że po sprawie przedstawili jako dowód wampirze kły. U osobników w szoku były one znacznie dłuższe, zakrzywione i postrzępione jak ostrze piły.

Łowcy mogli zabijać także te wampiry, które złamały prawo – wtedy otrzymywali imienne kontrakty na zabicie tego lub tamtego krwiopijcy. Te sprawy zostały uregulowane prawnie wiele lat temu – istnienie wampirów może nie było powszechnie akceptowane, ale też rzadko zdarzały się sytuacje patologiczne, kiedy grupa ludzi święcie przekonanych o słuszności swoich racji paliła nocą wampirze gniazda. Istniała równowaga – krucha, bo krucha, ale zawsze.

Tak to przynajmniej wyglądało za panowania królów z rodu Allisandre. Jak było teraz? Trudno powiedzieć.

W ogóle trudno było cokolwiek sądzić o wszystkim innym. Jak dotąd nie było nic pewnego w planach, jakie poczynił wspólnie z ministrami swojego ojca. Owszem, admirał zbierał armię, Bertrand rozsyłał szpiegów, ale to było naprawdę niewiele, kropla w morzu. Żeby naprawdę wygrać, Domenic musiałby zyskać poparcie większości rodów arystokratycznych. A właśnie tego nie mógł być pewien.

Ile z nich popierało nieudolny, marionetkowy rząd technokratów?

Ile z nich miało swój udział w przewrocie sprzed dwudziestu kilku lat?

Ile z nich aktywnie wspierało Addara w jego działaniach?

I jeśli nie najważniejsze z tej serii pytań: które z nich były sygnatariuszami spisku, który pozbawił tronu jego ojca?

Pewnego rodzaju rozwiązaniem byłoby, rzecz jasna, pozbycie się Addara. Domenic wiedział, że ten moment wkrótce nadejdzie; zbliżał się nieubłaganie z każdym kolejnym dniem. Usunięcie pułkownika będzie jak odcięcie głowy hydrze. Jego poplecznicy stracą przywódcę, sytuacja stanie się niepewna, niestabilna, na krawędzi wojny domowej – ale to wtedy wszystko się rozstrzygnie. Wygra ten, kto w odpowiedniej chwili weźmie odpowiedzialność, przejmie ster. I przywódcy rodów poprą go – jeśli nie ze strachu, to z

wyrachowania. To wystarczy.

Tyle jeszcze mogło się zdarzyć... Zbliżał się czas próby, a rezultat wciąż był tak niepewny.

Haeris czekał na niego przy wyjściu, niecierpliwie przebierając w miejscu srebrzystymi kopytami. Wokół niego zgromadziło się kilkunastu gapiów, najwyraźniej zachwyconych pojawieniem się ogiera tak niezwyklej urody. Domenic wskoczył na jego grzbiet i poderwał go do galopu, znając już jego niezwykle możliwości. Goniły go zaskoczone okrzyki i śmiechy rozradowanych dzieci.

Nad Marakei z wolna zapadał zmierzch. Miasto znajdowało się w strefie umiarkowanej, a więc o tej porze roku na ulicach leżała gruba warstwa śniegu, mozolnie usuwana przez służby komunalne, i łapał lekki mróz. W oddali wznosiły się ostre szczyty gór. Domenic żałował, że nie założył niczego cieplejszego od koszuli i tuniki, ale mieszkając w tropikach szybko zapomina się o śniegu i mrozie.

Poniewczasie zorientował się, że obaj, on i Haeris, przelecieli przez magiczną barierę otaczającą miasto, jakby w ogóle nie istniała. Bariera powinna była ich zatrzymać. Z ciekawości zawrócił wierzchowca, by to sprawdzić – rzeczywiście: bariery nie było. Dziwne. Najwyraźniej Siriwan Hilleano miała znacznie większą władzę, niż mogłoby się to wydawać, skoro załatwiła usunięcie bariery dla swoich podwładnych – wampiry, bądź co bądź, były istotami magicznymi, a więc bariera musiała być dla nich przeszkodą.

Haeris wylądował na dachu budynku sąsiadującego przez ulicę z restauracją – latający wierzchowiec wzbudziłby niejaką sensację na ulicach, a Domenic wolał tego z oczywistych względów uniknąć. Zszedł schodami przeciwpożarowymi do poziomu chodnika i przyjrzał się lokalowi z zewnątrz.

To była najstarsza część miasta, a jednocześnie ta najbogatsza – albo raczej najbardziej reprezentacyjna. Kamienice miały dziesiątki lat, ale wcale nie chyliły się ku upadkowi – wręcz przeciwnie: odrestaurowane i pielęgnowane lśniły nowością fasad w świetle starodawnych, ozdobnych latarni. Ludzie tutaj się nie spieszyli – nie musieli, tutaj bowiem znajdowali wytchnienie: restauracje, galerie, muzea, kina, teatry, eleganckie

sklepy i butiki, obsługujące najbardziej wybredną klientelę, jubilerzy... I większość tego wszystkiego należała do Siriwan Hilleano. Nie tylko w Marakei.

Wnętrze restauracji było rozświetlone, dźwięcząca muzyką, wyraźnie widoczne przez duże okna, w których zasłony pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną. Lokal pełen był ludzi, gwar wznosił się i opadał za każdym razem, kiedy ktoś otwierał drzwi wejściowe.

Domenic zauważył dziwną rzecz: dostrzegał różnicę między ludźmi i wampirami, jakby ci ostatni byli w jakiś szczególny sposób oznaczeni. To nie było coś, co mógłby opisać, to było ledwie wrażenie, ulotne jak sen, acz niezaprzeczalnie rzeczywiste.

Tak więc wszyscy goście byli ludźmi, ale już wśród obsługi przeważały wampiry. Nawet kierownik sali był jednym z nich – pilnował interesu. Zabawne – wampiry zmuszone do karmienia istot, które stanowiły z kolei ich pożywienie. Doprawdy, do jakich paradoksów czasami dochodzi...

Czy Siriwan tu była? Trudno powiedzieć. Z pewnością jednak znajdowała się w Marakei. Z raportu wynikało, że w tym budynku spędzała najwięcej czasu, to była jej siedziba, swego rodzaju kwatery główna. Jeśli nawet jej tu nie ma, to dowie się, gdzie jej szukać.

Domenic przeszedł przez ulicę i wszedł w ten gwar, w to światło, ciepło i zapachy.

– Chcę się widzieć z Siriwan Hilleano – powiedział stanowczo.

Kierownik obrzucił go krótkim, uważnym spojrzeniem.

– Czy był pan umówiony?

Głos wampira był głęboki, spokojny, niemal hipnotyczny. Kolejna z właściwych tym istotom zdolności. Same były magiczne, ale podobnie jak Hedaia, nie używały aktywnej magii. Była po prostu częścią ich samych, używały jej niemal bezwiednie, tak jak ludzie używają narzędzi.

– Nie, nie byłem umówiony – odparł Domenic, nie dając się złapać na te hipnotyczne sztuczki. Chyba na niego nie działały – co w sumie było dość pocieszające.

– Przykro mi, proszę pana. Musi się pan wcześniej umówić na spotkanie. Jej Wysokość jest bardzo zajęta – odparł kierownik stanowczo, sprawiając wrażenie, jakby codziennie odmawiał niezliczonym rzeszom chętnych.

Domenica zainteresowały jego słowa. Wampir użył wyrażenia: Jej Wysokość. A więc

Siriwan nie była wyłącznie przywódczynią mafii, ale też, a może przede wszystkim, królową wampirów. Ciekawe. Tytuł ten kiedyś obowiązywał i nawet miał pewne znaczenie oraz związane z tym swego rodzaju przywileje, ale to było dawno temu. Z drugiej strony jednak pojęcie czasu dla w zasadzie nieśmiertelnych wampirów było kwestią cokolwiek abstrakcyjną. Nic dziwnego więc, że obowiązywały wśród nich dawne hierarchie i tytułatura.

– Niestety, to pilna sprawa – powiedział, nie dając tak łatwo za wygraną. – Może to pana o tym przekona.

Sięgnął za koszulę i wyciągnął srebrny sygnet, pieczęć królów Allisandre zawieszoną na łańcuszku. Wampirowi rozszerzyły się oczy – nie tyle na widok herbu, choć ten także wywarł na nim odpowiednie wrażenie – ile z powodu bliskości szlachetnego kruszcu. Cofnął się nieco, jakby z obawą, w oczach miał respekt dla takiej ilości srebra.

Kolejny paradoks. Wampiry wręcz panicznie obawiały się srebra. Było to tym bardziej dziwne, że srebro było metalem używanym powszechnie w magii, dawało się magicznie kształtować. Wampiry były istotami magicznymi, owszem, ale również stworzeniami cienia, natomiast srebro stanowiło synonim światła. Wampir, który dotknął przedmiotu ze srebra, doznawał poparzeń, tak jak człowiek od płomieni. Przebywając przez dłuższy czas w otoczeniu srebra wampir mógł ulec ciężkiemu zatruciu i umrzeć.

Kierownik sali przywołał jakąś “młodą” wampirzycę z obsługi, by zastąpiła go w pełnieniu obowiązków.

– Proszę tu poczekać – zwrócił się do Domenica. Jego głos brzmiał teraz respektem.

Wrócił po kilku minutach i uprzejmie – bardzo uprzejmie – poprosił go, by poszedł za nim. Wyszli na zaplecze restauracji, potem na klatkę schodową i na najwyższe piętro kamienicy, a następnie podeszli do drzwi, przed którymi stały dwa osiłkowate wampiry. Ale nie tylko one pilnowały wejścia: wokół futryny umieszczono magiczne systemy ochronne. Domenic nie bardzo wiedział, jak działają, ale zaklęcia szczypały go w skórę, kiedy przechodził przez drzwi. Jak ukąszenia węży. Zadrżał mimowolnie na samo wspomnienie.

Kierownik sali nie wszedł za nim. Domenic znalazł się sam w pokoju, w którym

panował przyjemny półmrok, rozpraszany delikatnie przez dwie punktowe lampy. To nawet nie było biuro – raczej prywatne apartamenty. Stylowe złoczone meble, ciężkie kotary ze szlachetnych tkanin, dywany tak miękkie, że sprzątający pewnie dostawali spazmów na sam ich widok. Na ścianach cenne dzieła dawnego malarstwa, tu i ówdzie jakaś rzeźba. Każda, najdrobniejsza nawet rzecz miała styl, który harmonijnie wpasowywał się w całość. Wszystko to powiedziało mu o właścicielce tyle, że lubi życie w luksusie. Czy była to jej słabość, czy tylko oznaka statusu? To się dopiero okaże.

Jak tylko wszedł, wyczuł czyjąś obecność. Zakładał, że to Siriwan – stała w najgłębszym cieniu, nieruchoma, milcząca, oczekująca. Dużo by dał, by poznać jej myśli, ale wiedział też, że nie ma po co próbować. Istoty magiczne nie lubiły, kiedy obcy grzebali im bez pozwolenia w głowach, a wampiry potrafiły to nawet wyczuć. Taka ingerencja mogłaby być odczytana jako brak szacunku albo nawet wyzwanie do walki. W skrajnych przypadkach podobnego rodzaju eksperymenty kończyły się śmiercią nieobeznanego ze zwyczajami istot magicznych delikwenta.

Nie dał niczego po sobie poznać. Swobodnym krokiem podszedł do okna i uchylił nieco kotarę. Roztaczał się stąd widok na wewnętrzny dziedziniec, który przemieniono w ogród botaniczny. Miejsce to było osłonięte od mrozu i śniegu na zewnątrz tak, by zapewnić optymalne warunki tropikalnym roślinom. Kompozycja została zaprojektowana do najdrobniejszych szczegółów, był nawet strumień i oczko wodne, w którym pływały jakieś kolorowe ryby o fantazyjnych kształtach. Wysoko pod kopułą fruwały barwnie upierzone ptaki. Skrawek raju w środku zimy.

– Miłe miejsce – stwierdził, mając już dość przedłużającej się ciszy. Jego głos zabrzmiał nadspodziewanie głośno.

Odpowiedział mu śmiech, subtelny, łagodny i wręcz niewiarygodnie zmysłowy. Odwrócił się.

Wyszła z cienia. Jej widok zaskoczył go bardziej niż cokolwiek w tej komnacie. Wyglądała wręcz nedorzecznie młodo, jak siedemnastoletnia dziewczyna. Jej wiek szacowano jednak na kilkaset – jeśli nie tysiące – lat i to właśnie było tak niewiarygodne. Nie tak wyobrażał sobie królową wampirów.

Miała długie, bardzo długie włosy koloru złocistego głębokiego brązu splecione w

luźny warkocz przerzucony niedbale przez ramię. Jej oczy miały kolor roztopionego bursztynu, przy czym zewnętrzna krawędź tęczówki lśniła aksamitną czernią, białkówka zaś zdawała się przy tym wręcz nieskazitelnie biała. To oczy najbardziej zwracały uwagę w jej twarzy, choć jej uroda nie kończyła się na nich.

Miała białą skórę oraz szczupłą i raczej delikatną budowę ciała. Była wysoka, prawie tak wysoka jak on sam, ubrana w coś pośredniego między wieczorową suknią a peniuarem. Suknia przylegała ściśle do jej ciała, sprawiając wrażenie drugiej skóry i nie pozostawiając zbyt wiele pola dla wyobraźni.

Zatrzymała się jakiś dwa, trzy kroki przed nim, ani na chwilę nie spuszczać z niego wzroku. Nie była to tylko chęć obserwacji – wyczuł bowiem subtelne działanie jakiegoś czaru.

– To bardzo niegrzeczne używać magii przeciwko innej istocie magicznej bez jej pozwolenia – stwierdził sucho.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie użyłam zaklęcia.

– Wiesz, co mam na myśli... Siriwan, królowo wampirów.

Uniosła brwi.

– Lorne, kierownik, opisał mi ciebie bardzo dokładnie, ale sądził, że jesteś tylko wysłannikiem. Ambasadorem, jeśli wolisz takie określenie.

– Ty tak nie uważasz – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość – z jej ust nie schodził zawodowy uśmiezek, najwyraźniej chciała zachować ostrożność. – Przybyłeś tu sam, bez straży... mogę spytać, dlaczego?

Teraz on się uśmiechnął.

– Oczywiście, że możesz – przytaknął, ale nie udzielił odpowiedzi na jej pytanie.

Chciał zachować kontrolę nad tą rozmową, zaintrygować Siriwan. Wampiry z natury były ciekawe.

Roześmiała się głośno, ze swobodą.

– Więc dlaczego, książę? – oczywiście nie dała za wygraną.

– Ponieważ sądzę, że możemy sobie pomóc – wyjaśnił spokojnie. – Mamy wspólnego

wroga.

Spoważniała. Minęła go z szelestem sukien i usiadła na sofie, po czym z wdziękiem wskazała mu miejsce w fotelu naprzeciwko.

– Technokraci nie sprawiają nam zbyt wielu kłopotów – wzruszyła ramionami. –

Osiągnęliśmy stan swego rodzaju chwiejnej równowagi.

Uśmiechnął się.

– Nie mówię o technokratach.

– O? – zdziwiła się uprzejmie.

– Mam na myśli pułkownika Addara.

Zachowała kamienny wyraz twarzy, ale czuł, że to ją zainteresowało.

– Jak dotąd nie mieliśmy powodów, by uważać go za wroga – powiedziała wolno, z namysłem. – Wynegocjował nam u technokratów dość korzystny układ, nie żądając w zamian zbyt wiele.

Domenic postanowił postawić wszystko na jedną kartę.

– A jeśli ci powiem, że ten cały układ jest częścią dokładnie zaplanowanej przez niego strategii? Jeśli powiem, że to on rozkazuje technokratom, on opracowuje ich politykę? Jeśli powiem, że to on napuścił na was nową administrację, a kiedy przyszła odpowiednia pora, zaproponował wam taki układ, jakiego nie mogliście nie zaakceptować w tamtej sytuacji?

Przyglądała mu się nieruchomym, uważnym spojrzeniem. Tym razem jednak nie było w nim magii – po prostu nieufność i ostrożność.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć, książę? – spytała w końcu. Jej głos zabrzmiał ostro, nie pasował do twarzy młodej dziewczyny.

– Rzeczywiście, nie masz powodu, by to czynić – przytaknął. – Jestem jednak gotów przekonać cię o prawdziwości moich słów.

Było to dość ryzykowne posunięcie, ale nic lepszego w tej chwili nie przychodziło mu do głowy.

– Czy wiesz, co mi właśnie zaproponowałeś? – spytała, pochylając się nieco do przodu.

Uświadomił sobie, że ryzykuje znacznie więcej niż tylko zranienie – być może stawką

w tej grze będzie jego życie. Ona była naprawdę głodna – głodna krwi. Widział w jej oczach pragnienie i przeraził się jego intensywnością. Nic nie mogło równać się z głodem wampira.

– Nie uczono mnie dyplomacji, sztuki oszukiwania ani sofistyki – jego głos był spokojny, niemal obojętny; punkt dla niego. – Kiedy coś mówię, to właśnie to mówię, ni mniej ni więcej. I mogę ci zaoferować tylko to, co należy do mnie.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mi właśnie zaproponowałeś? – powtórzyła, jakby wciąż nie dowierzała jego słowom.

Zawahał się na moment. Nie był głupcem. Chciał przekonać Siriwan, że mówi prawdę, a innego sposobu nie było – nie w tym przypadku. Zdolność wampirów do przenikania umysłów była najbardziej efektywna podczas posiłku. Cóż, trudno.

– Moją krew za twoją współpracę.

Skinęła głową i wyciągnęła ku niemu rękę w niemym zaproszeniu. Bez sprzeciwu ujął jej dłoń, choć właściwie nie był pewien, czego ma się spodziewać. Ofiarnego rytuału? Hm...

Siriwan pociągnęła go na sofę obok siebie – był zdziwiony, że taka siła tkwiła w tym – jak by się mogło wydawać – drobnym ciele. Zaczęła rozpinąć guziki jego koszuli, a on nie protestował, ciekaw jak potoczą się wydarzenia. Uznał, że najlepiej będzie się temu poddać, popłynąć z prądem. Czuł ciepło rozlewające się po swoim ciele, czuł jej dłonie na swojej skórze i czuł jej magię – była jak dotyk jedwabiu: chłodny, kojący, delikatny, zmysłowy. Zsunęła z ramion suknię, a ta udrapowała się kapryśnie na jej biodrach.

– Muszę cię o czymś uprzedzić – powiedział, kiedy przycisnęła usta do wewnętrznej strony jego nadgarstka. – Mam naturalną tarczę.

Czuła uderzenia jego pulsu, nieco zbyt przyspieszonego, ale podniecało ją to bardziej niż byłaby skłonna przyznać.

– To miło, że o tym wspomniałeś...

Przesunęła dłonią ponad jego piersią i szybciej niż mógłby się spodziewać przecięła ostrym paznokciem brodawkę jego sutka. Ból był ostry i natychmiastowy, wyrwał z jego ust okrzyk zaskoczenia, ale... nic poza tym się nie zdarzyło. Tarcza nie zadziałała.

– Twoja magia neutralizuje moją – szepnął bez większego zdziwienia.

– Do pewnego stopnia – przyznała.

Jej wzrok skupił się na jego piersi. Spojrzał w dół. Rozcięty sutek krwawił, po jasnej skórze płynęła leniwie cienka strużka karmazynu. Siriwan z wysiłkiem oderwała od niej wzrok i spojrzała mu w oczy.

– Gdzie chcesz, żeby cię ugryźć? – spytała z niepokojącym błyskiem w oku, ale tonem rzeczowym, pozbawionym zabarwienia emocjonalnego. Panowała nad sobą – jeszcze.

Uniósł brwi.

– Myślałem, że to nie ma znaczenia.

– Dla mnie nie. Pytam jedynie z grzeczności – uśmiechnęła się drapieźnie, odsłaniając zęby. Jej kły wydłużyły się znacząco na jego oczach.

Wyraźnie chciała go przestraszyć tym pokazem, ale bez rezultatu – widok ten wywołał w nim wspomnienie snu, w którym inna kobieta miała takie same zęby i jeszcze szpony u palców. Ogarnęła go tęsknota.

– Do dzieła, Siriwan – powiedział, odsłaniając szyję.

Wiedział, że dla wampirów równie ważny jak sama krew jest kontakt fizyczny. Im więcej dotykającej się, nagiej skóry, tym silniejsze doznania, pełniejsze przeżycia. Dlatego wampiry preferowały ludzką krew, ludzki dotyk, choć do życia nadawała się dla nich każda inna krew, także zwierzęca.

Siriwan przewróciła go na plecy i uwięziła pod swoim ciałem. A potem bez zbędnych ceregieli wbiła zęby w tętnicę. Krzyknął cicho z bólu, jego ciało napięło się, wykręciło, ale trzymała go mocno, zaskakująco mocno, nie pozwalając na gwałtowne ruchy. Wbrew instynktowi, nakazującemu walkę bądź ucieczkę, uspokoił oddech, spowolnił szaleńcze bicie serca, rozluźnił mięśnie. Magia Siriwan otoczyła go ponownie i nie czuł już bólu.

Siriwan chciwie wysysała krew z tętnicy, jakby miała zamiar osuszyć z tego życiodajnego płynu całe jego ciało. Czuł, że słabnie, że zbliża się do granic własnej wytrzymałości. Przed jego oczyma pojawiły się ciemne plamy.

– Wystarczy, Siriwan – szepnął, ale chyba go nie usłyszała. – Wystarczy! – krzyknął ostatkiem sił.

Rozległ się huk, jak daleki odgłos gromu. Siriwan została z ogromną siłą oderwana

od Domenica i rzucona z głuchym łupnięciem o ścianę – zaledwie o cale od okna. Hałas zwabił dwóch ochroniarzy, którzy z impetem wpadli do salonu, ale najwyraźniej nie bardzo wiedzieli, co mają robić i kogo przed kim ratować.

– Pani? – spytał inteligentnie jeden z nich.

– Wynocha! – Siriwan wstała, jakby nic wielkiego się nie wydarzyło i rzuciła im wściekłe spojrzenie. Suknia opadła do jej stóp miękką falą. Kiedy goryle nie ruszyli się z miejsca, pokazała im ubroczone krwią zęby. – Won! – warknęła.

Wampiry opuściły komnatę, gnąc się w uniżonych ukłonach. Widok i zapach świeżej krwi wywołał w ich oczach taki dziwny błysk...

– Jesteś przerażająca, kiedy się złościś – powiedział Domenic słabym głosem.

Odwróciła ku niemu głowę i uśmiechnęła się lekko. Jej skóra świeciła. Niezbyt mocno, ale zauważalnie, jakby w jej żyłach zapłonęła niewielka gwiazda. Błyszczały również jej oczy, wręcz płonęły intensywną żółcią.

– Jestem ich królową. Albo ja będę rządzić nimi, albo oni mną. To drugie nie wchodzi w rachubę. Jak się czujesz, książę?

Usiadł powoli, opanowując zawroty głowy i nudności.

– Jak pieprzony krwiodawca. Omal mnie nie wyssałaś do czysta – powiedział z wyrzutem w głosie.

– Zrobiłabym to – przyznała. Podniosła suknię i ubrała się. – Pragnęłam tego i gdyby nie twoja tarcza... – znacząco zawiesiła głos, a jemu ciarki przeszły po plecach. – Nie masz pojęcia, jaki smak ma twoja krew... – westchnęła przeciągle i przymknęła powieki. – Jak promień słońca, jak cała magia wszechświata – otworzyła oczy i przyjrzała mu się uważnie. – Ludzka krew tak nie smakuje... ale przecież ty nie jesteś człowiekiem, książę.

– To aż tak widać? – rzucił z przekąsem. Poczul się nieco lepiej, więc zaczął szukać swojej koszuli. Rana po ugryzieniu przestała promieniować ostrym bólem, który zamienił się w jednostajne pieczenie. Dotknął jej lekko opuszkami palców, na szczęście przestała już krwawić. – Zdałem twój test?

Usiadła w fotelu i przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Tak – skinęła głową. – Wierzę ci, pułkownik Addar jest do tego zdolny. Jest jednak

wiele miejsc w twoim umyśle, do których nie mogłam dotrzeć. Bardzo silnie chronionych miejsc – dodała znacząco.

– Przez dwa lata trzymali mnie w Notus. Blokady pochodzą stamtąd.

– Być może. Ale w takim razie skąd to imię: Aurelian? Odniosłam wrażenie, że dotyczy ciebie, jest twoim imieniem... i jest starsze niż większość blokad.

Zamarł w pół ruchu. Nie przypuszczał, że wampirze zmysły są tak czułe, by dotrzeć nawet do snów, do najgłębiej ukrytych pragnień.

– Wyczułaś coś jeszcze? – spytał głosem napiętym z emocji.

– Tak. Smoki.

– Smoki? – aż zamrugał ze zdziwienia.

– Wydaje mi się, że jesteś z nimi jakoś związany, w pewien szczególny sposób, ale niestety nie potrafię tego sprecyzować. W twoim umyśle jest wiele zamkniętych ścieżek, a niektóre są tak delikatne, że bałam się nimi podążać. Nie wiem nawet, czy to wspomnienie czy tylko sen – wzruszyła ramionami.

Sny o lataniu... a więc jednak coś znaczyły, miały pewne pokrycie w rzeczywistości. Jakie – to jednak wciąż pozostawało niewiadomą. Chyba wolałby, by Siriwan dostrzegła mniej lub więcej. Albo zupełnie nic. Znowu poczuł tęsknotę za tamtymi uczuciami i pragnieniami. To było silniejsze niż mógłby przypuszczać.

– No, dobrze – westchnął. – Teraz powiedz mi, czego Addar od was chciał i co wam za to dał.

– Umowa z technokratami przewiduje, że żaden wampir nie zaatakuje człowieka. Za każdą ludzką ofiarę łowcy mają prawo zabić pięciu z nas. Addar niejako ominął ten punkt od czasu do czasu dostarczając nam więźniów.

– Więźniów?

– Wiem, że pochodzą spoza Creswell, może nawet spoza Kwadratu. Nie masz pojęcia, ile można dowiedzieć się wyłącznie ze smaku krwi.

Domenic przyglądał się jej bez słowa. Dobrzy bogowie, oni tych ludzi traktowali jak bydło! Miał nadzieję, że na jego twarzy nie widać odrazy.

– Nie wątpię. Co z nimi robicie?

– Żyją, niech cię to nie martwi, w końcu nam też na tym zależy. Pracują, niektórzy

nawet mają tu rodziny – wzruszyła ramionami. – Od czasu do czasu upuszczamy im trochę krwi: zakaz ich nie obejmuje.

– Co pułkownik chciał w zamian?

– Pokażę ci. Chodź ze mną.

Poprowadziła go do sąsiedniego pomieszczenia, które okazało się sypialnią. Większą jej część zajmowało ogromne łóże z baldachimem wspartym na czterech kolumnach. Siriwan zgrabnie przecisnęła się między łóżkiem a komodą i podeszła do rzeźby w rogu. Tam nacisnęła jakiś niewidoczny na pierwszy rzut oka przycisk, co spowodowało ustąpienie fragmentu ściany i ukazanie wąskiej klatki schodowej.

Siriwan zaczęła schodzić w dół, więc Domenicowi nie pozostało nic innego, jak podążyć za nią. W ten sposób dotarli do piwnic pod kamienicą, ale nie tu znajdował się ich cel. Siriwan otworzyła kolejne przejście w murze i gestem ponagliła go, by się pospieszył z wchodzeniem w słabo oświetlony korytarz. Najwyraźniej nie chciała, by ktokolwiek ich tu zobaczył.

Szybko posuwali się naprzód, Siriwan zdawała się doskonale znać drogę. Domenic miał natomiast wrażenie, że kręcą się w kółko, ale nie wyrażał na głos swoich wątpliwości w tej kwestii. Nie przepadał za niskimi, ciemnymi i wilgotnymi tunelami i już po kilkunastu metrach miał wrażenie, że ściany niebezpiecznie zbliżają się do siebie, a sufit wręcz grozi zawaleniem. Co dziwne, w Solatis jakoś nie dopadała go klaustrofobia, choć przecież całe miasto zostało wykute w twardych skałach pod powierzchnią pustyni Teirah.

Siriwan zatrzymała się, a przed nią odsłoniło kolejne ukryte przejście.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli było wręcz klinicznie czyste i nie tylko to upodabniało je do szpitalnego pokoju, pośrodku bowiem znajdował się stół operacyjny. Wokół ustawionych było wiele urządzeń, których przeznaczeniem było podtrzymywanie funkcji życiowych. W tej chwili żadne z nich nie pracowało – z tej prostej przyczyny, że na stole nie było pacjenta, któremu mogłyby ratować życie.

– Co to za miejsce? – spytał, okrążywszy całą salę.

– Zapewne zauważyłeś, że każdy aparat jest zdublowany, gdyby któryś zawiódł – powiedziała Siriwan pozornie nie na temat. – W pokojach obok znajdują się generatory,

w sumie chyba trzy. Gdyby zawiódł jeden... i tak dalej, sam rozumiesz. Piętro wyżej znajdują się pokoje personelu medycznego, który pracuje tu bez przerwy w systemie zmianowym... kiedy istnieje taka potrzeba.

Domenic nadal nie rozumiał.

– Kiedy istnieje taka potrzeba? – powtórzył jak echo.

– Pułkownik Addar zjawia się u nas co jakiś czas, daje się podłączyć do tych wszystkich urządzeń, po czym umiera, a te aparaty podtrzymują funkcje jego organizmu.

– Umiera?

– Tak, dosłownie, wszystkie wykresy stają się płaskie. Ta cała maszyna żyje za niego, póki się nie obudzi. Czasem trwa to kilka godzin, czasem kilka lub nawet kilkanaście dni.

– Nic poza tym?

– Nic poza tym.

Domenic niewiele z tego zrozumiał. Po co Addar podejmował tak wielkie ryzyko? Po co cała ta szopka? Jakże to miało dla niego znaczenie?

– Dlaczego to robi? – odwrócił się ku Siriwan, choć raczej nie miał nadziei na to, że mu odpowie. Miał rację.

– To część umowy: żadnych pytań. My tylko dostarczamy sprzęt, wykwalifikowany personel i zapewniamy absolutny spokój.

Domenic zamyślił się. To wszystko musiało coś znaczyć, ale co? Pułkownik nie poświęciłby chyba tak wiele czasu i pracy, by stworzyć blef, który w dodatku nie spełniał swego zadania jako blef. A więc to nie mógł być blef. Jakkolwiek pokręcony był umysł Addara, musiał liczyć się z tym, że interesy z wampirzą mafią to nie zabawa w piaskownicy: jeśli królowa wampirów wyda na kogoś wyrok lub wypowie otwartą wojnę, to nie ukryje go nic i nikt w całym Kwadracie. Takie były fakty.

Domenic czuł, że zaczyna go boleć głowa. Miał wrażenie, że działania Addara mają na celu wyłącznie doprowadzić go do stanu umysłowej degeneracji.

– Gdzie Addar jest w tej chwili?

– Mamy jeszcze jedną klinikę w Middan.

Wrócili tą samą drogą do apartamentu. Siriwan zatrzymała Domenica w swojej sypialni.

– Addar nigdy nie podzielił się z nami swoją krwią tak, jak zrobiłeś to ty, książę – powiedziała cicho. – Twoja krew krąży w moim ciele, spójrz jak mnie rozgrzewa – impulsywnie chwyciła jego dłoń i przycisnęła do swojej piersi. – Nigdy przedtem krew żadnej istoty tak na mnie nie podziałała.

– Co przez to rozumiesz? – spytał, marszcząc brwi.

– Zostań ze mną – poprosiła. – Zrobię dla ciebie wszystko, co zechcesz: przestanę pracować dla Addara, wypowiem wojnę technokratom... tylko zostań.

Patrzył na nią z zaskoczeniem i zmieszaniem.

– Wiesz, że nie mogę, Siriwan – powiedział cicho, ale stanowczo. – Mam obowiązki.

– Rozumiem – spuściła wzrok na ich połączone dłonie. – Więc zostań choć do rana – poprosiła.

– Siriwan, o co ci chodzi? To była uczciwa wymiana: moja krew za informacje. Jesteśmy kwita.

– Nie rozumiesz, prawda? – w jej wzroku dostrzegł cień rozczarowania. – Chciałabym, byś został z nami, ze mną... już na zawsze.

Cofnął się, gwałtownie wyrywając dłoń z jej uścisku. Teraz to do niego dotarło: ona chciała uczynić z niego wampira! Nie do wiary!

Trudno mu było uwierzyć, że dokonała wyboru wyłącznie na podstawie smaku jego krwi. Z drugiej strony, to na krwi opierało się istnienie wampirów, więc w zasadzie nie powinno go to dziwić. Siriwan nie była jednak królową wampirów tylko tytularnie: utrzymała się na tronie przez wieki, a więc musiała niejednokrotnie dokonywać politycznie strategicznych posunięć. Jednym z nich z pewnością było podpisanie traktatu z technokratami. A jeśli doszła do wniosku, że byłoby dobrze, gdyby królem Creswell został poddany jej wampir? Domenic zadrżał na samą myśl o takiej ewentualności.

– Nie – powiedział.

Siriwan nie dała jednak za wygraną.

– Pomyśl, co mógłbyś w ten sposób zyskać – kusiła.

Potrząsnął głową.

– Sama powiedziałaś, że jestem w jakiś sposób związany ze smokami, cokolwiek to oznacza.

Ten argument, o dziwo, trafił jej do przekonania. Odsunęła się od niego niechętnie.

– Masz rację, książę, wybacz, nie można walczyć z własnym pragnieniem – westchnęła i z wolna pokiwała głową. – Jesteśmy kwita. Addar nie dowie się o twojej wizycie. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował mojej pomocy... w twoich żyłach płynie cenna waluta.

Skłonił głowę, starannie ukrywając ulgę.

– Dziękuję, wasza wysokość. Będę o tym pamiętał.

– I ja cię nie zapomnę – pożegnała go z żarem, jakiego nigdy by się nie spodziewał po królowej wampirów.

Nie wyszedł przez restaurację. Kierownik sali, wezwany przez Siriwan, wyprowadził go na dach. Tam, niecierpliwie grzebiąc kopytami w marznącym śniegu, czekał Haeris. Domenic bez chwili zwłoki wskoczył na jego grzbiet i poderwał do lotu na oczach zdumionego wampira.

Rozdział trzynasty

Słońce jeszcze nie wzniosło się ponad horyzont, ale niebo po wschodniej stronie wyraźnie pojaśniało zapowiedzią kolejnego upalnego dnia. Teraz jednak było wręcz przeraźliwie zimno, nocny chłód wyiębił pustynię niemal do zera.

Andreas szczelniej opatulił się peleryną, po czym przyspieszył kroku. I tak zjawił się w umówionym miejscu przed czasem. Nie on jeden zresztą. Była tam dziewczyna o kasztanowych włosach i niezwykłych fioletowych oczach. Domyślił się, że to Magini, o której wspominał Domenic, Valetta Jakaśtam. Obok niej na piasku leżało kilka wypchanych do granic możliwości plecaków. Zastanowił się przelotnie, czy ona ma zamiar taszczyć je sama, czy też wykorzysta tanią siłę roboczą w postaci jego i Domenica.

– Cześć! – zawołała na jego widok, uśmiechając się wesoło. – Jestem Val – wyciągnęła ku niemu dłoń.

Potrząsnął jej ręką w powitalnym geście.

– Andreas Matsushitaki – przedstawił się, nieomal szcękając zębami. Ostre ukłucia chłodu przenikały wprost do skóry, pomimo ciepłego okrycia. – Ależ ziąb – wymamrotał, starając się nawiązać niezobowiązującą konwersację w oczekiwaniu na przybycie Domenica. Warunki pogodowe były nieśmiertelnym tematem niezobowiązujących konwersacji od setek pokoleń.

Valetta zignorowała jego słowa, zwłaszcza, że wcale nie odczuwała zimna. Była zbyt podekscytowana czekającą na nią przygodą. W tej chwili jednak przyglądała się krytycznie towarzyszowi podróży.

– Umiesz się posługiwać tymi nożykami? – wskazała na rękojeści dwóch długich mieczy, wystających ponad jego ramionami. Miała przy tym bardzo powątpiewający wyraz twarzy. – Wolałabym nimi nie oberwać, gdyby zrobiło się gorąco.

Nożyki?!? Czy ona właśnie powiedziała o jego mieczach: nożyki?!?

– Nigdy nie noszę broni, której nie potrafię używać! – wykrzyknął Andreas, czerwieniejąc na twarzy z oburzenia. Magini uśmiechnęła się dyskretnie, co nie uszło jego uwadze. Dobrzy bogowie, ona go podpuszczała!

– Nie wątpię w to – zakpiła lekko.

Tym razem nie dał się sprowokować. Z zaskoczeniem stwierdził jednak, że dziewczyna zaczyna mu się podobać. Było to tak nieoczekiwane uczucie, że nie wiedział jak nań zareagować. Odwrócił się zmieszany i ku swojej uldze ujrzał zbliżającego się ku nim Domenica.

– No, to jesteśmy w komplecie – mruknęła Valetta z lekkim przekąsem.

Domenic przywitał się z obojgiem, po czym pytająco wskazał na pakunki.

– To nasze zapasy – wyjaśniła Val. – Postanowiłam zająć się tym sama. W puszczy nie możemy sobie pozwolić na eksperymenty z zaklętymi źródłami czy magicznymi owocami. Doszłam do wniosku, że najlepiej zabrać wszystko ze sobą. Każdy zabiera po jednym plecaku. Są tam nawet śpiwory – pochwaliła się.

– Ależ my nie spędzimy w lesie aż tak dużo czasu, żeby wykorzystać choćby połowę z tego wszystkiego! – zaprotestował Andreus, przeglądając pobieżnie zawartość jednego z plecaków.

– Tego nie wiadomo – odparła. – Czas w Adheorte płynie inaczej.

Domenic zatrzymał się w pół ruchu.

– Inaczej, to znaczy jak?

Wzruszyła ramionami.

– Po prostu inaczej. Wejdziemy tam dziś o poranku, prawdopodobnie spędzimy w puszczy kilka dni, a wyjdziemy dzisiejszego wieczora – ponownie wzruszyła ramionami, jakby ten temat nie był dla niej zbyt interesujący. – Mniej więcej.

Domenic zastanowił się. Plecaki były dość nieporęczne – gdyby zniemacka zostali zaatakowani tylko by im przeszkadzały. Takie opóźnienie mogło ich kosztować życie. Z drugiej strony nie mogli ich nie zabrać, jeśli Valesca się nie myliła – a raczej nie miał powodu, by w to wątpić.

Kiedy rozmyślał nad możliwością przepakowania plecaków, usłyszał znajome rzenie.

– O, rety – wyksztusiła Val w zdumieniu, ale i zachwycie. – Jaki piękny... i jest twój?

Domenic poklepał ogiera po szyi. Jak zwykle rumak odpowiedział na jego pragnienie.

– Haeris poniesie nasze zapasy – powiedział.

Ogier zastrzygł uszami w odpowiedzi. Nawet nie drgnął, kiedy starali się jakoś

umocować plecaki na jego grzbiecie. Rola jucznego konia najwyraźniej mu nie przeszkadzała.

– No, dobrze – uznał Domenic, kiedy skończyli szarpać się z rzemieniami i byli pewni, że pakunki nie zsuną się nawet przy gwałtowniejszych ruchach rumaka. – Możemy zaczynać. Val?

– Jestem gotowa.

Wyszła kilka kroków przed nich i rozpoczęła śpiewną inkantację. Domenic nie rozumiał ani słowa, ale domyślił się, że nie słowa były tu najważniejsze. One miały tylko za zadanie skupić uwagę maga, skoncentrować jego siłę na konkretnym zadaniu, ukierunkować jego wolę, pragnienie i moc.

I Domenic poczuł to – tak wyraźnie, jak ziemię pod swoimi stopami. Przymknął powieki i pozwolił, by jego moc dołączyła do strumienia, by stopiła się z nim. W rezultacie zapanowała nad nim niepodzielnie i zmusiła do działania, ponieważ była o wiele silniejsza.

– Dobra jest w te klocki – mruknął Andreus, stojący tuż obok.

Domenic otworzył oczy. Kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym stali, pojawił się las. Zielone drzewa, trawa, ściółka, jakieś zarośla – wszystko to ostro kontrastowało z żółtym piaskiem pustyni i nielicznymi skałami. Pomimo wszystko, las okazał się jednak bardzo mały. To nawet nie był las – ledwie zagajnik.

To miało być Adheorte? Niemożliwe...

Val wciąż wypowiadała zaklęcie, jej głos miarowo wznosił się i opadał. Najwyraźniej nie zorientowała się, że las już się pojawił. Andreus podszedł do niej i delikatnie stuknął ją w ramię. Odwróciła się ku niemu z wściekłością.

– Jeszcze nie skończyłam, idioto! – warknęła.

– Cudownie się złościsz – szepnął Andreus cicho, by tylko ona to usłyszała. Jego słowa odniosły zamierzony skutek. W jednej chwili zapomniała o przyczynie złości, natomiast na jej twarzy pojawił się wyraz totalnego zdumienia. Wet za wet, pomyślał Andreus z satysfakcją. – O to ci chodziło? – wskazał na las z niewinnym wyrazem twarzy.

– Ja... – zaczęła zmieszana, ale kiedy zerknęła w tamtym kierunku, aż ją

przymurowało. – Ależ ja nawet nie skończyłam wypowiadać zaklęcia! – wykrzyknęła.

– To jest Adheorte? – spytał Domenic, zbliżając się ku nim. Haeris dreptał tuż za nim.

– Tak – zwróciła ku niemu niespokojne spojrzenie. – Ale to nie ja...

– Coś mi się zdaje, że nie doceniasz własnych możliwości – stwierdził Andreus z lekkim uśmiechem. Najwyraźniej jej zmieszanie bardzo go bawiło.

– Ale...

– Och, czy to ważne? – Domenic nie dał jej dojść do słowa. – To jest puszcza Adheorte, tak czy nie?

– No tak, ale...

– Więc ruszmy się, zanim zniknie!

Przyglądała mu się z neodganionym wyrazem twarzy, kiedy ją mijał. W zadumie, ale i nieco podejrzliwie, z pewnym niepokojem. I znał przyczynę tego spojrzenia.

Oczywiście, jego magia. Musiała coś wyczuć, w końcu była magiem. Ale on nie chciał jeszcze o tym rozmawiać. Nie teraz – i nie z nią. Do tej pory – przez ponad dwadzieścia lat – obywatel się bez magii, ba! – nawet bez wiedzy o jej istnieniu. Jeszcze się z nią nie oswoił, nie przyzwyczał do jej przejawów. Szczerze mówiąc, niezbyt jej ufał. Dodatkowo niepokoił go fakt, że część tej magii tkwiła w nim, płonęła ogniem w jego żyłach. Czuł ją każdym uderzeniem serca.

Andreus patrzył w ślad za oddalającym się Domenikiem. Potem przeniósł spojrzenie na Val.

– Coś mały ten las, jak na słynną puszcę Adheorte – zauważył.

– Co? – popatrzyła nań z roztargnieniem. – Tak, ale to iluzja. Część magii tego miejsca.

Iluzja rozwiała się, jak tylko przekroczyli granicę lasu, wyraziście odcinającą się od piasków pustyni Teirah. To już nie był malowniczy zagajnik – to była puszcza, prawdziwa, wiekowa ostoja, gdzie drzewa miały tysiące lat, a wiatr uwięziony w ich koronach był jeszcze starszy. Unosił się tu neodłączny słodkawy – mdły zapach rozkładu, butwiejących liści, gnijących szczątków zwierząt, ale i nowego życia, uparcie pnącego się ku słońcu poprzez gęste poszycie.

Bardziej niepokojące niż zapachy były jednak dźwięki, świadczące o obecności

zwierząt i istot, jakich trudno spotkać się gdzie indziej. Szelesty, szurania, trzaskanie gałązek, odległe pohukiwania i porykiwania, czasem krzyk jakiegoś ptaka lub pisk małego zwierzęcia.

To wszystko dawało znać, że puszcza żyje. Że to życie zamyka się w kręgu drapieżnik – ofiara i że każdy, kto przekracza granicę puszczy przyjmuje rolę jednego albo drugiego. Nie ma obserwatorów, nie ma niewinnych turystów. Cykl musiał się dopełniać wciąż i wciąż, przez wieki. Równowaga musiała być zachowana.

– To jeszcze nic – powiedziała Val, ścisząc głos. – Poczekajcie, aż wejdziemy głębiej.

– Dlaczego mówisz szeptem? – spytał Andreus cicho.

– Nie wiadomo, co możemy obudzić swoją obecnością – odparła. – Lepiej uważać.

Domenicowi ciarki przeszły po plecach. Odwrócił się, by spojrzeć na pustynię. Weszli w puszcę zaledwie na kilka kroków, a drzewa i zarośla przesłoniły widok piaszczystych wydm i czerwonożółtych skał. Po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że może ta wyprawa nie była najlepszym pomysłem. Nie, nie wolno mu tak myśleć: odnalezienie Hedaia i przekonanie ich do współpracy warte było wszelkiego ryzyka.

– Nie traćmy czasu – powiedział.

Puszcza sprawiała wrażenie groźnej, mrocznej i niedostępnej, gęstej i nieprzebytej. Jednakże wędrówka nie sprawiała im większych trudności – nawet Haeris nie miał kłopotów z lawirowaniem pośród krzewów i pni drzew.

Po kilku godzinach forsownego marszu zatrzymali się na niewielkiej polance, utworzonej przez zwalone wicherą drzewo. W pobliżu znajdowało się nawet niewielkie źródło, na szczęście nie było zanieczyszczone. Val najpierw jednak sama spróbowała wody, badając jej smak. Po dłuższej chwili skinęła głową z zadowoleniem.

– Możemy ją pić, to zwykła woda, bez magicznych domieszek.

Rozsiedli się w pobliżu źródła, wyjęli zapasy żywności. Haeris wytarzał się krótko w trawie, a potem zaczął się paść, nie zdradzając jakichkolwiek oznak niepokoju. Domenic wiedział, że gdyby cokolwiek im zagrażało, czułe zmysły ogiera ostrzegą ich odpowiednio wcześniej. Jednak ani on, ani Andreus nie zaniechali środków ostrożności – ich broń znajdowała się blisko, pod ręką, gotowa do użycia w każdej chwili.

– Czy to nie dziwne, że jak dotąd nie spotkaliśmy żadnego magicznego stworzenia? –

spytał Andreus pomiędzy jednym kęsem a drugim.

– Tak ci spieszno do rozróby? – Domenic uśmiechnął się z pobłażaniem.

Skrzywił się, spoglądając z nieukrywanym obrzydzeniem na rację wojskowej żywności. Patrzenie na nią, a tym bardziej jedzenie nie należało ani do rzeczy przyjemnych, ani łatwych – baton był twardy jak kość i smakował jak sprasowana tektura. Po namyśle zawinął go z powrotem w papier i wrzucił do plecaka – nie był aż tak głodny, by ryzykować połamanie zębów.

– Ukrywają się – stwierdziła Valetta, popijając swój baton dużą ilością wody.

Poniewczasie doszła do wniosku, że zabranie żelaznych wojskowych racji jako zapasów nie było najlepszym pomysłem. Następnym razem powinna postarać się o żywność liofilizowaną – przynajmniej będzie w miarę jadalna. Zerknęła na Andreusa, który w zamyśleniu przeżuwał żołnierski baton, najwyraźniej nie czując jego smaku. Ten to chyba ma żołądek ze skóry, pomyślała złośliwie.

Po krótkim odpoczynku ruszyli w dalszą drogę. Nie uszli zbyt daleko od miejsca postoju, kiedy trafili na pułapkę – i to w miejscu, w którym najmniej spodziewali się napotkać coś podobnego. Andreus nieopatrznie zbliżył się do pewnego drzewa, z którego konarów zwieszały się grube, mięsiste liany. Kiedy tylko delikatnie trącił jedną z nich, chcąc utworzyć sobie przejście, pozostałe zadrżały i w mgnieniu oka oplótły całe jego ciało i uniosły w górę.

– Aaa!... Ratunku! – wrzasnął z przestraszeniem, zanim zacieśniające się liany pozbawiły go tchu.

Val krzyknęła z przerażenia głośniejszym głosem niż sam uszkodzony. Domenic nie stracił jednak zimnej krwi, choć serce zamarło mu w piersi. Zbliżył się do drzewa, unikając kontaktu z drapieżnymi lianami. Andreus wisiał jakieś trzy metry ponad powierzchnią ziemi. Liany obejmowały go ciasno, niczym sploty potężnego węża. I zaciskały się w miarę jak ofiara starała się uwolnić.

– Andre, czy możesz sięgnąć po miecz? – spytał Domenic.

– Nie – odparł tamten z trudem. – Coraz trudniej mi oddychać... – zaksztusił się. – Wymyśl coś... szybko... duszę się...

– Nie szarp się, Andre, tylko pogarszasz sprawę.

Domenic zastanawiał się gorączkowo. Jedyne miecze były w posiadaniu Andreusa i wisały teraz wraz z nim oplecione lianami. Nikt nie mógł z nich teraz skorzystać. On sam miał tylko groty strzał, bezużyteczne w tej sytuacji. Może Val... Odwrócił się ku niej.

– Masz jakiś nóż, cokolwiek, czym można by ciąć?

Potrząsnęła głową przecząco, a potem spojrzała ponad jego ramieniem. Jej twarz zbladła jak papier.

– To drzewo chce go strawić – szepnęła na poły ze zgrozą, na poły z pełnym zdumieniem niedowierzaniem. – To worek żołądkowy.

Spośród listowia gęsto spowijającego koronę drzewa wysunął się mięsisty, pulsujący sokami trawiennymi twór o kształcie dzwonu, wiszący na bardzo grubej lianie przypominającej mocno skręconą linę. Inne liany uczestniczyły teraz w procesie przesuwania dzwonu w kierunku znieruchomiałej nagle ofiary.

Chwileczkę... Domenic miał coś, co przy dużej dozie tolerancji można było wykorzystać jako broń. Tak, nie było innego sposobu. Szybko podjął decyzję.

– Bądź gotowa! – krzyknął do Val, po czym okrążył drzewo, aż znalazł się po przeciwnej stronie niż Andreus.

Miał nadzieję, że to zadziała – przynajmniej do tej pory zadziało dwukrotnie. W innym przypadku ta potworna, mięsożerna roślina zdobędzie nie tylko jedną ofiarę, lecz dwie.

Zdecydowanie wszedł pomiędzy liany, specjalnie roztrącając i poszturchując je ramionami. Wyciągnęły się ku niemu nieco niemrawo – uwaga drzewa była w tej chwili skupiona gdzie indziej. Kiedy jednak wyczuło drugą zdobycz, zareagowało niczym rasowy drapieżnik – liany śmignęły w powietrzu, zaciskając się wokół jego tułowia i nóg, niczym imadła.

Przez pełną grozy chwilę miał wrażenie, że to nie zadziała. Liany opinały się ciasno i boleśnie wokół jego żeber, wyciskając z płuc powietrze. I kiedy już zaczynało mu brakować tchu, a przed oczyma pojawiły się czarne plamy, spowodowane niedotlenieniem mózgu, rozległ się przeciągły huk, jakby odgłos dalekiej burzy.

Tarcza. Nareszcie.

Liany rozluźniły się z wolna, niechętnie. Upadł na ziemię, spazmatycznie nabierając

powietrza w płuca, które zaprotestowały palącym bólem. Rozkaszał się, a do bólu płuc dołączył jeszcze ból w nadwerężonych żebrach.

– Cholera... – zaklął słabo.

Pozbierał się jakoś z ziemi i spojrzał na drzewo. Nieźle oberwało: w promieniu około dwóch – trzech metrów nie pozostała w jednym kawałku ani jedna liana – z oderwanych końcówek skapywała gęsta, ciemnoczerwona ciecz, nieprzyjemnie przypominająca krew. Jeden z najbliższych konarów był nadłamany; na miejscu pęknięcia pojawił się obrzydliwie wzdęty skrzep. Na sam jego widok Domenicowi przewróciło się w żołądku.

Z drugiej strony drzewa dobiegło go głucho łupnięcie. Andreus! Domenic pobiegł w tamtym kierunku, omijając te liany, które nie zostały uszkodzone przez jego tarczę – ich bezwład mógł być pozorny.

– Pomóż mi – stęknęła Val na jego widok, próbując odciągnąć ciało Andreusa poza zasięg morderczych lian.

– Żyje? – spytał, kiedy magini przysunęła ucho do piersi leżącego.

– Żyje – odetchnęła z ulgą. – Jest tylko nieprzytomny.

Okazało się, że nawet nie jest poważnie ranny – liany nieco go tylko poddusiły, podobnie jak starały się to zrobić z Domenikiem. Najwyraźniej taktyka mięsożernego drzewa polegała na pozbawieniu przytomności schwytaną ofiarę, a potem strawienie jej żywcem. Andreus wkrótce doszedł do siebie, ale o kontynuowaniu marszu tego dnia nie mogło już być mowy.

Wrócili na polanę ze źródłem – poturbowany Andreus na grzbiecie Haerisa – i tam rozłożyli obóz, zamierzając zostać w tym miejscu na noc. Domenic nazbierał chrustu na ognisko, a kiedy zapłonęło na krótko przed zmierzchem, Val spaliła w nim jakieś zioła, mruczając przy tym pod nosem zaklęcia. Potem wyjęła płonącą żagiew i obeszła z nią całą polankę, splatając słowa zaklęcia z dymem. W ślad za nią pojawiała się cieniutka warstewka mgły.

– To nas zabezpieczy przed niespodziankami – wyjaśniła po powrocie do ogniska. – Po tym lesie z pewnością kręcą się wilkołaki, strzygi i bogowie tylko wiedzą, co jeszcze. Musimy trzymać wartę.

Domenic skinął głową. Po spotkaniu z mięsożernym drzewem nic już nie mogło go zdziwić. Wciąż bolały go żebra i mógł się jedynie domyślać, jak bardzo obolały jest Andreus, śpiący teraz niespokojnym i urywanym snem.

– Ja mogę trzymać wartę pierwszy – zdecydował.

– Dobrze – Valetta zerknęła na jego łuk. – Jeśli coś cię zaniepokoi, lepiej nie strzelaj na oślep. Gdyby cokolwiek lub ktokolwiek miał wrogie zamiary, mgła rozjarzy się na czerwono, a wtedy mnie obudź.

Podczas kolacji przyglądała mu się z uwagą i namysłem.

– Intrygujesz mnie, Domenicu – stwierdziła w końcu powoli. – Jest w tobie coś, czego nie mogę przeniknąć, jakaś tajemnica... No i jestem już prawie pewna, że to właśnie ty wezwałeś Adheorte, tylko bladego pojęcia nie mam, jak – zrobiła nieokreślony ruch ręką. – Co zrobiłeś temu drzewu?

– Mam tarczę – odparł. – Pozwoliłem się zaatakować.

– Naturalną tarczę? – była autentycznie pod wrażeniem. – No, no... Coraz bardziej mnie intrygujesz, to muszę przyznać. Niewielu ludzi posiada naturalną tarczę. Większość musi używać sztucznych lub magicznych – pochyliła się nieco do przodu. W świetle ogniska jej włosy jarzyły się niczym płomienie. – Powiesz mi, dlaczego tu jesteś?

Westchnął. Ależ była wścibska. Z drugiej strony jednak zachowywanie tajemnicy nie miało już sensu – prędzej czy później i tak się dowie.

– Szukam Hedaia.

Uniosła brwi.

– Jak sądzę, masz ku temu ważny powód.

– Moja babka pochodziła z Hedaia – wyjaśnił. – Dowiedziałem się o tym całkiem niedawno – to była zaledwie połowa prawdy, ale w tej chwili nie musiała wiedzieć więcej.

W jej oczach pojawiło się zrozumienie. To wyjaśniało kilka rzeczy: między innymi jego magię – skoro był z Hedaia, to musiał dysponować jakimś fragmentem mocy, może nawet większym, niż ona.

– Rodzina... – szepnęła. – Wiem, o co ci chodzi. Moi dziadkowie i rodzice zginęli wiele lat temu. Pamiętasz katastrofę statku "Arphos"?

Oczywiście, że pamiętał, miał wtedy może jedenaście czy dwanaście lat. "Arphos" był liniowcem, kursującym po całym Kwadracie, ogromnym statkiem, nieprzystosowanym do lądowania na powierzchniach planet – mógł jedynie dokować przy stacjach kosmicznych. Oficjalny raport głosił, że zawiodły tarcze i "Arphos" został trafiony jakimś zabłąkanym fragmentem kosmicznego śmiecia. W normalnych warunkach kadłub wytrzymałby takie uderzenie, ale splot okoliczności sprawił, że trafiony został jeden z pustych zbiorników paliwa – opary wystarczyły, by eksplodowało wszystko. Na pokładzie statku zginęło ponad siedem tysięcy ludzi – dziś wrak był pomnikiem dla uczczenia pamięci zabitych.

– Przykro mi – szepnął.

Potrząsnęła głową.

– Niepotrzebnie. Ból już minął, zostały tylko dobre wspomnienia – patrzyła w ogień, ale po chwili ponownie spojrzała na Domenica. – Nie martw się. Hedaia prawdopodobnie już wie, że ktoś wszedł do puszczy. Pozostaje kwestią czasu, kiedy nas znajdą.

– Tak myślisz?

– Puszcza jest magiczna, a oni potrafią wyczuwać magię, jak nikt inny, są w tym lepsi nawet od świątynnych wykrywaczy.

Andreas ocknął się z niespokojnego snu, więc Valetta napoiła go jakimś cuchnącym wywarem wzmacniającym, po którym zasnął znacznie spokojniej. Sama wkrótce również położyła się spać.

– Pamiętaj: obudź mnie, gdyby mgła zmieniła kolor.

Skinął głową.

– Nie zapomnę.

Niebo, a raczej te jego skrawki, które prześwitywały poprzez rozłożyste korony drzew, przybrało barwę antracytu. Błysnęły gwiazdy – klejnoty na aksamicie. Haeris ułożył się tuż obok swego pana, płonące ognisko nie wzbudzało jego niepokoju. Domenic od czasu do czasu dorzucał do paleniska, a wtedy sypały się z niego wesołe iskry.

Nie chciało mu się spać, dlatego nawet nie próbował budzić Val na zmianę warty. Nie

musiał jej też budzić z innych powodów – wprawdzie kilka razy w ciągu nocy miał nieprzyjemne wrażenie, że ochronna mgiełka nabiera chorobliwie różowawego odcienia, ale skończyło się na podejrzanym szeleście i szuraniach poza kręgiem światła, gdzieś pomiędzy drzewami.

Domenic przymknął oczy.

Świtało. Gwiazdy przyblakły, a wkrótce niebo pojaśniało na tyle, że zupełnie zniknęły. Ochronna mgiełka, którą Val rozwiesiła zaklęciem wokół polanki, zaczęła się z wolna rozpraszać, jakby zabijał ją słoneczny blask.

Domenic nie spał. A raczej wydawało mu się, że nie śpi. Siedział nieruchomo, oczy miał zamknięte, oddech powolny, równy i spokojny. A jednak nie spał. Pomimo zamkniętych oczu w jakiś niepojęty sposób miał pełną świadomość tego, co działo się wokół.

Widział, jak stopniowo blakną gwiazdy, jak na trawie osiada poranna rosa, jak dogasa ognisko. Pomyślał niemrawo, że warto by dołożyć doń trochę chrustu, by zupełnie nie wygasło, ale nie uczynił w tym kierunku żadnego ruchu. Dlatego mocno się zdziwił, kiedy spomiędzy gałązek, które wzięły się nie wiadomo skąd, strzeliły wesołe płomyki. Hm, ciekawe...

Ktoś się zbliżał. Wiedział o tym, choć niczego nie słyszał, po prostu czuł to całym swoim jestestwem.

– *Obudź się, Val* – pomyślał, a magini drgnęła, jakby stanął tuż obok i potrząsnął ją za ramię lub krzyknął. Andreus zareagował podobnie, kiedy tylko pomyślał o tym, by obudzić i jego. – *Dosyć leniuchowania. Mamy towarzystwo.*

Val rozejrzała się wokół nieprzytomnie.

– Kto to powiedział?

– Nie ja – odparł Andreus ziewając.

Oboje spojrzeli na Domenica. Siedział obok ogniska, nieporuszony niczym skała.

– Domenicu? Śpisz? – Andreus podszedł do niego. Podskoczył, kiedy Domenic niespodziewanie otworzył oczy.

– Ktokolwiek to jest, jest już blisko – oznajmił. – Przygotujcie się.

Andreas bez zbędnych pytań sięgnął po swoje miecze. Po wyczerpaniu spowodowanym wypadkiem z poprzedniego dnia nie pozostał już nawet ślad – wywar przygotowany przez Val był najwyraźniej skuteczny.

Haeris nagle poderwał łeb, wietrząc nowe, obce zapachy. Val odwróciła się w tamtym kierunku, gotowa na użycie zaklęć obronnych, chwilowo rezygnując z zadawania pytań Domenicowi. Na to jeszcze będzie czas.

Gałązki młodych drzewek zafalowały gwałtownie, a wkrótce spomiędzy zarośli wyłoniła się sylwetka wysokiego mężczyzny. Obrzucił polankę jednym, uważnym spojrzeniem, po czym uniósł obie dłonie, by pokazać, że nie trzyma w nich broni, ani też nie zamierza po nią sięgać.

Broń jednakże posiadał: miecz i sztylet u pasa oraz łuk i kołczan pełen strzał na plecach. Wyglądał też na takiego, co potrafi się nią posługiwać. Nie był bezbronny.

– Witajcie w Adheorte – powiedział, nie ruszając się z miejsca, by nie dać pretekstu do ataku. – Nazywam się Callain macc Corellen. Nie mam złych zamiarów. Polowałem w tej okolicy i zauważyłem, że ktoś poturbował naszego pieszczoška. Chciałem tylko to sprawdzić, nic więcej.

Domenic opuścił łuk, Andreas i Val nie drgnęli jednak ani o cal, nadal przyglądając się obcemu podejrzliwie.

– Pieszczoška?

Mężczyzna uśmiechnął się niewyraźnie; nie wydawał się skrępowany ani zaniepokojony faktem, że lada chwila może zostać porażony zaklęciem lub posiekany na drobne kawałeczki dwoma śmiercionośnymi ostrzami.

– Tak nazywamy mięsożerne drzewo, które rośnie tu nieopodal. Jak sądzę to wasza sprawka? – spytał tonem stwierdzenia.

– Musieliśmy się bronić! – wykrzyknął Andreas z oburzeniem, jakby obcy posądził ich o celowy wandalizm.

– O, nie wątpię w to. Pieszczošek potrafi być upierdliwy jak wrzód na dupie. Już od dawna należała mu się porządna nauczka.

– Więc nie masz nam tego za złe?

– A dlaczego miałbym mieć? – zdziwił się Callain i wzruszył ramionami. – Nawet nie

zdajecie sobie sprawy, jakie mieliście szczęście: pieszczoszek nie był zbyt głodny, bo w zeszłym tygodniu trafiła mu się mantykora.

– Mantykora? – wyszeptała Val z niemal nabożnym zdumieniem. – Wciąż żyją mantykory?

– Przynajmniej w Adheorte – przytaknął obcy. – Podejrzewam, że inne zostały wytępione przez technokratów.

Domenic zbliżył się do niego powoli. Mężczyzna nie cofnął się ani o krok, spokojnie patrząc mu wprost w oczy. Obaj byli niemal tego samego wzrostu, ale obcy był starszy – mógł mieć od dziesięciu do piętnastu lat więcej. Jego włosy były o kilka tonów ciemniejsze niż włosy Domenica, ale za to oczy ich obu jarzyły się tą samą intensywną zielenią.

– Jesteś z Hedaia, prawda? – spytał Domenic, a kiedy tamten przytaknął, dodał: – Szukałem was. Jestem wnukiem Ellerianne.

Tamten wyszczerzył zęby.

– Tak się składa, że ja także. Czy to oznacza, że jesteśmy kuzynami?

Domenic zaprosił gościa do ogniska. Wrzucił w płomień trochę drewna, by pozwoliły im się nieco rozgrzać w porannym chłodzie.

– A więc technokraci wciąż są u władzy – stwierdził Callain, bezwiednie obracając w palcach kubek wypełniony gorącym napojem.

– Powiedzmy – mruknął Domenic, krzywiąc się lekko. – W zasadzie oni są jak kukiełkowy teatrzyk: decyzje są podejmowane gdzie indziej. Dziwi mnie tylko, jak skutecznie grają swoje role i to od ponad dwudziestu lat.

– Kłamstwa to ich specjalność – prychnął gniewnie Hedaia. Przez chwilę spoglądał na Domenica z namysłem. – Jak sądzę, twoja wizyta w Adheorte nie jest przypadkowa?

– Nie – zgodził się Domenic. – Właśnie o tym chciałbym porozmawiać z przywódcą rodu Hedaia, jeśli nie ma ku temu żadnych przeszkód.

– Nie, oczywiście, że nie ma. Nasza osada znajduje się dwa dni drogi stąd. Będę waszym przewodnikiem, jeśli się zgodzisz, kuzynie. Zdążyliście się już przekonać, że ta puszcza skrywa wiele niespodzianek i to z rodzaju tych mniej przyjemnych. Chcecie wyruszyć od razu?

– A co z twoim polowaniem?

Callain machnął ręką lekceważąco.

– Zapolować mogę zawsze. Nieczęsto miewamy gości na naszym odludziu. Jeśli chodzi o ścisłość, to nikt nas nie odwiedza.

– A więc ruszamy zaraz po śniadaniu.

Dalsza wędrówka przebiegała bez większych zakłóceń. Andreus starał się omijać wszystkie drzewa, Val z zachwyty nie zamykały się usta, a Callain wskazywał na istniejące na trasie pułapki, czyhające na nieostrożnych wędrowców. Uroki rzucały drzewa i zwierzęta, skały i źródła – pomniejszych czary składały się na całość magii Adheorte.

Były więc siedliska latających węży, których ukąszenie powodowało utratę zmysłów. Było gniazdo strzyg w ciemnej jaskini, którą nieopatrznie można by uznać za doskonałe schronienie przed deszczem. Były kwiaty o barwnych kielichach, których pyłek wywoływał śmiertelny letarg. Były ścieżki, prowadzące donikąd, aż wędrowiec idąc i idąc padał z wyczerpania. Była też wioska ogrów, którą ominęli szerokim łukiem.

– Wierzcie mi lub nie, ale lepiej nie wchodzić im w drogę – powiedział Callain z powagą.

Ale były też stworzenia, które w żaden sposób nie mogły zagrozić ludziom, czy komukolwiek innemu. Driady o zielonych włosach, które mieszkaly w drzewach – ich jedyną broń stanowił cięty język. Kameleony, które zmianą kształtu starały się odstraszyć ewentualnego drapieżnika. Rusałki – wesołe, ale dość nieśmiałe nimfy, opiekujące się leśnymi źródłami, polanami i kwiatami.

– Jakoś żadnej nie spotkaliśmy – poskarżyła się Val z wyraźnym rozczarowaniem.

– Nic straconego, są strasznie głupie – odparł Callain.

Do osady Hedaia dotarli, zgodnie z zapowiedziami ich przewodnika, następnego dnia, krótko przed wieczorem. Stanęli na brzegu wielkiego jeziora, spoglądając na wyspę, położoną mniej więcej pośrodku błękitnawej tafli.

– Osada na wyspie – Val pokiwała głową ze zrozumieniem. – Sprytnie.

– Wyspa zapewnia nam bezpieczeństwo – przytaknął Callain. – Nie dostanie się tam

nikt niepowołany. W jeziorze żyją ogniste węże wodne, więc nie ma mowy o przeprawie łodziami.

– Więc jak my się tam dostaniemy? – Andreus uniósł brwi pytająco.

Callain uśmiechnął się dziwnie.

– Zaraz zobaczycie.

Przeszli jeszcze kawałek drogi brzegiem jeziora, a wtedy zobaczyli coś, o czym im się nawet nie śniło. Most. Ale nie taki zwyczajny most – ten był upleciony z promieni słonecznego światła, mienił się wszystkimi kolorami tęczy, jego efemeryczna, delikatna struktura drżała lekko w ciepłym powietrzu.

Na ten widok Val przystanęła i aż rozdziawiła usta ze zdumienia.

– O rety... – wydusiła w końcu.

– Żarty sobie z nas robisz?! – zdenerwował się Andreus. – Mamy przez to przejść?!

– Dramatyzujesz, Andre – upomniał go łagodnie Domenic. – Mógłbym się założyć, o co zechcesz, że ten most jest równie stabilny i wytrzymały jak każdy inny.

– Wygrałbyś zakład, kuzynie – Callain uśmiechnął się lekko. – Jest bezpieczniejszy niż stalowy.

Na potwierdzenie swych słów wszedł na most. Świetlista konstrukcja nawet się nie zachwiała pod jego stopami – wręcz przeciwnie, zdawało się, że jeszcze nabrała masywności. Val weszła zaraz za nim. Zrazu niepewnie dotknęła poręczy, a potem już zdecydowanie zacisnęła na niej palce i roześmiała się cicho.

– Magia jest wspaniała, skoro potrafi zakłócić błyski kolorowego światła w coś tak niezwykłego – odwróciła się. – No, Andre, chyba się nie boisz? – spytała z lekką kpinką w głosie.

– Oczywiście, że nie! – odparł Andreus, czerwieniąc się lekko. Co za kobieta, znowu go podpuszczała! Mimo to wszedł na most, ostrożnie, niezbyt pewnie. Kiedy po kilku krokach nie wylądował z chłupotem w wodzie, odetchnął z wyraźną ulgą.

Domenic, śmiejąc się pod nosem, wszedł na most w ślad za innymi przekonany, że Haeris pójdzie za nim. Nic z tego. Ogier stanął na brzegu jeziora i nie postąpił ani kroku dalej. Domenic próbował go zmusić do wejścia na most, ale jego wysiłki spełzły na niczym – Haeris był głuchy tak na groźby, jak i na prośby. Zapał się wszystkimi

czterema kopytami w nabrzeżnym piasku i ani myślał się ruszyć.

Zamieszaniem zainteresował się Callain. Domenic zdążył już zdjąć plecaki z grzbietu ogiera.

– Zamierzasz go tu zostawić, kuzynie?

– Niezupełnie – Domenic wręczył po jednym plecaku Val i Andreusowi. Sam wziął trzeci, po czym poklepał ogiera po szyi i szepnął mu do ucha kilka słów. Haeris zarżał i natychmiast ruszył galopem brzegiem jeziora. Wkrótce zniknął w oddali.

– Pospieszmy się. Most znika, kiedy nie oświetlają go promienie słoneczne – Callain nieco nerwowo zerknął na słońce. Jego obawy były na szczęście niczym nieuzasadnione – jakkolwiek słońce zniżało się już ku horyzontowi, to do jego zachodu pozostało jeszcze sporo czasu.

Most był długi, wygięty łukowato ponad powierzchnią jeziora niczym mała tęcza. Wkrótce znaleźli się po drugiej stronie, gdzie dwóch wojowników z włóczniami i mieczami trzymało straż. Obojętnie przyglądali się trójce obcych, jakby ich pojawienie się nie było niczym niezwykłym.

– Chodźcie ze mną.

Domenic w zasadzie nie wiedział, czego miałby się spodziewać. Kiedy Callain wspomniał o osadzie, na myśl przyszły mu niskie domki z ogródkami, otoczone niewysokimi, bielonymi płotkami. Oczywiście, nie oczekiwał, że tutaj zobaczy coś takiego – wręcz przeciwnie – ale widok, jaki ukazał się jego oczom nie przypominał niczego, co można by uznać za osadę.

Wszechobecna zieleń – to było pierwsze wrażenie. Nie istniało rozgraniczenie między drzewem a krzewem, jedno płynnie i niezauważalnie przechodziło w drugie, tworząc nieprzejrzystą, gęstą ścianę liści, zachodzących na siebie nawzajem niczym dachówki. Dopiero, kiedy podeszli bliżej, Domenic pojął trafność tego określenia – to, co z daleka zdawało się nieprzeniknioną ścianą listowia, z bliska okazywało się prawdziwą ścianą. Ścianą domostwa.

Callain z uśmiechem rozbawienia obserwował ich miny.

– Te drzewa dają się dowolnie kształtować, zarówno pnie, jak i pojedyncze gałązki i liście – wyjaśnił. – Co najważniejsze, nie musimy ich ścinać. Driady początkowo nie były

zachwycone naszą obecnością, ale z czasem do pewnego stopnia nas zaakceptowały.

Val uniosła brwi.

– Wątpię, czy chciałabym usłyszeć, co miały do powiedzenia, kiedy się tu pojawiliście – stwierdziła.

Callain uśmiechnął się słabo.

– Fakt, początkowo wędły nam uszy od ich wrzasków. Nie mam pojęcia, gdzie one nauczyły się takiego słownictwa – odwrócił się ku Domenicowi i wskazał mu jeden z drzewnych domostw. – Powinieneś tam zajrzeć, kuzynie. Zaopiekuję się twoimi przyjaciółmi.

Domenic zmarszczył brwi. Domyślał się, dlaczego Callain przyprowadził go właśnie tutaj. Domyślał się też, kogo zastanie za gęstą zasłoną liści, służącą za drzwi wejściowe.

Wszedł do środka.

Spodziewał się, że wewnątrz będzie stosunkowo jasno, lecz gęste listowie nie przepuszczało do środka zbyt wiele słonecznego światła. Cienie liści tańczyły pod wpływem lekkiego wiatru i migotały na podłodze, mamiąc wzrok złudzeniami.

Myślał, że pojedyncze domostwo będzie stanowić jedną, dużą izbę, której centralnym punktem byłby pień drzewa. Pomylił się – wewnątrz dzieliło się na kilka izb, rozdzielonych zasłonami liści i barwnymi tkaninami.

– Jest tu kto? – spytał, zastanawiając się, czy aby na pewno Callain skierował go do właściwego drzewa.

Z jednego z dalej położonych pomieszczeń wyszła jakaś kobieta – jej oczy lśniły w półmroku intensywną zielenią. Była zdecydowanie za młoda, jak na jego babkę. A może Hedaia byli naprawdę nieśmiertelni, jak bogowie? Kobieta nie odezwała się, po prostu patrzyła, co wcale mu nie ułatwiało sprawy.

– Jestem wnukiem Ellerianne – powiedział z niejakim wahaniem. – Chciałbym się z nią zobaczyć.

Kobieta wciąż mu się przyglądała – bez słowa, uważnie, jakby go oceniając. Tak się właśnie poczuł – jak uczeń przed egzaminem. W końcu skinęła dłonią, by poszedł za nią.

Pomieszczenie, do którego weszli, było mniejsze niż poprzednie i jeszcze bardziej

zacienione. Unosił się tu subtelny, ledwo wyczuwalny zapach starości i towarzyszącej jej śmierci. Jego przewodniczka machnęła ręką i niektóre z liści w ścianie rozstąpiło się, dopuszczając do izby nieco więcej światła. Dopiero wtedy Domenic zauważył, że był tu ktoś jeszcze.

W kącie stał fotel, na którym siedziała staruszka, opatulona szczelnie kilkoma kocami. Siwe włosy miała starannie uczesane i zaplecione w niezbyt ciasny węzeł na karku. Jej dłonie poznaczone siecią żyłek spoczywały bezwładnie na kolanach. Drzemała, ale ocknęła się, kiedy w pomieszczeniu pojawiło się więcej światła. Otworzyła oczy – ich zieleń była już tylko wspomnieniem dawnej intensywności.

– Jeszcze żyję – powiedziała cicho, niemal niesłyszalnie, głosem drżącym starością. Pobrzmiwało w nim swego rodzaju rozczarowanie, ale i zaskoczenie.

– Masz gościa, babciu – przewodniczka podeszła do fotela i troskliwie poprawiła jeden z koców, który zsunął się z kolan staruszki. Gestem przywołała Domenica, by podszedł bliżej.

Zbliżył się do fotela i przyklęknął, kładąc dłonie na dłoniach staruszki – tak kruchych, jakby za chwilę miały rozpaść się na tysiące kryształków. Jej wzrok przylgnął do jego twarzy, w oczach pojawił się cień rozpoznania, a z wątlej piersi wyrwało się ciche westchnienie.

– Stephane... – szepnęła z pełnym radości niedowierzaniem. – Stephane, mój syn... Domenic nie miał serca zaprzeczyć.

– Tak – przytaknął ze ściśniętym gardłem.

Drżącymi palcami przesuwała po jego włosach, dotykała jego twarzy, jakby uczyła się jej na pamięć.

– Powiedzieli mi, że nie żyjesz... – roześmiała się lekko. – Co oni mogą tam wiedzieć! Mój synek... – powtarzała jak litanię. – Moje dziecko.

Wkrótce zasnęła. Opiekunka opatuliła ją kocami i z powrotem zaciemniła pokój. Potem dała znać Domenicowi, by szedł za nią.

– Niewiele życia jej zostało – powiedziała, kiedy znaleźli się ponownie w izbie wejściowej.

– Nie spodziewałem się... – Domenic potrząsnął głową bezradnie, nie bardzo wiedząc,

jak wyrazić swoje uczucia. – Nie myślałem...

Kobieta domyśliła się, co chciał powiedzieć.

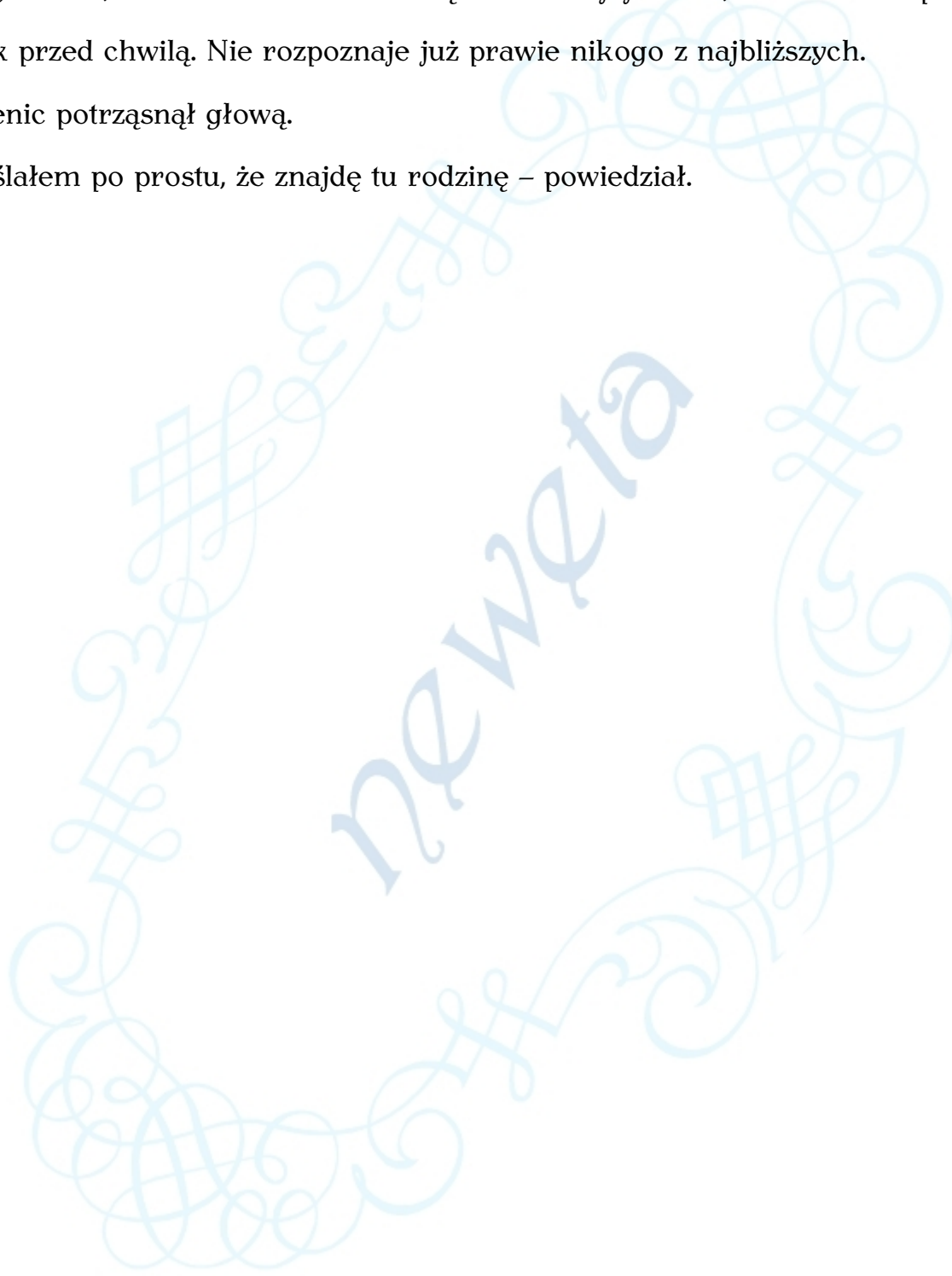
– Żyjemy długo, to prawda, znacznie dłużej niż przeciętny człowiek. Ale nie jesteśmy nieśmiertelni, bogowie nie wybaczyliby nam takiego zuchwalstwa.

– Chciałem ją spytać o tyle rzeczy – szepnął, nie kryjąc rozczarowania.

– Przykro mi, ale to niemożliwe. Pamięć czasami jej wraca, ale to ledwie przebłyski, takie jak przed chwilą. Nie rozpoznaje już prawie nikogo z najbliższych.

Domenic potrząsnął głową.

– Myślałem po prostu, że znajdę tu rodzinę – powiedział.



Rozdział czternasty

Zapadał zmierzch. Słońce wyraźnie pochyliło się nad puszcza, prawie dotykając odległego horyzontu dolną krawędzią. Domenic stał nad brzegiem jeziora i obserwował tęczowy most. W miarę, jak słońce chowało się za linią widnokregu, most stopniowo zanikał: najpierw obydwie końce, po jednej i po drugiej stronie jeziora, zafalowały i rozproszyły się niczym poranna mgła, przepędzona wiatrem. Zanikanie postępowało coraz dalej, aż w końcu górny odcinek zniknął w jasnym i efektownym rozbłysku tęczowego światła.

Domenic poświęcał obserwacji zaledwie część swojej uwagi. Jakkolwiek sam most, jak i proces jego zanikania miał w sobie niemal hipnotyczne piękno, to jego myśli krążyły wokół innych spraw.

Od babki miał nadzieję uzyskać odpowiedzi na kilka swoich pytań. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o Kristanie i Meseret, zależnościach rodu Allisandre z Hedaia i dlaczego to właśnie Ellerrianne została matką następcy tronu, skoro król miał żonę zdolną dać mu dziedzica. Ellerrianne była tam, w samym środku wydarzeń, obserwowała i słuchała, wyciągała wnioski – jej wiedza była bezcenna.

Ale, niestety, owa wiedza była już niedostępna, pogrzebana w zakamarkach jej pamięci, nieosiągalna nawet dla niej samej – a przynajmniej nie w sposób świadomy.

Słońce zaszło. Nieliczne chmury, wciąż oświetlone jego promieniami, poróżowiły nieco, dodając czystemu i zimnemu lazurowi nieba niezwykle ciepłego kolorytu. Znad jeziora powiał orzeźwiający wiatr, nieznacznie ochładzając powietrze. Sabedell znajdowała się w zenicie – połowa jej tarczy była oświetlona słońcem, druga pogrążona w mroku, rozświetlona jedynie światłami miast. O poranku w tym samym miejscu znajdzie się tarcza Errigall. Arewall natomiast pozostawała na wieczność skryta za płomienną kulą Tessaliana, niewidoczna z powierzchni Creswell.

Domenic nie odwrócił głowy, kiedy usłyszał kroki za swoimi plecami. Nie musiał tego robić, bowiem dokładnie wiedział, kto się zbliża. Callain stanął tuż obok niego, spoglądając na ostatnie promienie słońca odbijające się od podstawy chmur.

– Nie spodziewałeś się tego, prawda? – spytał w końcu.

– Nie – odparł lakonicznie Domenic, wciąż patrząc w niebo.

Callain przez chwilę zachowywał milczenie, kontemplując barwy zachodu, odbijające się w gładkiej powierzchni jeziora niczym w lustrze.

– Rada starszych zbierze się jutro wieczorem – powiedział. – W Adheorte istnieją jeszcze dwie nasze osady, chcemy by i ich przedstawiciele mogli się z tobą spotkać.

Domenic skinął głową.

– To dobrze. Mam nadzieję, że wasza rada pozytywnie ustosunkuje się do mojej propozycji. Bardzo wiele od tego zależy.

– Ja również mam taką nadzieję. Zbyt długo już tutaj tkwimy.

Kiedy tylko zaszło słońce geometria liściastych domostw została w znaczący sposób zmieniona. Zamiast kilkunastu pojedynczych domów utworzono jedną wielką budowlę, w której wnętrzu płonęły magiczne ogniska, rozświetlając przyciemnione wnętrza. Paleniska rozmieszczono dość gęsto, by każdy mieszkaniec osady znalazł przy nich swoje miejsce. Zgodnie z tradycją, jedno ognisko należało do jednej rodziny, ale każdy mógł zaprosić kogo chciał. Pomimo, że płomienie strzelały dość wysoko w górę nie istniało zagrożenie pożarem – magiczny ogień tego rodzaju nie stwarzał takiego niebezpieczeństwa. Pod liściastym sufitem wisały kule wypełnione jakąś świetlistą substancją, rozpraszającą półmrok.

Najmłodsze dzieci biegały beztrąsko pośród dorosłych pograżonych w rozmowach. Gdzieś w głębi ktoś grał na harfie – jej tony były doskonale słyszalne nawet w najdalszym zakątku. W innym miejscu młodzież pochylała głowy nad oprawnymi w skórę starymi księgami o pożółkłych kartach – światło było tu jaśniejsze, ułatwiając czytanie. Tu i ówdzie starsi grali w różne gry.

Callain zaprowadził Domenica do największego ogniska, usytuowanego niemal dokładnie pośrodku Drzewa Zgromadzenia. Zebrało się tam kilkoro członków rady starszych. Tradycyjnie zasiadał przy nim przywódca rodu Hedaia, henare Corellen macc Kristan. Tak właśnie przedstawił go Callain.

Domenic przyjrzał się uważnie starszemu mężczyźnie, dostrzegając coś znajomego w rysach jego twarzy. To było bardzo silne wrażenie, prawie nie do przeoczenia dla kogoś,

kto wiedział, czego szukać.

– Brat mojego ojca – szepnął z niemałym zaskoczeniem. – To po prostu...

– Niemożliwe? – Callain wyszczerzył zęby. Najwyraźniej cała sytuacja bardzo go bawiła.

Callain macc Corellen. Domenic dopiero teraz to sobie skojarzył. Callain syn Corellena. Ojciec i syn. Teraz, kiedy stali obok siebie, podobieństwo było uderzające. Nie zdziwił się, że Callain jest wnukiem Ellerianne – w końcu mogła założyć rodzinę po rozstaniu z Kristanem, nie była mu poślubiona. Nie spodziewał się jednak, że Stephane miał brata – i to brata bliźniaka.

Przez moment miał wrażenie, że śni – śni najdziwniejszy sen. Zaraz się obudzi i to wszystko zniknie, rozplynie się w powietrzu jak każde senne widziadło: Adheorte, drzewiaste domostwa, ci ludzie. Chwila minęła i ponownie poczuł twardość ziemi pod swoimi stopami. To jednak nie był sen, to się działo naprawdę. Jakie to dziwne...

Usiedli przy ognisku; pozostali usunęli się dyskretnie, pozostawiając ich samych. Domenic przyglądał się uważnie stryjowi.

– Jak to się stało, że to mój ojciec został królem? – spytał w końcu, zdając sobie sprawę, że niepokoi go ta kwestia.

Corellen podał mu tacę z jedzeniem, które pośród ognisk roznosiło kilka osób.

– Jak zapewne wiesz, my, Hedaia, jesteśmy tak silnie związani z magią, że stała się ona częścią nas samych, podstawą naszego istnienia. Jesteśmy niemal istotami magicznymi, jak jednorożce czy smoki. Tak więc, kiedy nasza matka urodziła bliźniaki, wystarczyło sprawdzić, który z nas jest magiczny, a który jest człowiekiem. W ten sposób ja wróciłem z matką, a Stephane został z ojcem.

– To jeszcze nie wyklucza tego, byś nie mógł zostać królem – stwierdził Domenic.

– Owszem, wyklucza – zaprzeczył Corellen spokojnie. Wskazał dłonią na liściaste ściany. – Myślisz, że przez dwadzieścia lat nie chciało nam się zbudować solidniejszych domów? – potrząsnął głową. – Umieramy wśród betonowych ścian, odcięci od tego, co daje nam życie i moc. Taki styl życia, jaki tu widzisz, drogi bratanku, to dla nas konieczność.

Do tej pory Domenic nie widział tego w takim świetle. Uważał, że budowanie domów

w taki sposób to przykład niezwyklej pomysłowości i zdolności przystosowania do zaistniałych warunków. Z pewnością nie postrzegał tego, jako bezwzględnej konieczności. Domyślił się również, dlaczego umarli ci Hedaia zamknięci w Zoltray: zabiły ich betonowe ściany.

Przyszło mu też na myśl, że Hedaia nie zechcą opuścić Adheorte. Przez ponad dwadzieścia lat czasu rzeczywistego zapuścili korzenie w tej puszczy, dosłownie i w przenośni. Wyglądało na to, że propozycja powrotu do cywilizacji, jaką zamierzał im złożyć, nie zrobi na nich większego wrażenia, ponieważ to tutaj, w Adheorte, znaleźli sobie dom.

– Jeśli mi się nie uda i przegram, przyjdę tutaj i zamieszkać z wami – powiedział cicho.

Corellen pochylił głowę.

– To będzie dla nas zaszczyt, Wasza Wysokość.

Przy jednym z dalszych ognisk zauważył Val, notując zawzięcie w swoim notesie. Robiła to z takim zapamiętaniem, że nie zwracała uwagi na Andreusa. Siedział tuż obok i przyglądał się jej z pewnym niedowierzaniem i szczerym niepokojem. Wydawało się, że jej pasja nieco go przerażała.

Przy sąsiednim ognisku ktoś zaczął śpiewać rzewną balladę o powstaniu Kwadratu Tessaliana. Do śpiewaka wkrótce dołączył harfista, a delikatne brzmienie strun dodało pieśni niezwyklej głębi i czaru. Stopniowo milkły rozmowy, oczy zgromadzonych skierowały się ku artyście. Ten, zdając sobie sprawę, że skupił powszechną uwagę, pozwolił by jego głos nabrał mocy, wypełniając przestrzeń czystym dźwiękiem, więzając słuchaczy w magii melodyjnych fraz.

Legenda o czterech siostrach, kosmogoniczne wyjaśnienie niezwykłości w położeniu planet Kwadratu, była naprawdę bardzo piękna, ale Domenic wiedział, że jest w tym coś więcej – znacznie więcej. Znał przecież swoją matkę, a ona była boginią, do tego patronką tej planety.

Pieśń rozwinęła się drżącym kontrapunktem, po czym pasażami powoli dobiegała końca – akompaniator wzbił się na wyżyny własnego mistrzostwa. Domenic zasłuchany w liryczne strofy popadł w stan dziwnego odrętwienia i nie był w tym stanie

odosobniony – wszyscy zebrani trwali nieporuszenie, jakby zakłęci do słuchania, ich twarze wyrażały czysty zachwyt. Śpiewak przerwał na moment dla nabrania oddechu i w tej właśnie chwili, krótszej niż pojedyncze uderzenie serca, wydarzyło się kilka rzeczy.

Akurat przyniesiono wino. Corellen, jako gospodarz, rozlał szlachetny trunek do wspaniale rzeźbionych w drewnie kielichów, po czym jeden z nich podał Domenicowi. Zgodnie z tradycją, najdostojniejszy z gości powinien spróbować wina jako pierwszy.

Domenic pochylił się nieco, wyciągając dłoń po naczynie, kiedy w nagle zapadłej ciszy rozległ się niemal niesłyszalny świst. Domenic poczuł jedynie tępe uderzenie tuż poniżej barku. Spojrzał w dół i z niemałym zdumieniem ujrzał drzewce strzały zanurzonej w jego ciele, drgającej jeszcze od impetu uderzenia. Przeszła przez srebrną kolczugę, jakby jej wcale nie było. Zmiana pozycji prawdopodobnie uratowała mu życie: ledwie ułamek sekundy wcześniej ta strzała mierzyła wprost w jego serce.

W pierwszej chwili nie poczuł nic. Tylko zdumienie i niedowierzanie. I dopiero wtedy przez jego ciało przebiegło drzenie. Najpierw zdrętwiała mu lewa ręka. Ból rozprzestrzeniał się z każdym uderzeniem serca, z każdym oddechem; ból, który palił żywym ogniem, który zdawał się sprawiać, że jego umysł oddzielał się od ciała w jakiś dziwnie senny sposób.

Nikt niczego nie zauważył. Wszyscy wciąż wpatrywali się w śpiewaka, który w przejmujący sposób opowiadał pieśnią o śmierci, rozpacz i nadziei. Nikt, prócz Corellena, który wciąż trzymając kielich w wyciągniętej ręce, kątem oka dostrzegł, że dłoń Domenica chybiła celu, a on sam pochylił jakoś dziwnie, bezwładnie. W półmroku Drzewa Zgromadzenia ciężko było cokolwiek dostrzec – zwłaszcza w chwilach takich jak ta, kiedy świetlne kule były wygaszone, a płomienie magicznych ognisk niemal dogorywały i nikt jakoś nie kwapił się, by je ponownie wzniecić. Corellen dostrzegł jednak podejrzany błysk metalu, co upewniło go, że coś jest nie w porządku. Wychylił się nieco ze swojego miejsca i lekko potrząsnął Domenica za ramię.

– Wasza Wysokość?... – zawiesił głos pytająco, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Domenic zachwiał się lekko, po czym osunął na ziemię, nie wydając żadnego dźwięku. Jak kukiełka, której niespodziewanie obcięto podtrzymujące ją sznurki; bez

życia, bez świadomości. Corellen poczuł strach. A kiedy odkrył na swojej dłoni ślady krwi, jego strach zamienił się w przerażenie.

W jego krtani wezbrał krzyk.

– Wezwijcie uzdrowiciela! Straże, do mnie! Szybko!!!

Śpiew umilkł w połowie, muzyka zamarła. Pomieszczenie rozjaśniło się, kiedy ktoś aktywował świetlne kule. Ktoś inny pobiegł wykonać polecenie. Atmosfera zmieniła się nie do poznania – chwilę temu jeszcze radosna, pełna ufności i spokoju, teraz gęsta od lęku i niepokoju.

Strażnicy rozbiegli się w poszukiwaniu zamachowca, kierowani ostrymi poleceniami Corellena. Pozostali podchodzili bliżej, by zobaczyć, co się właściwie stało; podawali sobie wieść z ust do ust. Andreus z niejakim trudem przeciskał się przez ciżbę, torując drogę postępującej za nim Val.

– Zanieście go do mojego domu – zdecydował Corellen, a czterech mężczyzn ostrożnie podniosło Domenica i, wśród ciszy przerywanej jedynie nieartykułowanymi jękami nieprzytomnego, wyniosło poza Drzewo Zgromadzenia.

Andreus zatrzymał Callaina.

– Co się stało? – spytał głosem drżącym ze zdenerwowania.

– Złota strzała – wyjaśnił krótko Callain, po czym poszedł za ojcem.

– Co takiego?

Złota strzała. To mu nic nie mówiło, niczego nawet nie sugerowało. Val jednak zdawała się wiedzieć, o co w tym chodzi.

– Nie jest dobrze – szepnęła takim tonem, że Andreusowi ciarki przeszły po grzbiecie. Przerażony stał w miejscu i zastanawiał się, o czym ona bredzi. Tymczasem Val ruszyła za krewnymi Domenica. Andreus dogonił ją po chwili.

– Co to znaczy: nie jest dobrze?

– Nie rozumiesz? – Val spojrzała nań z irytacją. W jej oczach dostrzegł jednak strach i niepewność. – Złota strzała Rewy...

– Bogini zimy, lodu i śniegu – dokończył Andreus, uświadamiając sobie z pełną jasnością implikacje tego faktu.

Złote strzały bogini zimy na ogół nigdy nie chybiały celu, a ich celem było zawsze

serce ofiary. Jednak, gdyby to zawiodło, każda strzała niosła ze sobą truciznę. W maleńkich rowkach umieszczona była taka ilość jadu, że mogła zabić pięćdziesięciu ludzi w przeciągu sekund, nie mówiąc już o jednym człowieku, który umierał nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Legenda głosiła, że trucizna owa pochodziła z pręcików kwiatowych pewnych roślin rosnących wyłącznie w Krainie Wiecznego Lata, Tirtarn, owym mitycznym świecie bogów. Wystarczyło lekkie draśnięcie, by natychmiast pozbawić życia kogokolwiek. Na tę truciznę nie było antidotum.

Bogini zimy nie posyłała jednak swoich złotych strzał za byle modlitwę lub kadzidło, o nie – ceniła się znacznie wyżej, wymagając krwawej, ludzkiej ofiary. Życie za życie. Dlaczego jej celem stał się właśnie Domenic, było w zasadzie jasne. Jeden z wrogów monarchii i rodu Allisandre był najwyraźniej mocno zdesperowany, że udał się po pomoc do Rewy.

Zasadnicze pytanie brzmiało jednak inaczej: dlaczego Domenic wciąż żył? Bo żył, choć stracił przytomność; jego pierś unosiła się w nierównym, płytkim oddechu. Hedaia złożyli go na szerokiej ławie w jednej z izb, po czym wyszli dyskretnie.

Domenic wyglądał bardzo źle: jego skóra pokryła się śmiertelną bladością i kropelkami potu, przy każdym oddechu z jego gardła dobiegał złowróżbny, charczący odgłos. Ale wciąż żył, choć powinien być martwy od co najmniej kilkunastu minut. Andreus nie rozumiał tego – podobnie, jak i inni zgromadzeni w izbie – ale cieszył się z tego faktu. A zatem wciąż istniała nadzieja.

Zjawił się uzdrowiciel, a raczej uzdrowicielka – starsza kobieta o uważnym, przenikliwym spojrzeniu szmaragdowych oczu, ubrana w szarawą suknię upstrzoną tu i ówdzie sokami roślin. Najwyraźniej oderwano ją od pracy przy ziołach. Na jej widok Andreus odczuł niejaką ulgę – wyglądała na osobę znającą się na rzeczy, a więc Domenic znalazł się w dobrych i doświadczonych rękach. Sama obecność uzdrowicielki sprawiła, że napięcie w izbie nieco opadło. Przywitała się ogólnie ze wszystkimi krótkim skinieniem głowy, po czym bez słowa podeszła do rannego. Zbadła go szybko i wprawnie.

– Coś go chroni – powiedziała w końcu.

– Posiada naturalną tarczę – poinformowała Val, zaskakując tym Andreusa, który o żadnej tarczy nie miał pojęcia.

Uzdrowicielka potrząsnęła jednak głową.

– Nie, to nie to. Coś w jego krwi...

– Po części jest Hedaia – dodał Callain.

Tego Andreus też nie wiedział. Zaczął się zastanawiać, o czym jeszcze Domenic “zapomniał” mu powiedzieć?

– Nasza krew nie stanowi żadnej ochrony przed tą trucizną, jesteśmy na nią równie podatni, jak wszyscy ludzie – uzdrowicielka patrzyła na pacjenta w zadumie. – Jeszcze żyje, ale...

– Brynn, to syn mojego brata – głos Corellena zadrżał lekko.

Uzdrowicielka rzuciła mu krótkie spojrzenie.

– Spróbuję wygrzebać tę strzałę – odparła w końcu. – Tylko tyle mogę zrobić.

– Zrób, co w twojej mocy, Brynn.

– Masz na to moje słowo, henare – zwróciła się do Corellena jego oficjalnym tytułem, podkreślając wagę swej obietnicy.

Sprawnie zabrała się do pracy. Najpierw ostrożnie odłamała drzewce jak najbliżej wylotu rany. Potem spojrzała ku Andreusowi i Callainowi.

– Przytrzymajcie go. Nie może ruszyć się ani o ułamek cala.

Za pomocą noża poszerzyła nieco ranę, by wydostać grot. Nie tkwił zbyt głęboko, ani – co ważniejsze – nie naruszył żadnej ważnej arterii. W zasadzie byłby to nieszkodliwy postrzał – gdyby nie trucizna. Uzdrowicielka wyjęła grot – ostrożnie, ostrożnie, nie dotykając go, bowiem wciąż mógł zabijać. Potem oczyściła ranę i umieściła w niej tampon. Następnie dokładnie i starannie obandażowała ramię, półgłosem wypowiadając zaklęcia wspomagające gojenie.

– Idźcie spać – powiedziała, nie patrząc na nikogo w szczególności. – Będę przy nim czuwać do rana.

Andreus wyglądał tak, jakby chciał zaprotestować, ale Callain położył dłoń na jego ramieniu, powstrzymując go.

– Nic tu po nas – rzekł z naciskiem.

Wyszli. Nareszcie została sama. Mogła teraz skupić się na pacjencie, skoncentrować na nim całą swoją uwagę – nie rozpraszała jej już obecność innych, ich oddechy i moc.

Rozpaliła magiczny ogień w przenośnym piecyku i wsypała doń kilka starannie dobranych ziół. Izba napełniła się ich aromatem, a ranny wkrótce zaczął oddychać nieco lżej.

Niestety, na samą truciznę nic nie mogła poradzić – nie istniała na nią odtrutka. Mogła jedynie napoić pacjenta wywarem oczyszczającym organizm z toksyn, otoczyć barierą ochronnych zaklęć i czuwać przy nim do świtu, mając nadzieję, że jego stan się nie pogorszy.

Tymczasem postanowiła zająć się kwestią, która nie dawała jej spokoju od chwili, w której wezwano ją, by udzieliła pomocy rannemu człowiekowi. Dlaczego wciąż żył, dlaczego jego organizm wciąż walczył, nie poddawał się działaniu tej niezwykle silnej trucizny? Może był na nią naturalnie uodporniony? A jeśli tak, to może udałoby się opracować skuteczne antidotum?

Brynn ostrożnie zeszkrobała nożem nieco krwi z powierzchni grotu, po czym umieściła splamione ostrze wewnątrz magicznego ognia. Błękitna barwa płomienia zmieniła się na chwilę w intensywny, głęboki szkarłat.

Ach, więc to tak.

Był jednym z Nich. Trucizna nie zabiła go i prawdopodobnie nie zabije, co w sumie stanowiło dobrą wiadomość. Chorował, ponieważ w połowie był człowiekiem – a to była ta zła wiadomość. Uzdrowicielka nie była pewna, jak trucizna może podziałać na jego organizm, ile tkanek zostanie zniszczonych. I czy jej pacjent w efekcie nie będzie pragnął śmierci jak wybawienia. Mógł z tego wyjść, ale okaleczony, może nawet z porażeniem mózgowym.

Zbliżał się już świt, kiedy Brynn zdecydowała się na zmianę opatrunku. Natychmiast zorientowała się, że jej zaklęcia okazały się zbyt słabe, ponieważ do tej pory krwawienie powinno było już zupełnie ustać. Tak się jednak nie stało – opatrunek był wręcz przesiąknięty krwią. W dodatku ranny wciąż nie odzyskał świadomości, co nie rokowało zbyt dobrze. Kiedy dotknęła dłonią jego czoła stwierdziła, że jest rozpalone gorączką.

Niewiele mogła zrobić w tej sytuacji – najwyraźniej jad zawierał jakieś silne przeciwzakłęcie, które blokowało jej magiczne zabiegi, nie pozwalało nawet zadziałać ziołom. Założyła świeży opatrunek, wkładając między poszczególne warstwy nowe zioła i wypowiadając najsilniejsze ze znanych jej zaklęć.

I nie była pewna czy to cokolwiek pomoże.

Dlatego też, kiedy tylko pojawiły się pierwsze oznaki świtu, poszła odszukać tych, z którymi tu przybył. Wiedziała, która rodzina udzieliła im gościny w swoim drzewie, tak więc nie miała z tym większych problemów. Oboje jeszcze spali. Brynn nie miała żadnych skrupułów, kiedy ich budziła.

– Kim jest jego matka? – spytała Andreusa, kiedy tylko jego rozszpanowany wzrok z trudem skoncentrował się na jej twarzy.

– Lady Dayiell. Ale ona zginęła podczas zamachu stanu – odparł ziewając.

Dayiell. Oczywiście, bogini – opiekunka i strażniczka tej planety – mogła się tego domyślić.

Andreas momentalnie zapomniał o śnie.

– Czy coś się stało? Pogorszyło mu się?

W jego oczach uzdrowicielka dostrzegła szczerą niepokój i to powstrzymało ostrą odpowiedź, jakiej zamierzała mu udzielić.

– Wciąż jest nieprzytomny – odparła wymijająco.

Poszła wprost do Corellena, nie przejmując się dłużej Andreusem, którego niepokój wywoływał zamęt w jej głowie. To dlatego nie lubiła spotykać się z innymi ludźmi. Hedaia znali ją i starali się kontrolować swoje emocje w jej obecności, ale obcy nie mieli aż tyle subtelności.

Corellen już nie spał.

– Musimy go zanieść do świątyni – oznajmiła uzdrowicielka. – Ja nie mogę już nic zrobić, a w tym tempie wkrótce wykrwawi się i umrze.

– Myślisz, że bogini zechce mu pomóc?

Wzruszyła ramionami.

– Jeśli nie ona, to kto? – odparła pytaniem. Nie wdawała się w dalsze szczegóły, nie było to konieczne.

Pod kierunkiem i czujnym okiem Brynn przeniesiono Domenica na nosze. Świątynia znajdowała się poza osadą, na drugim krańcu wyspy. Nie stanowił jej żaden budynek, a jedynie podwójny krąg surowych kamieni o niezwyklej błękitnawej barwie. W samym centrum znajdował się płaski, wyszlifowany kamień, sprawiający wrażenie ołtarza.

Kapłan był zdumiony, kiedy usłyszał żądanie uzdrowicielki. Westchnął jednak tylko i zerknął ponad jej ramieniem na rannego mężczyznę.

– Mam nadzieję, że to jest warte ryzyka? – spytał.

Doskonale zdawała sobie sprawę, co miał na myśli. Bogowie nie lubili być wzywani pod przymusem, jaki nakładał na nich czar przywołania. Niektórzy z nich potrafili się srodze zemścić za podobną impertynencję. W takiej sytuacji wzywającemu pozostawało mieć nadzieję, że przywoływany bóg jest akurat w dobrym nastroju.

– Zapewniam cię, że jest – oświadczyła Brynn autorytarnie.

Kapłan skinął dłonią i Hedaia postawili nosze na płaskim głazie, po czym wycofali się poza kromlech. Wewnątrz kręgu zostali tylko Brynn, Corellen i Andreus.

Kapłan stanął nieopodal i wznosił ręce w modlitwie – przywołaniu. Trwało to kilka minut.

– Nadchodzi – szepnął i padł na twarz.

Inni poszli w jego ślady, dlatego nie mogli zobaczyć, jak pośrodku kręgu formuje się świetlista sfera. Po kilku sekundach światło przygasło, albo raczej rozproszyło się, a na jego miejscu pojawiła się zaskakująco młoda kobieta o szafirowych włosach i błękitnych oczach. Jednym uważnym spojrzeniem obrzuciła ludzi pochylonych w ukłonie, po czym jej wzrok pobiegł ku noszom. Podeszła do rannego, nie zwracając uwagi na fakt, że z każdym jej krokiem wokół śladów jej stóp wyrastają różnobarwne kwiaty.

– Wstań, Simontu – odezwała się do kapłana spokojnym głosem. – Wszyscy wstańcie i opowiedzcie, co się stało – delikatnie dotknęła dłoni Domenica, po czym zadziwiająco czułym gestem odgarnęła zabłąkany kosmyk włosów znad jego czoła.

Brynn zebrała się na odwagę i podała bogini fragmenty złotej strzały.

– Nie potrafię mu pomóc, o pani – powiedziała cicho. – Jego krew nie krzepnie, rana się nie goi. Może umrzeć, choć jest człowiekiem tylko w części. Jest to jednak

najsłabsza część, najbardziej narażona na niebezpieczeństwo.

Dayiell dokładnie obejrzała strzałę, szczególną uwagę zwracając na grot. Jej twarz pozostała nieodgadniona.

– Dobrze, że mnie wezwaliście – powiedziała cicho. Pochyliła się nieco nad rannym. W jej głosie zabrzmiał rozkaz. – Obudź się.

Jego powieki uchylły się powoli z wyraźnym trudem. Minęła dłuższa chwila, nim jego spojrzenie skupiło się na jej twarzy.

– Matko... – wychrypiął z wysiłkiem.

Potrząsnęła głową i położyła dłoń na jego ustach.

– Nic nie mów, dziecko. Odpoczywaj. Obiecuję, że jeszcze o tym porozmawiamy – ewidentną groźbę złagodził czuły ton głosu i delikatny uśmiech. – Śpij, mój synu.

Jego oczy zamknęły się posłusznie, a pierś uniosła w spokojniejszym oddechu. Dayiell przyglądała mu się przez dłuższą chwilę w pełnym skupienia zastanowieniu. Nikt nie ośmielił się przerwać jej zadumy, wszyscy starali się nie zwracać na siebie jej uwagi. Kapłan i Brynn – ponieważ darzyli boginię szacunkiem, a Corellen i Andreus – ponieważ sami nie wiedzieli, jak mają się zachowywać w obecności Nieśmiertelnej, a ponadto odczuwali przed nią lęk.

Bogini sprawiała wrażenie, jakby niewiele obchodzili ją śmiertelnicy stojący tuż obok i śledzący każde jej nawet najmniejsze poruszenie. Wrażenie to było jednak mylne – pomimo przymkniętych oczu Dayiell dokładnie wiedziała, gdzie każdy z nich stoi i co robi. Całą swoją uwagę poświęcała jednak synowi. Po dłuższej chwili otworzyła oczy i szepnęła:

– Przybądź!

Słowa pofrunęły lekko i szybko jak młody wiatr, muskając wierzchołki drzew i wprawiając je w rozkołysane drżenie. Nie minęła nawet chwila mierzona pojedynczym uderzeniem serca, kiedy ponad kamiennym kręgiem pojawił się potężny kształt, przesłaniając sobą tarczę słońca.

Smok był ogromny. Jego skóra połyskiwała srebrem i błękitem, podobnie jak jego oczy. Podmuchy powietrza spod poruszających się miarowo skrzydeł wzbijały tumany kurzu i kładły trawę pokotem. Przestraszone ptactwo poderwało się z głośnym

krzykiem z okolicznych drzew. Smok zniżył lot i opadł ciężko na ziemię, zatapiając ostre pazury w murawie. Ledwie mieścił się w obrębie kromlechu.

Jedynie Corellen zachował spokój na widok tej potężnej i niebezpiecznej istoty. Pobladł nieco, ale nie uląkł się groźnego wejrzenia srebrzysto – błękitnych ślepi. Brynn i kapłan cofnęli się przezornie, a Andreus zaczął żałować, że nie zabrał z chaty swoich mieczy – może i nie był to odpowiedni oręż na smoka tych rozmiarów, ale z pewnością nosząc je przy sobie czułby się znacznie pewniej.

Dayiell nie okazała ani cienia lęku czy niepewności. Stanowczo postąpiła ku smokowi, patrząc wprost w jarzące się oczy.

– Witaj, Pradawny – powiedziała.

Smok wiedział, z kim ma do czynienia. Pochylił łeb w ukłonie.

– I ja cię witam, Pani – jego głos był zaskakująco głęboki i poważny, taki... ludzki. – Jak sądzę, nie wezwałaś mnie bez powodu – ni to stwierdził, ni zapytał.

– Masz rację, Sauliusie – przytaknęła Dayiell, po czym wskazała na nosze. – To mój syn. Jego rana nie chce się goić.

– A więc potrzebujesz mojego ognia, pani – zauważył smok niemalże obojętnie. – Życie twojego syna jest zapewne wiele dla ciebie warte.

– Tak – skinęła głową, choć sprawiała wrażenie, jakby wolała pominąć ten punkt rozmowy. – Czego więc żądasz w zamian?

Smok nie odpowiedział. Jego skóra rozjarzyła się oślepiającą bielą, po czym zaczął zmieniać się kształt jego postaci. Ogromne, błoniaste skrzydła przekształciły się w ramiona, tylne nogi wyniosły go do pozycji wyprostowanej, tułów uległ wyraźnemu skróceniu. Blask przygasł z wolna. Zamiast wielkiego smoka na jego miejscu stał wysoki mężczyzna o niezwykłych srebrnych włosach poprządkanych błękitnymi pasmami. Ubrany był w strój do złudzenia przypominający połyskującą srebrem smoczą łuskę.

Dayiell nie okazała zdziwienia, podobnie Brynn, kapłan i Corellen. Jednak Andreus był zaszokowany widokiem, który zaprzeczał wszystkiemu, czego do tej pory go uczono. Niestety, wychował się w czasach, w których magia była zakazanym przedmiotem nauczania. W przeciwieństwie do siostry, musiał uczęszczać do elitarnej szkoły

kontrolowanej przez technokratów. Nie mógł wiedzieć, że smoki, a także wiele innych istot magicznych, może stać się istotami człękopodobnymi. Nie ludźmi w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale też nie do końca smokami – raczej czymś pośrednim.

Saulius bez słowa ominął Dayiell; pozwoliła mu przejść. Kiedy zbliżył się do noszy, ludzie usunęli się z jego drogi, wyraźnie niepewni, a nawet przestraszeni. Nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, nie interesowali go, nie w tej chwili. Ponieważ w tej chwili jego uwagę pochłaniał młody mężczyzna na noszach. Smok przyglądał mu się przez dłuższy czas w milczeniu, po czym położył dłoń zbrojną w długie, ostre szpony na piersi rannego i przymknął na chwilę oczy. Potem spojrzął na Dayiell.

– Pomogę mu. Zdejmijcie opatrunki – powiedział, a uważny obserwator dostrzegłby w jego ustach wydłużone, ostre kły, które sprawiały, że zdawał się być podobny do wampira. W jego oczach zapaliły się ognie. Przemiana w smoka nastąpiła niemal natychmiast.

Brynn natychmiast zajęła się usuwaniem bandaży, po chwili przywołała do pomocy kapłana. Domenic nawet nie otworzył oczu, uśpiony zaklęciem boginii. Rana została odkryta. Wciąż sączyła się z niej krew, cienką strużką wyraźnie odcinając się na tle białej skóry.

– Przytrzymajcie go – poleciała im Dayiell. Najwyraźniej wiedziała, co się za chwilę wydarzy. – Mocno – dodała z naciskiem.

Corellen i Andreus chwycili Domenica za ramiona, kapłan położył dłonie na jego barkach, Brynn i Dayiell zajęły się nogami, przyciskając je za kostki do posłania. Smok nabrał powietrza głęboko w płuca, po czym rozpałił swój ogień. Wszyscy poczuli gorący oddech z paszczy.

Płomień był wąski i niezwykle precyzyjnie wycelowany. Kiedy trafił w otwartą ranę, rozszedł się swąd palonego mięsa. Ciało Domenica wygięło się w paroksyźmie ostrego bólu, a z jego ust wyrwał się bolesny okrzyk. Trzem przytrzymującym go mężczyznom z trudem udało się utrzymać go w jednej pozycji. Zaklęcie Dayiell wciąż jednak posiadało moc – pomimo bólu ranny nie przebudził się.

Smok wygasił płomień. Rana była wygojona w zupełności, pozostawiając niewielką bliznę. Skóra wokół pokryta była kropelkami potu. Saulius odwrócił się, zamierzając

odejść, kiedy Dayiell postąpiła krok ku niemu.

– Nie zażądałeś niczego w zamian – przypomniała. – Proś, o co zechcesz.

Smok zwrócił na nią spojrzenie swych srebrzysto – błękitnych ślepi.

– To sprawa między twoim synem a mną – odparł, po czym nagłym wyrzutem skrzydeł wzbił się w powietrze.

Dayiell nie okazała swego zaskoczenia, choć zastanawiało ją, dlaczego Saulius nie wziął zapłaty za swoje usługi. Była przecież boginią, mógł zażądać czegokolwiek – smoki skwapliwie wykorzystywały podobnego rodzaju sytuacje, nie byłby to zatem ani pierwszy raz, ani ostatni. A jednak tego nie zrobił. To Domenic był teraz jego dłużnikiem, ale czego smok mógł chcieć od jej syna?

Przez chwilę śledziła znikającego w chmurach smoka, po czym podeszła do noszy. Położyła dłoń na czole swego syna i stwierdziła z ulgą, że gorączka zaczyna opadać. Odwróciła się ku Brynn.

– Wyzdrowieje – powiedziała krótko. – Teraz będzie długo spał.

Uzdrowicielka pochyliła głowę z wdzięcznością.

Odejściu bogini nie towarzyszyły już żadne specjalne efekty. Jej postać stopniowo wyblakła i zniknęła, jak sen na jawie. Jedynymi śladami jej niedawnej obecności były kępki kolorowych, drobnych kwiatków w miejscach, gdzie jej stopy dotykały ziemi.

Dayiell z trudem zapanowała nad gniewem. Nie należało do jej zwyczajów okazywać emocje w obecności śmiertelników. Irytował ją fakt, że nie mogła sprawcy bezpośrednio ukarać. Po pierwsze w Krainie Wiecznego Lata obowiązywały pewne prawa, a po drugie Rewa była siostrą jej matki – jakby nie było, rodzina zawsze pozostaje rodziną.

Dayiell poszła do jedynego miejsca, gdzie mogła domagać się zastosowania wobec bogini zimy tych samych praw, które nie pozwalały jej na bezpośrednie ukaranie Rewy. Wai siedział na ławeczce przed chatą. Tym razem nie był starcem, lecz chłopcem o bujnej czuprynie i gładkiej skórze. Jedynie jego oczy pozostały takie same: wszechwiedzące i tchnące mądrością.

Dayiell podała mu strzałę na otwartej dłoni.

– Próbowali go zabić – powiedziała twardo, nieustępliwie.

– Ale Krew Wiecznego Drzewa i oddech smoka ocaliły mu życie – dokończył Wai łagodnie. Spokojne słowa brzmiały dziwnie w ustach dziecka. – Co chcesz, żebym zrobił? Jak dotąd nie chciałaś, by inni dowiedzieli się o jego istnieniu.

– Tak, ale...

– Moja droga, on wciąż jest człowiekiem. A jako taki podlega ludzkim prawom. Nie mogę ukarać Rewy, ponieważ w świetle naszego prawa nie uchybiła mu w żaden sposób.

– Ależ, Wai, jak możesz! – zaczęła z oburzeniem, ale przerwał jej unosząc ostrzegawczo dłoń.

– Twój syn nie jest jednym z nas. I nie będzie, póki ostatecznie nie zdecyduje, do którego świata chce przynależeć.

Potrząsnęła głową.

– Nie zrobi tego. Przynajmniej nie teraz, kiedy jeszcze nie dopełnił się jego czas.

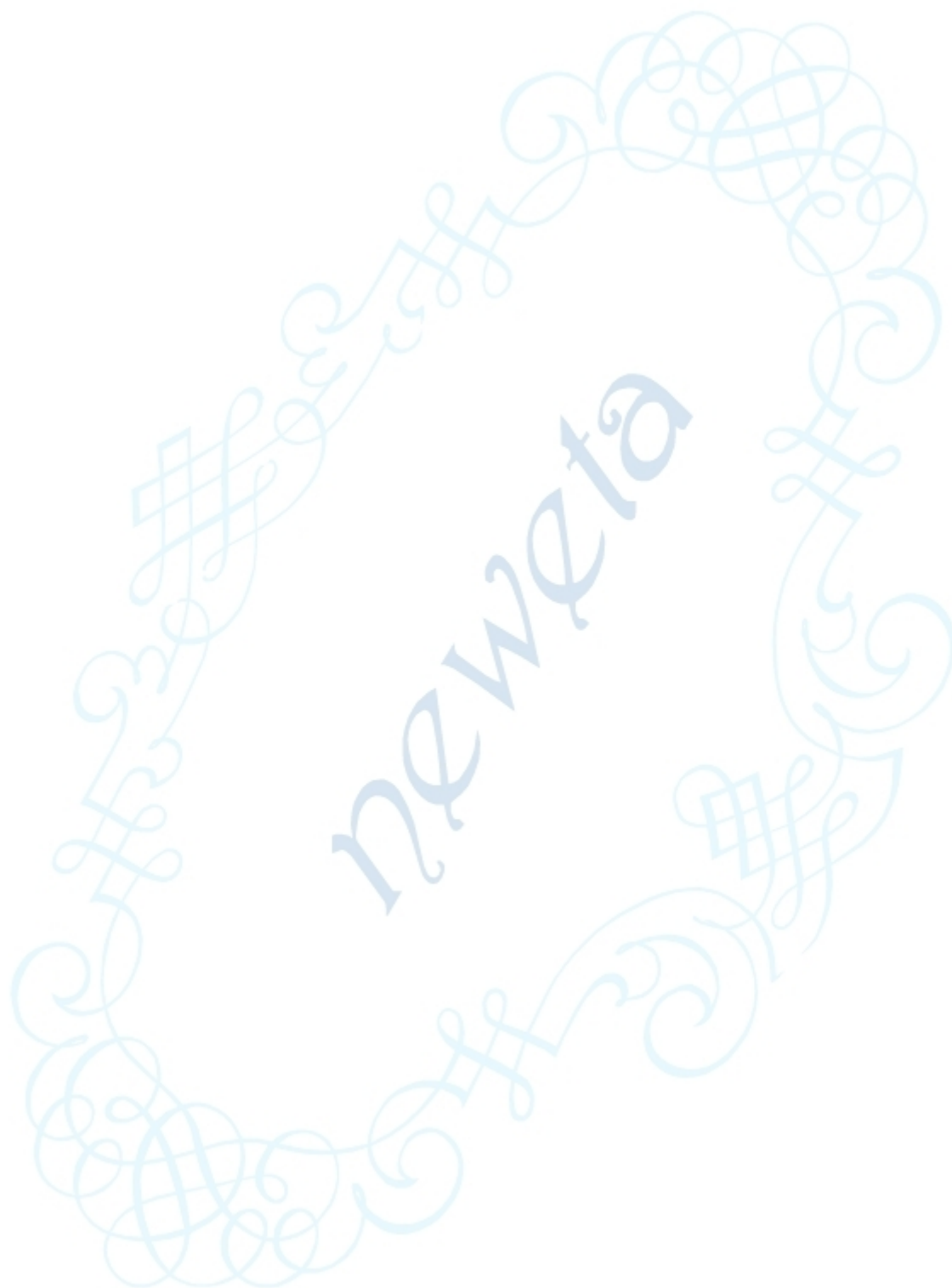
– Pamiętaj, że on wciąż jest człowiekiem. A jako taki, jest istotą kruchą, i nie mówię tu bynajmniej o nieśmiertelności, którą mu zapewniłaś. Najgorsza próba wciąż jest jeszcze przed nim.

Dayiell niczego nie osiągnęła. Wai był nieugięty, a zmiana decyzji nie leżała w jego naturze i żadne argumenty nie byłyby w stanie jej podważyć. Rewa nie stanie przed radą bogów za próbę morderstwa z tej tylko przyczyny, że jej cel był istotą po części ludzką. W tej sytuacji w grę dodatkowo wchodził uświęcony tradycją rytuał.

Nie zamierzała czekać z założonymi rękami i tylko przyglądać się rozwojowi sytuacji. Postanowiła zrobić wszystko, by jej ukochany syn zajął należne mu miejsce, a do tego czasu chronić go za wszelką cenę. Wypił Krew Wiecznego Drzewa – wprawdzie nieświadomie, ale zawsze – a to sprawiało, że był człowiekiem w coraz mniejszym stopniu – proces się rozpoczął. Ta uzdrowicielka od Hedaia też to zauważyła.

Niestety, Dayiell miała dość ograniczone możliwości jak na boginię, bowiem wciąż wiązało ją zaklęcie sprzed ponad dwudziestu lat. Żałowała teraz, że tak łatwo zgodziła się na warunki Stephane'a, ale chciała mieć dziecko, choćby nawet w połowie miało ono być śmiertelne. Teraz za jej pragnienia płacił jej syn, a ona niewiele mogła zrobić,

by ulżyć cierpieniu, jakie stanie się jego udziałem, kiedy wreszcie tajemnice przestaną nimi być.



Rozdział piętnasty

Domenic budził się z wolna. Nie było to łatwe. Jego umysł spowijała mgła gęsta jak mleko, jego świadomości trudno było się przez nią przedrzeć. Stopniowo wracała mu pamięć o ostatnich wydarzeniach. Strzała w ramieniu, krzyki, potem bezbolesna cisza, twarz matki, a potem przemożne uczucie senności. I coś, co nie do końca pojmował: błękit i srebro, jakieś rozmazane fantastyczne kształty, nic porozumienia, akceptacja i radość ze spotkania. A chwilę później ból. Ból przenikający aż do trzewi, ból wypalający ciało i duszę płomieniem, ale też oczyszczający i uzdrawiający.

Teraz nie czuł bólu. Prawdę mówiąc nie czuł nic, jedynie dziwną ociężałość w całym ciele. Z trudem uchylił powieki. Przez moment miał wrażenie, że stracił wzrok, ale ciemność z wolna, niechętnie ustępowała pod jego spojrzeniem.

Liście. To właśnie zobaczył nad sobą. A więc znajdował się w jednym z liściastych domostw. O porze dnia trudno mu było cokolwiek powiedzieć, ale poruszające się delikatnie pod wpływem wiatru listowie przepuszczało sporo słonecznego światła. A więc był dzień.

Podniósł się i usiadł. Zaskakujące, ile wysiłku kosztowała go tak prosta czynność. Uczynił to jednak zbyt gwałtownie: zakręciło mu się w głowie i pociemniało w oczach. Czyjeś ramię podtrzymało go i pomogło stanąć na nogach, wciąż drżących niepewnie.

– Spokojnie, Domenicu, jesteś jeszcze osłabiony.

– Andreus? – głos miał zachrypnięty, musiał odkaslnąć, by wydobyć z siebie sensownie brzmiące dźwięki. – Co się stało?

– Byłeś ranny – Andreus podprowadził go do fotela i pomógł mu usiąść. Potem przyniósł kubek wody. – Twoja matka cię ocaliła.

A więc to nie był sen spowodowany gorączką. Naprawdę ją widział.

– Był chyba ktoś jeszcze... – zawahał się lekko.

– Smok – uzupełnił Andreus.

– Och.

– Ogromny smok. Chyba jeden z najstarszych na Creswell. Kiedy jednak przybrał ludzką postać, nie wyglądał na starszego niż ty czy ja – przerwał na chwilę. – Nie

wiedziałem, że twoja matka jest boginią.

Domenic spojrzał nań z zaskoczeniem. Nie był naiwny – wiedział, że prędzej czy później pewne fakty z jego życia ujrzą światło dzienne, sądził jednakże, że stanie się to raczej później. Tak więc nie zdziwiło go to, że Andreus w ogóle poznał prawdę, lecz pewien szczególny ton w jego głosie. Niepewność? Niechęć? Uraza? A może raczej trudna do jednoznacznego zdefiniowania mieszanka tych uczuć?

Zastanawiał się, jak mu odpowiedzieć. Mógłby, oczywiście stwierdzić, że to jego prywatna sprawa, ale Andreus mógłby błędnie to odczytać. Domenic nie miał zbyt wielu przyjaciół i nie mógł sobie pozwolić na stratę choćby jednego z nich. Mógłby też sprawić, że Andreus zapomniałby o wszystkim, co zobaczył i usłyszał w osadzie Hedaia – wystarczyłaby godzina w towarzystwie któregoś z kapłanów. Oszustwo. Nie wolno mu, nie w stosunku do Andreusa.

Postanowił powiedzieć mu prawdę, tę prawdę, która znał on sam.

Machnął ręką w raczej nieskoordynowany sposób i uśmiechnął się ze znużeniem.

– Wystarczy już, że kapłani traktują mnie jak relikwię – stwierdził. – Nie bardzo mi odpowiada rola przedmiotu kultu.

– Jesteś bogiem – nie ustępował Andreus.

– Jestem człowiekiem – stwierdził Domenic stanowczo. Potrząsnął głową, świadomie okazując irytację. – Nie rozumiesz, że mam powody, by ukrywać swoje pochodzenie? Uważasz, że moja matka znosiła upokorzenia jako królewska konkubina przed i po moich narodzinach dla kaprysu znudzonej bogini?

Andreus zaczerwienił się.

– Nie, oczywiście, że nie – skłonił lekko głowę, jakby rozważając ten punkt widzenia.

– Wybacz mi, proszę. Przez moment zapomniałem, że jesteś moim królem, że ciąży na tobie wielka odpowiedzialność.

W jego słowach nie było ironii, ani szyderstwa, a jedynie smutek. Domenic skinął głową.

– Niestety, ja nie mogę sobie pozwolić na taki luksus – powiedział cicho. – Już nawet bogowie czyhają na moje życie... – wzruszył ramionami. – Cenię sobie twoją przyjaźń, Andreusie, i w imię tej przyjaźni proszę cię, byś zachował dla siebie to, czego się tutaj

dowiedziałeś.

– Obiecuję ci to, Domenicu... jak przyjaciel przyjacielowi.

Rada zebrała się po południu. Jej członkowie stawili się w komplecie jeszcze poprzedniego dnia, ale zgodzili się poczekać, aż następca tronu odzyska siły. W kwestii zamachu na jego życie osada aż huczała od plotek. Już sam fakt, że jest synem bogini zrobił na Hedaia ogromne wrażenie, a tu jeszcze inna bogini próbowała go zabić. Mało tego – próba ta się nie powiodła!

Dlatego też, kiedy Domenic opuścił w końcu domostwo, które przeznaczono dlań na czas rekonwalescencji, ściagały go ukradkowe, ciekawskie spojrzenia. Ludzie starali się traktować go naturalnie, jak dotychczas, w rezultacie wypadło to sztucznie i sztywno. Świadomość, że tuż obok znajduje się syn bogini, wytrącała ich z równowagi. Nie wiedzieli po prostu, jak mają go traktować, jak się przy nim zachowywać.

– Widzisz? – szepnął Domenic do przyjaciela. W jego głosie pobrzmiwał ton goryczy. – Teraz rozumiesz?

– Tak – przytaknął Andreus. Uświadomił sobie niespodziewanie, że przecież jego siostra zostanie żoną Domenica. Pytanie brzmiało, czy wiedziała, kogo tak naprawdę wkrótce przyjdzie jej poślubić. – Chyba tak.

Domenic stanął przed radą natychmiast, choć jeszcze niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Przedstawił prośbę o pomoc krótko i sugestywnie, zapewniając, że po zwycięstwie Hedaia bez obaw będą mogli zamieszkać wśród ludzi. Poinformował, że czas jest tu kwestią bardzo istotną: wszystko rozstrzygnie się bowiem w najbliższym czasie, liczącym nie w miesiącach czy tygodniach, lecz w dniach i godzinach. Przeszedł prosić ich o pomoc, ponieważ wynik starcia był wciąż tak niepewny – w innym przypadku nie odważyłby się zakłócać ich spokoju swoją obecnością. Razem mieli jednak większe szanse na wygraną, wiadomo – w ilości siła. Wyraził nadzieję, że rada weźmie pod uwagę nie tylko przyszłość samych Hedaia, ale i całego Creswell. Na tym zakończył przemówienie.

Po chwili dźwięczącej ciszy odezwał się jeden z najstarszych członków rady. Domenic niejasno przypominał sobie, że przedstawiono mu go imieniem Cedrick.

– Składasz na nasze barki brzemie olbrzymiej odpowiedzialności, Wasza Wysokość – powiedział z wyrzutem w głosie.

Domenic zachował spokój i milczenie. Powiedział, co miał do powiedzenia – teraz oni musieli się ustosunkować do jego prośby. Nie zamierzał się tłumaczyć z własnych słów, ani tym bardziej bawić się w sofistykę. Cedrick przyglądał mu się z namysłem i widać spodobało mu się to, co zobaczył, bowiem skinął głową.

– Rozważymy twoje słowa, Wasza Wysokość. Za godzinę otrzymasz od nas odpowiedź.

Domenic skłonił się z szacunkiem, po czym opuścił chatę zgromadzeń. Andreus czekał na niego przy wejściu.

– Zbierz, proszę, nasze rzeczy, za godzinę lub dwie wyruszamy w drogę – rozejrzał się. – Aha, i odszukaj Val, na pewno gdzieś się tu kręci.

Andreus popatrzył nań z powątpiewaniem.

– Chcesz wyruszyć w drogę w takim stanie? – spytał z niedowierzaniem. – Powinieneś jeszcze odpoczywać, przynajmniej do rana!

Ale Domenic był nieugięty.

– Za dwie godziny – powtórzył. – W razie czego, Haeris mnie poniesie.

Andreus prawie zapomniał o istnieniu ogiera – nie było to trudne, bo przecież nie przekroczył on wraz z nimi tęczowego mostu.

– No, dobrze – ustąpił, jakby miał w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. – Pójdę poszukać Val.

Domenic odprowadził go nieco rozbawionym spojrzeniem. Potem na jego twarz stopniowo wrócił wyraz znużenia. Nie czuł się jeszcze zbyt dobrze i w tej kwestii Andreus miał całkowitą rację. Nie zamierzał jednak poddawać się słabości własnego ciała.

Teraz nie miał już złudzeń co do decyzji rady. Adheorte było dla nich azylem, miejscem, gdzie nigdy nie osiągną ich chciwe ręce technokratów. Hedaia nie byli głupcami; nie zechcą dobrowolnie pchać się pod lufy karabinów. Prawdę mówiąc, Domenic też nie miał na to ochoty, ale niestety, nie miał innego wyjścia.

– Ach, ojcie – szepnął do błękitnego nieba. – Jak zwyciężyć, skoro tak niewiele mam

sprzymierzeńców?

– Domenicu! – krzyknął ktoś z daleka.

Odwrócił się. Ścieżką pomiędzy drzewami, oświetlona promieniami słońca zbliżała się ku niemu jakaś postać. Kiedy podeszła bliżej okazało się, że to wysoki mężczyzna o włosach koloru czerwieni i złota. Nieco zakrzywiony nos nadawał jego twarzy ptasi wygląd, oczy płonęły niczym ognie. Mężczyzna uśmiechał się zagadkowo, wyczekująco.

– Akira? – spytał Domenic z niemałym zdumieniem. – To naprawdę ty?

Uścisnęli się jak starzy przyjaciele.

– Ależ urosłeś – stwierdził feniks. – Nie do wiary, jak ten czas szybko leci.

– Jak dla kogo – Domenic patrzył na niego tak, jakby wciąż nie mógł uwierzyć w jego obecność. – Myślałem, że cię zabili – powiedział w końcu.

– Bo tak było – przytaknął Akira. – Ale jestem feniksem, a więc na swój sposób jestem też nieśmiertelny. Nie tak, jak ty, ale zawsze. Odradzam się z płomieni i mogę żyć ponownie.

– Nie tak, jak ja? – Domenic natychmiast wychwycił ten szczegół. – Ja nie jestem nieśmiertelny.

Feniks uśmiechnął się w wyrozumiałość.

– Twoja matka jest boginią – powiedział, nie zwracając uwagi na zaskoczoną minę Domenica, że znana mu jest ta tajemnica. – Sądzę, że zaczęła waszą znajomość od pokazania ci Krainy Lata, czyż nie? Piłeś tam coś lub jadłeś?

– Tylko wino. Było nieco dziwne w smaku, ale jestem pewien, że było to wino.

Akira pokiwał głową.

– Twoja matka jest sprytniejsza niż ci się zdaje. To była Krew Wiecznego Drzewa. Jesteś nieśmiertelny.

Domenic skrzywił się.

– Więc dlaczego strzała Rewy omal mnie nie zabiła?

– Omal. W normalnych warunkach nawet byś się zorientował, że nie żyjesz. A strzała Rewy może zabić nawet nieśmiertelnego. Miałeś więcej szczęścia niż przypuszczasz, Wasza Wysokość.

– Jak dotąd wszystko na to wskazuje – zgodził się Domenic, po czym usiadł na ławce

pod jednym z drzew niewykorzystanych jeszcze na domostwo.

Wciąż czuł słabość w nogach i uznał, że jednak nie obejdzie się bez pomocy Haerisa. Do tej pory traktował to tylko jako ostateczność. Przez dłuższą chwilę zdawał się kontemplować plamy światła i cienia na trawie. Akira nie przerywał milczenia; stał tuż obok z rękoma splecionymi za plecami – wierny sługa za swoim panem.

– Cieszę się, że znów cię widzę – powiedział w końcu Domenic, nie odwracając głowy.

– I ja się cieszę z naszego spotkania. To było zresztą nieuniknione.

– Tak, chyba tak – przytaknął Domenic z niejakim roztargnieniem. Spojrzał na feniksa z ukosa. – Chciałbyś wrócić do służby?

Twarz Akiry rozjaśniła się w radosnym uśmiechu.

– Bałem się, że nigdy mi tego nie zaproponujesz, Wasza Wysokość! Oczywiście, że chciałbym! – potrząsnął głową, a płomienne włosy zafalowały wokół jego twarzy. – Wiedziałem, że prędzej czy później zjawisz się w Adheorte, Hedaia to przecież część twojej przeszłości, i czekałem na tę chwilę... wciąż czekałem.

– A więc o tym również wiesz – zauważył Domenic bez zdziwienia.

– Jestem, a raczej byłem, Strażnikiem – przypomniał feniks nie bez dumy w głosie. – To należy do moich obowiązków.

Przez moment ponownie zapanowała cisza.

– Opowiedz mi... o tamtym dniu – Domenic nie musiał precyzować swojej prośby, Akira doskonale wiedział, o jaki dzień chodziło.

– Przyznam, że niewiele pamiętam... Zdradziła gwardia, tyle wiedzą wszyscy. Gdyby bronili króla tak, jak powinni, może nie stalibyśmy w tej chwili w tym miejscu... Ha! Co się stało, to się nie odstanie. Mnie Stephane powierzył opiekę nad tobą; miałem wyprowadzić cię bezpiecznie z pałacu i ukryć. Niestety, nie udało mi się tego dokonać. Pamiętam, jak kazałem ci się schować, potem walczyłem z żołnierzami i... dalej nic, w mojej pamięci zieje luka szeroka na milę. Kiedy ponownie wróciłem do życia, znajdowałem się już w Adheorte pod opieką smoków, planetą rządzą technokraci, króla uwięziono w Zoltray, a o tobie wszelki słuch zaginął.

– To był pułkownik Addar – powiedział Domenic głucho. – To Addar zdradził.

– Ach! – szepnął Akira, jakby do siebie. – Więc to był on! Żołnierze nie wiedzieli, jak

mnie unieszkodliwić, ale on... on to wiedział.

– Ja pamiętam tylko wrażenia, uczucia jakie mi towarzyszyły: niepokój, lęk, niepewność, niebezpieczeństwo... Nie pamiętam tamtego dnia i następnych dwóch lat. Do niedawna nie pamiętałem też pierwszych czterech.

– Przykro mi, Wasza Wysokość – głos Akiry wibrował smutkiem i poczuciem winy. – Nie zdołałem cię ochronić.

Domenic uśmiechnął się ponuro.

– Wątpię, czy ktokolwiek by zdołał w tamtej sytuacji – westchnął i zerknął na feniksa.
– Idź się spakować, jeśli chcesz iść wraz ze mną.

Akira wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Zrobiłem to natychmiast, jak tylko usłyszałem, że jesteś w Adheorte. Nie tylko ja, zresztą – widząc zaskoczone spojrzenie Domenica, wyjaśnił: – Jest nas więcej takich, którzy mają dość siedzenia z założonymi rękoma. Chcemy walczyć o powrót do dawnych siedlisk i obyczajów.

– Hedaia chyba raczej nie podzielają waszego pragnienia.

Akira wzruszył ramionami.

– Oni uznali puszcę za swój dom, podczas gdy my traktowaliśmy ją wyłącznie jako tymczasowe schronienie. Wiedzieliśmy, że prędzej czy później nadejdzie nasz czas.

– Kto? – spytał Domenic krótko.

– Feniksy, smoki, demony... długo by wymieniać. W razie potrzeby możesz liczyć na wiele magicznych stworzeń. Większość z nich jest na twoje rozkazy.

– Większość?

Feniks skrzywił się.

– Z wampirami nie mamy żadnego kontaktu, ale chyba dobrze im się teraz żyje, bo inaczej i oni znaleźliby się w Adheorte. Co do wilkołaków nie jesteśmy pewni, ale one w zasadzie trzymają z wampirami, więc... – wzruszył ramionami. – Z ogrami i trollami nawet nie staraliśmy się nawiązać kontaktu. Syreny są bezużyteczne w walce na lądzie, ale koniecznie chcą pomóc, tak samo centaury.

Domenicowi zrobiło się nieco lżej na duchu. Dotąd nawet nie przypuszczał, że miał w Adheorte tylu sprzymierzeńców, gotowych pójść za nim do walki. Deklaracja lojalności

z ich strony wiele dla niego znaczyła.

Andreus szerokim łukiem ominął drzewo stojące na samym skraju wioski i prezentujące macki ludzaco podobne do tych, które schwytały go parę dni temu. Driada obrzuciła go stekiem niewyszukanych przekleństw. Był pewien, że gdyby podszedł bliżej spróbowałyby go podrapać albo rzucić jakiś paskudny urok. Wolał unikać tego rodzaju "przyjemności".

Jeden z Hedaia wskazał mu tę ścieżkę – miała ona prowadzić wprost do źródła przy skałach. Podobno Val się tam dziś wybierała.

Źródło otoczone było przez malowniczy i na pierwszy rzut oka nieszkodliwy zagajnik, skrywający je przed przypadkowym odkryciem. Jedyną możliwą drogą wśród drzew była owa wąska ścieżka – po obu jej stronach gęsto rosły tygrysie lilie, których pasiaste kielichy wyciągały się chciwie ku przechodniom. Andreus spoglądał na nie nie bez obaw, zastanawiając się nad niespodziankami, jakie mogły w sobie skrywać. Tak więc nie zdziwił się zbytnio, kiedy jeden z kwiatów dziabnął go boleśnie w rękę.

Kiedy wydostał się w końcu z liliowych zarośli, jego oczom ukazał się widok, który zaparł mu dech w piersi.

Źródło było w zasadzie dość rozległą, lecz płytką sadzawką, której brzegi pokrywał srebrzysty piasek. Woda była cudownie przejrzysta; poprzez tafle wyraźnie było widać okrągłe kamienie różnej wielkości i barwy, zaścielające dno. Między większymi głazami woda bulgotała znacząc miejsce, skąd wydobywała się spod powierzchni ziemi. Źródło z trzech stron było osłonięte skałami i to z nich spływał kaskadami niewielki wodospad, dostarczający dodatkową porcję wody do sadzawki. Po stronie przeciwnej od wodospadu ze źródła wypływała mała rzeczka.

Na wszystkie te wspaniałości Andreus ledwie zwrócił uwagę, bowiem pławiąc się w strumieniu wody z wodospadu stała ona, zupełnie naga i nie skrzepowana swoją nagością. Jej zachwycony śmiech docierał do jego uszu pomimo wyraźnego szumu, jaki czyniła rozpryskująca się woda. Była niewysoka, ale zbudowana z cudowną wręcz proporcjonalnością. Bogowie hojnie obdarzyli ją wszelkimi wdziękami: pełne piersi, łagodnie zaokrąglone pośladki, wysmukłe uda. Andreus nigdy jeszcze nie widział

rusałki ani wodnej nimfy, lecz był pewien, że wyglądają właśnie tak – jak spełniony sen.

Zauważyła w końcu, że jest obserwowana. Ich spojrzenia zderzyły się ze sobą, splotyły, związały. Nie okazywała strachu, fałszywej skromności czy gniewu, świadoma swej kobiecej siły. Podpłynęła ku niemu i stanęła na piasku, dumna jak królowa. Krople wody lśniły na jej skórze niczym perły.

Andreas zapomniał o całym świecie, cokolwiek myślał, zupełnie wywietrzało mu z głowy i przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Ogarnęły go płomienie. Nie byłby mężczyzną, gdyby zareagował inaczej. Zaproszenie było aż nadto wyraźne.

Zdolność jasnego formułowania myśli odzyskał wkrótce potem, leżąc na piasku i czując przyjemny chłód w stopach omywanych źródlaną wodą. Przypomniawszy sobie, po co tutaj przyszedł i poczuł niesmak. Bynajmniej nie z powodu tego, że dał się ponieść namiętności, ale dlatego, że przy okazji zapomniał o wszystkim innym.

Odnalazł swoje rzeczy, otrzepał je starannie z piasku i zaczął się ubierać. W trakcie tej czynności napotkał spojrzenie Val. Uśmiechała się leniwie, z zadowoleniem.

– Zbieraj się – burknął, a ona uniosła brwi. – Za godzinę opuszczamy Adheorte – miał nadzieję, że nie pomylił się co do pozycji słońca na niebie i że nie upłynęło więcej czasu.

Val przeciągnęła się powoli, zmysłowo, wręcz lubieżnie. Zaschło mu w gardle na ten widok. Odwrócił się gwałtownie, w pośpiechu szukając butów.

– Zostaję – usłyszał niespodziewanie.

– Słucham?

– Nie idę z wami – wstała i też zaczęła się ubierać. – Moja umowa z Domenikiem dotyczyła przywołania Adheorte i współpracy w trakcie podróży. Udało się. On załatwił swoje sprawy i może odejść, ale ja dopiero rozpoczynam. Kariera stoi przede mną otworem.

Andreas przez chwilę stał nieruchomo; jego twarz była nieprzenikniona.

– Rozumiem – powiedział w końcu głosem, w którym brzmiało rozczarowanie. – A to, co zaszło między nami?

– Fakt, że dałam ci się wyryć, nie znaczy jeszcze, że coś nas łączy.

Jego oczy zwęziły się w szparki. Nie podobało mu się, że trywializowała to, co się

między nimi zdarzyło.

– Jakoś nie słyszałem, byś protestowała – zauważył sucho.

– Bilans wychodzi na zero, wszystko się kasuje i nic z tego nie wynika – wzruszyła ramionami. Wciągnęła sweter przez głowę, wygładziła nieistniejące fałdy i zaczęła wytrząsać piasek z butów. – Wytłumaczysz mnie przed Domenikiem?

– Sama nie możesz tego zrobić? – spytał z niechęcią.

– Nie teraz, a później nie będzie już okazji. Umówiłam się z Brynn, będziemy zbierać zioła. Ich opisanie i skatalogowanie zajmie mi całe tygodnie! – była wyraźnie podekscytowana czekającą ją pracą. – Poza tym... nie lubię pożegnań. Są takie... ostateczne.

– Jak chcesz – Andreus wzruszył ramionami. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

Val skończyła zawiązywać buty, wspięła się lekko na palce i pocałowała go szybko w policzek.

– Powodzenia, Andre. Pa!

Został sam.

Świetlne refleksy załamywały się na powierzchni falującej delikatnie wody i odbijały cieniami na piaszczysto – kamienistym dnie. Migotliwe rozbłyski drażniły jego oczy, miał wrażenie, że z niego drwią.

Odwrócił się i odszedł, nie oglądając się za siebie.

Decyzja rady okazała się zgodna z przewidywaniami Domenica, choć nie z jego nadziejami i pragnieniami. Niemniej podziękował Hedaia za gościnę, pożegnał się ze stryjem i kuzynem, po czym wraz z Andreusem przekroczył tęczy most.

Nie potrzebowali przewodnika w drodze powrotnej – po drugiej stronie mostu czekali na nich ci, którzy zdecydowali się opuścić Adheorte i wrócić ponownie do rzeczywistego świata, choć miał im do zaoferowania wysoce niepewną przyszłość.

– Wasza Wysokość – Akira skłonił się na jego widok. – Jesteśmy gotowi.

Domenic przesunął wzrokiem po sylwetkach zebranych tłumnie istot. Te, które były do tego zdolne przybrały na tę okoliczność ludzką formę. Niestety, pomimo tej mimikry i tak bardzo zwracali na siebie uwagę, zwłaszcza barwami, którymi gatunek ludzki nie

mógł się poszczycić. Błękity, zielenie, czerwienie, fiolety, żółcie – wszystkie wściekle jaskrawe – i wszelkie wariacje między nimi były tu na porządku dziennym.

Smoki rozpoznał od razu. Rysy ich twarzy były tak egzotycznie charakterystyczne, a jednocześnie piękne, że wręcz nie do przeoczenia. Nie było z nimi Sauliusa, ale kilkoro z nich nosiło jego barwy: błękit i srebro. Być może były to jego dzieci bądź wnuki.

Partnerkę Akiry, jak i inne feniksy, również nietrudno było zauważyć. Wszyscy mieli równie płomienne włosy jak on, w ich oczach płonęły ogniste słońca, a na końcach palców tańczyły ogniki. Było ich zaledwie pięcioro – ostatni przedstawiciele swojego rodzaju. Byli jednak nieśmiertelni i tylko to chroniło ich jako gatunek przed całkowitą zagładą.

Jednorożce otaczał nimb spokoju i nostalgii. Ich barwami były biel i srebro: miały srebrzyste włosy i paznokcie, niezwykle białą skórę i tylko ich oczy były czarne, zupełnie czarne, bez śladu białkówki. Sprawiały przez to jeszcze bardziej niesamowite wrażenie niż smoki i demony razem wzięte.

Demony, zwane też przez niektórych aniołami, najbardziej przypominały ludzi, a to dzięki temu, że mogły przybrać dowolną postać – w tym przypadku taką, jaką miały “za życia”. Uwagę zwracała otaczająca ich mroczna, ciężka aura – w ich bezpośredniej bliskości ciarki przebiegały po krzyżu i włos się jeżył na głowie, a na myśl nieodparcie przychodziła wizja ciemnych, wilgotnych i niebezpiecznych miejsc.

Tutaj było ich troje – zdawali się tak materialni, tak solidni cieleśnie jak każdy żywy człowiek; ubrani w starodawne stroje byli jak duchy przeszłości. Ona była czarnowłosą i czarnooką śniadą pięknoską, drugi z demonów miał włosy przyprószone siwizną i stalowoszare oczy, natomiast trzeci był młodzieńcem, niemal dzieckiem, o kasztanowych, długich włosach, starannie splecionych w gruby warkocz – ten warkocz mówił, że jego posiadacz mógł poszczycić się arystokratycznym pochodzeniem. Nie byli uzbrojeni: nie potrzebowali broni, sami nią byli. Domenic odnosił wrażenie, że powinien ich znać. Z początku wydawało mu się, że widywał ich na dworze ojca, ale chyba nie do końca miał rację...

– Gwardziści Feliciana – szepnął w końcu z niemałym zdumieniem, a oni uśmiechnęli się i pochylili głowy w ukłonie. – Sephia, Nica i Kairi.

Felician był królem Risagen, jednego z państw na Creswell w czasach, gdy planeta nie była jeszcze zjednoczona pod jednym berłem. Miał on śmiertelnego wroga w osobie pewnego maga o imieniu Natalis. Ponieważ nie mógł on dosięgnąć Felicianą bezpośrednio, obmyślił plan zemsty doskonałej. W tym celu posłał do króla wiadomość, że pragnie pokoju i zgadza się poddać. Felician wysłał trójkę swoich najwierniejszych gwardzistów, by tego dopilnowali. Natalis jednak nie miał zamiaru się poddać – gwardziści wpadli w zasadzkę. Wszyscy troje zostali zamordowani podczas rytuału magicznego, który uczynił z nich demony.

Natalis był przekonany, że udało mu się stworzyć idealnych zabójców – i to wyłącznie na swoje rozkazy – ale nie wziął pod uwagę lojalności gwardzistów, a może popełnił w rytuale jakiś błąd – tego nikt się nigdy nie dowiedział. W każdym bądź razie demony rozszarpały jego ciało, wymordowały wszystkie jego sługi, zrównały z ziemią jego zamek, po czym wróciły do swego króla, błagając o łaskę honorowej śmierci. Nie istniało jednak tak potężne zaklęcie, które mogłoby ich odesłać w zaświaty, dlatego demony trojga gwardzistów pozostały przy Felicianie, a po jego śmierci przysięgały wierność kolejnym władcom z rodu Allisandre.

To niewiarygodne, że wciąż trwały, lojalne wobec panującej dynastii niezależnie od politycznych zawirowań, wzlotów i upadków. Domenic nie potrafił wręcz wyrazić radości, jaką poczuł na ich widok.

Po powrocie do Solatis trzeba będzie znaleźć dla nich odpowiednie miejsce pobytu na czas przygotowań. W zasadzie jedynym człowiekiem, przed którym należało ukryć ich obecność był Addar.

Akira formalnie przedstawił Domenicowi każdego po kolei, nie pomijając nawet najmniejszego oseska – a był takowy w smoczej rodzinie, w dodatku niezbyt panował nad zmianą postaci ze smoka w człowieka. Domenic starał się zapamiętać wszystkie imiona i hierarchie ich posiadaczy, co nie było proste w przypadku takiego tłumu.

Ale ten tłum napawał go nadzieją.

Właściwie przestał już żałować, że Hedaia odmówili mu swej pomocy. Wydawało się jednak znamienne, że ci, którym najbardziej powinno zależeć na powrocie starego porządku, rezygnowali z udziału w jego przywracaniu. Fakt, iż Domenic rozumiał

powody ich postępowania, nie znaczył jeszcze, że się z nimi zgadzał. I może nawet próbowałby ich przekonać do zmiany decyzji, gdyby nie obietnica pomocy ze strony tych wszystkich istot.

Zabawne, kiedy to, po co sięga się z pełną pragnienia determinacją, staje się zupełnie czymś innym, choć okazuje się, że nie mniej upragnionym. A kiedy trzyma się już to w dłoniach, spełnienie jest o wiele mocniejsze, daje więcej satysfakcji i radości.

To było jak rażenie gromem. W pierwszej chwili nie zauważył jej w natłoku tylu nowych twarzy i imion do spamiętania. Stała pośród swoich pobratymców, jej oczy były jak światło słońca, skóra jak blask gwiazd w najciemniejszą noc, a włosy jak płonący bursztyn. I miała szpony u palców tak, jak zapamiętał ze swojego snu.

Nie patrzyła w jego stronę, pochłonięta rozmową, ale on miał wrażenie, jakby czas stanął w miejscu, a świat znieruchomiał w swym biegu. To było niezwykle uczucie, niemal mistyczne w swej istocie. Całym sobą chłonał każde jej poruszenie, każdy gest, każdą zmianę wyrazu twarzy, a jednocześnie starał przypomnieć sobie jej imię.

Eressien. Tak, nazywała się Eressien z klanu Wiosennego Wiatru.

Nie był w stanie nazwać uczuć jakie rozpieierały mu duszę. Zaskoczenie, że sny mogą się spełniać. Niedowierzenie, że spotkał ją właśnie tutaj, właśnie teraz. Niepewność i lęk, że ona w zasadzie go nie zna, że jest dla niej tylko księciem Allisandre, obcym człowiekiem, podczas gdy ona była dla niego spełnionym marzeniem, nadzieją i tęsknotą.

Wzrok Akiry podążył za jego spojrzeniem. Feniks uniósł brwi.

– Ona jest smokiem – powiedział jakimś szczególnym tonem, ni to zdziwienia, ni wyrzutu.

Domenic drgnął niespokojnie, jakby budził się z transu. Chwila uniesienia minęła, ale wciąż nie odrywał wzroku od Eressien, jakby się obawiał, że kiedy to uczyni, jej postać rozplynie się w powietrzu niczym senny miraż.

– Co z tego? – spytał jeszcze niezbyt przytomnie.

– Ty jesteś następcą tronu – dodał Akira bardziej stanowczo. – A to oznacza, że nie możesz jej ani poślubić, ani uczynić nałożnicą.

– A Kristan?

– Ellerianne jest człowiekiem, cokolwiek sądzą inni na temat Hedaia.

Domenic spojrział na niego ze zdumieniem.

– I mówisz to ty? Feniks? Istota magiczna?

Akira zaczerwienił się lekko.

– Moje odczucia nie mają tu nic do rzeczy, takie jest prawo. Król może posiadać pewną niewielką domieszkę krwi istot magicznych, ale sam nie może nią być. To samo dotyczy królowej – małżonki.

Domenic potrząsnął głową, po czym ponownie zwrócił spojrzenie ku Eressien. Była tam nadal, radosna, roześmiana. Śnił o niej od piętnastego roku życia, a teraz stała tutaj, ledwie kilka metrów od niego – już nie senne marzenie, lecz prawdziwa osoba, żyjąca, czująca, myśląca i mająca własne marzenia...

Westchnął ciężko, odwracając wzrok. To i tak nie miało większego sensu. Marzenia marzeniami, ale niestety rzeczywistość dlatego jest rzeczywistością, że zwykle pozbawiona jest marzeń i snów. Jest twarda i bezlitosna, jak ziemia pod stopami, jednocześnie stanowiąc oparcie i źródło siły.

– To zabawne... – szepnął. – Feniksy, smoki, wampiry... są bardzo podobne do ludzi, a przynajmniej mogą przybierać ludzką postać. Zastanawiające, prawda?

Akira pokiwał głową.

– Wiedziałem, że to zwróci twoją uwagę, mój panie. Odpowiedź jest zaskakująco prosta: kiedyś te wszystkie istoty były ludźmi i ten wzorzec został w nich zachowany.

– Byli ludźmi? Naprawdę?

– Czynnikiem decydującym w ich ewolucji była i jest nadal magia. Jak myślisz, co się stanie z Hedaia za kilkanaście pokoleń? Są na najprostszej drodze do zmiany w jakieś magiczne istoty. Kolejnym czynnikiem jest endogamia. Tak działo się z wampirami, syrenami i innymi.

– To dlatego między magicznymi istotami i ludźmi wciąż zachodzi wymiana genetyczna – Domenic pokiwał głową ze zrozumieniem. – A co z wilkołakami, chimerami, pegazami? One chyba nie posiadają ludzkich przodków?

– Tak, brak ludzkiego elementu stanowi jedyną różnicę. Ich przodkowie byli zwierzętami, które przywieźliśmy na planety Kwadratu. Wciąż żyją w niezmienionej

formie na innych planetach systemu Tessaliana.

– Przywieźliśmy? Skąd?

– Dobre pytanie. Nikt nie zna na nie odpowiedzi.

– A bogowie?

Akira wzruszył ramionami.

– Tego nie wiadomo. Podobno byli już tutaj, kiedy przybyły pierwsze okręty kolonizacyjne. Istnieje teoria, wedle której wyewoluowali niezależnie, lecz wydaje się mało prawdopodobna. Osobiście uważam, że są potomkami ludzi, którzy skolonizowali Kwadrat na wiele tysięcy lat przed główną falą. Kiedy nasi przodkowie wylądowali na tych planetach, oni już byli bogami, z ich magią i siłą.

Domenic odwrócił się na dźwięk kopyt. Haeris z rżeniem wtulił mięciutkie chrapy w jego dłoń, a potem delikatnie, zapraszająco skubnął go w ramię. Domenic poklepał ogiera po szyi i przeczesał pieczołtliwie czarną grzywę. Cóż, ten ogier nie był efektem ewolucji ani magicznej ani żadnej innej – został stworzony z jego marzeń, a teraz stał tutaj prawdziwy i jak najbardziej namacalny, stanowił zaprzeczenie szarej rzeczywistości, która starała się przypominać o sobie na każdym kroku.

– Jak sądzę, wszyscy tu zgromadzeni posiadają zdolność lotu – zwrócił się ku Akirze.

– Tak jest, Wasza Wysokość – przytaknął feniks, unosząc brwi w niemym pytaniu.

Zerknął na Andreusa. – Oprócz jego wysokości księcia Matsushitaki...

Domenic uśmiechnął się.

– To żaden problem...

Wskoczył na grzbiet Haerisa i podciągnął Andreusa za sobą, zanim ten zdążył zaprotestować. Ogier w mgnieniu oka znalazł się w powietrzu, wkrótce zaś dołączyły do niego pozostałe magiczne stworzenia. Anioły sunęły bezszelestnie, nie trudząc się zmianą formy. Smoki, jednorożce, gryfy, feniksy, pegazy... Uderzenia ich skrzydeł burzyły powietrze, a dźwięk towarzyszący temu był ogłuszający. Ale za to widok był niesamowity – jakby ożyły baśnie i legendy dawnych dni, jakby marzenia zyskały nową formę.

Czując wiatr rozwiewający mu włosy, Domenic poczuł radość rozpierającą mu serce.

– Wiesz, Andre? – krzyknął, odwracając głowę ku przyjacielowi. – Mógłbym tak żyć!

Andreas przełknął ślinę i ostrożnie spojrział w dół, poniżej kopyt Haerisa.

Natychmiast tego pożałował.

– Ja chyba nie – stęknął, na zmianę zieleniejąc i blednąc.

Domenic roześmiał się na całe gardło, a pęd powietrza poniósł jego śmiech dalej, aż odpowiedział mu ogłuszający, triumfalny ryk dobywający się wprost ze smoczych piersi.

Chwila szczęścia, wolności, absolutnego oderwania od problemów całego świata.

Wyzwolenie. Rozkosz tak intensywna, że aż bolesna. Spełnienie snów.

Promień światła przed nadciągającym mrokiem.



Rozdział szesnasty

Lucien Chenault wracał do jednego z wejść do miasta, szybko posuwając się brzegiem jeziora. Od kapłanów dowiedział się, gdzie Haeris miał swoją zagrodę, ale wbrew swym oczekiwaniom nie odnalazł tam Domenica. Teraz zaś zaczynał się coraz bardziej martwić jego nieobecnością.

Chenault nie po raz pierwszy zastanawiał się nad atencją, jaką kapłani okazywali młodemu księciu. Zastanawiające, że początkowo Domenic sprawiał wrażenie przestraszonego tymi objawami czci, teraz jednak zdawał się nie zwracać na nie większej uwagi. Wydawało się, że jego osoba jest dla kapłanów bardzo ważna, nie tylko ze względu na funkcję, jaką pełnił. Szambelan znajdował tylko jedno wyjaśnienie: kapłani sporo stracili, kiedy pozamykano ich świątynie, a im samym groziła śmierć za kultywowanie dawnych obyczajów i rytuałów. Domenic był gwarantem powrotu dawnego porządku, czasów kiedy bez przeszkód czczono bogów i nie obawiano się za to kary. Nad innymi ewentualnościami Chenault wolał się nie zastanawiać.

Szambelan westchnął ciężko. Jak sądził, Domenic wybrał się do puszczy Adheorte, nie informując go o tym fakcie – do przewidzenia. Zaczynało mu to już wchodzić w nawyk. Powinien bardziej na siebie uważać. Wprawdzie gwardia królewska w zasadzie nie istniała – Chenault wątpił, czy kiedykolwiek zostanie reaktywowana po tym, co zdarzyło się dwadzieścia cztery lata temu – ale istniały przecież inne sposoby, by zapewnić bezpieczeństwo następcy tronu. A tak w ogóle, Domenic nie powinien był opuszczać Solatis!

Chenault zżymał się w myślach na lekkomyślność księcia i układał przemowę, jaką palnie mu po jego powrocie na temat podstawowych zasad bezpieczeństwa, dlatego nie od razu zwrócił uwagę na narastający szum. Początkowo był on tak odległy i cichy, że przywodził raczej na myśl szmer wodospadu. Z każdą chwilą jednak potężniał i stawał się wyraźniejszy. Szambelan rozejrzał się czujnie, ale nie dostrzegł nic podejrzanego. Zauważył jednak przy tym, że ludzie na pobliskiej przystani wykrzykują coś w podnieceniu, patrzą w górę i pokazują sobie coś nawzajem palcami. Chenault zadarł głowę i... wprost nie mógł uwierzyć własnym oczom.

Smoki!

Kilkanaście istot z tego owianego legendami gatunku, a z nimi i inne: gryfy, chimery, feniksy... Na przedwieczornym niebie wyglądały niczym sen – dumne, majestatyczne i takie... prawdziwe. Chenault jednak wciąż nie dowierzał: zamknął oczy i po chwili ponownie je otworzył – wciąż tam były. I co więcej: najwyraźniej szykowały się do lądowania!

Łzy przesłoniły szambelanowi widok. Do tej pory nie był pewien, czy przed śmiercią jeszcze zdąży zobaczyć smoki na niebie, w locie pełnym dostojności i cieszył się, że dane mu było tego doczekać.

W ciągu kilku chwil na plaży zrobiło się tłoczno. Wprawdzie lądujące smoki i pozostałe istoty natychmiast transformowały do humanoidalnej postaci, to wieści o ich przybyciu rozeszły się lotem błyskawicy i nad jezioro ściągali podekscytowani mieszkańcy Solatis. Niektórzy po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć te magiczne istoty, inni zaś – jak szambelan – cieszyli się po prostu z ich powrotu. Mniej zachwyty wzbudzały demony, ale im raczej to nie przeszkadzało – były niemal niewidoczne dla kogoś, kto nie wiedział, gdzie patrzeć.

Chenault bez zaskoczenia w największej ciżbie zauważył Domenica. No tak, jeśli ktokolwiek był w stanie namówić smoki do powrotu, to z pewnością właśnie on. Tuż obok młodego księcia zauważył czerwono – złotą czuprynę, wyglądającą dziwnie znajomo.

– Akira!?! – wykrzyknął zdumiony.

Feniks odwrócił się ku niemu.

– Lucien Chenault! – w jego głosie brzmiało to samo zdumienie.

Przywitali się ze sobą serdecznie, jak starzy znajomi. I byli nimi. Akira już od dawna przebywał w pałacu, kiedy Chenault zastąpił na stanowisku poprzedniego szambelana, który odchodził na zasłużoną emeryturę. Raczej nie stali się przyjaciółmi, ale też nie wrogami – po prostu znajomymi, takimi którzy mówią sobie “dzień dobry” i “do zobaczenia”. Czasem obowiązki zmuszały ich do współpracy, ale nie wytworzyła się pomiędzy nimi zażyłość. Pomimo to, teraz, z dala od pałacu i wydarzeń sprzed dwudziestu czterech lat, obaj poczuli się tak, jakby wróciły tamte czasy, kiedy nic nie

zapowiadało katastrofy, a chwile płynęły leniwie, spokojnie, utartym trybem.

– Jakiś ty młody – stwierdził Chenault, nie kryjąc nutki zazdrości w głosie.

Akira roześmiał się.

– Cóż, nie każdy z nas ma szansę się zestarzeć – odparł z udawaną melancholią, po czym obaj roześmiali się jak z dobrego dowcipu.

Chenault, wciąż z uśmiechem na ustach, zwrócił się ku Domenicowi i skłonił się.

– Wasza Wysokość... – jego uśmiech zgasł, kiedy przypomniał sobie, jaką wiadomość miał mu do przekazania. – Wrócił pułkownik Addar.

Domenic zeszywniał, jego oczy zwięzły się w szparki. Radość ulotniła się równie szybko, jak powietrze z przekłutego balonu.

– Kiedy? – spytał krótko.

– Dziś rano, Wasza Wysokość.

Jego Wysokość zmarszczył brwi.

– Jak długo mnie nie było?

– Dwa dni, Sire. Jak widzę, udało ci się odnaleźć puszcę Adheorte.

– Tak – przytaknął Domenic z roztargnieniem. Myślał już o czymś innym. – Gdzie Bertrand?

Chenault pokręcił głową z zakłopotaniem.

– Szczerze mówiąc, nie wiem, Sire. Rozmawiałem z nim zaledwie wczoraj wieczorem, kiedy składał raport na temat ruchów sabedellańskiej floty... – szambelan pospiesznie przerzucił kilka dokumentów w swojej teczce, po czym jeden z nich podał Domenicowi.

– Proszę.

Domenic pobieżnie przebiegł wzrokiem po jego treści i aż zrobiło mu się gorąco, kiedy zrozumiał o co w niej chodziło.

– To pewna informacja? – zerknął na szambelana, nie okazując żadnych emocji.

– Minister Bertrand ręczył życiem za jej autentyczność – przytaknął Chenault.

Tak, życiem nie tylko swoim, ale w zasadzie ich wszystkich. Domenic zastanowił się. Jeśli jednak informacja była wiarygodna, to należało nieco zmienić plany. Czas wyznaczony mu przez Addara mijał dopiero za kilka dni, ale najwyraźniej nie był to jedyny termin. Połowa floty Sabedell wyruszyła w kierunku Creswell. W jakim celu?

Domenicowi przychodziło na myśl kilka możliwości: od blokady planetarnej po zmasowany atak. A cresswellańska armia i flota praktycznie nie istniały, by stanowić równorzędnego przeciwnika, rozmyślnie doprowadzona do ruiny przez technokratów.

Ale dlaczego taki ruch, właśnie teraz? Czyżby Addar obawiał się, że ktoś wystąpi przeciw niemu?...

Domenicowi aż ciarki przeszły po plecach, kiedy uświadomił sobie, że pułkownik najprawdopodobniej znał wszystkie jego plany. Może niezupełnie znał – po prostu wcześniej przygotował się na każdą ewentualność. Ta flota została skierowana przeciw niemu, by nie zdołał przejąć władzy. Och, miał rację sądząc, iż Addar zabezpieczył się na wypadek wszelkich niespodzianek, że musiał przewidzieć takie, a nie inne zachowanie swojego największego wroga – trudno zresztą, by było inaczej. Plany w planach, wersje awaryjne i zapasowe – wystarczy tylko poczekać na rozwój sytuacji i dokonać wyboru już ustalonej strategii.

Domenic zacisnął dłonie w pięści. Cokolwiek pułkownik chował dla niego w zanadrzu, i on dysponował kilkoma niespodziankami, które powinny Addara nieprzyjemnie zaskoczyć. Nie mógł przecież wiedzieć o wszystkim – przynajmniej Domenic miał taką nadzieję.

Rozejrzał się z namysłem, spoglądając na radośnie zdumione twarze ludzi i dumne, lecz nieco zakłopotane oblicza magicznych istot, które przybyły wraz z nim z Adheorte. Czy plan Addara przewidywał również i to? Z pewnością zakładał, że Domenic zwróci się do kogoś o pomoc, ale czy dotyczyło to tych wszystkich magicznych stworzeń? Domenic nie był w stanie w żaden sposób się tego dowiedzieć. Na razie musiał działać tak, jakby plany pułkownika nie miały doń zastosowania, błądzić po omacku – przynajmniej do pewnego momentu.

– Akira! – musiał podnieść głos, by feniks usłyszał go w panującym naokoło rozgwarze; ten zaś natychmiast przeprosił uprzejmie grupę ludzi, z którymi akurat rozmawiał i stanął obok swego księcia.

– Tak, Sire?

– Znajdź mi parę osób spośród tych, którzy przybyli z nami z puszczy, osób godnych najwyższego zaufania – polecił Domenic. – Niech czekają na mnie za pół godziny w

gabinecie szambelana.

– Jakie będzie ich zadanie?

– Tego dowiedzą się na miejscu.

Akira skłonił się, nie zadając więcej pytań.

– Natychmiast się tym zajmę, mój panie.

Domenic skinął mu głową, po czym odwrócił się ku szambelanowi. Przez chwilę szeptał mu coś w zaufaniu, a oczy Chenaulta robiły się coraz większe. Nie dyskutował jednak, tylko skłonił się i odszedł pospiesznie ku window. Domenic odprowadził go zamyślonym spojrzeniem, zastanawiając się po raz nie wiadomo który w ciągu ostatnich kilku minut, czy Addar wiedział o wszystkim, naprawdę o wszystkim. Jeśli tak, to wszelkie ich wysiłki są skazane na niepowodzenie, a cokolwiek by przedsięwzięli – są przegrani. Nie dopuszczał jednak do siebie myśli o klęsce. Musi walczyć tak, jakby zwycięstwo wciąż było jeszcze możliwe.

A w tym celu potrzebował pewnego artefaktu – i mógł go zdobyć jedynie udając się do świątyni.

Rozejrzał się, czy jakieś oczy nie przypatrują mu się uważniej niż inne, po czym opuścił cichcem zgromadzenie na plaży, kierując się ku window. Nikt nie powinien nawet domyślać się o jego zamiarach. Tak będzie najlepiej.

Wnętrze świątyni było ciche i ciemne. Domenic pstryknął palcami i pod stropem zapłonęły świetlne kule, rozjaśniając mrok. Z ciemności wyłoniły się gabloty, skrzynie i kufry, poustawiane w pozornym nieładzie na posadzce i w stosach pod ścianami. Domenic zignorował je chwilowo i podszedł do fresku, spoglądając nań w zadumie.

Cztery siostry, cztery planety...

Zastanawiał się, czy Etaine sprawowała pieczę nad Sabedell i tamtejszym rodem panującym w taki sam sposób jak to czyniła Dayiell na Creswell. Wolałby nie mieć wroga we własnej ciotce, ale bieg wydarzeń może w końcu doprowadzić do takiej sytuacji. A Viaelle i Amirian? Czy i one włączą się wówczas do konfliktu, opowiadając się po którejś ze stron? A może będą się tylko przyglądać? W każdym bądź razie stanowiły niewiadomą, którą należało uwzględnić w równaniu.

– Ludzkie problemy nie dotyczą bogów – odezwał się ktoś za jego plecami. – I jedni i drudzy pragną w to wierzyć, choć czasem fakty zaprzeczają pobożnym życzeniom.

Domenic odwrócił się. Zobaczył mężczyznę o posiwiałych włosach, którego starość mocno przygięła do ziemi. W dłoniach trzymał kostur, którym się podpierał, sękaty i powyginany niemal tak bardzo, jak jego właściciel. Domenic sam nie wiedział dlaczego, ale przyklęknął i skłonił głowę. Czuł, że powinien tak uczynić i że ten starzec przywykł do przyjmowania jeszcze większych hołdów.

– Wstań, dziecko – roześmiał się tamten krótko. – Niech no ci się przyjrzę... – pokiwał głową w zamyśleniu, obrzucając go uważnym spojrzeniem błękitnych oczu. – Nie, nie jesteś podobny do Dayiell – powiedział cicho, do siebie. – Szkoda... – dodał z westchnieniem.

– Znasz ją, panie? – wyrwało się Domenicowi, zanim zdążył zapanować nad niesfornym językiem.

Na szczęście starzec nie poczuł się urażony tą impertynencją.

– Oczywiście, że ją znam – uśmiechnął się. – To moja wnuczka.

Domenic szeroko otworzył oczy.

– Jesteś Wai – szepnął nie bez zdumienia i ponownie się skłonił. – Ojciec wszystkich bogów.

Starzec machnął dłonią lekceważąco.

– To tyle, jeśli chodzi o legendy – mruknął. – Powiedz mi, dziecko, czy znasz zamiary swojej matki?

Domenic zmarszczył brwi.

– Zamiary? – zdziwił się.

– Ach, więc jednak nie – Wai skinął dłonią i tuż obok pojawiły się dwa wyściełane fotele. Usiadł na jednym z nich i gestem zaprosił Domenica, by zajął miejsce w drugim.

– Ona chce, byś na stałe wrócił do Krainy Wiecznego Lata.

– Nie rozumiem – przyznał Domenic. – Świadomie zrezygnowałem z tego przywileju, nie mogę już tam wrócić.

– Nie jako człowiek – sprecyzował Wai. – Widzisz, chłopcze, musisz dokonać wyboru: Kraina Lata czy świat śmiertelników.

Domenic zerwał się z fotela.

– Ależ ja już wybrałem! Tam, w Krainie Lata... wiedziałem, że już tam nie wrócę i nie czuję żalu...

Starzec uniósł kostur i Domenic zamilkł.

– Nie zapominaj, że znam twoje myśli i uczucia, tarcza nie chroni cię przed moim wzrokiem: oszukujesz sam siebie, dziecko. Oczywiście, że chciałbyś wrócić do Krainy Lata.

– Tak – przytaknął Domenic z wyraźną niechęcią. – Chciałbym, ale trzyma mnie tu obowiązek. Muszę wypełnić wolę mojego ojca...

Wai uniósł brwi. Domenic był przekonany, że na ten gest kontynenty ruszały ze swych podstaw, a gwiazdy nieruchomiały w swym biegu. Teraz jednak nic takiego się nie zdarzyło.

– Obowiązek? Jaki obowiązek? – słowa były drwiące, ale w głosie starca nie było drwiny. – Zapominasz o faktach, dziecko. A fakty są takie, że twój ojciec pozwolił na przewrót i nie kiwnął nawet palcem, by mu zapobiec! A teraz umarł i zostawił cały ten bałagan na twojej głowie!

– A więc dla Creswell, dla jego mieszkańców... – upierał się Domenic.

– Spójrz prawdzie w oczy: większość z nich nie tęskni za starym porządkiem, przez ćwierć wieku karmiona kłamstwami, uwierzyła w nie. Są zadowoleni z tego, co mają. Solatis to margines, absolutny margines! Jeśli zdecydujesz się walczyć, być może wygrasz, ale będziesz wówczas rządził pokoleniem, które za nic ma królów, magię i bogów!

Domenic oddychał ciężko.

– Dlaczego mnie dręczysz?

– Chcę ci uświadomić pewien fakt: rządzi tobą pewien rodzaj magii, czy tego chcesz czy nie. Bez względu na twoje pragnienia i ambicje, prowadzi cię równo wytyczoną ścieżką. Popatrz na siebie: odnoszę wrażenie, że się dusisz. Powód? Wystarczyło, iż pomyślałeś, że to co powiedziałem, mogłoby okazać się prawdą.

Domenic nie odpowiedział. Opadł na fotel, jego oddech stopniowo się uspokajał.

– A więc twoim zdaniem, Pokrewieństwo sprawia, że nie jestem zdolny do

podejmowania decyzji? – spytał w końcu ochryple.

Wai ponownie uniósł brwi, jakby dziwiąc się jego ignorancji.

– Nie wspomniałem o Pokrewieństwie.

– Mówisz zagadkami, panie – Domenic świadomie pozwolił sobie na okazanie zdenerwowania.

– Wkrótce nadejdzie czas, kiedy zagadki i tajemnice przestaną nimi być. Musisz być na to gotowy, dziecko. Ta wiedza może doprowadzić do twojej zagłady.

– Nie rozumiem.

Wai uśmiechnął się dziwnie, ze smutkiem.

– Zrozumiesz już wkrótce – wstał, a fotele zniknęły, kiedy i Domenic podniósł się ze swojego miejsca. – Bądź ostrożny i nie dowierzaj nikomu. Zwłaszcza sobie.

Domenic został sam. Zastanawiał się nad słowami Wai, kiedy uświadomił sobie, że starzec nie odpowiedział na jego pytanie – w zasadzie na żadne z jego pytań.

Niespodziewana wizyta ojca bogów pozostawiła więcej zamętu w jego myślach, niż jakakolwiek inna. Po co właściwie się z nim spotkał? Po co całe to zamieszanie?

Domenic nie wierzył, że to tylko kaprys – choć bogowie byli z nich znani. Wai musiał mieć w tym jakiś konkretny cel, zaś fakt iż nie chciał go wyjawić, dodawał mu znaczenia.

Pokrewieństwo... Czyżby Wai zasugerował mu przed chwilą, że... Nie, to niemożliwe. Potrząsnął głową z desperacją. Nie. Później będzie martwił się bogami i ich zagadkami. Teraz miał ważniejsze sprawy na głowie, sprawy nie cierpiące zwłoki.

Zaczął szukać.

Kapłani nie byli głupcami. Nie umieścili wszystkich magicznych artefaktów o wielkiej mocy w jednym miejscu, lecz rozproszyli je po skrzyniach i gablotach pośród innych przedmiotów – przypadkowy złodziej, o ile jakkolwiek miałby szansę dostać się do tej ukrytej świątyni, raczej nie narobiłby dużych szkód uprawiając swój proceder.

Zapobiegliwość kapłanów utrudniała jednak poszukiwania Domenicowi.

To, czego potrzebował, znajdowało się w siódmej z kolei skrzyni. Była to kula o średnicy około dwudziestu centymetrów wykonana z pojedynczego kawałka kryształu. Na jej powierzchni delikatnym, srebrzystym konturem zaznaczały się zarysy

kontynentów, miasta, ukształtowania powierzchni. Przyglądając się przez dłuższy czas jakiemuś obszarowi, odnosiło się wrażenie, że z każdą sekundą przybywa szczegółów, że obraz ożywa i zajmuje coraz więcej miejsca w polu widzenia, staje się prawdziwym światem, pulsującym życiem.

Domenic odnalazł pustynię Teirah, a potem Kanion Ech. Obraz rozszerzył się nagle na boki, ukazując w całej okazałości jezioro i plażę, na której rozpalono kilka ognisk – mieszkańcy Solatis świętowali powrót magicznych istot. Prawdę powiedziawszy, zwykle niewiele mieli okazji do zabawy.

– Niech się bawią – szepnął niemal niesłyszalnie.

Skierował spojrzenie ku Aprevin, ale miasto spowijała mgła, magia kryształowej kuli nie była w stanie jej przeniknąć. Owa mgła to była magiczna osłona, jaką ustawiono wokół wszystkich większych miast. Żadna magia nie była w stanie się przez nią przedostać. Bariery ustawiono wkrótce po przewrocie – teoretycznie miały chronić mieszkańców przed atakami prześladowanych magów i magicznych stworów, którym odmówiono prawa do istnienia. Ironia losu polegała na tym, że same bariery również były magiczne, splecione z zaklęcia – technokraci przekonali do współpracy kilku magów w zamian za gwarancje bezpieczeństwa. Któż nie dałby się przekonać takim argumentom w tamtej sytuacji?

W każdym bądź razie, istnienie barier uniemożliwiało magicznym istotom wejście do któregośkolwiek z chronionych w ten sposób miast. Najpierw należało usunąć barierę, co było o tyle trudniejsze, że każde miasto zostało wyposażone w osobny generator – odnawialne źródło magicznej energii, swoisty rezerwuar mocy. Kolejna przeszkoda do pokonania – i z pewnością nie ostatnia.

Domenic zważył kulę w dłoniach, zastanawiając się, czy plan pułkownika Addara przewidywał i to. Westchnął. Czy już zawsze będzie go prześladować to pytanie? Czy zawsze już będzie dręczyć go ta wątpliwość? Stawała się ona z wolna ciężarem nie do zniesienia, cierniem w duszy i umyśle.

Czyste szaleństwo...

Opuszczając świątynię, natknął się na Menkaure.

– Wasza Wysokość – kapłan skłonił się. – Szukałem cię, panie. Wysłaliśmy

wykrywacza za pułkownikiem Addarem... – zawahał się.

– Tak? Czy udało mu się czegoś dowiedzieć?

Menkaure potrząsnął głową.

– Tego nie wiemy. Nie mamy z nim żadnego kontaktu.

Domenica zmroziło niejasne podejrzenie.

– Uważacie, że zginął?

– Nie wiemy – powtórzył kapłan, ale drżenie w jego głosie zdradzało go. Zdawał sobie z tego sprawę. Pochylił głowę. – Tak sądzimy, Sire – przyznał.

Domenic przymknął na chwilę oczy.

– Nie посыłajcie już nikogo innego – powiedział. – Addar jest zbyt niebezpieczny.

Menkaure jeszcze niżej pochylił głowę.

– To nie takie proste, Wasza Wysokość – odparł z wahaniem. – Najpierw musimy odnaleźć zaginionego wykrywacza. Potem zdecydujemy o dalszym postępowaniu, ale na to nie masz już, książę, żadnego wpływu, niestety.

Domenic westchnął.

– Rozumiem, że nie posłuchacie mojego bezpośredniego rozkazu?

Menkaure potrząsnął głową i padł na kolana, jakby spodziewając się kary.

– Wybacz, panie – szepnął.

– Nie przepraszaaj. Wysyłanie jeszcze kogoś za Addarem nie ma już większego sensu.

W najbliższych dniach wszystko się rozstrzygnie...

Menkaure poczuł na włosach delikatne dotknięcie palców Domenica – znak, że pan przebaczył swemu słudze. Podniósł głowę i z niezbyt szczęśliwym wyrazem twarzy spoglądał przez chwilę za oddalającą się postacią.

Pułkownik Res Addar rozparł się w fotelu w swoim gabinecie, z upodobaniem ćmiąc cygaro. Była to jedna z niewielu słabości, którym ulegał od czasu do czasu. Jego poza, spojrzenie, każdy, nawet najdrobniejszy gest świadczyły o satysfakcji. Uważał, że ma wszelkie powody do zadowolenia.

Wszystko szło zgodnie z planem, po jego myśli. Wszystko miało się rozstrzygnąć ostatecznie w ciągu następnych kilku dni – ba! jeśli nawet nie godzin. Na tym etapie nic

nie powinno zawieść. Tryby wielkiej maszyny, wprawione w ruch wiele lat temu, dopiero teraz miały zadziałać równocześnie, mając przed sobą finalne zadanie; zadanie wymagające najwięcej wysiłku.

Addar nie wierzył, że coś może się nie udać. Ufał swoim zdolnościom strategicznym, umiejętności przewidywania, znajomości ludzkich zachowań i charakterów. Jak dotąd, Domenic nie uczynił nic, co nie mieściłoby się w ramach przewidywań pułkownika. Najpierw niedowierzanie, oszołomienie, niepokój, a potem gorąca chęć działania. Nic naprawdę zaskakującego.

Wizyta u Akitaro? Addar roześmiał się w duchu. Stary Matsushitaki nieźle się wystraszył – warto było to zobaczyć. “Tajne” spotkania z ministrami? Pusty gest, oni nic nie mogli zrobić, a jeśli już, to naprawdę niewiele, nic co mogłoby mu zagrażać. Wycieczka do Adheorte? Po co? Hedaia nie włączy się konfliktu, choćby Domenic zaproponował im złote góry – i Addar doskonale znał powód ich odmowy.

Grunt to dobre planowanie.

Sam przed sobą uczciwie jednak musiał przyznać, że niepokoiło go kilka drobnych faktów. Może nie tyle niepokoiło co zastanawiało. Ot, taka rozrywka.

Pierwszym z nich było zachowanie kapłanów wobec Domenica. To prawda, że stanowił ich jedyną nadzieję na wolność wyznania i tak dalej, ale było w tym coś więcej, coś czego pułkownik nie rozumiał. Po drugie, Addar ciekaw był, kto urządził zamach na młodego Allisandre, wtedy, na plaży. Był pewien, że to żaden z jego podwykonawców – wiedziałby przecież o tym, ponieważ nie pozwalał na samowolne działania. Kto więc był za to odpowiedzialny? Pytanie bez odpowiedzi, pewnie nawet Domenic jej nie znał, winą za zamach z pewnością obarczając pułkownika.

– Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło – mruknął Addar do siebie.

Zdziwiła go też nieco obecność magicznych stworów – był to jednak szczegół nie wart większej uwagi. Nie zagrażały jego planowi w żaden sposób, choć stanowiły przyjemne urozmaicenie. Ciekawe, co Domenic chciał osiągnąć przy ich pomocy. Addar niemal żałował, że działania młodego księcia są tak żałośnie przewidywalne. Brakowało mu swoistego dreszczyku emocji, ziarenka wątpliwości, które mogło sprawić, że gra stałaby się przyjemniejsza, ciekawsza, bardziej podniecająca.

Niemal.

Nie mógł sobie pozwolić na podobnego rodzaju dodatki. Zbyt wiele wysiłku i lat planowania kosztowało go to wszystko, by teraz pozwolić sobie na tego typu teatralne gesty. Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik, praca życia dobiegała końca i wkrótce miała przynieść owoce – owoce, które będzie mógł zbierać, jak długo zechce i w dowolnych ilościach. Już niemal czuł w ustach słodki smak zwycięstwa, upajał się jego niezwykłym aromatem, jedynym w swoim rodzaju. Doprawdy, wart był tylu lat poświęceń i przygotowań...

Ostateczny cel znajdował się jednak jeszcze daleko przed nim. Zapanowanie nad Creswell było zaledwie preludium do wykonania znacznie większego planu, planu mającego za zadanie zjednoczyć wszystkie planety Kwadratu, zjednoczyć pod jednym berłem. Jego berłem, oczywiście. Niezależnie od tego, jak wiele czasu miałby poświęcić realizacji swych planów, był zdeterminowany, by doprowadzić je do końca, by pokonać wszelkie przeszkody. Za ambicją pułkownika stała nie tylko chorobliwa żądza władzy, chociaż miała ona niebanalny wpływ na jego działania, co przyznawał uczciwie sam przed sobą. Addar pragnął zjednoczenia planet Kwadratu, a związana z tym władza stanowiła przyjemny efekt uboczny.

Większość obywateli postrzegała Kwadrat w sposób dość ograniczony – nie jako całość, lecz każdą z planet z osobna, jakby każdy ze światów stanowił odrębną całość, całkowicie różną od trzech pozostałych.

Inny punkt widzenia prezentowali ludzie spoza Kwadratu, pozbawieni magii i magicznych istot, patrzyli na cztery planety ze zdumieniem, ale i zazdrością. Kwestią czasu pozostawało, kiedy owa zazdrość zamieni się w żądzę posiadania. Wtedy Kwadrat spłynie krwią i nie będzie miało znaczenia, kto jest istotą magiczną, a kto człowiekiem. Należało temu zapobiec, jednocząc wszystkie cztery planety, pokazać innym, że Kwadrat stanowi siłę, z którą należy się liczyć i z którą nie warto wchodzić w konflikty. To właśnie było tym zagrożeniem, o którym onegdaj wspominał Domenicowi. Dzieciak pewnie nawet nic nie zapamiętał z tego wykładu.

Taki właśnie był plan.

Niespodziewany sygnał komputera wyrwał pułkownika z zamyślenia: ktoś czekał pod

drzwiami. Zmarszczył brwi. Nie spodziewał się w tej chwili niczyjej wizyty.

– Wejść!

Do gabinetu weszło kilku mężczyzn. Kanclerz Cerino, marszałek Taman, minister Bertrand, admirał Randell. I szambelan, oczywiście, z plikiem papierowych dokumentów pod pachą – jak to zwykle on. Za nimi wszedł Domenic w towarzystwie płomiennowłosego mężczyzny. Oczy Addara zwęziły się. Feniks. O, tak, pamiętał tę twarz. Pamiętał ją wśród płomieni i pamiętał też i to, że tamtego dnia go zabił.

Stanęli półkolem wokół biurka, Domenic i Akira nieco bardziej z tyłu, jakby byli tylko obserwatorami. Addar zachował spokój, okazując tylko tyle uczuć, ile od niego oczekiwano. Uniósł więc brwi w wyrazie uprzejmego zainteresowania.

– Czym mogę panom służyć? – spytał używając swego głosu w taki sam sposób, w jaki wykorzystywał broń. Dyplomacja – czytaj: sztuka oszukiwania – wymagała odpowiednich środków. Zwłaszcza w chwilach takich jak ta, kiedy nie bardzo orientował się w sytuacji.

Szambelan wystąpił naprzód. Z pliku dokumentów wyciągnął jeden, który położył na blacie biurka.

– Proszę jeszcze raz potwierdzić autentyczność tego dokumentu.

Addar zerknął na papier. Był to dokument czyniący go regentem. A więc tu próbowali go złapać – najwyraźniej mieli dowód, że dokument jest fałszywy. Zachciało mu się urozmaiceń. Cholera.

– Tak, to dokument podpisany ręką króla Stephane'a i sygnowany jego pieczęcią – powiedział spokojnie. Ciekaw był rozwoju sytuacji.

Kanclerz postąpił krok do przodu.

– Mamy powody przypuszczać, że król Stephane nie mógł położyć pieczęci na tym dokumencie z tej prostej przyczyny, że nie miał jej ze sobą.

Pułkownik okazał zdziwienie.

– Doprawdy?

Spojrzenie szambelana stało się lodowate.

– Przez ostatnie dwadzieścia cztery lata królewska pieczęć spoczywała w skrytce, tu w Solatis – zwrócił się ku Domenicowi. – Wasza Wysokość?

Domenic zdjął z szyi srebrny łańcuszek, na którym zawieszony był sygnet. Szambelan ujął pieczęć w dłoń i podsunął pod nos Addarowi. Ten uniósł brwi.

– Więc?...

– Więc wynika z tego, że dokument, który nam pan przedstawił, jest fałszywy – zagrzmiał marszałek. – Jest pan winny zdrady stanu! Ma pan coś do powiedzenia na swoją obronę?

Addar skrzywił się.

– Nudny pan jesteś – wzruszył ramionami i usiadł. Jego wzrok napotkał spojrzenie Domenica. Pułkownik pozwolił, by cała pogarda, jaką odczuwał w stosunku do niego, ujawniła się w jego głosie. – Niech ci się nie zdaje, że wygrałeś. Ciesz się tym, póki możesz.

Domenic z wolna zbliżył się do biurka.

– Niech ci się nie zdaje, że to koniec – odparł takim samym, zjadliwie uprzejmym tonem. – To ledwie preludium.

– Czegokolwiek nie zrobisz, przegrasz – zadrwił pułkownik nie bez złośliwości.

– To się jeszcze okaże. Być może przeceniasz swoje zdolności.

– Dość już tego! – wymianę gróźb przerwał kanclerz Cerino. – Pułkownik Addar, jest pan aresztowany. W najbliższym czasie zostanie pan przesłuchany i postawiony przed sądem wojskowym.

Domenic skinął dłonią. Addar poczuł nagłe zagęszczenie powietrza wokół siebie. Sporo opanowania wymagało od niego zachowanie spokoju, kiedy trzy demony uwięziły go w swoim uścisku, wciąż pozostając niewidocznymi. Tuż obok jego ucha rozległ się chrapliwy szept:

– Panie mój, czy mamy go zabić?

Te demony miały naprawdę wielką moc, bowiem nikt inny tego nie usłyszał – tylko Addar i Domenic. Ten ostatni patrzył przez chwilę wprost w oczy pułkownika, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią. Addar zachował kamienną twarz. Wiedział, jaka będzie decyzja: powiedziało mu o tym wahanie Domenica – gdyby chciał go zabić, nie zwlekałby z wyrokiem.

– Pilnujcie go. Nie pozwólcie mu uciec.

Biuro wkrótce opustoszało. Pozostał w nim tylko Addar i pilnujące go duchy – wciąż niewidoczne, choć w pełni materialne. Pułkownik uśmiechnął się do siebie krzywo. Demony nie mogły go powstrzymać.

Rozkaz do ataku został wydany.

Rozpoczął się szturm na najważniejsze ośrodki władzy cywilnej i wojskowej technokratów. Zbrojne oddziały właściwie bez jednego strzału opanowały parlament. Nieco więcej trudności przysporzyła im siedziba rządu chroniona przez służby specjalne, ale tym, co przeważało szalę zwycięstwa była siła ognia atakujących i zaskoczenie wywołane ich pojawieniem się.

Domenic nie brał udziału w bezpośrednich starciach, nie mając odpowiedniego przeszkolenia stanowiłby jedynie przeszkodę. Siedział w centrum dowodzenia i obserwował admirała Randella, wydającego rozkazy dowódcom poszczególnych oddziałów. Stary żołnierz był w swoim żywiole: znowu potrzebny, znowy przy sterze. Domenic zaufał mu całkowicie w kwestii strategii i przygotowania całej operacji i jak dotąd nie miał żadnych zastrzeżeń. Admirał spisywał się doskonale, atak przebiegał sprawnie i jak dotąd pochłaniał minimalną liczbę ofiar po obu stronach.

Było w centrum dowodzenia stanowisko, któremu Domenic poświęcał szczególną uwagę. Na ekranie terminala komputerowego na bieżąco ukazywana była pozycja sabedellańskiej floty. Admirał kontrolował sytuację na powierzchni planety, zdobywając kolejne punkty strategiczne, ale sytuacja mogła się jeszcze diametralnie zmienić, gdyby doszło do lądowania okrętów z Sabedell na pokładzie których znajdowały się oddziały regularnego wojska.

Specjalne jednostki likwidowały pola siłowe wokół kolejnych miast, a fakt ten natychmiast był rejestrowany przez kryształowy model Creswell, który zabrał ze świątyni. Do "odkrytych" w ten sposób miast bez przeszkód mogli wkraczać czarodzieje, magowie i inne magiczne istoty. Z pewnością niejednego mieszkańca zdziwił widok smoków na niebie.

To było zaledwie jedno z wielu zastosowań kryształowej kuli. Domenic miał zamiar wypróbować jeszcze jedno z nich. Miał nadzieję, że magia nie zawiedzie w krytycznej

chwili. Zerknął na stanowisko admirała Randella: wciąż trwały walki o port kosmiczny. Zdobyty czy nie, nie miało to większego znaczenia: przeciwko sabedellańskiej flocie mogli posłać co najwyżej kilka myśliwców starego typu – w tak opłakanym stanie znajdowała się flota wojenna Creswell. Poza tym, szansa że dowódcy nadciągającej floty nie znają sytuacji na powierzchni, była praktycznie żadna. I widać to było na ekranie: flota rozwinęła szyk bojowy, ale zrobiła też coś, na co w duchu liczył Domenic, biorąc pod uwagę dumę Sabedellańczyków i wiarę pokładaną we własną siłę. Otóż, zgrupowanie prowadziły dwa okręty, wysuwając się nieco za bardzo do przodu: statek flagowy oraz korweta królowej.

Domenic z napięciem wpatrywał się w ekran. W tym, co planował istotne, jeśli nie decydujące, był wybór odpowiedniej chwili. Flota była coraz bliżej. Jej dowódca zapewne nie planował ataku z orbity, a jedynie dostarczenie oddziałów lądowych na powierzchnię. A jeśli tak, to flota już powinna rozpoczynać manewr hamowania.

I wreszcie nadszedł ten moment. Domenic zakłębieniem uaktywnił kryształową kulę. Ta rozjarzyła się srebrzysto – błękitnym blaskiem, emitując jednocześnie sferyczny impuls, który otoczył ją mniej więcej na odległość promienia od powierzchni. Sfera zdawała się falować i migotać, jakby nie do końca ukształtowana. Domenic nie spieszył się jednak z dokończeniem zakłęcia, wpatrując się w nią z napięciem. Na sferze pojawiły się nagle dwa błyszczące wściekłą czerwienią punkty, jej powierzchnia wybrzuszyła się zauważalnie, po czym powróciła do poprzedniego położenia, kiedy obydwie punkty znalazły się wewnątrz niej.

Dopiero wtedy Domenic zakończył zakłęcie pojedynczym słowem. Sfera zareagowała błyskawicznie: zestaliła się i stwardniała, choć przez swoją przezroczystość wciąż sprawiała wrażenie delikatnej i płynnej. Po ułamku sekundy na zewnętrznej powierzchni pojawiło się kilka kolejnych punktów, wzbudzając fale rozchodzące się koncentrycznie po całej sferze. W przeciwieństwie jednak do poprzednich dwóch, te punkty nie zostały już wpuszczone do wewnątrz.

Domenic uśmiechnął się. W jego oczach błyszczała satysfakcja.

Jakkolwiek okręty sabedellańskiej flotylli dość gwałtownie hamowały przed wejściem

na orbitę Creswell, a potem w jej atmosferę, to i tak ich prędkość była znacząca. Drugą niesprzyjającą okolicznością była niewiedza kapitanów tych okrętów o istnieniu pola siłowego wokół planety – i to pola siłowego zdolnego powstrzymać statki bojowe tej klasy. Wywiad na Creswell nie informował o istnieniu żadnych instalacji, które mogłyby wytworzyć pole o takiej mocy. W dodatku okręt flagowy i statek królowej przeszły przez ten obszar bez żadnych problemów. Nie było powodu, by sądzić, że innym się to nie powiedzie.

Nic nie zapowiadało katastrofy.

Dwa krążowniki – “Sirish” i “Ciruel” – wpadły na ścianę pola siłowego z impetem setek tysięcy ton stali. W ciągu kilku sekund ich kadłuby stały się płonącymi kulami ognia i wirujących szaleńczo szczątków. “Orchis” próbował wyminąć “Sirisha” i wpadł prosto na “Ha’ano”, który wykonywał taki sam manewr, by uniknąć zderzenia z resztkami “Ciruel”. Ich rozprute kadłuby ziały ciemnymi czeluściami i wypadającymi z nich fragmentami wyposażenia, szczątkami konstrukcji i ciałami ludzi, którzy mieli nieszczęście znajdować się w zniszczonych sektorach. Fala uderzeniowa po pierwszych dwóch eksplozjach spowodowała uszkodzenia układów elektronicznych na pozostałych okrętach, które starały się uniknąć kolejnych “stłuczek”.

Bilans przedstawiał się przerażająco: dwa okręty doszczętnie zniszczone, kolejne dwa uszkodzone bardzo poważnie, pięć lekko uszkodzonych i zaledwie trzy sprawne i zdolne do boju. Nieznana liczba zabitych i rannych. Zniknął okręt flagowy i korweta królowej. Prawdopodobnie przeszły przez pole siłowe przed jego aktywacją, ale niemożliwe okazało się nawiązanie z nimi kontaktu.

Jednym słowem: chaos. Totalny chaos.

Rozdział siedemnasty

Ochrona nie zatrzymała Andreusa Matsushitaki, kiedy przekraczał główne drzwi firmy swego wuja, choć miał przy sobie dwa miecze. Strażnicy powitali go ukłonami, odprowadzili do windy i odwieźli na najwyższe piętro, nie przyjmując po drodze żadnych pasażerów. Kłaniali się, póki nie zamknęły się za nim drzwi.

Sekretarz próbował zatrzymać go w swoim biurze, twierdząc że prezes ma teraz ważne zebranie i absolutnie, pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Andreus tylko na niego spojrział – i sekretarz sam otworzył drzwi.

Akitaro rzeczywiście miał zebranie – wokół długiego stołu siedziało kilkunastu dyrektorów. Ich głowy odwróciły się ku drzwiom, jakby ktoś jednocześnie pociągnął za niewidoczne sznurki. Spoglądali na przybysza w zdumieniu, kiedy wyciągnął z pochwy jeden z mieczy.

– Wszyscy wyjść – powiedział nieswoim głosem. – Natychmiast!

Wciąż się wahali, niektórzy wstali, tłumacząc jak ważne jest to posiedzenie. Akitaro siedział nieporuszony, milczący, jakby cała sprawa w zasadzie go nie dotyczyła.

Andreus nie miał ochoty wysłuchiwać drętłych tłumaczeń. Nie obchodziły go racje tych ludzi. Wziął zamach i potężnym uderzeniem rozciął blat stołu konferencyjnego na dwie połowy. Zrobił to z gwałtownością dobitniej niż wszelkie słowa świadczą o tym, jak wielka rozpierała go furia – dzika, paląca, nieokiełznana furia.

Dyrektorzy na moment krótszy niż pojedyncze uderzenie serca zastygli w wyrazie bezbrzeżnego zdumienia i niedowierzania, po czym jak jeden mąż złapali za swoje teczki, czy co tam kto miał i ruszyli ku drzwiom. Andreus gestem zatrzymał trzech ostatnich.

– Siadać! – warknął do nich.

Strach widoczny w ich oczach pomógł mu zapanować nad wściekłością, nad rozpierającym go gniewem. Potrzebował opanowania i spokoju bardziej, niż kiedykolwiek przedtem.

– Będziecie świadkami – poinformował ich, czując że dławiąca go furia powoli ustępuje. Dobrze.

– Świadcami czego, wasza wysokość? – odważył się spytać jeden z nich drżącym głosem. Skulił się w sobie, kiedy Andreus na niego spojrzał. – Jeśli wolno spytać...

Andreus uniósł brwi.

– Wolno panu – potwierdził, ale nie udzielił odpowiedzi na jego pytanie. Zamiast tego ruszył ku szczytowi stołu, gdzie siedział Akitaro, nieporuszony niczym posąg. Dobrze wiedział, co oznacza wizyta bratanka. – W rodzinie Matsushitaki istnieje uświęcona wielowiekową tradycją praktyka karania zdrajców – powiedział. Skierował miecz ku wujowi. – Mów.

Oczy Akitaro na krótko zapłonęły gniewem.

– Rób, co masz robić i nie dręcz mnie! – syknął.

Twarz Andreusa pociemniała złowieszczo.

– O tym ja zdecyduję – warknął. – Mów! – zbliżył ostrze ku szyi Akitaro, nie przejmując się faktem, że przebiło ono skórę i utrudniało mówienie.

Akitaro chyba zrozumiał, że to nie przelewki.

– Wydałem technokratom swojego brata, by zdobyć kontrolę nad rodzinnym majątkiem – powiedział w końcu z wyraźnym trudem.

Ostrze cofnęło się, a Akitaro chwycił się za szyję, by zatamować krwawienie. Andreus zwrócił się ku świadkom, których twarze zrobiły się jeszcze bledsze niż były poprzednio.

– Słyszeliście?

– Tak jest, wasza wysokość – przytaknęli niepewnie.

– Dobrze – Andreus ponownie odwrócił się ku wujowi. Wyciągnął ręce ku Akitaro, w każdej dłoni trzymał miecz. W prawej ostrze długie na osiemdziesiąt centymetrów, w lewej na trzydzieści. – Wybieraj.

Akitaro przeniósł spojrzenie na miecze. Wiedział, co oznacza postawiony przed nim wybór – znał dobrze historię swego rodu. Krótszy miecz to wyjście honorowe – samobójstwo. Dłuższy to hańba – egzekucja. W tym wypadku musiałby jej dokonać Andreus, jako syn głównego poszkodowanego i jedyny przedstawiciel rodu, który mógł ją wyegzekwować. Akitaro nie miał zamiaru dawać mu takiej satysfakcji. Widział żądze mordu w jego oczach: gdyby nie rytuał zemsty, nie zawahałby się ani chwili. A więc

Akitaro zdecydowanym ruchem sięgnął po krótszy miecz.

Usiadł pod oknem. Andreus stanął tuż za nim ze wzniesionym mieczem, gotów go użyć w każdej chwili. To także była część rytuału: gdyby skazaniec zawahał się, stchórzył, próbował uciekać czy w jakikolwiek inny sposób odwlec rytuał, egzekutor mógł go po prostu zabić.

Akitaro chciał jednak sam dokonać dzieła. Powoli, ostrożnie wyciągnął miecz z pochwy. Pamiętał doskonale ten błysk szlachetnej stali, kiedy jeszcze jako dziecko słuchał z zapartym tchem rodzinnych legend i przekazów, uczył się historii rodu. Od tamtego czasu minęły całe eony, całe życie, a on był teraz tutaj i trzymał w dłoniach ten miecz.

Trzej dyrektorzy, których Andreus wezwał na świadków, przyglądali się temu wszystkiemu z widocznym przerażeniem. Nie byli zdumieni – wiedzieli, że rody arystokratyczne rządzą się własnymi prawami. Może nawet słyszeli co nieco o rytuale zemsty rodu Matsushitaki, nigdy jednak nie przypuszczali, że będą jego świadkami.

Andreus czekał ze wzniesionym mieczem. Pragnął niemal, by wuj się zawahał, spróbował czegokolwiek, co usprawiedliwiłoby natychmiastową egzekucję. Ale Akitaro pewnie trzymał miecz w swoich dłoniach, a potem bez żadnego wahania skierował śmiertelne ostrze wprost w swoje ciało. Na jego twarzy pojawił się wyraz bolesnego zaskoczenia, kiedy rozplatał sobie brzuch od prawej do lewej, a potem, ostatkiem sił, pociągnął ostrze w górę, aż zatrzymało się na kościach żeber. Wtedy wreszcie wypuścił z dłoni zakrwawioną broń.

Krew wypływająca z rozległej rany barwiła jego ubranie intensywnym szkarłatem. O dziwo, nie czuł bólu. Był pewien, że to z powodu szoku – a może bliskości śmierci. Jego oczy z wolna zasnuwała mgła.

Andreus bez wahania dopełnił rytuału: opuścił miecz, a głowa Akitaro potoczyła się po kosztownej wykładzinie, chlapiąc posoką na ścianę i sufit. Krwawiący czerep odbił się od regału, po czym znieruchomiał. Usta Akitaro otworzyły się i wypłynęły spomiędzy nich dźwięki – suche, pozbawione intonacji:

– Bądźcie przeklęci.

Jeden ze świadków nie wytrzymał nerwowo i z łomotem zwałił się z krzesła prosto

pod nadwerężony stół konferencyjny. Drugi z wyraźnym trudem próbował zapanować nad żołądkiem – zapach krwi był po prostu nie do zniesienia. Trzeci był blady jak papier.

Andreas starannie oczyścił klingi obu mieczy, po czym troskliwie umieścił je w przeznaczonych dla nich pochwach. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, jedynie w oczach pojawił się trudny do zdefiniowania błysk.

– Rytuał został dopełniony – oświadczył, po czym ruszył ku drzwiom, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami dyrektorów. W drzwiach odwrócił się jeszcze. – O przyszłości firmy zdecyduje król. Do tego czasu ustanawiam zarząd komisaryczny. Proszę jedynie o wyłączenie ze stanu posiadania firmy majątku Matsushitaki, który istniał przed jej powstaniem.

Jeden z dyrektorów wstał. Drugi pochylał się nad trzecim, który zaczął zdradzać oznaki powrotu do przytomności.

– Wasza wysokość? Co zrobić z ciałem?

Andreas zmarszczył brwi.

– Nie obchodzi mnie to – powiedział lodowatym tonem. – Możecie je spalić, wyrzucić lub sprzedać. Nie ma dla niego miejsca na rodzinnym cmentarzu. Mam nadzieję, że to jasne?

– Tak jest, wasza wysokość – mężczyzna skłonił się. Po wyjściu Andreusa z ulgą opadł na fotel, po czym otarł spocone czoło chusteczką. Nie mógł wprost uwierzyć w wypadki dzisiejszego ranka. Trup leżący nieopodal z wnętrzościami na wierzchu i odciętą głową dobitnie przypominał swoją obecnością o brutalnej rzeczywistości.

Powietrze wręcz cuchnęło oparami krwi.

Domenic z uwagą nasłuchiwał meldunków ze stanowisk operatorów. Satelity zarejestrowały dwie eksplozje i co najmniej jedno zderzenie. Flota została powstrzymana. Nadeszła kolej na następny ruch.

– Możemy nawiązać łączność ze statkiem królowej, pomijając okręt flagowy? – spytał, pochylając się nad konsolą, przy której pracował oficer odpowiedzialny za łączność satelitarną.

– Przykro mi, Wasza Wysokość, to niemożliwe. Okręt flagowy przechwytyje wszystkie sygnały. Albo ma bardzo mocną antenę, albo robi to celowo – technik wzruszył ramionami. – Tak czy tak, ukrywa przed nami obecność drugiego statku.

– Ale my przecież wiemy, że tam jest – zauważył Akira.

Domenic uśmiechnął się krzywo.

– Ale oni nie wiedzą, że my wiemy – co powiedziawszy wręczył feniksowi kryształową kulę. – Pilnuj jej, jak oka w głowie.

– Co zamierzasz, mój panie? – zaniepokoił się Akira.

– Spróbuję porozmawiać z królową Catharyn poza oficjalnymi kanałami.

Usiadł na jednym z wolnych krzeseł, starając ustawić je tak, by za jego plecami znalazła się pusta ściana, pozbawiona map taktycznych, ekranów i stanowisk techników.

Jego wzrok stał się nieobecny, spojrzenie straciło ostrość. Bezpośrednio przed nim znajdował się duży ekran sytuacyjny, ale już go nie dostrzegał. Zamiast tego widział niewyraźne zarysy wnętrza okrętu królowej: to chyba był mostek, a więc dokładnie to, co chciał osiągnąć. Poprzez osoby i sprzęty zgromadzone w centrum dowodzenia coraz wyraźniej przenikał widok ludzi i urządzeń korwety. Obraz wypełniał się i zestalał, stawał się coraz bardziej realny, po prostu zaczynał istnieć.

Akira stał tuż za krzesłem i czar zadziałał także na niego – Domenic słyszał jego zaskoczone westchnienie.

Rzeczywistość korwety wypełniła całe pole widzenia – centrum dowodzenia stało się niemal całkowicie niewidoczne, choć Domenic słyszał przytłumione odgłosy krzątania, echa wydawanych rozkazów i meldunków, szum pracujących urządzeń. Wyrzucił je ze swego umysłu, by nie przeszkadzały w nawiązaniu kontaktu. Teraz bardziej słyszalne stały się dźwięki ze statku, które wyraźnie wskazywały na to, że jej dowódca nie do końca zapanował nad paniką wywołaną zniknięciem floty.

Domenic czuł, że i jego obraz na mostku korwety staje się bardziej wyrazisty i cielesny, jakby znajdował się tam osobiście. Nie minęła nawet minuta, odkąd zaczął się materializować, kiedy zauważył go jakiś znerwicowany chorąży i krzykiem zaalarmował resztę. Wszyscy wlepili w niego zdumione spojrzenia.

Zapadła cisza.

Domenic przyjrzał się zebrany i bez większego trudu odnalazł wzrokiem królową Catharyn. Była już stara – za stara, by mieć choćby cień nadziei na objęcie tronu Creswell. Bez trudu również zlokalizował Linual – była tak podobna do Meseret, jak jedna kropla wody do drugiej. Te same falujące aksamitną czernią włosy, te same oczy, czarne jak węgle w oprawie długich rzęs. Jednak uroda to było wszystko, w czym przypominała swoją babkę. Brakowało jej pewnych charakterystycznych cech Meseret – jej dumy, godności i siły – ot, taka sobie szara myszka, pomimo oszałamiającego wyglądu. Domenic jakoś nie potrafił wyobrazić jej sobie na tronie. Co ta Catharyn sobie wyobraża? Że ktokolwiek zaakceptuje jej córkę jako królową? Przecież to by była katastrofa! Linual nie byłaby w stanie zapanować nawet nad dworem, nie mówiąc już o całej planecie!

Jakiegokolwiek by jednak nie były oczekiwania Catharyn, nie miały już większego znaczenia. Już nie.

Królowa patrzyła na niego tak, jak gdyby zobaczyła ducha – zbladła, zachwiała się, jakby za chwilę miała zemdleć. Zignorował ją, zwracając się do kapitana. Nie było to zbyt uprzejme, ale na uprzejmościach akurat najmniej mu zależało.

– Naruszyliście naszą przestrzeń – powiedział, a jego głos zabrzmiał nienaturalnie głośno w panującej ciszy. Kilka osób wzdrygnęło się. – Czekam na wyjaśnienia.

Dla zgromadzonych na mostku ludzi musiało to wyglądać cokolwiek dziwnie. Dwóch mężczyzn – Akira bowiem wciąż stał za krzesłem – wyłaniających się z niebytu, niczym senny koszmar. Nierealni, a jednak prawdziwi. Wszyscy dobrze wiedzieli, co potrafi uczynić magia w rękach zręcznego maga – w końcu byli mieszkańcami Kwadratu. Pierwszy z szoku otrząsnął się kapitan.

– Nie złamaliśmy prawa, Wasza Wysokość. – Najwyraźniej doskonale się orientował, z kim ma do czynienia. – Poproszono nas o pomoc.

Domenic uniósł brwi.

– Nic mi o tym nie wiadomo – stwierdził lodowato. Oczywiście, wiedział, jaka będzie odpowiedź kapitana.

– Wezwał nas pułkownik Addar.

– Nie miał prawa tego robić.

– Jest regentem.

– Pułkownik Addar został aresztowany za zdradę stanu. Z pewnością nie ma już nic do powiedzenia w żadnej sprawie.

Kapitan na chwilę stracił rezon. Zerknął na Catharyn, jakby to z jej strony spodziewał się pomocy. Królowa postąpiła krok naprzód, opierając się na inkrustowanej srebrem lasce.

– A więc to ty jesteś synem mojego brata – jej głos drżał starością i zmęczeniem.

Domenic przyglądał się jej w milczeniu, nieruchomym wzrokiem, pozbawionym wszelkiego uczucia. Czyżby Catharyn nie wiedziała, że Stephane nie był jej bratem? Wydawało się to bardzo mało prawdopodobne.

Zapragnął poznać jej myśli i nagle świat stanął w bezruchu, tracąc barwy i życie. Nie musiał się nawet mocno starać, by osiągnąć ten stan – to było jak oddychanie, jak jeszcze jedna funkcja ciała.

Myśli otoczyły go jak obłoki. W większości przebijał lęk o różnym natężeniu i ogólna dezorientacja. Kapitan statku zastanawiał się nad losem pozostałych okrętów floty i ich załóg, a wyobraźnia podsuwała mu różne możliwe scenariusze wydarzeń. Niepokoił się także o los swojego statku, załogi i pasażerów, za których był odpowiedzialny. Nie były to zbyt wesołe myśli.

Myśli Linual błędziły wokół osoby jednego z oficerów, a ponieważ znajdował się on na jednym z zaginionych okrętów, obawiała się o jego los. Ich romans zaczynał właśnie nabierać żywszego tempa. Ciekawe, czy królowa o tym wiedziała?

Domenic skupił się na myślach Catharyn. Nie, nie wiedziała o romansie córki. Nie wiedziała też, że nie była rodzoną siostrą Stephane'a. Nie знаła Resa Addara, choć samo nazwisko wywoływało pewne odległe skojarzenia w jej pamięci. W jej myślach dominował reumatyzm – pieprzony reumatyzm, jak o nim sama mówiła. W zasadzie nie wiedziała nawet, że flota została wysłana w celu stłumienia rebelii na Creswell, była przekonana, że zdąży tylko i wyłącznie na pogrzeb brata. Wymiana zdań między "bratankiem" a kapitanem okrętu tylko ją zdziwiła.

Domenic popadł w rozterkę.

Czy Catharyn rzeczywiście niczego nie wiedziała, niczego nawet nie podejrzewała?

Czy też może doskonale panowała nad swoimi myślami? To nie było niemożliwe, byli ludzie o takich zdolnościach. A może ktoś inny panował nad jej umysłem? Domenic sprawdził to, ale nie wykrył żadnego rodzaju ingerencji. Królowa wydawała się szczerą, zwłaszcza w swoich myślach, należało jednak zachować daleko posunięte środki ostrożności. Do tej pory myślał, że Catharyn jest mocodawcą Addara, ale jeśli nie ona, to kto?

Znowu zabawa w chowanego. Zaczynało go już to męczyć.

Poruszył się w końcu i zwrócił wzrok na kapitana, ponownie ignorując Catharyn – słyszał, jak z sykiem wciągnęła powietrze do płuc, nie spodziewając się takiej impertynencji. To także zignorował.

– Tutaj ma pan współrzędne miejsca lądowania – skinął dłonią, a jeden z ekranów rozjaśnił się. Na wszystkich ten pokaz zrobił odpowiednie wrażenie, a ich reakcja sprawiła Domenicowi niekłamaną przyjemność. – Radzę trzymać się podanego kursu, w innym przypadku zostaniecie zestrzeleni.

W oczach kapitana pojawiły się oznaki protestu.

– Nie mamy zamiaru wykonywać jakichkolwiek manewrów na pański rozkaz!

Domenic pozwolił sobie na uśmiezek pełen wyższości.

– Nie zrozumiał mnie pan, kapitanie. Otóż nie ma pan większego wyboru. Albo wyląduje pan we wskazanym przeze mnie miejscu, albo... – znacząco zawiesił głos. – Mam całkowitą kontrolę nad polem siłowym i mogę sprawić, że pański okręt zostanie zmuszony do lądowania. Niestety, niewiele zostanie wówczas z okrętu flagowego waszej floty.

– Haidis! – wyrwało się z ust przerażonej Catharyn.

Domenic spojrzał na nią z nagłym zainteresowaniem. A więc jej syn, następca tronu Sabedell, znajdował się na okręcie flagowym. Właściwie można się było tego spodziewać: władcy Sabedell kładli duży nacisk na to, by ich następcy odbywali służbę wojskową.

To była przydatna informacja i Catharyn poniewczasie zorientowała się, że palnęła głupstwo – widział niepewność w jej oczach. Z pewnością już zdążyła odgadnąć, że jej rozmówca nie jest miłym i uprzejmym reprezentantem rodziny i komitetem

powitalnym w jednej osobie, lecz potencjalnym zagrożeniem – dla niej i jej dzieci.

Domenic otworzył usta, by bardziej zdyscyplinować kapitana, kiedy Linual nagle krzyknęła przenikliwie i upadła. Jej ciało wygięło się w spazmatycznych drgawkach, głowa zaczęła rytmicznie uderzać o twarde podłoże, cienka strużka śliny pociekła z ust, skóra nabrała niebieskawego odcienia.

Jedna z kobiet towarzyszących królowej krzyknęła:

– Znów ma atak! Szybko!

Damy dworu sprawnie zajęły się księżniczką. Drgawki po chwili ustały, skóra powróciła do właściwego koloru.

Domenic przyglądał się tej scenie bez mrugnięcia okiem. No, no, ile to się można dowiedzieć na zwykłym spotkaniu w interesach. Kolejna bardzo przydatna informacja: skoro Linual była tak poważnie chora, to pod znakiem zapytania stanął plan Addara – przecież to ona byłaby jedynym logicznym spadkobiercą creswellańskiego tronu. Ciekawe...

Czyżby to była manipulacja? Ale w jakim celu? Zerknął na królową. Nie, w jej wzroku malował się autentyczny strach, jej myśli były chaotyczne i nieskładne, a emocje w nich zawarte wręcz płonęły lękiem o córkę.

Damy dworu pomogły księżniczce wstać, po czym troskliwie odprowadziły ją ku drzwiom. Linual odwróciła się na chwilę. Wyglądała okropnie: potargane włosy, resztki śliny na twarzy. Ale nie to było przerażające, tylko wyraz jej oczu: był w nich triumf, ale też i tak silna nienawiść, że Domenic poczuł się niemal tak, jakby ktoś z całej siły uderzył go w twarz.

Potem drzwi się zamknęły i to uczucie zniknęło, rozplynęło się jak we mgle. Nie było jednak złudzeniem. Skąd w takim razie pochodziło? Oczywista odpowiedź nasuwała się sama: najwyraźniej choroba Linual miała podłoże psychiczne. To byłoby bardzo eleganckie i zarazem proste wytłumaczenie, gdyby Domenic nigdy przedtem nie widział takich oczu, takiej nienawiści tnącej niczym sztylety.

A tak się akurat składało, że widział to już dwukrotnie.

Na mostku zapanowała niezręczna cisza. Nikt się nie odzywał. Domenic przerwał milczenie:

– Lądowanie za pół godziny we wskazanym miejscu – powiedział i machnięciem ręki rozproszył obraz.

Znów znajdował się w centrum dowodzenia, Akira stał tuż za nim z kulą w dłoni, a jakiś technik w stopniu porucznika meldował właśnie admirałowi o zdobyciu kompleksu portu kosmicznego.

Wszystko szło po jego myśli (miał przy tym nadzieję, że bardzo nie po myśli Addara, choć co do tego miał raczej wątpliwości), ale coś nie dawało mu spokoju. Coś, co było jedynie niejasnym przeczuciem, jak niewyraźny cień na krawędzi pola widzenia; takim, który informuje o zagrożeniu, ale nie pozwala go zidentyfikować.

Domenic był właśnie w drodze do biura pułkownika, kiedy odnalazł go jeden z demonów. To był Nica, najstarszy rangą z ich trójki.

– Panie mój – skłonił się. – Obawiam się, że mam złe wieści – jego głos był tak naturalny, jakby wydobywał się z piersi żywego, zdrowego mężczyzny, ciało zaś równie silne i masywne. A jednak nie było to ludzkie ciało, a jedynie magiczna mieszanka mocy demona i pary wodnej, którą wchłaniał wprost z powietrza.

– Addar?

– Żle z nim – potwierdził Nica.

Pułkownik leżał na podłodze tuż obok biurka tak, jakby próbował wstać, a potem po prostu zwałił się na ziemię. Potwierdzała to sucha relacja trojga demonów. Skóra pułkownika była sina, wargi wręcz błękitne, jak w wyniku uduszenia, pomiędzy nich wypływała cienka strużka śliny zmieszanej z krwią. Ciało było jeszcze ciepłe, życie uleciało zeń zaledwie przed chwilą.

Co innego myśli... Te jeszcze trwały, choć i one z minuty na minutę rozpraszały się, traciły sens i cel. Było w nich przerażenie tak potworne, że ścinało krew w żyłach. I był też ból, potworny ból, jakby ciała wydzierano duszę, brutalnie, metodycznie, bez litości.

Domenic domyślał się, co tu się mogło wydarzyć. I świadomość tego napełniała go obrzydzeniem. Jeszcze jedna zbrodnia w nieustannym korowodzie śmierci.

Już na korytarzu odnalazł go jeden z adiutantów Randella.

– Wasza Wysokość – zaszalutował. – Wiadomość od admirała: Zoltray zostało zdobyte

przed paroma minutami.

Domenic skinął głową.

– Czy odnaleziono ciało mojego ojca?

– Tak jest, Sire.

– Dobrze, proszę przekazać admirałowi, że należy przetransportować je do Aprevin z wszelkimi honorami. Tam odbędzie się pogrzeb.

– Tak jest, Sire!

Za godzinę wszystko się rozstrzygnie, a wszystkie sekrety ujrzą światło dzienne, pomyślał, spoglądając w zadumie na plecy oddalającego się żołnierza.

Nawet się nie spodziewał, że za godzinę jego świat legnie w gruzach.

Po raz kolejny.

Rozdział osiemnasty

Przymusowe lądowisko statku królowej znajdowało się na pustyni Teirah, niezbyt daleko od Solatis, ale też na tyle daleko, by nie naruszyć struktury kanionu, w którym osadzone było miasto. Pola siłowe wyhamowały pęd okrętu do tego stopnia, że w powietrze nie wzbilo się nawet pojedyncze ziarenko piasku.

Dowództwo nad operacją przejęcia statku admirał Randell powierzył jednemu ze swoich zaufanych podwładnych, komandorowi Neriano. Wprawdzie kapitan okrętu zapewniał, że na pokładzie nie ma jednostek wojskowych, ale admirał wolał mieć pewność. Stwierdził mianowicie, że żyje tak długo tylko dlatego, że nikomu jeszcze nie zaufał. Kapitan musiał się podporządkować.

Załogę i pasażerów korwety umieszczono pod strażą w jednej z obszernych sal uniwersytetu. Niecodzienne zbiorowisko wzbudzało żywe zainteresowanie zarówno studiującej młodzieży, jak i profesorów. Jednym i drugim dostępu bronił kordon żołnierzy z bronią gotową do strzału. Tę część uniwersytetu chwilowo wyłączono z użytku publicznego.

Królową, księżniczkę oraz kilka innych osób z jej świty poproszono do innego pomieszczenia – strzeżonego jeszcze dokładniej przez żołnierzy Randella i ludzi Bertrama.

Domenic stał na wysokiej galerii, niezauważalny z dołu i przyglądał się zebrany. Królowa wyglądała na spokojną, lecz była to tylko poza – wewnątrz wręcz gotowała się ze złości. Najwyraźniej nie przywykła do traktowania jej jak powietrze.

Linual natomiast wręcz przeciwnie: była lodowato chłodna, choć na jej ustach błąkał się uśmiezek zadowolenia. Musiała zdawać sobie sprawę, że to tutaj, w tej sali rozegrają się ostatnie akty dramatu. Zniknęła gdzieś szara myszka. Nowa Linual była pewna siebie, zdecydowana, pełna godności – prawdziwa królowa. Catharyn mogłaby się od niej uczyć.

W pewnym momencie królowa pochyliła się do ucha córki, szepcząc coś, ale Linual odepchnęła ją.

– Nie bądź śmieszna, matko. Zachowujesz się jak dziecko!

Powiedziała to wystarczająco głośno, by wszyscy usłyszeli, nie na tyle jednak, by nie mogli tego zignorować. Catharyn wyglądała tak, jakby ktoś ją uderzył. Patrzyła na córkę z mieszaniną lęku i podziwu – tak jak patrzy się na węża, który szykuje się do ataku.

Towarzyszący im obydwu dworzanie nie wyróżniali się niczym szczególnym. Niektórzy byli zapewne ochroniarzami, inni doradcami i dyplomatami. Czysty pech – Domenic nie miał zamiaru bawić się w dyplomację.

Zdecydował w końcu zejść z galerii i dołączyć do towarzystwa, zwłaszcza że zjawili się również i jego ministrowie: Bertram, Talor, Taman, Cerino i paru innych, których twarzy nie rozpoznawał.

Pierwsza zauważyła go Linual. Przez moment miał wrażenie, że w jej oczach pojawia się cień tamtej nienawiści, lecz nie docenił jej – księżniczka uśmiechała się nieco zbyt teatralnie, ale po nienawiści nie pozostał nawet ślad. Potrafiła się dobrze maskować, ale już go to nie zaskakiwało – wiedział, kim ona jest i, co ważniejsze, kim była niegdyś.

– Proszę, proszę – powiedziała z lekką ironią. – Zjawił się nasz książę.

Domenic zignorował ironię.

– Wasza Wysokość – skłonił się.

Uniosła brwi, ale nie pozostało jej nic innego, jak tylko odpowiedzieć na ukłon.

– Wasza Wysokość – z pewnością nie spodziewała się ceremoniału w takiej chwili. – Pozwolisz przedstawić sobie moich doradców?

Spojrzał jej wprost w oczy. Koniec z ceremoniałem.

– Po co? Przecież to sprawa między tobą a mną.

Zaskoczył ją. Przez moment zapomniała o utrzymywaniu pozy pewnej siebie księżniczki tronu.

– Bystry jesteś – uznała z lekką niepewnością w głosie. – Bystrzejszy niż sądziłam.

Doskonale zdawał sobie sprawę z drobnego skądinąd faktu, że jak dotąd uważała go za głupca i niedouczonego smarkacza.

– Darujmy sobie komplementy, księżniczko. Czekają nas ważniejsze sprawy niż twoja opinia o mojej osobie.

Przez chwilę przyglądała mu się z namysłem. Nie odwrócił wzroku.

– Moja propozycja jest całkowicie do przyjęcia przez obie strony – powiedziała w końcu rzeczowym tonem. – Jestem pewna, że szybko dojdziemy do porozumienia.

– Słucham – Domenic skrzyżował ręce na piersi.

Linual podeszła do dużego, owalnego stołu, wokół którego zebrali się pozostali z niepokojem obserwując przebieg negocjacji, które z definicji powinny być prowadzone przez bardziej doświadczonych polityków niż ta dwójka. Księżniczka usiadła na jednym z krzeseł, ale reszta nie poszła w jej ślady, ponieważ Domenic wciąż nie zajął miejsca. Słuchali, obserwowali i czekali na chwilę, w której będą potrzebni.

Linual oparła się wygodnie.

– Mam na myśli małżeństwo polityczne, oczywiście. To jedyna rozsądna opcja w tej sytuacji. Istnieje między nami pewna różnica wieku, ale nie na tyle duża, byśmy nie mogli doczekać się dzieci, przynajmniej jednego, które objęłoby tron.

– Przemyślałaś to sobie – stwierdził Domenic.

– Zgadza się. Miałam na to sporo czasu.

Królowa zdecydowała się na włączyć do rozmowy dwojga młodych.

– Czy nie łączy was zbyt bliskie pokrewieństwo?

Kierowała to pytanie do Linual, ale to Domenic jej odpowiedział:

– Nie łączy nas żadne pokrewieństwo, Catharyn, to twoi rodzice mieli tę samą babkę.

Catharyn opadła na fotel, z trudem chwytając powietrze. Ktoś usłużnie podał jej szklanekę wody, ale odtrąciła jego rękę gwałtownie, rozlewając płyn. Spoglądała na Domenica z wyraźną wrogością.

– Ach, więc wiesz o tym – stwierdziła Linual bez emocji. – Powiedzieli ci? Zresztą, to nieważne. Zgadzasz się na moją propozycję? Zapewniam, że nie otrzymasz lepszej, nie ode mnie.

– Nie wątpię – odparł, starając się ukryć odrazę w głosie.

Gdyby nie wiedza, jaką posiadał, zgodziłby się na jej propozycję. Pomysł nie był nie do przyjęcia, jak sama powiedziała. Takie rozwiązanie zadowalałoby wszystkich zainteresowanych. Domenic widział, jak kanclerz uśmiecha się lekko i nieznacznie kiwa głową potakująco.

Linual patrzyła nań wyczekująco. Była od niego starsza o jakieś siedem, może osiem

lat. Przynajmniej fizycznie, bo pod innym względem o wiele, wiele więcej. Była piękna – marzenie każdego mężczyzny. Mógłby się zgodzić. W końcu osobiste szczęście to w rodzinach królewskich towar raczej deficytowy. Wielu królów i królowych żyło w ramach międzynarodowych układów i porozumień, których przypieczętowaniem było małżeństwo. To była niewielka cena za pokój i bezpieczeństwo.

– Moja decyzja brzmi: nie – powiedział, zaskakując tym wszystkich obecnych. Twarz księżniczki nie wyrażała żadnych emocji. – Nie spodziewałaś się tego, Linual? A może powinienem zwracać się do ciebie: pułkownik Addar? – pochylił się nieco do przodu, opierając dłonie na blacie stołu. – A może powinienem nazywać cię twoim prawdziwym imieniem... Meseret? A może i to imię jest maską, za którą się ukrywasz, kimkolwiek jesteś?

Umilkły wszelkie szepty. Na sali zrobiło się przeraźliwie cicho. Niektórzy, albo nawet większość, zastanawiała się pewnie, jakie on prochy bierze, że wygaduje podobnego rodzaju bzdury.

Linual wstała i roześmiała się lekko.

– Nie doceniłam cię, chłopczyku – stwierdziła.

Nie zaprzeczyła. Wzrok wszystkich zgromadzonych przeniósł się na nią – wpatrywali się w nią ze zdumieniem i niedowierzaniem.

– Dobrze to zaplanowałaś, Meseret – postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję i potwierdzić tok rozumowania, który doprowadził go do tej chwili. Szczerze mówiąc, swoje wnioski wyprowadzał z raczej dość nikłych poszlak; chciał się przekonać, że są słuszne. – Spiskowałaś przeciwko Kristanowi jeszcze za jego życia, zwłaszcza że nie osadził twojej córki na tronie Creswell. Więc postanowiłaś zdobyć go dla siebie, a pomoc miał ci w tym twój talent, twoja osobista magia. Upozorowałaś nawet własną śmierć. A potem po prostu przenosiłaś swoją świadomość z ciała do ciała, z katastrofalnym skutkiem dla ich właścicieli – zbliżył się ku niej. – Co byś zrobiła, gdybym zgodził się na twoją propozycję, Meseret? Poczekałabyś, aż nasze dziecko dorośnie, a potem... zrobiłabyś to samo co z tą biedną dziewczyną? To była twoja wnuczka! – w jego głosie pojawiła się pogarda. Odwrócił się ku królowej, sprawiającej wrażenie, jakby znajdowała się setki lat świetlnych stąd. – Twoja córka nie żyje,

Catharyn. Zmarła pół godziny temu w ciele starego mężczyzny, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje.

Catharyn potrząsnęła głową, jakby jego głos wrócił jej przytomność. Nie wierzyła mu jednak. Wstała z wysiłkiem i podeszła do Meseret, dotykając lekko jej ramienia.

– Lini? – spytała z wahaniem.

Meseret strząsnęła jej rękę.

– A jeśli nawet to wszystko jest prawdą? Nic nie możesz mi zrobić! Ani ty, ani nikt inny!

Catharyn patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Więc zabiłaś moją córkę... mamó? – spytała głucho, chyba nawet nie słysząc własnych słów. – Jak mogłaś?...

Meseret odwróciła się w końcu ku niej.

– Linual była zbyt podobna do ciebie – wygarnęła jej z jadem. – Jesteś głupia, Catharyn, i z wiekiem coraz głupsza! Miałaś takie możliwości i zostałam zaledwie królową – małżonką, chociaż był sposób by zapewnić sobie pełnię władzy!

Królowa rzuciła się nagle na nią z pazurami.

– Oddaj mi moje dziecko, ty potworze! – krzyknęła rozdzierająco.

W tej chwili nie była już dumną władczynią, a jedynie matką, oplakującą stratę córki. Meseret odepchnęła ją bez trudu, ktoś inny objął ją i usadził na fotelu pod ścianą. Wściekła żalność zamieniła się w ciche, bolesne zawrodozenie.

– Dość tego – stwierdził autorytarnie Bertram. Przez terminal wezwał swoich ludzi, którzy czekali za drzwiami. – Aresztować ją! – rozkazał im, wskazując Meseret.

– Nie! – sprzeciwił się Domenic.

Bertram spojrzał nań z lekkim zdziwieniem.

– Sire?

Domenic przez cały czas patrzył na Meseret. Zachowywała się zbyt spokojnie, jak na kogoś, czyje sekrety i knowania właśnie wyszły na jaw, jakby wierzyła, że nie wszystko jeszcze stracone.

– Ona jest chroniona, Bertram. Twoi ludzie zginą, zanim choćby jej dotkną. Uwierzcie mi na słowo – dodał, widząc wahanie funkcjonariuszy.

Potem ponownie przeniósł spojrzenie na Meseret, która przyglądała mu się z nieodgadniętym wyrazem twarzy. Nie było w niej rozbawienia, ani ironii. Chyba doszła do wniosku, że ma do czynienia z godnym siebie przeciwnikiem, a co za tym idzie: niebezpieczniejszym niż początkowo mogła przypuszczać. Chyba w końcu zdobył jej szacunek. Pech, że akurat na tym najmniej mu zależało – chciał to po prostu mieć już za sobą.

– Kto to jest, Meseret? Kto cię chroni? – spytał, choć przecież dobrze wiedział. – Pokaż się, Rewo, bogini zimy, Rewo Śnieżna Pantero, Rewo Pani Lodu – zakłęcie było proste, nie musiał nawet w tym celu ujawniać swojej mocy. Na razie wolał tego nie robić, liczył bowiem na element zaskoczenia.

Jedna z kobiet towarzyszących królowej odpowiedziała na zakłęcie – wstała i stanęła obok Meseret. W trakcie płynnego, niemal kociego ruchu zmieniał się jej wygląd: włosy, oczy, kształt twarzy, a nawet wzrost i ubranie. Z krzesła podniosła się niewyróżniająca się niczym szczególnym urzędniczka bądź dwórka, ubrana szykownie, choć dość formalnie, ale już obok księżniczki stanęła wysoka, liliowowłosa, oszałamiająca pięknosc, odziana w mocno wydekoltowaną suknię, na szyi i przegubach jej rąk pojawiła się niezwykle kunsztowna biżuteria, nawet we włosach lśniły szlachetne kamienie.

– Już raz próbowałam cię zabić – powiedziała, a dźwięk jej głosu sprawił, że wszyscy nagle zatkali sobie uszy. Ktoś zemdlał i upadł, z łoskotem przewracając jakiś mało stabilny mebel. – Ale moja strzała chybiła celu.

Na niego jej głos jakoś nie robił większego wrażenia. Rozpiął koszulę i ze spokojem pokazał bliznę.

– Nie chybiła. Twoje strzały nie chybiają.

– Oddech smoka – stwierdziła, mrużąc oczy. – Kim ty jesteś, że ośmieliłeś się przeżyć?

– Kim jesteś ty, że ośmielasz się wtrącać w sprawy, które ciebie nie dotyczą? – odparł zaczepnie.

Nawet Meseret spojrzała na niego z niedowierzaniem. Uśmiechnął się w duchu. Nie spodziewała się, że będzie w stanie postawić się bogini. Nawet Rewa wydawała się

zaskoczona jego śmiałością.

– Odważny czy głupi? – spytała, ale chyba nie oczekiwała odpowiedzi. Podeszła wolno do niego i przesunęła opuszkami palców po jego policzku. Ani drgnął pod jej dotykiem.

– On mi się podoba, Meseret, naprawdę mi się podoba – na jej ustach błąkał się uśmiech, ale w oczach dostrzegł pragnienie. – Naprawdę chcesz jego śmierci?

– Tak – potwierdziła Meseret, patrząc mu wprost w oczy.

Rewa jakby nie mogła się zdecydować.

– Ale popatrz, jaki on przystojny – najwyraźniej bawiła ją ta sytuacja. – Mam ochotę wziąć go sobie na kochanka. Z pewnością byłoby warto, nie uważasz? Naprawdę mam go zabić? – spytała ponownie, niemal z żalem.

– Tak – powtórzyła z naciskiem Meseret. – Teraz, tutaj. Chcę, żeby jego śmierć była przykładem dla innych.

– Spróbuj tego dokonać, jeśli zdołasz – rzucił Domenic hardo w stronę bogini.

Rewa potrząsnęła głową.

– To będzie jak utopienie kociaka – westchnęła, tym razem bez żalu, i posłała w jego stronę pojedynczy lodowy pocisk, wymierzony litościwie wprost w serce.

Ale pocisk nie dosięgnął celu. W pewnej chwili zatrzymał się w powietrzu, a potem upadł, rozpryskując się na tysiące kawałeczków.

– Co się dzieje? – zdziwienie na obliczu bogini nie pojawiała się często. Warto było to zobaczyć. – Tak źle to ja nie celuję!

– On ma tarczę – podpowiedziała Meseret usłużnie.

– Tarcza nie chroni go przede mną – stwierdziła Rewa, przyglądając mu się z nagłą podejrzliwością.

Domenic z wolna rozwijał swoją moc. Nie chciał od razu zdradzać swojej siły, dlatego trzymał na wodzy jej potencjał, niczym wyrywające się zwierzę na smyczy.

– Tylko to dla mnie masz? – spytał, otwarcie prowokując boginię do walki. Nie był głupi, ale chciał to załatwić od razu.

Nie dała się długo prosić – w jego stronę pomknęło więcej lodowych pocisków. Wszystkie rozpadły się, zanim jeszcze dotknęły ziemi. A potem skończyły się żarty.

Rewa stanęła przeciw niemu, rozwijając swoją moc niczym wachlarz, włosy zatańczyły

wokół jej twarzy jakby rozwiane wiatrem, a wiatrem tym była magia.

Meseret przezornie usunęła się na bok. Była wyraźnie zaniepokojona rozwojem sytuacji – nie spodziewała się, że ten szczeniak, którego miała w takiej pogardzie, okaże się zdolny do stawienia oporu i to nie byle komu, bo samej bogini zimy!

Domenic nie atakował. Ustawił swoją magię w ten sposób, by chroniła go przed atakami Rewy. Nigdy przedtem nie wykorzystywał swojej mocy w ten sposób, nie był pewien jej i własnych ograniczeń. Starał się o tym nie myśleć.

Rewa atakowała bez przerwy. Powoli, z rozmysłem zwiększała nacisk, a kiedy nie ugiął się pod jej naporem, a nawet nieco odepchnął od siebie, w jej oczach pojawiło się zaskoczenie. Uderzyła znienacka, kiedy najmniej się tego spodziewał i pozwolił sobie na chwilę oddechu. Zachwiał się, przyklęknął na jedno kolano, podparł się ręką – ale zachował równowagę.

– Żaden człowiek nie wytrzymałby tak długo – powiedziała cicho. Jej głos docierał tylko i wyłącznie do niego, jakby otaczająca ich i buzująca niskim tonem moc nie pozwalała uciec dźwiękom poza ten kokon. – Z tego wniosek, że nie jesteś człowiekiem. W takim razie kim lub czym?

Potrząsnął głową.

– Pytasz nieodpowiednią osobę – odparł równie cicho, jak ona.

W jej dłoni uformowała się świetlista kula, płonąca zimnym lodowym blaskiem. Cisnęła ją w niego. Nie zdążył ustawić silniejszej osłony, kula przebiła się przez nią i trafiła go w ramię. Skrzywił się z bólu.

Rewa uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Mogłabym cię pokonać – stwierdziła, uciszając swą moc w ciągu ułamka sekundy.

Nacisk na niego zniknął tak raptownie, że o mało nie upadł.

– To prawda – skinął głową. – Jesteś silniejsza ode mnie.

Przyglądała mu się z namysłem.

– Wątpię – powiedziała wolno. – Po prostu brak ci doświadczenia.

Chyba nie zamierzała go dalej atakować, więc zdecydował się zredukować swoją moc, pozostawiając jednak niewielki potencjał tuż przy skórze – tak na wszelki wypadek.

Rewa podeszła do niego lekkim krokiem. Stała tak blisko, że niemal go dotykała.

– Moja propozycja jest aktualna, powiedz tylko słowo. Obiecuję ci przeżycia, jakich nigdy nie zapomnisz – jej głos stanowił obietnicę rozkoszy.

Starła się go uwieść. Domenic wiedział, że więzi rodzinne wśród bogów są traktowane dość liberalnie. On jednak nie należał do tego szacownego grona i nie zamierzał się stosować do ich zwyczajów.

– Pomyślę nad tym – powiedział wymijająco.

Westchnęła. Zrozumiała odpowiedź.

– Szkoda – wzruszyła ramionami. – Gdybyś jednak zmienił zdanie... wiesz, gdzie mnie szukać.

– Nie! – krzyknęła Meseret. – Miałyśmy umowę, Rewo, bogini zimy! Przyjąłeś moją ofiarę!

Rewa popatrzyła na nią tymi swoimi lodowatymi oczyma. Meseret zatoczyła się nagle, jakby jakaś niewidzialna siła pchnęła ją do tyłu.

– Nie nadużywaj mojej cierpliwości, śmiertelniku – powiedziała, świadomie sprawiając, że jej głos ponownie wszystkich ogłuszył. – Twoje umowy mnie nie dotyczą. Zrobiłam to, bo... miałam taki kaprys – uśmiechnęła się złośliwie.

Jej postać spowija mgła, błękitna od lodowych kryształków, potem wionęło mroźnym wiatrem i bogini zimy zniknęła. Jedynym śladem jej obecności były wirujące w powietrzu pojedyncze płatki śniegu, błyskawicznie topniejące w zetknięciu z podłożem.

Domenic odetchnął głęboko. Ofiara Meseret najwyraźniej straciła swoją moc – inaczej Rewa byłaby wciąż związana zaklęciem. Z magią nie ma żartów, wiedzą o tym nawet nieśmiertelni.

Nie mógł wprost uwierzyć, że wykpił się tak małym kosztem z objęć śmierci. Nie chciałby powtarzać tego wyczynu za nic na świecie. Bolało go ramię, ale był to ból, który mógł zignorować – rana nie zagrażała życiu. W dół po rękę popłynęła cieniutka strużka krwi, ale jakoś się tym teraz nie przejmował. Użycie magii spowodowało, że kręciło mu się w głowie, jakby przesadził z drinkami. Musiał oprzeć się o stół, by zachować równowagę lub choćby jej pozory.

Odwrócił głowę ku Meseret. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

Najwyraźniej sądziła, że wyjdzie z tego obronną ręką – miała przecież po swojej stronie boginię i nie spodziewała się, że ta opuści ją w decydującej chwili. Z pewnością potrafiłaby wymyśleć przekonującą historyjkę o tym, dlaczego zginęli wszyscy uczestnicy zebrania prócz niej samej. Wspaniały, dopracowany przez lata plan posypał się w kilka chwil. I dlaczego? Bo boginie miewają kaprysy!

– Aresztujcie ją teraz – polecił ludziom Bertrama.

Zachowała godny podziwu spokój, kiedy zakuwali ją w kajdany. Zanim nałożono na jej głowę kaptur z opalizującej tkaniny neutralizujący wszelką magię, popatrzyła na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Przyznaję, że cię nie doceniłam – stwierdziła. – Następnym razem nie popełnię takiego błędu.

Domenic spojrzał na nią niemal z rozbawieniem.

– Nie będzie następnego razu.

Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko ironicznie. Funkcjonariusze wyprowadzili ją, Bertram wyszedł za nimi. Zanim zamknęły się drzwi, słyszał jeszcze jak minister wydaje dyspozycje dotyczące transportu więźnia, jak i mającej mu towarzyszyć eskorty.

Koniec. Nareszcie.

Czuł taką ulgę, że miał ochotę usiąść i po prostu się rozplakać. Zapłakać ze szczęścia, oczyścić duszę z wszelkiego brudu, jaki przyczepił się do niego w ciągu ostatnich tygodni... Było jednak jeszcze kilka spraw, którymi musiał się zająć.

– Akira!

Feniks wciąż miał pod swoją opieką kryształową kulę. Domenic dotknął jej palcem i zdezaktywował pole siłowe wokół planety. Zbliżyła się do niego Catharyn. Łzy na jej twarzy wciąż nie obeschły.

– Czy to prawda, że Stephane i ja nie byliśmy rodzeństwem? – spytała cicho. Nie odezwał się. Znała odpowiedź. – Rozumiem. Mimo to, chciałabym uczestniczyć w pogrzebie... jeśli pozwolisz, Wasza Wysokość.

Skinął głową. W zasadzie nie mógł jej tego zabronić, ale miło, że zapytała.

– Pole siłowe zostało zdezaktywowane. Przekaż admirałowi swojej floty, by natychmiast opuścił przestrzeń Creswell.

Skłoniła się lekko na znak zgody, a potem wyszła, za nią jej świta. Został tylko kanclerz Cerino, marszałek Taman i szambelan, który wyciągnął skądś apteczkę, by opatrzyć ranę na jego ramieniu.

I jeszcze ktoś.

Ktoś, kto zaczął klaskać, jak tylko zamknęły się drzwi. Wszyscy zwrócili się w stronę, z której dochodził ten dźwięk, również Domenic, zastanawiając się, co tu się wyprawia i czy to nie koniec z niespodziankami na dzisiaj?

Za kolumny wyłonił się wysoki, młody mężczyzna. Jego włosy były długie, bardzo długie, zaplecione w ciasny warkocz – jedynie dwa pasma po bokach głowy spływały luźno na pierś – i bardziej szare niż srebrne. No i miał zielone oczy. Nie lśniły tak intensywną zielenią, jak oczy Domenica, niemniej były zielone – zielenią normalnych, ludzkich oczu.

Zobaczył siebie. Ale siebie pozbawionego magii, po prostu człowieka.

Tamten wciąż klaskał, powoli, miarowo i uśmiechał się, jakby to co zobaczył i usłyszał w tej sali bardzo go rozbawiło. Po chwili oklaski ustały i nowo przybyły otworzył usta:

– Brawo, braciszku! – zawołał ze sztuczną emfazą. – Doprawdy, nie wierzyłem, że ci się uda!

Nawet ich głosy były takie same, z tą niewielką różnicą, że tamten miał nieco inny akcent. Domenic miał wrażenie, że jego kontakt z rzeczywistością jest bardziej kruchy, niż do tej pory przypuszczał.

– Kim jesteś? – spytał.

Sobowtór spoważniał. Dopiero teraz w jego wzroku Domenic dostrzegł niechęć, a nawet wrogość skierowaną ku sobie. Zadrżał pod tym spojrzeniem, jakby w komnacie zrobiło się nagle przeraźliwie zimno.

– Domenic Allisandre, jedyny syn i spadkobierca króla Stephane’a.

Kompletne szaleństwo... Czy to jakaś mara zesłana na do widzenia przez Meseret? Czy też senny koszmar?

– To moje imię – powiedział stanowczo.

– Tak się składa, że niezupełnie. Zostało mi nadane zaraz po urodzeniu, więc należy

do mnie. Tutaj jest kopia aktu urodzenia – sobowtór podał dokument zdumionemu szambelanowi. – W razie potrzeby przedstawię oryginał.

– Więc kim ja jestem? – w głosie Domenica pojawiła się nuta hysterii.

Tamten przyglądał mu się z ciekawością.

– Interesująca kwestia, nie sądzisz? – spytał pozornie lekkim tonem. – Hm, pomyślmy... Może oszustem? Albo uzurpatorem, co?

– Nie dręcz go, Domenicu – zza jego pleców napłynęły ciche, acz stanowcze słowa. Nikt nie zauważył momentu pojawienia się bogini, być może pojawiła się już wcześniej, lecz chciała pozostać niezauważona.

Przybysz wyprostował się, ale nie spojrzał w jej stronę.

– Witaj, matko – powiedział chłodno.

Dayiell stanęła obok syna, krótkim spojrzeniem obrzucając ranę na jego ramieniu.

– Wyjaśnij mi to, matko – szepnął cicho. – Powiedz, że to jakiś koszmar.

– Przykro mi, dziecko.

Zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że aż pobielaly mu knykcie.

– Kim ja jestem?

Dayiell westchnęła.

– Masz na imię Aurelian i jesteś moim synem.

Aurelian... Imię z jego snu! A więc jednak... to było jego imię, jego własne, prawdziwe... Nie Kester, nie Domenic, lecz Aurelian! Wypowiedział je bezgłośnie, samymi ustami. Smakowało jak on sam. Z jego piersi wyrwało się pełne ulgi westchnienie. To było jak koniec koszmaru.

Niestety, ten wciąż trwał.

– Jesteś moim klonem! – dodał prawdziwy Domenic. Wyraźną satysfakcję sprawiał mu zaskoczenie i niedowierzanie na twarzy "brata". – Nawet nie jesteśmy rodzeństwem – zbliżył się do Aureliana i szybko, tak szybko, że Dayiell nie miała szans zainterweniować, uderzył go w twarz. Z całej siły. Aurelian zatoczył się. – Widzisz? Nawet twoja tarcza rozpoznaje mnie jako ciebie!

Uderzenie podziało na Aureliana niczym kubeł zimnej wody. W jego oczach niespodziewanie pojawiła się furia, jakby sprzeczne uczucia gwałtownie poszukiwały

ujścia – i znalazły je. Aurelian zareagował instynktownie i oddał cios. Domenic spodziewał się reakcji, ale impet uderzenia rzucił go na krzesła przy stole konferencyjnym. Jedno z nich złamało się z trzaskiem.

Aurelian rozcierał sobie knykcie i patrzył, jak jego brat próbuje pozbierać się spośród szczątków mebla. Zerknął na matkę, ale Dayiell wzruszyła ramionami.

– Już dawno zasłużył sobie na sporą porcję lania – stwierdziła obojętnie.

Zza filarów wyszło dwóch starszych mężczyzn. Pomogli wstać Domenicowi, jeden z nich podał mu nawet chusteczkę, by otarł ciekącą z nosa krew. Każdym gestem dawali do zrozumienia, że to on jest ich panem, a oni wyłącznie wiernymi poddanymi. Jednego z nich nie rozpoznawał, natomiast drugiego... owszem, pomimo oznak starości widocznych na jego twarzy.

– Farrow! – Aurelian coraz mniej z tego rozumiał. Co tu robił wychowawca z Ośrodka Notus? Tutaj, przy jego tak zwanym bracie? – Co tu się wyprawia, na wszystkich bogów?!

Dayiell spojrzała na swego drugiego syna – w jej oczach nie było nawet śladu macierzyńskiego uczucia, które okazywała Aurelianowi. W spojrzeniu tym było wyraźne ostrzeżenie.

– Ja ci to wyjaśnię, dziecko – stanęła przed Aurelianem i przesunęła dłonią po jego policzku. Szarpnął głową do tyłu, jakby nie mógł znieść jej dotyku. W jej oczach pojawił się ból, lecz szybko zapanowała nad uczuciami. – Narodziny zarówno twoje, jak i twojego brata były częścią planu. Wasz ojciec wiedział, że prędzej czy później dojdzie do przewrotu i chciał, by jego następcą był bezpieczny, gotowy na przejęcie władzy, kiedy nadejdzie pora.

Aurelian potrząsnął głową.

– Jaka w tym wszystkim była moja rola?

– Jakiś ty tępy, drogi klonie! Jeszcze nie rozumiesz? – zadrwił Domenic, odpychając usługane dłonie swych zaufanych sług. – Ty miałeś wpaść w ręce technokratów, mieli sądzić, że schwytali następcę tronu. W ten sposób ja byłem bezpieczny przez wszystkie te lata, pobierałem odpowiednie nauki i przeszkolenie, dzięki czemu jestem o wiele lepiej przygotowany do objęcia tronu niż ty będziesz kiedykolwiek!

– Zamknij się! – syknęła Dayiell.

Aurelian wiedział, że to prawda: zbyt wielką przyjemność sprawiało Domenicowi rzucanie mu jej w twarz. Chciał go zranić, mocno, najmocniej jak był w stanie i czynił to każdym słowem.

– Nigdy nie pragnąłem tronu – szepnął Aurelian.

– Bo kazano ci go nie pragnąć. Pamiętasz pana Farrowa, prawda? Teoretycznie miał zajmować się likwidowaniem, albo raczej ukrywaniem twojej magii nawet przed tobą samym i robił to, owszem, ale równocześnie programował twój umysł tak, byś po latach działał zgodnie z założeniami naszego planu. A pamiętasz węże? – roześmiał się swobodnie, jakby ktoś opowiedział dobry dowcip. – Na pewno pamiętasz. Ich jad był niezbędny, by uzyskać dostęp do twojego umysłu i by utrwalić wprowadzone weń zmiany... Myślałeś, że ojciec przekazał ci Pokrewieństwo? Ha, ha, świetny żart! – roześmiał się z pozorną swobodą, choć na krawędziach słów pobrzmiwał gniew.

– Powiedziałam ci, żebyś się zamknął! – krzyknęła w końcu Dayiell, kiedy w końcu wyprowadził ją z równowagi. – Dostyc już przeszedł, dlaczego wciąż go dręczysz?!

– Bo ma twoją miłość, której ja nigdy nie zaznałem! – krzyknął w odpowiedzi. Żal wylewał się z niego w potokach słów, twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie. – Bo posiada całą magię naszego rodu, magię, która powinna należeć do mnie, ale przecież z czegoś musiał powstać ten klon, ta karykatura mnie samego, chodząca wokół na własnych nogach i mówiąca to, co ja miałem mówić i robić! Ponieważ jesteśmy tą samą istotą, a ja nienawidzę tej części siebie, która jest nim!

Aurelian nie mógł tego znieść. Krzyknął i zakrył uszy dłońmi.

– Proszę, zabijcie mnie... – wyszeptał z rozpaczą w głosie.

– Zrobiłbym to z przyjemnością, ale nasza droga mateczka postarała się mi to uniemożliwić! Dlatego niech cię nie widzą moje oczy, ani niech cię nie słyszą moje uszy, zniknij z mojego życia, jakby cię w nim nigdy nie było, odejdz, przepadnij, jak koszmarna mara, którą w rzeczywistości jesteś!

Rozległ się trzask. Dayiell stała przed Domenikiem ze wzniesioną ręką, jakby chciała wymierzyć mu drugi policzek.

– Powiedziałam ci kiedyś, że będę go chronić za wszelką cenę. Jeśli będzie nią twoja

śmierć... – zawiesiła głos.

Ale Domenica nie można było tak łatwo zastraszyć – nawet jeśli robiła to bogini. W tym akurat bracia byli do siebie bardzo podobni.

– Po prostu go stąd zabierz! – syknął.

Dayiell ani drgnęła.

– Uwolnij go.

Uśmiechnął się, a w jego spojrzeniu była posępna satysfakcja.

– A jednak mnie potrzebujesz, matko. Co zyskam w zamian?

Spojrzenie bogini stało się mroczne.

– Osobiście włożę koronę na twoją głowę.

Była to propozycja nie do odrzucenia. Bogini – opiekunka od wielu pokoleń nie uczestniczyła w ceremonii koronacyjnej władców Creswell. Domenic skinął głową.

– To dobra cena. Słowo – klucz brzmi... – pochylił się nieco ku niej i wyszeptał jej wprost do jej ucha, tak by nikt postronny go nie usłyszał. – A teraz żegnam. Nie chcę go więcej widzieć.

Dayiell podeszła do Aureliana.

– Dokąd, dziecko?

Zawahał się.

– Do zamku Matsushitaki – szepnął. – Do moich przybranych rodziców.

Dayiell ujęła go za rękę, rzuciła ostre spojrzenie drugiemu ze swoich synów, po czym zniknęła wraz z Aurelianem.

Domenic klasnął w dłonie. Kilka osób wzdrygnęło się.

– Nie muszę chyba uświadamiać wam, panowie, że nic, czego byliście tutaj świadkami nie może nigdy ujrzeć światła dziennego – powiedział, spoglądając kolejno po ich twarzach. – Mam nadzieję, że to jasne – dodał z naciskiem.

– Oczywiście, Sire – przytaknął szambelan w imieniu wszystkich. Pozostali wciąż pozostawali pod wrażeniem sceny, jaka odegrała się na ich oczach.

– Dobrze. A więc... do Aprevin! Czeka na nas tron, koronacja, ślub... a potem... – Domenic uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. – Polecą głowy... wysoko urodzone głowy – dodał posępnie.

Rozdział dziewiętnasty

– Wiedziałem, że Domenic to nie jest moje prawdziwe imię – stwierdził Aurelian cicho, kiedy w pokoju zostali tylko Arretche'owie i jego matka. – Czuję, gdzieś głęboko w środku czuję, że coś jest nie tak... nie sądziłem jednak, że mam brata i że to jego imię noszę. I że on mnie za to nienawidzi.

– Nienawidził cię, odkąd nauczył się myśleć – Dayiell wzruszyła ramionami. – Nienawidzi i mnie, za to, że powołałam cię do istnienia.

– Dlaczego?

– Taka była moja umowa z Kristanem.

Podniósł na nią zaskoczone spojrzenie.

– Z Kristanem?

– A, tak. To ten stary pierdoła to wszystko wymyślił, od niego to wszystko się zaczęło – w jej głosie pojawiła się gorycz. – Przewidywał kłopoty i chciał zabezpieczyć dynastię. Chciał mieć dwóch synów: jednego następcę tronu i jednego będącego istotą magiczną. Urodził się Stephane i Corellen, który jednak nie był zdolny do przeżycia w tak zwanym cywilizowanym świecie. Był Hedaia w każdym calu i Ellerianne zabrała go ze sobą. Kristan uparł się więc, by i Stephane miał dwóch synów. Zgodziłam się, a wtedy zażądał, by ten drugi był wierną kopią pierwszego.

– Klonem – sprecyzował Aurelian. – Słyszycie, mamó i tato? Wasz syn jest klonem następcy tronu. Czy to nie zaszczyt?

– Przestań, Aurelianie. Ranisz mi serce – w oczach Dayiell pojawił się ból.

– Nie żartuj – w jego głosie była gorycz. – Dlaczego się na to zgodziłaś?

– Ponieważ chciałam mieć dziecko – westchnęła i potrząsnęła głową. – Kristan obiecał, że po wszystkim będę mogła ciebie zabrać do Krainy Wiecznego Lata.

– Cóż za wielkoduszny gest – zadrwił. Musiał coś powiedzieć, jakoś to skomentować, żeby nie zacząć krzyczeć. Miał wrażenie, że sprzeczne uczucia za chwilę rozsądzą mu pierś. – Między tobą i ojcem nie było nawet śladu uczucia... prawda?

Domyślała się, o co pytał. Każde dziecko – nieważne, czy ma pięć lat czy dwadzieścia – w głębi duszy pragnie, by jego rodzice kochali się wieczną miłością. Albo

przynajmniej chce zapewnienia, że kiedyś tak było.

– Prawda. Ja chciałam mieć dziecko, Stephane dwóch synów. To było jak umowa handlowa tyle, że stawką było w niej życie twoje i twojego brata.

– On nie jest moim bratem.

– W pewnym sensie jest. Jesteście jak dwie strony tej samej monety.

– Nigdy nie mieszkałem w pałacu... prawda?

Zawahała się, ale w końcu skinęła głową.

– Zgadza się.

– Więc jak pamiętam ciebie, ojca... i całą resztę?

– To był pomysł Stephane'a. Między tobą a twoim bratem od urodzenia istniała więź, która powodowała, że żyłeś jego życiem do samego przewrotu. W rzeczywistości mieszkałeś na farmie na drugim krańcu kontynentu pod opieką moich kapłanów i kapłanek.

– Nie pamiętam tego – szepnął, ukrywając twarz w dłoniach.

– Przypomnisz sobie – zapewniła. – Tylko Domenic znał słowo – klucz, które uwolni cię od wszczepionych w twój umysł nakazów i wspomnień. Wtedy będziesz wolny, a tamte wspomnienia odejdą.

– Tylko jedno słowo?

– Tylko jedno.

– Wypowiedz je, matko.

Patrzyła na niego przez chwilę bez słowa.

– Pamiętaj o tym, że cię kocham – szepnęła błagalnie, po czym wyszeptała mu je wprost do ucha.

W pierwszej chwili nie zareagował, jakby słowo – klucz straciło przez lata swoją moc, ale Dayiell wiedziała, że coś takiego jest po prostu niemożliwe. Potem patrzyła, jak jej ukochany syn zwija się z bólu na podłodze, a przybrani rodzice obejmują go i uspokajają.

Dayiell odsunęła się, jedynie obserwując, gotowa interweniować, gdyby działo się coś niepokojącego. Zdawała sobie sprawę, że jej dotyk nie ukołby bólu Aureliana, to Lisa Arretche była jego matką, to jej ręce tuliły go w cierpieniu przez wszystkie te lata.

Bogini przegrała ze śmiertelną kobietą. I uznała swoją porażkę.

Aurelian nie uczestniczył w koronacji, a potem ślubie księcia Domenica z księżniczką Krissann. Obserwował barwny pochód ulicami miasta, stojąc na najwyższej wieży pałacu królewskiego; wiatr rozwiewał mu włosy. Nie czuł żalu. Nie czuł nic, żadnych emocji, ani nienawiści, ani gniewu. Ostatnie wydarzenia dosłownie wyprały i wyżyły go emocjonalnie. Odnosił wrażenie, że mógłby zasnąć na milion lat.

Kristanowi udało się ocalić dynastię, pomimo politycznych zawirowań, ale Aurelian zaczął się zastanawiać, czy cena tego zwycięstwa nie była zbyt wysoka. Nie myślał o sobie – wspominał słowa Addara alias Meseret o zagrożeniu z zewnątrz, któremu Kwadrat mógłby stawić czoło, ale tylko zjednoczony, skoncentrowany. Addar nie kłamałby w takiej sprawie – rozpoznał wroga. Aurelian jeszcze nie wiedział, kto lub co im zagraża, ale był pewien, że w końcu się dowie. Miał sporo czasu na poszukiwania.

Wysoko ponad miastem krążył srebrzysto – błękitny smok. W pewnym momencie zniżył dość raptownie lot, wylądował na jednej z wież i zniknął – przynajmniej tak by się zdawało przypadkowemu obserwatorowi.

– Znów się spotykamy, Sauliusie – stwierdził Aurelian obojętnie, nawet nie odwracając głowy.

– To było nieuniknione, mój chłopcze – Saulius stanął tuż obok niego, opierając się niedbale barkiem o flankę.

Aurelian zerknął nań z ukosa.

– Pamiętam cię – oznajmił nagle, pozornie bez związku. – Odwiedzałeś farmę, ty i inne smoki, kiedy opuszczała ją moja matka. Pamiętam nasze loty pośród chmur i taniec smoków na wieczornym niebie.

– To dobrze, że pamiętasz – przytaknął Saulius. – Co teraz zamierzasz?

Aurelian westchnął.

– Nie mam pojęcia. Jestem, ale właściwie mnie nie ma. Nie istnieję.

– Jeśli w to uwierzysz, umrzesz. Pragnienie to potężna broń w rękach istoty takiej, jak ty.

– To by chyba było najlepsze rozwiązanie... dla wszystkich.

– A twoja matka? Nie chcesz wrócić do Krainy Lata? Jako bóg, na pełnych prawach?

– Kiedyś chciałem. Albo też wydawało mi się, że chcę. Teraz już nie. Ale matka nalega, więc pewnie niedługo będę musiał wybierać.

– Między ludźmi także nie możesz zostać – zauważył Saulius. – Nie jesteś człowiekiem.

– Mój własny brat pozbawił mnie resztek człowieczeństwa – stwierdził Aurelian z goryczą. – Mógł po prostu pozwolić mi odejść, ale wolał mnie upokarzać i dręczyć.

– On się ciebie boi – wtrącił Saulius.

Aurelian roześmiał się gorzko. Potrząsnął głową.

– Mógłbym wrócić do Adheorte, do Hedaia. Corellen by mnie przyjął, ale... chyba nie wytrzymałbym tam zbyt długo. Poza tym... on wiedział, wiedział przez cały ten czas, musiał wiedzieć – jego dłonie zacisnęły się w pięści niemal bez udziału woli.

– A jeśli poproszę, byś został z nami? – spytał Saulius niespodziewanie. – Został jednym z nas?

– Co masz na myśli?

Zeszli z wieży. Kolorowy, dźwięczny pochód zbliżał się już do bram pałacu – za chwilę wieża miała zapłonąć błękitnym światłem.

– Mam na myśli nas, smoki, jedne z najstarszych ze wszystkich istot w całym Kwadracie. Przyłączyłbyś się do nas? Stał jednym z nas, Dzieci Wiatru?

Aurelian przypatrywał mu się bez słowa.

– To jest możliwe?

– Dziecko, powinieneś już wiedzieć, że dla magii nie ma rzeczy niemożliwych.

– W jaki sposób?

– Rytuał jest bardzo prosty: musiałbyś się napić smoczej krwi. Jest trująca dla śmiertelników, ale przecież ty nie jesteś człowiekiem, nie zaszkodzi ci... nie za bardzo.

Pociągało go to, och, jak bardzo pociągało. Dzielić przestworza, niebo i chmury z tymi istotami, być jedną z nich... jedno z jego dziecięcych marzeń. Marzeń, o których kazano mu zapomnieć. No i gdzieś tam była też i ona, istota z jego snów... Eressien z klanu Wiosennego Wiatru, jego nemezis.

– Tak – szepnął. – To zabawne, ale naprawdę tego chcę – uśmiechnął się, jakby z

zaskoczeniem.

Saulius szponem rozciął swój nadgarstek. Popłynęła krew, gęsta i lepka.

– Jeszcze możesz się cofnąć. Musisz wiedzieć, że smoki nie mają wstępu do Krainy Lata – syknął, kiedy zęby Aureliana zagłębiły się w ranie. – Ofiarowuję ci moją krew, a więc będziesz należał do mojego rodu, mojego klanu.

Gdzieś blisko trzasnęły drzwi.

– Nie!!!

Echo poniosło krzyk po całej sali, zafalowały chorągwie i sztandary. Dayiell z niedowierzaniem patrzyła jak jej syn pada na podłogę, wstrząsany drgawkami. Podbiegła bliżej, pochyliła się nad nim, ale nic już nie mogła zrobić. Odwróciła się ku smokowi.

– Ocaliłeś mu życie, by teraz je odebrać? – krzyknęła. – To jest twoja zapłata, Sauliusie?!

– Spełniłem tylko pragnienie jego serca – odparł ze smutkiem. – Chciałaś żeby był nieszczęśliwy przez całą wieczność?

Dwa smoki sfrunęły z wież pałacu, okrążyły Wieżę Światła – jeden z nich nieco nieporadnie, jakby dopiero uczył się latać – po czym zniknęły w chmurach. Jeden z nich był srebrzysto – błękitny, drugi opalizował zielenią i srebrem, a jego oczy wręcz płonęły intensywnym szmaragdem.

Saulius powiódł Aureliana w góry, w miejsce gdzie od tysięcy lat znajdowały się siedliska smoków. I tam ją zobaczył ponownie: miała oczy jak światło słońca i skórę jak blask odległych gwiazd.

Był w domu.

Epilog

Piastunka przysnęła przy kołysce. Obudził ją jakiś szelest i wrażenie ruchu tam, gdzie nie powinno go być. Zaspana, przez moment myślała, że to Jego Wysokość wrócił już do pałacu z podróży. Kiedy jednak otrząsnęła się z resztek snu dostrzegła swoją pomyłkę. Król Domenic nie miał z pewnością takich gorejących zielenią oczu, ani szponów u palców obu dłoni. Trzymał w ramionach dziecko, jakby należało do niego.

Kobieta otworzyła usta do krzyku.

– Wezwij swoją panią – polecił cicho, uprzedzając jej wrzask, który by tylko obudził chłopca.

To ją dziwnie uspokoiło. Spełniła prośbę, szybko wymykając się z komnaty dziecięcej.

Aurelian przyglądał się niemowlęciu w swoich ramionach. Szpony nie przeszkodziły mu nieskończenie delikatnie wyciągnąć go z kołyski. Mały nawet się nie obudził. Miał ciemne, choć jeszcze rzadkie włoski i zielone oczy, które zaraz sennie zamknął, jak tylko się nimi pochwalił.

Stuknęły cicho zamykane drzwi. Odwrócił się. Krissann ruszyła przez pokój ku niemu.

– Piękny malec – stwierdził, oddając jej dziecko.

– Dziękuję – odparła nieco sztywno. Nie bardzo wiedziała, jak ma się zachować w jego obecności, tak przytłaczającej w tej komnacie. – Miło, że wpadłeś – wydukała w końcu.

– Do twarzy ci z tym – przekrzywił lekko głowę, przyglądając się jej z uwagą.

– Z czym?

Wzruszył ramionami.

– Ze wszystkim: z macierzyństwem, małżeństwem... koroną.

– Nie jestem nieszczęśliwa – powiedziała i dopiero wtedy zrozumiała, jak to musiało zabrzmieć. – Domenic jest dobrym mężem – dodała. Ale to ciebie, twojej magii pragnie moje ciało, zdradziły ją oczy. Spuściła wzrok na twarz dziecka. – I jest dobrym królem, ludzie go kochają.

Tak, jak kochaliby mnie, pomyślał. To już nie miało dla niego znaczenia, ot, taka

sobie myśl.

– To dobrze – skinął głową. – Cieszę się... ze względu na ciebie.

– Masz kogoś? – spytała cicho i była z siebie dumna, że jej głos nie zdrzął.

– Tak – odparł równie cicho, uśmiechając się lekko.

Patrząc na ten uśmiech, na te rozjarzone zielenią oczy, poczuła palącą zazdrość; zazdrość, że inna kobieta będzie leżeć skąpana w jego magii i rozkoszy. Odwróciła się, by znowu nie odczytał jej uczuć i położyła syna z powrotem do kołyski. A kiedy jej myśli skierowały się ku dziecku, wszystkie inne rozwiały się jak kupka liści uniesiona wiatrem. Mogła spojrzeć mu w twarz w uśmiechem na ustach.

– Cieszę się – powiedziała i naprawdę tak było.

Aurelian pochylił się na kołyską, w której dziecko otworzyło oczka i zaczęło przyglądać się z uwagą otoczeniu. Wyciągnął doń rękę i zanim Kriss zdążyła krzyknąć ostrzegawczo malutka dłoń jej syna zacisnęła się na jego palcu. Palcu pozbawionym szpona, normalnym ludzkim palcu.

– Smoki nie potrafią aż tak bardzo upodobnić się do ludzi – stwierdziła z nutką podejrzliwości w głosie.

– To prawda – przytaknął. – Ale ja jestem smokiem tylko w części, kto wie, czy nie w tej najmniejszej – wzruszył ramionami. – Rytuał mnie nie przemienił, był jedynie katalizatorem moich pragnień. Wiesz, oczywiście, kto był naszą matką? – popatrzył na nią pytająco.

Skinęła głową.

– Domenic mi powiedział – czuła się dziwnie, nazywając męża tym imieniem, skoro przecież jeszcze niedawno nazywała nim Aureliana. Wszystko się tak nieoczekiwanie pogmatwało... – Jesteś jednym z bogów.

– Jestem nikim – ponownie wzruszył ramionami, jakby temat nie był dla niego zbyt istotny. Podejrzewała jednak, że oszukiwał sam siebie: to miało dlań znaczenie, może nawet większe niż sam przypuszczał. – Jakie nadacie mu imię?

– Kristan.

– To dobre imię – jego twarz zachowała kamienny wyraz, ale zdradziły go oczy, tak jak i ją parę chwil przedtem.

Imię dziadka najwyraźniej niezbyt dobrze mu się kojarzyło, natomiast jej mężowi wręcz przeciwnie – w zasadzie to on je wybrał, a ona nie protestowała. Tak, jak powiedział Aurelian: to było dobre imię.

Zadziwiało ją to, jak bardzo Domenic nie cierpiał Aureliana, traktując jego istnienie jak zło konieczne, niemal skazę na honorze rodu Allisandre. Nigdy o nim nie mówił, nie wspominał, a przecież byli braćmi, bliźniakami. Kiedyś, krótko po ślubie, odważyła się zapytać o Aureliana, a wtedy Domenic spojrział na nią takim zimnym, nienawistnym wzrokiem i wysyczał przez zaciśnięte zęby, twardo akcentując poszczególne słowa:

– Nigdy. Więcej. Nie. Wymawiaj. Przy. Mnie. Tego. Imienia.

Przestraszyła się wtedy. Przestraszyła się także dlatego, że podejrzewała, iż Domenic dowiedział się skądś o tamtej nocy, którą spędziła z Aurelianem. I o tym, że tęskniła za nim, jak za utraconą miłością, kochankiem, przyjacielem. Domenic udawał, że to nieistotny szczegół, a ona udawała, że w to wierzy.

Pozory...

Teraz miała dziecko i była dużo szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Aurelian stał się miłym wspomnieniem, do którego mogła wrócić w bezsenną noc – i niczym więcej. Zamknęła tamten rozdział swego życia, nawet Domenic to zauważył. Tak było dobrze.

Aurelian wymienił z Krissann jeszcze kilka okolicznościowych frazesów, po czym pożegnał się. Nie mieli już o czym rozmawiać, stali się dla siebie obcymi ludźmi. Może i kochała go kiedyś, ale to było dawno, w innym świecie, w innym życiu. Wracanie do przeszłości było zbyt bolesne i niebezpieczne – nie tylko ze względu na Domenica. Zostawił tę przeszłość za sobą – bez żalu, bez wyrzutów sumienia.

Jakiś czas później zmarła Meseret, zanim jeszcze rozpoczął się jej proces. Przeprowadzono szczegółowe śledztwo, ale w jego toku nie ustalono żadnych konkretnych faktów. Wyglądało na to, że zmarła śmiercią naturalną, ale patologowie próżno szukali bezpośredniej przyczyny. Niewielu ludzi znało prawdę, lecz byli związani przysięgą, by nie rozgłaszać tej tajemnicy.

Aurelian uśmiechnął się do siebie dziwnie, kiedy dotarła do niego ta wieść. Czuł, że

Meseret może jeszcze narobić zamieszania. Oboje byli wszak nieśmiertelni, chociaż każde z nich w inny sposób. Kiedyś w końcu nadejdzie taki moment, kiedy ponownie staną ze sobą twarzą w twarz.

Miał czas. Zaczeka.

